

Wiele dróg

Wybór opowiadań

WARSZAWA 1970

Okładkę i strony tytułowe projektowała Wanda Orlińska

Maryla Czermińska

Agnieszka z siódmego obłoku

Na pauzie było tak wesoło, że Agnieszkę przestały dręczyć zmy. Nie dygotała jak liść, nie błądziła po labiryncie tysięcy kłamstw, w które wpędziły ją próżność i strach, nie nasłuchiwała sygnału karetki pogotowia ani dzwonka telefonu. Zapomniała nawet o fatalnym dowodzie swej winy, dokumencie, wciśniętym za plastikową okładkę geometrii. Strach zwinął skrzydła.

Po dzwonku na pauzę biegła razem z koleżankami korytarzem lekko jak ptak. Śmiała się nawet. Zajęły ulubiony kącik sali, zwany „Klubem pod sufitem”, stanęły ciasno jedna przy drugiej, robiąc mur z pleców, aby nie dopuścić „obcoklasowców” do swych tajemnic.

Hala Anonim zaczęła czytać następny odcinek „Kroniki szkolnej”:

ZE ŚWIATA NAUKI

Na obszarze szkoły dokonuje się wielu czynów godnych pamięci, a okrytych tajemnicą. Uznaliśmy więc za słuszne opisać je naszym skromnym wiecznym piórem, aby zachować dla potomności.

Oto dziś rozpoczęły się obrady międzyszkolne z udziałem delegatów naszej szkoły. Sesja naukowa jest poświęcona wiekiemu zagaamaniu икитри-нш-менту, to znaczy podpowiadania. Jak nam donoszą z ostatniej chwili, podpowiadologom udało się wreszcie opracować doskonały, bezszmerowy system podpowiadania.

NIEZWYKŁE ODKRYCIE

W czasie wykopów pod przyszły tunel na ulicy Patataj natrafiono na niezwykle znalezisko: płaskie kamienie, pokryte tajemniczymi znakami. Badania ustaliły, że są to pierwsze ściągawki z ery kenozoicznej.

Z ESTRADY

W końcu miesiąca przyjeżdża do stolicy Salvatore Adamo. Przed Salą Kongresową zakłada się lampy z nietłukącego szkła i wznosi żelbetowe zapory dla ochrony bożyszczka przed entuzjazmem adoratorek.

POGODA

Jutro wzrost zachmurzenia: klasówka z matematyki.

ROZDZIAŁ

W tym miesiącu przypadają następujące rocznice: Żałobna rocznica pierwszej dwójki. Dzień świętego Nigdy. Rocznica pierwszych wagarów. Dzień Najgorszego Ucznia. 365 rocznica zakiszenia pierwszego ogórka.

CO CZYTAĆ

Dr Odkurzacz: Najnowsze dokumenty, pochodzące z przeszłych wieków, na podstawie których można ustalić, ile myszy zjadło króla Popiela.

Wybuchaty śmiechy i okrzyki:

— Szałowo! Kokosowo! Bojowo!

Sam śmiech na znak zgody z przedmówcą. Naród był zgodny ani razu nie padło „veto”. Tylko Baśka, globus klasowy, wzór uczennicy doskonałej, miała wątpliwości, czy nie zostaje naruszony Najwyższy Majestat Szkolny. Stała z twarzą nieprzemakalną, bez uśmiechu. Jej syzyfową pracą było wmawianie w koleżanki, że codzienne odrabianie lekcji jest gwarancją... czegoś tam. Nie wiedziały czego, bo nigdy nie raczyły dosłuchać do końca jej wywodów. Teraz zaczęła:

— Dziewczynki, przecież to podważa autorytet...

— Przymknij się, ty pudło z morałami, nudny szpinaku! Nie dyndol tyle! — wołała Irka Rododendron.

Ta zawsze mówiła tylko grubym śrutem.

— Nie przeszkadzajcie! Gallówna Anonimówna, czytaj dalej!

Więc „Gall” czytał dalej:

OGŁOSZENIA

Dwójkę z matematyki oddam w dobre ręce. Wiadomości u Hali.

*

Wylatuję nad poziomy w godzinach lekcyjnych.

Mogę kogoś zabrać. Agnieszka.

*

Zamienię dwójkę z polskiego na bilet do kina. Oferty dla Irki.

*

Bezbłędnie przepowiadam, kto będzie wyrwany do tablicy. Wróżka.

Humor poprawiam na poczekaniu. Dzwonek po lekcjach.

Ale na razie humor zepsuł się, gdyż zabrzmiał dzwonek na lekcję. Szły do klasy, jak w żelaznych butach, wyciągały niechętnie podręczniki, przekrzykiwały się. Dopiero gdy wszedł „Stożek ścięty”, zrobiło się cicho, jak makiem zasiał.

Gdy Agnieszka otwierała książkę, zaszeleścił nieszczęsny dokument i zniknął dobry nastrój. Dziś dla niej każde x równa się gniewowi ojca. Co powie, on, uosobienie prawdy i uczciwości, on, którego koledzy nazywają nieco drwiąco „ostatnim rycerzem bez skazy”, gdy dowie się, że jego córka...

Odwija z pamięci ciąg tamtych zdarzeń. Na początku były lody... Nie! Najpierw ojciec powiedział:

— Nie zdążę już przed wyjazdem zapłacić rachunków, mama też zajęta. Chyba nasza półdorosła córka wyręczy nas?

— Tak, tatusiu, naturalnie!

— No, więc tu masz rachunki za gaz, światło i telefon. A tu pieniądze!

— Tylko nie zgub — dodała mama, jak zawsze błagalnym tonem.

— Takiego głupstwa nie potrafiłaby załatwić? Jadwiga była niewiele starsza od niej, kiedy została królową Polski — powiedział ojciec.

On zawsze lubi działać na ambicję. Ale „królowa Agnieszka” zawiodła. Nie zapłaciła. Pomimo przypominań mamy:

— Tylko idź na pocztę przed lekcjami. Wsiądziesz na następnym przystanku.

Zapomniała. Wychodziła dużo później niż rodzice i tak jakoś... Może „pojechała” do kraju, gdzie wszystkie trójkąty kwitną makami i gdzie nie zmywa się talerzy po obiedzie. Dopiero po ostatniej lekcji, kiedy dotknęła kieszeni spiętej agrafką, przypomniała sobie. Tam były pieniądze i rachunki. Przełożyła je do teczki, mur beton, nie zapomni! Ten manewr zobaczyła Irka Rododendron. Ta ma wzrok uczulony na pieniądze!

— Patrzcie, Agnieszka ma motyle! Znalazłaś je na obłokach? Musisz nam raz coś fundnąć, ty nieziemskie skąpiradło!

— Nie mogę! To są pieniądze na rachunki!

— Pestka! Rzuć się raz forszą! Tata da ci znowu!

— Nie!

— Taki skąpy czy po prostu nie ma? Zwykły urzęd-niczyna z kałamarza setek nie "wyciąga!

To zabolalo Agnieszkę:

— Wcale ojciec nie jest taki biedny!

I zafundowała koleżankom lody. Myślała, że starczy jej na to tygodniówki, ale złośliwa Irka zwoływała koleżanki:

— Chodźcie, szproty! Agnieszka dziś funduje!

Nie zapłaciła rachunków. Zabrakło trzydziestu kilku złotych. Ale gdy ojciec po południu zapytał:

— Zapłaciłaś rachunki? Skłamała:

— Tak.

— Schowaj kwit do szuflady.

— Dobrze, tatusiu.

To było jej pierwsze kłamstwo. No, niezupełnie pierwsze. Będąc małą dziewczynką, to znaczy trzy tysiące dni temu, opowiadała, że była na Księżycu, bo jeden anioł pożyczył jej skrzydeł albo że królewicz zaprosił ją na ciastka do Kuluszek. Twierdziła, że słyszy, jak muchy szczekają, że zaprowadziła jednego komara do kowala, aby go podkuł. Ale tamte kłamstwa były inne, nikomu nie robiły krzywdy, nie było w nich, na dnie, oszustwa i sprzeniewierzenia. A ojciec mówił zawsze: „Nigdy nie kłam z tchórzostwa”.

A to było kłamstwo z tchórzostwa. Bała się gniewu ojca, wstydziła przyznać, że nie jest „bez skazy”, jak on.

Myślała, że jakoś wybrnie, że matka jej pożyczycy. I znów kłamstwo owijało się, jak w kokon, w inne kłamstwa:

— Potrzeba mi na składkę, mamo!

— Skąd ja ci wezmę? Wiesz, że płacimy raty za lodówkę, a jeszcze wyskoczył ten remont łazienki!

Nie zapłacony rachunek i resztę pieniędzy schowała za okładkę geometrii, licząc pieniądze stwierdziła, że gdzieś się podziała jeszcze pięćdziesiątka. Co się z nią mogło stać? Teraz manko było astronomicznie wielkie jak na jej możliwości.

To było dwa tygodnie temu. Dziś wraca ojciec. Po powrocie będzie miał, jak zwykle, setki telefonów. Liczyła jeszcze na cud, taki biurokratyczny cud: jakiś papierek gdzieś ugrzęźnie i nie będzie wiadomo, że rachunek jest nie zapłacony. Ale cud się nie zdarzył. Dziś, gdy wychodziła do szkoły, zapukała sąsiadka:

— Czy mogę zadzwonić do pogotowia? Dziecko mi zachorowało, całe sine.

Ale telefon był głuchy.

— Co ja zrobię — rozpaczła sąsiadka. — W budce telefon zepsuty, nie mogę iść na pocztę, bo jak zostawię dziecko?

I teraz Agnieszka poprzez gwar ulic miasta nasłuchuje dalekiego sygnału pogotowia. Czy zdążyło przyjechać? Czy jej kłamstwo i oszustwo nie skrzywdziły dziecka?

Nagle mignął jej przed oczami czarny aksamit i po-

12

raziła nowa myśl: „Przecież i światło jest pewnie wyłączone!”

— Agnieszko, zejdz z obłoków! — trąca ją Hala. — „Stożek” woła cię do tablicy.

Nie na obłoku była. Warowała przy tym głuchym telefonie. Idzie sennie do tablicy. Nie potrafi się skupić na tych nieważnych dziś trójkątach, widzi tylko balet linii prostych i łamanych. Duka bez sensu:

— Trójkąt opisany...

Nie pomaga bezszmerowy akompaniament.

— Ależ ty zupełnie nie przygotowałaś lekcji! — mówi profesor.

— Ja się uczyłam! Tylko tak mnie głowa boli!

To też nie była prawda. Kłamstwa rozmnażają się chyba przez pączkowanie! A za każde jest kara.

Za to ostatnie — „małe parzyste” w notesie. A jaka będzie kara za tamto duże kłamstwo, z którego wyrastają inne? Za fałszywy wstyd została ukarana bólem gardła. Dziwna kara, ale bardzo logiczna. Nie wolno jej jeść lodów, bo ma chore gardło, ale jak się do tego przyznać koleżankom, które uważają, że dzień bez lodów jest zmarnowany? I tak dość ma tych drwin, nazwały ją „laleczką z obłoków”. Więc jadła lody, potem bolało ją gardło, nie mogła iść do szkoły. A to był wielki dzień, na który cieszyła się od dawna, uczyła się specjalnie słówek francuskich, by godnie powitać prezydenta de Gaulle'a.

Miała wołać: „Vive la France! Vive la paix! Vive le president!”^ Miała rzucić czerwone i białe róże, przewiązane szafirową wstążką — kolory Francji. Prezydent pochwyli kwiaty w locie, będzie nimi pozdrawiał tłumy warszawiaków, zgromadzonych na trasie

* Vive la France! Vive la paix! Vive le president! (francuski), czytaj: Viv la Frans! Viv la pe! Viv le presidan — Niech żyje Francja! Niech żyje pokój! Niech żyje prezydent!

13

przejazdu. Ale prezydent de Gaulle nie schwycił kwiatów, bo ona ich nie rzuciła, leżała z gorączką po tych nieszczęsnych lodach.

Dzwonek. Koniec udreki. „Stożek” wychodzi z klasy. Irka Rododendron kpi z Agnieszki: I

— Że też ty nie umiesz nawet bujnąć porządnie! Wysiadła ci instalacja pod sufitem? Nie mogłaś powiedzieć, że matka dostała ataku, a ty musiałaś latać po doktora, do apteki?

— Ależ mama nigdy nie choruje!

— Trzeba umieć nawijać hecę. Że komoda tańczyła, że sufit się zawalił, że cała dzielnica była bez światła! Ty umiesz tylko komety wstawiać, gadać koperkową mową, ale porządnie wymigać się od lekcji to dla ciebie za mądre. I co z tego? Plomba! A w ogóle to najwyższy czas, żeby mózg elektronowy odrabiał za nas lekcje. Wymyślają te bezduszne maszyny, a nie zrobią takiej naprawy potrzebnej!

— Czy chcesz także, żeby maszyna licząca zakochała się za ciebie? — zadrwiła Hala Anonim.

— Wsadź tę mowę w trepy! Po co mi jakaś miłość? Niech wpadnę w przypaloną kaszkę na mleku, jeśli się kiedyś zakocham! Dziś jest epoka ye-ye, big-bea-tu, jazzu, a nie romantycznych wzdychań.

Agnieszka przymyka oczy. Więc dlatego, że rakiety latają w Kosmos, nie wolno jej już będzie powiedzieć tak jak Julii Kapulet: „O, nie przysięgaj na miesiąc niestały...”* Już tylko big-beat i gwizdy,

jak wtedy w Sali Kongresowej. Na estradzie pstrokato ubrany pajac robił wygibasy, otwierał usta, ale głosu nie było słycać, bo ugrzązł we wrzasku sali i tupocie nóg. Rozmodlone dziewczyny runęły na estradę! Rozkoja-rzony świat! Wyszła w podartej bluzce, z siniakami.

* Mowa o dramacie W. Szekspira: „Romeo i Julia”.

„Jeśli tylko do takich emocji mam prawo — oznajmia w myślach Agnieszka — to wysiadam ze współczesności. Jadę na przystanek Słowiki!”

Zadzwonił dzwonek na lekcję. W pracowni Agnieszkę ominęła jakoś klęska spotkania sam na sam z chemią. A szkoda! Jakie to nowe związki chemiczne stworzyłby jej umysł! Może okazałoby się, że H₂O to dwa hiacynty tańczące o poranku? „Siarka”, to znaczy nauczycielka chemii, nie pytała. Była uśmiechnięta. Nawet jej zielony sweter uśmiechał się. Kto wie, może ona też kiedyś miała czternaście lat, może przypomniawsza sobie, że wtedy chemia nie była jej największą pasją?

Wracały do klasy jak wypłukane w zasadach.

Pod zegarem grupa harcerek skanduje dziwne słowa.

— Po jakimu wy mówicie?

— Nie przeszkadzaj! ćwiczymy w języku hindi powitanie na cześć pani Indiry Gandhi.

— Istny najazd sław na Polskę! Niedługo cały świat do nas zjedzie!

Ale zaraz targnęła nią zazdrość. Harcerki powitają jedyną kobietę-premiera, a ona, Agnieszka, będzie stała za kordonem? Wspaniale jest witać kogoś sławnego, ale jeszcze wspanialej samej być sławną! Ona właśnie... no, co tu ukrywać, chce być sławna. Ojciec podpatrzył tę jej tajemnicę. Kiedyś grymasiła nad talerzem kartoflanki, w której pływał listek bobkowy. „Jedz — powiedział ojciec — to liść laurowy, a ty przecież nie masz alergii na laury! Wolisz je, co prawda-na głowie niż na talerzu.”

Spojrzała z zazdrością na harcerki: jak to pięknie chodzić na zbiórki, wyjeżdżać na obozy! Ale to wszystko dla niej owoc zakazany przez to głupie zdrowie: sto dni w roku boli ją gardło, drugie sto — głowa.

„U ciebie nawet algebra ma katar” — drwią koleżanki.

Po lekcjach ogarnia ją strach. Teraz już musi wrócić do domu, gdzie telefon jest głuchy, żarówki ślepe, palnik bez gazu, a to wszystko z racji Agnieszki, której zachciało się unieść honorem i fundować lody za cudze pieniądze.

W szatni marudzi przy zdejmowaniu papuci. Jak cicho! I tylko daleka trąbka. Pokój — to fanfary, wojna — to huk armat. Skąd jej się to przypomniało? Przyznaje ze wstydem, że chciałaby teraz nie fanfar ale huku armat, kataklizmu, potopu, trzęsienia ziemi, złamania nóg, byle uniknąć gniewu ojca. Więc do tego doszło, że ze strachu sprzedałaby nawet zdrowie i pokój? Dawniej przed wszelkimi przykrościami uciekała w bajkę. Bajka to był doskonały filtr, który odcedzał zło, smutek, uodporniał na krzywdy i niepowodzenia. Ale teraz nie wierzyła już w bajki. Była w takim dziwnym wieku: ani dziecko, ani kobieta, taka niedolatka, głupie wpół do człowieka.

— Agnieszka, nie filuj! Nie widzisz, że się papucio-wa piekli. Galopem zmieniaj trumniaki. Wszystkie już prysnęły! — woła Irka.

Wychodzą razem. Agnieszka wlecze się ulicami, byle opóźnić chwilę powrotu do domu. Irka przegląda się w każdej wystawie, czy jej mini-spódniczka jest dość mini. „Jeśli nie jesteś modna, to po co żyjesz?” — to slogan Irki. Gdyby modny był klips z grzechotką w nosie, a słoik z korniszonami na głowie, to Irka paradowałaby ze słoikiem i grzechotką. Jeśli ogłoszono by o 15-tej, że modne są spódniczki o dziesięć centymetrów krótsze, to już o 15.30 spódniczka Irki byłaby skrócona. Gdyby były modne włosy gładko uczesane, to wiatr miałby zakazane wiać, aby nie popsuć Irce fryzury. Na razie były modne włosy spadające na ramiona, o tym, że powinny być czyste, moda nic nie mówiła. Włosy zawsze puszyste, wymyte rumiankiem miała niemodna Agnieszka. „Z ciebie to taka Świtezianka!” Znaczyło to: niemodna dziewczyna. Czy mówienie prawdy też jest niemodne? A więc Agnieszka jednak nadąza!

— Ale wygłup te wszystkie lekcje — wzdycha Irka. — Człowiek czuje się po nich zupełnie wybebeszony. I żeby to chociaż nuda z importu! Ale taka krajowa, nawet bez znaku „Q”!

Agnieszka szła gwarnymi ulicami bezwolnie jak marionetka, byle później wrócić do domu, byle odwlec chwilę spotkania z ojcem.

— Wariacji A-dur dostanę dziś z nudów. Rysiek wyjechał.

— Podoba ci się Rysiek? — mówi Agnieszka, byle coś powiedzieć.

— Ma taki szalowy, angielski sweter. Mówię ci, dziewczyny szaleją za nim.

— Za swetrem?

— Nieszczelna pod sufitem! Ma bródkę! Agnieszka pomyślała, że gdyby broda była taka ważna, to każda koza byłaby szejkiem.

— Ale broda już wysiada! Baczki modne. Waldek ma baczki. Ale do spięcia, to on odpada.

— Do jakiego spięcia?

— Spięcie to pocałunek. Waldek ma zepsute zęby.

— Całował cię?

— No chyba!

— Czy gwiazdy spadały?

— Gwiazdy? Przecież to było w dzień!

— Miłaś białą suknię?

— Białą? Dlaczego białą?

— Ja sobie wyobrażam mój pierwszy pocałunek tak: ogród pełen kwiatów, spadają gwiazdy, a ja jestem w długiej białej sukni...

Irka Rododendron zarechotała. Śmiechem tego nie można było nazwać!

- U ciebie pewnie i tramwaje mają liryczny napęd! Pocałunek? Wielka heca na patyku! Ja tam tęsknię do miłości jak łusy do grzebienia.

Znów bluznęła tym swoim śmiechem. Agnieszka skuliła się wewnątrz. Po co wyjawiała Irce swą piękną tajemnicę? To przez te kłamstwa poplątało się w niej wszystko!

Osowiałe dotąd niebo zapłakało grubymi kroplami, wbrew przepowiedniom Wicherka lunął deszcz. Szukały schronienia. Agnieszka pomyślała nieoczekiwanie z humorem, że nawet ona, gdy ma mokro w butach, nie potrafi być liryczna. Nieomal odkryła nowe prawo: „Człowiek traci tyle ze swego romantyzmu, ile wazy woda w jego butach”.

Jakiś zachrypnięty głos zawołał z bramy:

— Zarzuć tu kotwicę, Żaba!

— Ciao, Belmondo!

Taki Belmondo z klepiska - pomyślała z ironią Agnieszka. - Nos jak kartofel, cera, jakby kto mak posiał, oczy mętne, włosy spadające strąkami na kołnierz czarnej, plastikowej kurtki. Jego cyniczny uśmiech, który jak gdyby drwił ze wszystkiego: z ziemi, z gwiazd, z chleba i wody, budził wstręt. Ate

miał baczki! A one, jak twierdziła Irka, potrafią wyrównać wszystkie braki męskiej urody."

- Dlaczego nie przychodzisz pod budę? - pyta Irka.

— Wzięli mnie do mamra.

— Przecież jesteś na chodzie!

- Do takiego mamra z elementarzem. Zapędzili do przedszkola pod paragrafem dla rodziców. Każą uczyć się takich niezyciowych rzeczy: na przykład wzrost królów: który był Wielki, a który Łokietek, i który miał krzywe usta, a który był beatles-kędzierzawy. Ubaw w Kosmosie! Żebym ja, chłop pod baczkiem, musiał zbierać łabędzie od jakichś facetów?!

— Wylądujesz na cztery łapy.

— Mnie by się co nie udało! Ale ministerstwo pożałuje tego gestu! Zobaczą, jaki nud powieje w Polsce, gdy wszyscy będą mieć to średnie wykształcenie! A kto będzie wtedy za konika pod kinem? Przecież takim, co liczą boki trójkątom, nie będzie to w głowie!

Nagle dostrzegł Agnieszkę,

— A ta, co tu robi? Wodzisz się z taką rzodkiewką? Ma diabelnie angielskie patrzaki! Czy to patronka od ściągaczek, czy madonna od wagarów?

Płomienie buchnęły na bladą twarz Agnieszki. Chciała odejść, ale kurtyna z deszczu zasłaniała świat. Moknąć? Więc tkwiła w tym biczowaniu jego słów. Babcia opowiadała kiedyś, że pszczoły nie lubią brzydkich słów i uciekają, słysząc je. Rozejrzała się. Nie było ani jednej pszczoły. Ale to już był październik.

— Poszłoby się na dans, ale nie ma forsy! Wiesz, Żaba, w „Atlanticu" idzie film od 18 lat. Ja cię wrajbuję. Przyjdź o trzeciej pod kino.

— Szałowo! Skoczę do domu coś przegryźć, bo mi w brzuchu śpiewa Armstrong.

— Dobra! — prysnął, rozchlapując błoto.

Deszcz przestał padać, więc wyszły z bramy. Agnieszka wlokła się za Irką. Mała, tchórzliwa istota, niewolnica kłamstwa, która nie ma odwagi przyznać się do winy! O mało nie wpadła pod tramwaj. To by jej nawet odpowiadało: być ofiarą wypadku. Drwi z siebie, ale idzie wolno, oddalając się od domu. Ojciec już wrócił, już podniósł słuchawkę... Dalej! Uciekać od jego gniewu! Od wstydu! Opóźnić choćby przyznanie się, że jest...

W domu Irki rodzaj końca świata.

— Jesteś wreszcie — mówi matka. — Z dziadkiem znowu gorzej. Pani Palian przysłała chłopca, żeby przyjechać! Ja nie mogę, zaraz wychodzę do pracy, a ojciec gdzieś poszedł, pewnie na wódkę. Musisz jechać! Dziadek nic, tylko tę swoją ukochaną wnusię, to znaczy ciebie, woła. Odgrzej sobie obiad. Zupa w garnku, kluski na patelni, dodaj margaryny, bo się spala!

Wyszła. Irka czerwona, jakby się zanurzyła w soku buraczanym, zapaliła gaz. Rozsypała zapałki. Z traskiem postawiła garnek z zupą na ogniu.

- Właśnie! Już się rozpędziłam! Starzy się nie liczą! Cały świat jest tylko przyczepą do naszej młodości!

Agnieszka miała wrażenie, że zanurzono ją w ohydnej mazi. Nie wiedziała, czy jest słupem ognia ze wstydu, czy soplem lodu, niezdolnym do żadnej reakcji.

Irka próbuje łyżką zupę i krzywi się:

— Nylonowa! Kluchy pewnie nie lepsze? Od czego mają być dobre? Od tego wicemasła?

Włożyła na patelnię kawałek margaryny, gdy zas-kwierczała, a swąd poleciał po kuchni, podziubała widelcem, zjadła kilka klusek.

— Miazga!

Oznaczało to pewnie, że jedzenie nic nie warte, albo że koniec jedzenia. Agnieszka nie była bardzo mocna w tej gwarze, kaleczenie języka to był jeden z zakazów jej surowego ojca.

- Belmondo musi mi fundnąć ciastko! - oznajmiła Irka. Zostawiła na kuchni nie zmyte garnki i zaczęła nerwowo czegoś szukać, robiąc w pokoju i kuchni bałagan do kwadratu. Natrafiła wreszcie na nożyczki i zaczęła odpruwać tarczę szkolną.

Agnieszka zrobiła „wole oczy”.

- Co tak zęby wietrzysz? - warknęła Irka. - Przecież nie będę paradować z takim szyldem! W kinie może być „Pełzak”, „Symbioza”, „Ciuksza”, „Mat”, „Przydawka” albo wszyscy razem. Ci ładowacze wiedzy nic tylko węszą, czy nas nie ma w kinie.

— Nie pójdziesz do dziadka?

— Ani mi w nogach! Będę młodość marnować dla starców? Starzy się nie liczą, tylko my!

Wyszły. Agnieszka idzie jak automat. Ziemia pali się jej pod nogami. Nie zauważyła odejścia Irki.

Wsiada do tramwaju, potem do autobusu, wysiada w Dąbrówce. Teraz trzeba iść przez pola, aż pod las. Wie, gdzie to jest, była tam przecież kiedyś z koleżankami. Irka zaprosiła je do dziadka, miał takie pyszne gruszki, nazywał je „panienkami”.

Przed domkiem, a raczej parodią domku, stoi pani Palian:

— Dobrze, że jesteś. Dziadek ciągle tylko skamle: „Gdzie Irka? Chcę jeszcze przed śmiercią usłyszeć jej szklany głosik”.

Agnieszka pomyślała, że u dziadka musi być niedobrze ze słuchem, bo Irka gdacze jak kura.

— No, chodź!

Wtedy Agnieszka zrozumiała, że pani Palian bierze ją za Irkę.

— Ale, proszę pani, ja nie jestem... Ale już były w izbie:

— No jest wasza wnusia.

— Jesteś? Jesteś? — mówi słabym głosem dziadek, leżąc na łóżku. — Siadaj tu. Tak straszno... iść w ciemność... być... ciśniętym, jak stary kapeć... nikt nie wspomni...

— Ja będę zawsze pamiętać. Taki byłeś dobry, dziadziu. Zrywałeś mi „panienki”.

— A ojciec nie przyjdzie? Pewnie modli się do szklanego boga?

— Nie! Nie! On teraz nie pije — powiedziała szybko. — Nie może przyjść, bo pracuje na drugiej zmianie, fabryka ma duże zamówienie na zagranicę, jutro cię odwiedzi.

Jaką ona ma już wprawę w kłamaniu!

— Co tu tak ciemno? - spytał słabym głosem.

— Tooo — zawahała się chwilę, bo było zupełnie jasno - to wielka chmura zasłoniła Słońce. Ale ja zaraz, dziaduniu, zapalę gwiazdę.

— Strach... taka ćma! Samemu... w tę ciemność... Pani Palian podała zapaloną świecę. Agnieszka uniosła ją wysoko.

— O, widzisz, dziadku, jaka jasna gwiazda.

— Jasna...

— A ty idziesz do niej. Po drodze kłaniają ci się.

— Kłaniają?

— Kłaniają ci się kłosa ze wszystkich ziaren zboża, które posiałeś. Witają cię śpiewem wszystkie skowronki, jakie słyszałeś w życiu. Witają cię pianiem wszystkie koguty i muczają krowy, które wyhodowałeś. Turlają się złote jabłuszka i tańczą twoje „panienki”. Witają cię nawet kartofle, które sadziłeś, ale one są teraz złote. Wszystko jest piękne, srebrne, złote, a ty idziesz po złotych schodach, lekko, bo jesteś młody i silny...

— Chodź - powiedziała pani Palian. - Jemu już nic nie trzeba. Wszedł na swoje złote schody. A ty jesteś cała zielona.

Wyszły i skierowały się w stronę sąsiedniego domku. Pani Palian podała kubek herbaty. Agnieszka dzwo-j niły zęby.

— Nie mogę — i rozplakała się.

— Nie płacz! Pięknie go pożegnałaś. Pogańsko, al pięknie. Jakbyś perełki sypała. Słowami przemieniła świat. Uśmiechał się. Już mu nie było straszno. Skąd umiesz tak ładnie mówić?

— Ja, proszę pani, ja nie jestem Irka — wykrztusiła Agnieszka. — Ja nie chciałam skłamać, ale...

— Nie jesteś Irka? Rzadko ją widywałam. Ale prawda, wyższa od ciebie! I taka pyskata! A ty, taki robaczek świętojański. Siedem światów dzieje się dziś ze mną! Wszystko mi się skołowało! I gdzie by Irka potrafiła tak po ludzku pożegnać dziadka na wieczne dobranoc? Ona ma serce tyłem do świata, duszę w portmonetce, a nos wyżej głowy! Gdzie by jej się chciało zapalać gwiazdy dla starego?

— Skłamałam...

— To nic. Jemu się wydawało, że wnusia jest przy nim. Jeden cukrem nie ocukrzy, a drugi i solą osłodzi. Ty mu osłodziłaś ostatnią drogę. Szedł, jak król! Nie martw się, że wyszło takie kłamstwo! Dobra z ciebie dziewczyna.

Agnieszka szła skrótem w stronę szosy. W błada-wym niebie tkwiła czerwona kula Słońca. Miała ochotę pochwycić ją i podrzucić jak piłkę.

— A nieprawda! Nie żadna piłka — skarciła się w nagłym szale prawdy — nie piłka, tylko centralne ciało układu słonecznego, objętość 1,3 miliona razy większa od objętości Ziemi, temperatura około 6000 stopni. Ładna mi piłka!

Dlaczego tak jej wesoło? Tyle tu nakłamała, a czuje się lekko. Tamte kłamstwa ciążyły jej ołowiem. Strasznie trudny jest ten świat! Można mówić, że malowany kogut pieje o północy albo że się przywiozło wczoraj z Księżycy czerwona różę, ale nie wolno mówić, że rachunek jest zapłacony, kiedy nie jest zapłacony.

Idzie przez zaorane pole. Jest tylko ona i Słońce. Czy to ma znaczyć, że ona i Słońce muszą na nowo stworzyć świat? Woda zebrana w nierównościach grun-

23

tu lśni jak kryształ, jak lusterka, w których przegląda się niebo.

Jest tak cicho, jakby ptaki nie umiały śpiewać, wiatr wiać, psy szczekać. Słońce spadło w ręce Agnieszki, prosząc, aby nim się bawiła. Weszła w szpaler jarzębin i klonów, jarzębina rzuciła wieniec z czerwonych koralików na głowę Agnieszki, drzewa zaczęły iść za nią jak posłuszne psy. Świat przeglądał się w lusterkach wody, które jakby mówiły: „Przełóż się, świecie, przełóż się! Patrz, jaki jesteś piękny”.

Agnieszka wyszła na szosę. Nadjechał autobus i wszystko wróciło do normy.

Weszła w czarny nastrój domu. Ojciec zmęczony, blady leżał na tapczanie. Matka nalewała z termosu herbatę. Agnieszka stała, przyklejona do drzwi:

— Ja wiem, że zawiodłam wasze zaufanie. Ukarzcie mnie. Ale ja już teraz rozumiem.

Plakała długo w noc. Gdy rano wstała, nie było nikogo. Przyniosła butki, masło, mleka nie mogła zagotować, gazu nie było. Posprzątała w mieszkaniu systemem nieco przyśpieszonym, bo czas było do szkoły. Gdy otwierała drzwi, zadzwonił telefon. Więc już włączony!

— Czy to pani Podobłoczna?

— Nie, proszę pani, to pomyłka.

Ale gdy odkładała słuchawkę, uświadomiła sobie, że to był głos mamy.

Wyszła z domu szczęśliwa.

Po niebie defilowały obłoki lekkie, pierzaste, białe, podjechały sanki zaprzężone w renifery, stół zaprosił do swego palankinu *.

Mignęło zielone światło, Agnieszka uśmiechnęła się do obłoków i wsiadła do tramwaju.

* Palankin — zamknięta lektyka w kształcie skrzyni z drewnianymi żaluzjami.

Aleksander Minkowski

Pieszczoch

Łaził za mną jak kundel. Ja nad rzekę i on nad rzekę, ja na mecz siatkówki — on na mecz siatkówki, ja do kina na „Siedmiu wspaniałych” — on też. Niby przypadek, niby zbieg okoliczności...

— O, Jacek, skąd ty tutaj? Nie myślałem, że cię spotkam!

— Słuchaj no, stary — powiedziałem do niego. — Czego ty właściwie ode mnie chcesz? Może coś ci się nie podoba? To gadaj i załatwimy sprawę po męsku.

Nie byłem w tym zbyt uczciwy. Miałem przewagę nad Karolem i we wzroście, i w wadze, i w znajomości paru chwytów judo. Rozłożyłbym go lewą ręką w sekundę. Ale znudziło mi się to łażenie za mną, chciałem dowiedzieć się, o co chodzi. Wylażłem właśnie z rzeki, zimno, byłem zły: już po raz trzeci dzisiaj pakował się na mnie. „Może go ojciec napuszcza — pomyślałem — wkurzony jest, że z sadu giną jabłka, podejrzewa mnie i moich chłopaków, więc namówił Karola, żeby mi się przypatrzył bliżej. Nawiasem mówiąc, nie jest w błędzie: moja paczka przepada za jabłkami ze wspaniałego sadu pana Tyszla...”

— Nie rozumiem — powiedział Karol, trzepocząc długimi dziewczęcymi rękami. — Dlaczego miałbym czegoś od ciebie chcieć?

— Szwędasz się za mną — mruknąłem. — Szpiclu-jesz. Uważaj, stary.

Poczerwieniał. Oczy mu rozbłyły pod babskimi rękami, szybko odwrócił głowę. Przyklęknął i zaczął nadmuchiwać gumowy materac.

Marzyłem o czymś takim: purpurowa leciutka tratwa, na której leżąc wygodnie można żeglować godzinami z nurtem rzeki, bełtając nogami w wodzie i patrząc w chmurki. Cudowność. Ale w sklepie sportowym taka najtańsza cudowność kosztuje trzy stowy — bagatelka!

— Wcale cię nie szpicluję — szepnął Karol. — Słowo honoru, Jacek... Chcesz popływać na materacu?

Mowa! Nie mógł mieć pojęcia, jak wielką miałem na to chętkę. Spłynąłbym między wysepkami,

przez wiry obok zakrętu, aż do miejsca, gdzie Drawka wpada do łyny tworząc szerokie, kipiące rozlewisko. Na takim materacu można płynąć śmiało: nie wywróci się ani nie zatonie.

— Frajerze! — zaśmiałem się. — Po jakie licha mi twój materac? Nie jestem paniusia, żeby pływać na łożku.

Znów poczerwieniał. Ruszył z matercem pod pachą w stronę rzeki, ale zawrócił, cisnął go na piach.

— Masz rację — powiedział. — To żadne pływanie. Pobiegł do wody, odbił się, skoczył ze stromego,

acz nie nazbyt wysokiego brzegu. Rzeka w tym miejscu była płytka, skok należał do trudnych — żeby się nie zanurzyć głęboko, przepłynąć tuż pod powierzchnią, rybim sposobem, trzeba odwagi, umiejętności i sporego treningu. Skoczyłem do brzegu i spojrzałem w dół. Karol już wypłynął, choć dziwnie jakoś, kurczowo machając ramionami. Wylazł na piasek, przykucnął.

— Co ci jest?! — krzyknąłem.

— Nic... — odpowiedział po pauzie, nie zmieniając pozycji. — W po...rządku...

„Nie za bardzo w porządku — pomyślałem — musiał zawadzić o dno, potłuc się zdrowo.”

Kiedy wstał, zobaczyłem, że brzuch i klatkę piersiową ma prawie sine.

— Masz kręćka, stary — powiedziałem, wciągając spodnie i upychając w nie koszulę. — Jak nie potrafisz, nie pchaj się na afisz. Tutaj niejeden już zdrowo się nabrał. Nie wiedziałeś, że płytko?

— Wiedziałem — odparł, daremnie siląc się na swobodny ton. — Nic mi się przecież nie stało. Mogę skoczyć jeszcze raz, nie wierzysz?

Korciło mnie, żeby go podpuścić. Niech skoczy i niech nie struga więcej chojraka. Nawet ja miałem tremę skacząc ze stromizny, a przecież pływam jak nikt na naszej ulicy.

— Frajerze! — rzuciłem. — Co mnie to obchodzi? Lepiej zaśpiewaj coś albo powiedz wiersz. To bardziej do ciebie pasuje.

Celnie strzeliłem. Na uroczystościach szkolnych Karol zawsze deklamował wiersze i był solistą chóru. Nie tylko rzęsy miał dziewczęce ale i głos. Niektórzy przezywali go „Kasia Sobczyk”. Kiedy śpiewał „Trzynastego”, można się było pomylić.

Zapiąłem spodnie i nie oglądając się ruszyłem w stronę browaru, od którego zaczynała się nasza

ulica. Na czwartą byłem umówiony z chłopakami, mieliśmy zagrać w „nogę” z drużyną Rudzielca, wczoraj dostali trzy do dwóch, dziś rewanż na ich boisku. Idąc postanowiłem dać Grześka na bramkę, a Pumę przerzucić do ataku: strzela nie najlepiej, ale jest szybki, czasem wychodzą mu piękne rajdy. A Grzesiek od dawna prosi się do bramki, niech pokaże, co potrafi...

— Jacek, zaczekaj!

Przystanąłem. Tym razem wkurzył mnie całkiem serio. Biegł podrygując, z flakiem materaca pod pachą, kiwał wolną ręką.

— Czego chcesz? — warknąłem, gdy zrównał się ze mną.

— Masz dziś wolny wieczór?

— A bo co?

Spojrzał w ziemię, przestąpił z nogi na nogę.

— Jakbyś wpadł do mnie, pokazałbym ci coś bardzo fajnego — mruknął. — Dostałem na imieniny...

— Co dostałeś? — spytałem obojętnie.

— Wiatrówkę. Świetnie bije. Urządziłem sobie w pokoju strzelnicę... Wpadniesz?

— Wynieś — powiedziałem, maskując zainteresowanie. — Kto strzela w domu?

— Ojciec nie pozwala — odezwał się po pauzie. — Mógłbym kogoś zranić, albo sam się postrzelić...

— Bajki.

— Wiem, że bajki, ale ojciec tak powiedział. Wpadniesz?

Strzelanie to wielka frajda, na strzelnicy za trzy strzały biorą piątaka, kupa forsy. Rzadko mogłem sobie na to pozwolić. A tu taka okazja, żeby za darmo i do syta, czemu nie?

— Zobaczę — rzuciłem. — Może wykombinuję chwilkę czasu.

— Postaraj się, Jacek.

Nie powinien był tego dodawać. Choćby człowiekowi nie wiadomo jak bardzo na czymś zależało, nie wolno mu się płaszczyć. Najpierw godność, potem cała reszta.

Do niedawna przyjaźnił się z Filipem. Łazili wciąż we dwójkę, Filip pomagał mu w geometrii — dobry matematyk i chytry lis. Tak samo jak inni pokpiwał z Karola, gdy ten już w październiku przywdziewał

chu. Filip umiał dbać o swoje interesy. Karol podarował mu stoper i sześciokolorowy długopis.

— Zaproś Filipa — powiedziałem. — On zawsze ma dla ciebie czas.

— Z Filipem koniec — odparł. — Nie gadamy z sobą. Uśmiechnąłem się krzywo. Karol przetożył materac

z prawej ręki do lewej i spojrzał w górę, na białe, kłębamii mknące obłoki.

— Z Filipem koniec — powtórzył. — Myślałem, że jesteśmy przyjaciółmi, ale się pomyliłem.

— Bo co?

Widziałem: waha się czy mi powiedzieć. Nie nalegałem, choć byłem ciekaw, o co im poszło. Wyrachowani cwaniacy zawsze w końcu wpadają. Dziwiliśmy się, że Karol nie wie, z kim ma do czynienia, z czego bierze się ta „przyjaźń”, ale nie nasz interes. Nie zależało nam ani na Karolu, ani na Filipie.

— Byliśmy w kinie. Na poranku. Po filmie przyczepili się do nas tacy trzej, może ich znasz? Z paczki Kusego. Żeby im dać dziesięć złotych, bo jak nie, to nas zleją.

— A ty?

— Chciałem dać. Bardzo nie lubię awantur. Ale Filip mrugnął do mnie, żeby nie dawać. Powiedział, że jesteśmy bez grosza i narobimy wrzasku, jeśli nas ruszą.

— Spłynęli?

— Byli przy kasie, kiedy kupowałem bilety. Widzieli, jak kasjerka wydawała mi resztę, dziesięć złotych. Waldek, taki piegowaty, wykręcił mi rękę... — Karol skrzywił się, spojrzał w ziemię. — Co miałem robić?

— Szybki półobrót i łokciem w dotek — uśmiechnąłem się. — Zaraz by puścił.

31

jest starszy ode mnie, silniejszy...

„Stuprocentowy pieszczoł — pomyślałem — ja na jego miejscu nie zastanawiałbym się, walka to walka. Żadna sztuka nie bać się słabszego, sztuka walczyć z silniejszym. Ja w takich sytuacjach zawsze idę na całego, choćby mnie to kosztowało rozbity nos i tuzin siniaków. Człowiek przynajmniej nie traci do siebie szacunku.”

— A co Filip? — spytałem. — Skoczył na Waldka?

— Prysnał... Najpierw podpuścił mnie, żeby nie dawać dziesiątki, a potem zwiął.

— Więc dałeś im tę dychę?

— Co miałem robić? Ale z Filipem skończyłem. Tłumaczył się później, przeproszał. Nie chciałem słuchać.

— Frajer jesteś — powiedziałem. — Ode mnie by dychy nie wyciągnęli tak łatwo.

— Co tam dziesięć złotych — Karol wzruszył ramionami. — Drobiazg bez znaczenia. Ojciec daje mi pieniądze, kiedy go tylko poproszę. Nie muszę wyliczać się z wydatków.

„O la, la!... «-Ojciec daje mi pieniądze, nie muszę się wyliczać...» Niczego sobie. Mój stary odpala mi dwadzieścia złotych miesięcznie i nie ma mowy, żeby naciągnąć go na więcej. Bo i jak? Mama z góry planuje wydatki, układa razem z tatą miesięczny budżet, każda złotówka jest na coś przeznaczona. Nawet bym nie śmiał żądać podwyżki. Zresztą dwadzieścia złotych to całkiem duży pieniądź, jeśli nim mądrze gospodarować.”

— Spieszę się — powiedziałem. — Chłopaki czekają. Jak będę miał czas, wpadnę do ciebie. Postrzelamy.

Puma uniósł do góry chude ramię.

— Uwaga! — zawołał. — Zgłaszam pomysł. Rozpala-

32

my nad rzeką ognisko i pieczemy ziemniaki, matka obiecała dać całe wiaderko. Pasuje?

— Mowa! — Grzesiek oblizał się smakowicie. — Za te dwa karne, co je obroniłem, należy mi się podwójna porcja.

— Każdemu się należy — mruknął Eusebio. — Puma strzelił trzy gole, Jacek cztery, Fąfel wykiwał samego Rudzielca. Przydałyby się ze dwa wiaderka ziemniaków.

Wyliczając nasze zasługi, skromnie pominął pięć swoich bramek. Nie bez powodu nazywaliśmy go Eusebio*. Mecz z drużyną Rudzielca został wygrany stosunkiem czternaście do ośmiu — najpiękniejszy wynik w dziejach naszego współzawodnictwa.

— Ja odpadam — powiedziałem sam sobie się dziwiąc. — Mam wieczór zajęty.

— Ho, ho! — Fąfel mrugnął do mnie. — Idziesz na lody z Grażyną?

Popukałem się w czoło. I co z tego, że dwa razy odprowadziłem ją do domu, pomogłem nieść ciężką teczkę? Mieszkamy przecież na tej samej ulicy, miałem po drodze. Niewiele trzeba chłopakom do robienia plotek, byle co i już aluzyjki, uśmieszki. A Grażyna... owszem, podoba mi się, fajna bardzo, ma takie długie, czarne, trochę wijące się włosy. Nie wolno?

— Idę do Karola — powiedziałem.

— Sam? — zdziwił się Grzesiek. — Najpierw możemy pójść do Karola, a potem piec ziemniaki. Jedno drugiemu nie zawadzi.

„Iść do Karola” to znaczyło w naszej gwarze wypad po jabłka do sadu państwa Tyszlów.

— Nie na jabłka, tylko do Karola — wyjaśniłem czerwieniąc się lekko. — Zaprosił mnie.

* Eusebio — najlepszy piłkarz świata, grający w drużynie „Benfica” z Lizbony.

Chłopcy spojrzeli po sobie.

— Nie żartuj... — mruknął Puma.

— A bo co? — zirytowałem się. — Zabronione?

— Zabronione nie jest — powiedział Grzesiek. — Ale uważaj, żeby cię nie wyprosili. Starzy nie pozwalają Karolowi zadawać się z łobuzami.

„Nie powinienem do niego iść — pomyślałem — zwłaszcza że wcale mi się nie chce. Chyba tylko ciekawość, podobno ma cuda w swoim pokoju, no i wiatrówka, darmowe strzelanie. Ale mimo to nie powinienem, paczka posądzi mnie Bóg wie o co...”

I już wiedziałem, że pójdę. Choćby z przekory. Nikt mi nie będzie dyktował, co mam robić, z kim się zadawać, a z kim nie.

— Nie twój interes — powiedziałem do Grześka

ostro.

— Nie mój — zgodził się. — Ale będzie ci głupio. Chłopaki dowiedzą się, że chodzisz do Pieszczocha, zaczną gadać.

— Niech spróbują — mruknąłem i poniosło mnie: — Co komu do tego?! Robię, co mi się podoba! Mój interes, słyszycie?!

— Ciekaweee,.. — przeciągnął Eusebio. — Jacek dostał fipsia...

— Uważaj, ty! — warknąłem. — Nie lubię takiego

gadania.

— Uspokój się, Jacek — powiedział łagodnie Puma. — Zwyczajnie nas zaskoczyłeś. Myślałem, że po tamtej hecy Karol jest skreślony. Przedstawił nam się, pamiętasz? Ale twoja rzecz w końcu.

Do rozmowy włączył się Ciupas, lewy obrońca, drobniutki, zwinny blondas o niespokojnych, nerwowych oczkach. Położył mi rękę na ramieniu.

— Jacek wie, co robi — przymrużył oko, uśmiechnął się. — Karol to skarb, panowie, nie odkryta żyła złota.

34

Ile razy brakuje nam forsy na kino? Albo zjadłoby się lodów? Albo poszło na mecz? Albo pojeździło wozem? Już wy się nie martwcie o Jacka, główkę ma na dobrym miejscu.

Ogarnęła mnie złość. Gwałtownym ruchem strąciłem z ramienia dłoń Ciupasa.

— Durny jesteś! — rzuciłem. — Swoją miarką mierzysz? Do mnie nie pasuje. Cześć!

Odwrociłem się na pięcie i odszedłem nie spojrzawszy na chłopaków.

Ażurowe żeliwne ogrodzenie, furtka z kutego żelaza. Nigdy dotąd nie korzystałem z tej furtki. Kiedy zapadał zmierzch, forsowaliśmy sztachety w miejscu najbardziej odległym od willi, w przeciwnym końcu ogrodzenia. Ciupas drażnił wilczura kijem, wymachując nim przed nosem psa. Wilczur walczył z kijem, a my ogałaliśmy drzewa z jabłek.

Nacisnąłem dzwonek przy furtce. Zrobiłem to po kilku chwilach wahania, z rezerwą, bez entuzjazmu. Gdyby nie heca z chłopakami, chyba nie złożyłbym w końcu wizyty Karolowi.

Nie lubiłem go. Wymuskany. Grzeczny. Reklama porządnego chłopca, któremu niczego nie brakuje.

„To powód, żeby go nie lubić? Bzdura. Michaś, syn dozorczyń, też jest układny i grzeczny, zawsze w czyściutkiej koszuli, z równiutko przyciętymi paznokciami. A lubię go. Inni chłopcy też.”

„Obcy” — powiedział Puma. Było to na samym początku, po pierwszym spotkaniu z Karolem, kiedy doszło do draki. Niby nic się nie stało, a jednak...

Nadbiegł, otworzył szeroko furtkę:

— Jacek! Strasznie się cieszę, chodź! A już myślałem, że nie przyjdiesz! <

— Czemu miałbym nie przyjść? — burknąłem. Ruszyliśmy żwirowaną ścieżką do willi. Karol ot-

35

worzył oszklone drzwi. Weszliśmy do hallu, potem dębowymi schodami na górę, do pokoju Karola.

Ledwie się powstrzymałem od gwizdnięcia: w rogu na podłodze kolejka elektryczna z wielką siecią torów, skrzyżowania, wiadukty, stacje, semafony. Nie żadna zabawka, tylko najprawdziwsza kopia węzła kolejowego.

— Skąd to masz?

— Ojciec mi przywiózł z Anglii. Obiecał, że dostanę ją, jeśli przejdę do piątej klasy bez trój.

Ja też zdając do piątej nie miałem trójek na świadectwie. Ale ojciec niczego mi nie przyrzekał. Kiedy przyniosłem cenzurę, obejrzał ją i poszliśmy na wielkie lody. Nic więcej. Nawet mi nie dał do zrozumienia, że wielkie lody mają coś wspólnego ze świadectwem.

— Łapówka? — zapytałem drwiąco. — Handlujesz

ze starymi?

— No, wiesz! — oburzył się. — Coś mi się chyba należy za dobre świadectwo. Chodź, zobaczysz, jak to

działa.

Wetknął mi w dłoń kabel zakończony lśniącą chromową gałką, sam sięgnął po drugi. Dwa pociągi ruszyły sobie na spotkanie, zaterkotały po torach biorąc zakręty, wpadając na stacje, mijając się na skrzyżowaniach. Parę razy omal nie doszło do zderzenia, bo nie miałem wprawy w manipulowaniu gałką, ale Karol w ostatniej chwili umykał swoim pociągiem. Pyszna zabawa. Karolowi jednak znudziła

się szybko, a ja nie chciałem pokazać, że bawiłbym się dalej. Równocześnie odłożyliśmy stery.

— Postrzelajmy — zaproponował.

Wyjął z plastikowego futerału nowiutki piękny karabinek, z blaszanego pudełka garść bolców z różnobarwnymi pędzelkami, zawiesił na ścianie korkową tarczę. Mam dobre oko i pewną rękę, poniżej dziewiąt-

36

ki nie zszedłem ani razu. Karol również strzelał dobrze. Walczyliśmy łeb w łeb, po dziesięć strzałów; pierwszą turę wygrałem ja, drugą on, trzecią i czwartą także ja, ale różnicą zaledwie dwóch punktów. Na dole trzasnęły drzwi.

— Ojciec przyszedł — powiedział Karol. — Musimy przerwać strzelanie, tata nie znosi hałasu. Będzie pracował, robi projekt osiedla na międzynarodowy konkurs. W tamtym miesiącu dostał nagrodę w Belgii, dwa tysiące dolarów.

— Kawał grosza — mruknąłem.

— Mama mówiła, że to jest prawie sto pięćdziesiąt tysięcy złotych i że na wakacje pojedziemy samochodem do Włoch. Byłeś już za granicą?

Nie czułem zawiści. Dlaczego na jeziorach mazurskich ma być gorzej niż we Włoszech? Myślę, że nie jest gorzej. Ale niech mi nie wyskakuje z Włochami, kicham na to, nie do mnie z taką gadką.

— Jasne — powiedziałem, uśmiechając się drwiąco. — W Hondurasie, Wenezueli, Nikaragui, Hongkongu. Mnóstwo razy.

— Bujasz... — szeroko otworzył oczy. — Byłeś tam? Kiedy?

Wzruszyłem ramionami. Zobaczyłem w myślach chłopaków siedzących wokół ogniska, wygrzebujących spośród węgla pieczone ziemniaki, zobaczyłem motyleki iskier spadające w rzekę, usłyszałem trzask płonących gałązek, pogodny szmer Drawki. Zobaczyłem i usłyszałem to wszystko, i wściekłem się na siebie, że tu przyszedłem.

— Czas na mnie — powiedziałem. — Koledzy czekają. Cześć, Karol.

Wyciągnął rękę, jakby chciał mnie zatrzymać. Wtedy właśnie otworzyły się drzwi i do pokoju weszła jego matka. Niosła tacę z kanapkami przyrządzonymi

37

wymyślnie: szynka, śledziki, serki, pomidory, ogórki, jajeczka, licho wie co jeszcze - grało to kolorami jak

oliwa na wodzie.

- Dobry wieczór - powiedziała. - To ty jesteś Jacek? Karuś mówił nam o tobie, bardzo cię lubi, cieszę się, że jesteście przyjaciółmi.

Ledwie powstrzymałem się od ironicznego uśmiechu. „Przyjaciółmi”, niczego sobie, szybko to załatwiła: jak gdyby jedna wizyta znaczyła już przyjaźń. 3 - Dobry wieczór - odparłem, lekko pochylając głowę. - I przepraszam, muszę już iść. Dobranoc.

- Wykluczone - matka Karola położyła mi na ramieniu bielutką, wąską dłoń z jaskrawoczerwonymi paznokciami. - Zjesz z Karusiem kolację. Byłoby mu przykro, gdybyś odmówił. Prawda?

Karol zrobił się czerwony jak pomidor na kanapce.

- Daj wreszcie spokój z tym Karusiem - burknął. -Tyle razy prosiłem...

Matka zaśmiała się, mrugnęła do mnie.

- Wybacz, Karolu - powiedziała. - Nie gniewaj się na mnie, Karolu. Wciąż zapominam, Karolu, że jesteś już dużym chłopcem.

Postawiła na stoliku tacę i wyszła z pokoju, raz jeszcze mrugnawszy do mnie. Kanapki pachniały kusząco. Ślina napłynęła mi do ust, przełknąłem ją dyskretnie. Na tacy były także dwie szklance z żółtym napojem.

- Lubisz sok pomarańczowy? Bo ja wolę z grejpfruta, ma taką fajną goryczkę, ale mama uważa, że pomarańczowy jest zdrowszy. Jedz.

- Nie będę jadł — powiedziałem twardo. — Nie jestem głodny.

- Wygłupiasz się...

- W domu - ciągnąłem - czeka na mnie befsztyk z cebulą. Przepadam za befsztykami, a kanapek nie cierpię. Wolę męskie jedzenie.

38

Karol odwrócił się do okna. Przez kilka chwil nie widziałem jego twarzy.

— Jak chcesz — odezwał się cicho. — Wiem, że jesteś inny niż Filip. Chyba potrafisz być szczery.

— O co ci idzie? — spytałem. — Gadaj, tylko szybko, bo muszę już iść.

— Brakuje wam lewoskrzydłowego. Odkąd Janek wyjechał, nie możecie nikogo dobrać. Próbowałeś różnych chłopaków, a do mnie się nie zwróciłeś. Dlaczego?

— Nie myślę, żebyś się nadawał.

— Dlaczego?

— Nudzisz — burknąłem. — Grałeś kiedy w „nogę”?

— W tamtym roku na wakacjach i bardzo dobrze mi szło.

— Już mamy lewoskrzydłowego — powiedziałem po pauzie. — Misiek jest całkiem dobry.

— Kłamiesz, Jacek. Oglądałem wasz mecz z drużyną Rudzielca, słyszałem, jak wygarnąłeś Miśkowi od patafachów. O mało nie strzelił samobójczej.

— To się każdemu może zdarzyć. Chcesz wygryźć Miśka i wpakować się na jego miejsce?

Poruszył wargami, jak gdyby ssał cukierek. Otworzył i zamknął oczy, przesunął dłońią po czole.

— Dlaczego tak mówisz? — zapytał. — Przecież mnie nie znasz. Co wiesz o mnie?

— Że ubierasz się ciepło — odpartem z krzywym uśmiechem. — Że na drugie śniadanko rąbiesz pomarańcze. Że co niedzielę wypuszczasz się ze starymi na wycieczkę srebrnym „Renaultem”.

— No, to co?

— Nic. Po prostu. I że nie wolno ci kolegować się z łobuzami, bo jesteś porządny chłopiec. A ja jestem łobuz, nie wiedziałeś?

Karol usiadł na wersalce. Pochylił się, wsparł brodę na zaciśniętej pięści.

39

— Pluję na pomarańcze — powiedział. ~ Na wszystko, co tutaj widzisz. Wierysz mi?

— Nie wierzę — odpartem, wciąż uśmiechając się ironicznie. — Puste gadanie.

— Udowodnić?

— Jak?

Rozejrzał się bezradnie po pokoju. Potem wstał.

— Bierz — powiedział. — Co tylko zechcesz. „Chce mnie kupić — pomyślałem — frajer nieszczęsny, zdaje mu się, że trafił na drugiego Filipa.”

— W porządku — skinąłem głową. — Wezmę wiatrówkę. Nie masz nic przeciwko temu?

Odczytałem z jego twarzy niepokój. Prawie popłoch. Ale zaraz uśmiechnął się desperacko:

— Proszę bardzo, daruję ci ją.

— A co powie twój stary? — spytałem. — Jak się

wytłumaczysz?

— Dam sobie radę — rzucił z nienaturalną nonszalancją. Sięgnął po wiatrówkę, zamkniętą już w eleganckim futerale, i wręczył mi ją:

— Jest twoja, bierz.

Roześmiałem się głośno. Odsunąłem jego rękę. „Musi mieć niewąskiego pietra na myśl o przepawie z ojcem. Desperat. Kto wie, czy nazajutrz nie przybiegłby, błagając o zwrot. I o co mu chodzi? O granie w piłkę? A może o coś jeszcze? Zabawna historia, słowo daję...”

— Obejdzie się — powiedziałem. — Nie trzeba mi tych kłopotów. Lecę.

— Zaczekaj! — chwycił mnie za rękaw. — Nie możesz tak odejść...

— Dobra — mruknąłem. — Może weźmiemy cię na rezerwowego, ale muszę pogadać z chłopakami.

— Jacek...

— No? Co jeszcze?

— Uprzedź mnie, kiedy zechcecie przyjść na jabłka

40

— powiedział ściszone głosem. — Uwiążę Rekxa na łańcuchu.

„A jednak! Chytrze to sobie obmyślił. Ja się zgodzę, a on wtedy zawoła ojca i powie: »To ten, co łązi do naszego ogrodu, przyznał się sam!«”

— Z księżycą spadłeś? — spytałem. — Jakie znowu jabłka? Nie wiem, o czym gadasz.

— Widziałem was.

Podszedłem do niego, stanęliśmy twarzą w twarz.

— Ty, Pieszczocho, uważaj — powiedziałem dobitnie.

— Z nami takie numery nie przechodzą. Uważaj, żebyś nie żałował.

Otworzył usta, ale nie czekałem, co powie. Wyszedłem.

Ojciec obudził mnie o szóstej rano.

— Umyj motor — powiedział. — Galopem. Odgadłem, o co idzie, i zerwałem się, jak gdybym spał na pinezce. Trzy minuty w łazience, minuta na wciągnięcie farmerek, koszuli i gumiaków, pięć minut śniadanie. Potem pędem do szopy.

Gdy ojciec zszedł na dół z brezentową torbą przewieszoną przez ramię i pękiem wędek pod pachą, „wuefemka” błyszczała niczym odebrana od lakiernika... Ojciec cmoknął, klepnął mnie w ramię. Kucnął przy silniku, podciągnął linkę sprzęgła, przelał w gaź-niku benzynę, potem kilka razy kopnął starter. Motor zaskoczył. Ryknął. Ojciec wyprowadził „wuefemkę”, wskoczyłem na tylne siodełko, ruszyliśmy. Najpierw obok browaru, potem szosą wzdłuż rzeki, dalej w prawo i między drzewa, przez gąszcz rozciągnięty wąskim pasmem nierównej gliniastej przesieki.

— Na cypel? — spytałem, przekrzykując warkot silnika.

Ojciec skinął głową. Pochylony do przodu wymijał

41

zgrabnie wykroty, doły, błotniste koleiny. Kiedyś był rajdowcem, prowadził motor jak mistrz. Chciałbym w przyszłości tak prowadzić.

Znowu wyskoczyliśmy na asfalt, ale nie na długo. Ojciec skręcił w zagajnik, w oddali między sosnami dostrzegłem siną smugę wody.

Cypel odkryliśmy niedawno. Było to miejsce wspaniałe: ryby brały jak nigdzie — okonie, leszcze, szczupaki. Cisza, spokój, prawdziwa wyspa bezludna. Z rzadka tylko spływał łyna kajak albo żaglówka, omijając łukiem kępę sitowia, tarasującą dostęp do cypla.

Rozplatałem żyłki, rozprostowałem pióra splotów. Ojciec kopał ziemię, szukał robaków; pod krzewem tarniny było ich mnóstwo — tłuste, różowe dżdżownice. Zarzuciliśmy wędkę. Korki z piórami

zatańczyły na wodzie, wędziska wbiliśmy w czarną, mulistą ziemię. Ojciec rozsiadł się, zapalił papierosa.

— Jak się udał wczorajszy mecz? — zapytał.

— Wygraliśmy — powiedziałem. — Czternaście do ośmiu. Masz pojęcie, tato? Czternaście do ośmiu! Przewagą sześciu bramek!

— Nie ma się czym chwalić — poruszył ramionami. — Ten wynik dowodzi, że obie drużyny są do kitu.

— Dlaczego?... — zdumiał mnie. — Przecież wygraliśmy...

— Zwróciłeś uwagę, jakie są wyniki, gdy grają dwie wybitne drużyny? Przez cały mecz padają dwie, trzy bramki, a często wynik jest bezbramkowy, bo obie strony reprezentują wysoki poziom i grają zapamiętałe, pięknie, a w sporcie liczy się przede wszystkim piękno, technika, artyzm. Nie tylko zresztą w sporcie. Co byś wolał: dziesięć par brzydkich i lichych butów czy jedną parę mocnych i eleganckich?

— Fakt... — mruknąłem.

I przypomniałem sobie, że moje buty już się roz-

42

latują, podeszwy zdarte, wierzchy poprzecierane. Chciałem przypomnieć ojcu, że przyrzekł mi kupić w tym miesiącu mokasyny. Ale nie powiedziałem nic. Gdyby mógł, to by kupił, pamięć ma dobrą. Słyszałem, jak rozmawiał z mamą: fabryka, w której pracuje, poniosła jakieś nieprzewidziane straty i w tym kwartale nie wypłacono premii. A liczyłem bardzo na te mokasyny. Żeby je prędzej dostać, zrobiłem coś, do czego nikomu bym się nie przyznał. Okruczem cegły przejechałem mocno po wierzchach moich butów. Ich wygląd po tym zabiegu pogorszył się znacznie.

„W czym ty chodzisz! — przeraziła się mama i powiedziała do ojca: — Rafał, musimy w tym miesiącu kupić Jackowi buty, te się rozlatują.”

„Kupimy — przyrzekł ojciec. — Takie modne, z zadartym szpicem...”

„Mokasyny — podpowiedziałem.”

„Mokasyny — przytaknął. — Zaraz po wypłacie.”

Odwróciłem głowę w stronę wody, żeby nie odgadł, o czym myślę. Rodzice posiadają tajemniczy

dar czytania w myślach dzieci. Przynajmniej moi.

— Cosik nic nie bierze — powiedziałem, wpatrując się w nieruchomy spławik.

— Cierpliwości, synu — ojciec uśmiechnął się. — Będzie rybka i będą buty. W przyszłym tygodniu dostanę trochę pieniędzy za nadliczbowe godziny, natychmiast pójdziemy do sklepu.

Aż podskoczyłem. Skąd wiedział, że o tym myślę? Skąd?!

— Sam się wpakowałem w ten temat — wyjaśnił, ciągle się uśmiechając. — Użyłem jako przykładu eleganckich butów, o czym więc mógłbyś pomyśleć?

— Nie pali się — powiedziałem. — Jeśli macie pilniejsze wydatki, mogę zaczekać. Moje buty są jeszcze całkiem do rzeczy.

43

Powiedziałem to szczerze, ale nie bez trudu. Dobrowolna rezygnacja to bolesny zabieg. Aż mnie w gardle ścisnęło. Uśmiechnąłem się jednak, spojrzałem tacie w oczy jakby nigdy nic.

— Nie mamy - odparł — pilniejszych wydatków. Dostaniesz mokasyny w przyszłym tygodniu. Mur. Nie możesz chodzić jak obdartus.

Wstałem z mchu i podszedłem do ojca. Coś we mnie burzyło się, protestowało, ale stłamsiłem to „coś”, odepchnąłem, zgmiotłem.

— Muszę ci to wyznać — powiedziałem cicho. — Jestem świnia. Rozmyślnie podniszczyłem buty, żebyście mi kupili nowe. Natarłem je cegłą. Nie powinieneś kupować mi mokasynów.

Spławik podskoczył. Ojciec wstał, ostrożnie chwycił wędzisko, podciął, szarpnął w górę. Srebrzysta sprężynka wylądowała w mchu, zatrzepotała spazmatycznie. Płotka, maleństwo. Ojciec zdjął ją z haczyka, cisnął do wody. Nadział na haczyk robaka i zarzucił wędkę.

— Nie powinieneś być tego robić — powiedział łagodnie. — Ale twoje buty i tak się rozlatywały. Już wcześniej postanowiliśmy z mamą sprawić ci nowe.

„Ciekawe — pomyślałem — czy ktoś jeszcze ma takiego ojca. Małomówny, spokojny, niby bardzo surowy: najdrobniejszego wykroczenia nie przepuści, ale poważnych nie osądza, zostawia mnie z nimi sam na sam. Kiedy dostałem na okres dwóję z matmy, nawet nie podniósł głosu. »To twoja sprawa — powiedział. — Twój wstyd, a nie nasz«. Już wolałbym lanie niż taką mowę. Lanie zaś było, gdy stłukłem szybę Walczakom z parteru, i to pękniętą.»

— Bardzo mi głupio — szepnąłem. — Jak skończę szkołę, pójdę do pracy. Będzie wam lżej.

— Nie bądź taki męczennik — ojciec uśmiechnął

44

się. — A może już nie chcesz zostać lekarzem? Może ci przeszło?

— Nie przeszło — odparłem. — Tylko, że...

— No, to nie pleć głupstw.

Chciałem coś powiedzieć, ale nie powiedziałem, bo w tym momencie usłyszałem warkot silnika. Zbliżał się. Czyżby na nasz cypel?

— A niech to... — mruknąłem. — Przepędzimy?

— Nie mamy prawa — westchnął ojciec. — Coraz trudniej o ciche miejsce. Europa staje się przeludniona.

— To nasz cypel! — rzuciłem, wsłuchując się w narastający warkot. — Myśmy go odkryli! Pójdę i powiem im, niech sobie znajdą inne miejsce...

— Nie szalej, Kolumbie! — ojciec położył mi rękę na ramieniu. — Ten cypel jest wspólną własnością. Może nie spodoba im się i odjadą.

Nie odjechali jednak. Przez zarośla zobaczyłem, jak na polanę zajechało srebrne auto, zatoczyło łuk i stanęło. Mężczyzna w dżinsach i kraciastej koszuli otworzył bagażnik, wyjął zeń składany stolik, krzeselka, parę nadmuchiwanym materaców. Pomagał mu chłopiec, mój rówieśnik chyba. Kiedy odwrócił się w stronę krzaków, poznałem go.

— To mój kolega szkolny — powiedziałem do ojca szeptem. — Psia kostka...

— Tym lepiej. Będziesz miał towarzystwo.

— Obejdzie się — mruknąłem. — Nie lubię faceta. Pieszczoch.

— Pieszczoch?

— Taki cacany laluś, bananami tuczony. Nie zadajemy się z nim.

— Dlaczego?

Chciałem to ojcu wyjaśnić, ale nie zdążyłem, bo spławik dał nura pod wodę. Tym razem

manipulacje wędką trwały dłużej i zakończyły się imponującym

45

efektem: na trawie zatańczył leszcz, pewnie półkilogramowy, albo i cięższy jeszcze. Ojciec odczepił go i wrzucił do plastikowego wiaderka. Leszcz uspokoił się, zaczął pływać w kółko, zdumiony zapewne, że ma tak blisko od brzegu do brzegu. Pierwsza zdobycz. Jeśli tak dalej pójdzie, mama nie będzie z nas pokpiwała, że taaaką rybę zjedliśmy po drodze do domu.

Ojciec zarzucił wędkę. Pechowo. Spławik zniknął, haczyk musiał zaczepić o coś, szarpanie wędziskiem nie dało rezultatu. — Zaraz to załatwię — powiedziałem. Rozebrałem się szybko i wszedłem do wody. Była przyjemnie chłodna. Wymacałem podwodny korzeń, uwolniłem haczyk. Nie chciało mi się wracać na brzeg. Pomachałem ojcu ręką i wszedłem w sitowie. Nie było tu głęboko, po pierś zaledwie. Szedłem wolno, rozgarniając szorstkie, wysokie, bladozielone łodygi. Dzika kaczka strzeliła w górę, czarna jak węgiel na tle rozkwieczonego nieba.

Sitowie skończyło się, popłynąłem. Nurt był ostry, znosił, nie bez wysiłku stawiałem mu czoło. Powiedziałem sobie, że wyjdę na drugi brzeg obok starego dębu, nie niżej, a tymczasem prąd spychał mnie w stronę położonych dalej łąk. Zmieniłem styl z klasycznego na crawl, potem na delfina. Zmordowałem się do za-dyszki, ale wypłynąłem wprost na dąb. Satysfakcja. Znam takich, którzy pod naporem prądu zrobiliby szwindel: „Co mi tam dąb, właśnie do łąk chcę płynąć...” Ale to nie ja.

Wszedłem na brzeg i położyłem się w trawie pod dębem. Przyjemnie jest odetchnąć po wyczerpującym wysiłku. Powietrze wtedy smaczniejsze, trawa pluszowa, słońko czułe. Usiadłem, wsparłem podbródek na kolanach. Po wodzie skakały rtęciowe zajaczki. Toczyły się z nurtem, wirując, jakieś gałązki, patyki

46

i rosochate korzenie. Raptem zobaczyłem, jak po drugiej stronie sitowie się rozsunęło i ktoś zaczął płynąć w moim kierunku. Ojciec?

Nie ojciec. Karol. Poznałem go po paru chwilach. Płynął żabką, nie zanurzając głowy. „Znów lezie za mną” — pomyślałem zirytowany a potem zacząłem obserwować, w którym miejscu dobieje do brzegu? „Pewnie również wyznaczył sobie dąb, ale chciałbym to zobaczyć! Wyląduje przy łąkach, albo i dalej jeszcze, obok ruin cegielni.”

Na razie radził sobie z prądem. Do połowy rzeki nurt był nie nazbyt gwałtowny, dopiero dalej zaczynały się wiry, rwące zakotłowania, wściekły bieg zamulonej, naszpikowanej tańczącym drewnem

wody. Pieszczoł nic chyba o tym nie wiedział. Z brzegu rzeka wyglądała łagodnie, niczym nie zapowiadała groźby. I zaskoczyła go. Zobaczyłem, jak zatrzepotał niezdarnie ramionami i zniknął pod wodą.

W krytycznych sytuacjach człowiek potrafi myśleć z niewyobrażalną szybkością. Rozważenie skomplikowanego problemu trwa ułamek sekundy. A więc pomyślałem, że tonię i trzeba mi śpieszyć na ratunek. Ale sam przecież ledwie poradziłem sobie z prądem. „Nie mam szans doholowania go do brzegu, utoniemy obaj. Co za sens? — pomyślałem. — Można wzywać pomocy, nim nadejdzie jednak, będzie po wszystkim...” Kończyłem tę myśl płynąc już, wściekły na siebie i przerażony. Wcale nie miałem ochoty iść na dno.

Raptem dostrzegłem, że Karol wynurzył się. Walczył z prądem, ale nie wyglądało to już na szarpaninę tonącego. Dzieliło nas kilkadziesiąt metrów.

— Dociągniesz?! — krzyknąłem, gdy wynurzył głowę.

— Dociągnę — powiedział.

Zawróciłem. Wygramoliłem się na brzeg, łydki mia-

47

łem gumowe, z przykrym dreszczykiem. Usiadłem w kucki i czekałem, aż doptynie. Osiągnął brzeg niewiele poniżej dębu, otrząsnął się i ruszył w moją stronę.

— Topieś się — powiedziałem.

— Nie — odparł. — Tylko na moment mnie zaskoczyło. Nie myślałem, że tak rwie.

Nawet nie był zasapany. Musiałem przyznać w duchu, że pływa nie gorzej ode mnie, albo i lepiej jeszcze, jeśli mam być całkiem szczerzy. Sylwetkę miał smukłą, wyraźnie umięśnioną. Przedtem jakoś nie zwróciłem na to uwagi. „Pomarańczowy sok — pomyślałem ironicznie — kanapki z łososiem, specjalne żywienie, od którego nie rośnie brzuch, tylko się rozwijają muskuły.

— Słuchaj no, ty — mruknąłem. — Cypel jest nasz, zrozumiałeś? Powiedz swojemu staremu, żeby poszukał sobie innego miejsca na wczasowanie.

Zacisnął wargi. Widocznie chciał mi ostro odpowiedzieć, ale zapanował nad sobą.

— Cypel należy do wszystkich — powiedział po pauzie. — Czy naprawdę nie możemy być kolegami?

— Możemy — odparłem. — Ale nie musimy. Koleguj z Iwoną, to para w sam raz dla ciebie.

Iwona chodziła do siódmej b, miała zadarty nos i nosiła okulary. Gruba, jak antałek. Matka, właścicielka dużego sklepu z galanterią, co dzień przywoziła ją do szkoły wiśniowym „Taunusem”.

Karol oparł się ramieniem o pień dębu. Milczał kilka chwil, wpatrując się w skotłowany nurt Łyny.

— Nie chcę waszej łaski — odezwał się, nie patrząc na mnie. — Ale spróbujcie mnie na lewym skrzydle. Co wam szkodzi?

— Kaaaruuuś!... — doleciał kobiecy, cienki głos z tamtego brzegu. — Gdzie jeeesteees?

48

Karol złożył dłonie w trąbkę.

— Po drugiej stronie! — zawołał. — Zaraz wracam!

— O Jezu! — jęknął kobiecy głos. — Chcesz się utopić?! Zabraniam ci płynąć, wracaj przez most! Słyyy-szyysz?!

Do mostu był kawał drogi. Uśmiechnąłem się krzywo. Karol przyłożył do warg zwiniętą dłoń i opuścił ją bezradnie.

— Dobrze! — krzyknął. — Wróć przez most! — Popatrzył na mnie, chmurny, zaczerwieniony: — Matka, wiadomo, nie ma co dyskutować...

— I pójdziesz do mostu? — spytałem.

— Muszę. Słyszałeś przecież.

— Ty tchórze — rzuciłem pogardliwie. — Pójdziesz przez most nie dlatego, że obiecałeś, tylko dlatego, że boisz się płynąć.

Nie odpowiedział. Odwrócił się wolno i ruszył wzdłuż brzegu w kierunku drewnianego mostu, widocznego na horyzoncie za łąkami i cegielnią.

Przepląnąłem rzekę. Przedarłem się przez sitowie i podszedłem do ojca. Siedział pośepny, wpatrując się w nieruchome spławiki. Od krzaków płynął krzykliwy jazz. Rozgarnąłem gałęzie: ojciec Karola manipulował przy radiu tranzystrowym.

Kończyliśmy trening. Chłopcy, ustawieni półkolem, kolejno strzelali do bramki, a Grzesiek bronił, piątko-wał, rzucał się na ziemię, wykonywał efektowne ro-binsonady. Obronił kilka bardzo groźnych

strzałów, nawet bombę Eusebia. Chyba dobrze zrobiłem, dając go na bramkę.

— Uważaj, Grzesiek! — Puma wziął rozpęd, pochylił się i kopnął w róg. — No i co?

Piłka musnęła końce palców Grzeška i wpadła do siatki.

4 — Wiele dróg

49

— Wystarczy — powiedział Grzesiek. — Zmęczyłem się.

Dałem znak ręką, że trening skończony. Zeszliśmy z boiska i wtedy dopiero zobaczyłem Karola siedzącego na rowerze, wspartego ramieniem o parkan. Prawdopodobnie obserwował cały nasz trening. Uśmiechnął się do mnie, nie zareagowałem, jak gdybym go w ogóle nie zauważył.

— Czego on się tu kręci? — mruknął Ciupas.

— Chciałby grać na lewym skrzydle zamiast Miška — powiedziałem. — Proponował mi.

— Misiek gra coraz lepiej — powiedział Puma. — Stara się, jak może.

— Sam widzę — odparłem. — Spokojna głowa. Jeszcze mnie nie kupił.

— Kto mówi, że cię kupił? — Grzesiek roześmiał się. — Niech sobie gra w pikuty, zabawa w sam raz dla Pieszczocha.

Eusebio przestłoniwszy dłonią oczy spojrzał na Karola.

— Ale rower ma niezemski... — szepnął. — Włoska wyścigówka... Przejechać by się na niej!

— Poproś — zaproponował Ciupas. — Może nie odmówi.

Eusebio niedbałym krokiem zbliżył się do Karola.

— Cześć! — rzucił. — Niezły rowerek. Dasz wypróbować?

Karol zeskoczył z siodełka, pchnął rower w stronę Eusebia.

— Proszę, proszę, przejedź się! — powiedział głosem pełnym usługnej, radosnej gorliwości. — Bardzo proszę, Eusebio!

Eusebio chwycił kierownicę, zwinnie dosiadł rowerowi i popędził przez pole, kręcąc brawurowe ósemki. Karol obserwował go ze zmarszczonym czołem. Teren

był nierówny, pełen dołów i garbów, rower trzął się jak w febrze.

Puma mruknął do mnie:

— On się bardziej trzęsie o rower niż ten rower na polu... — szepnął.

Wreszcie Eusebio zawrócił. Pędził teraz prosto na parkan, z każdą sekundą zwiększając szybkość. Domyśliłem się, że chce zahamować z fasonem tuż przy ogrodzeniu.

I stało się!

Eusebio, przyzwyczajony do zwykłego roweru, próbował hamować pedałami. Gdy chwycił za ręczny hamulec, było już za późno. Rower wbił się w parkan, a Eusebio przeleciał nad nim i wylądował w krzakach tarniny. Podrapane kolana i ręce, skaleczony policzek, guz pod okiem. Na szczęście nic więcej.

Karol nie spojrzał na Eusebia. Klęczał obok roweru i z rozpaczą wpatrywał się w przednie koło. Było roztrzaskane: sterczące szprychy przypominały szkielet starego parasola. Podarta opona, pęknięta obręcz, zgięte widełki kierownicy...

— Przepraszam cię, stary — mruknął Eusebio, przyciskając dłoń do rozciętego policzka. — Zapomniałem, że na wyścigówce nie hamuje się pedałami...

Karol podniósł się z klęczek i z nienawiścią popatrzył na Eusebia.

— Jak nie umiesz, to nie jedź — syknął przez zaciśnięte zęby.

— Po prostu zapomniałem, że...

— Co mnie to obchodzi?! — wrzasnął Karol, nie dając mu dokończyć. — Co ja powiem w domu?! Skąd wezmę nowe koło?

Milczeliśmy. Eusebio posepnie patrzył w ziemię.

— Dopasuje się — powiedział po pauzie Puma. —

W warsztacie znajdą coś odpowiedniego, zobaczysz, Karol...

— Nie znajdą! — Karol wykrzywił się jak do płaczu. — Trzeba będzie sprowadzić z Włoch. Wiecie,

ile to kosztuje?

Znów milczeliśmy przez parę chwil. Było mi przykro, jak gdyby to nie Eusebio rozbił rower, lecz ja sam.

— Każdemu może się coś takiego przytrafić — powiedziałem niepewnie. — Tobie też, Karol...

— Ale się nie przytrafiło — rzucił z tym samym, wciąż płacziwym, grymasem. — A on... on... — wyciągniętym ramieniem wskazał na Eusebia — on to zrobił umyślnie!

Przez moment miałem wrażenie, że Eusebio rzuci się na Karola. Twarz mu zbladła, zacisnął pięści. Opanował się jednak, nie wykonał żadnego ruchu.

Karol podniósł rower. Powłókł go ścieżką, wkrótce zniknął za drzewami. Chłopcy dalej patrzyli w ziemię. Puma w zamyśleniu żuł źdźbło trawy.

— Zapłacę mu... — szepnął Eusebio — ile będzie trzeba. Znam miejsce, gdzie poniewierają się butelki, stare gazety... Resztę ojciec dołoży. Wleje mi, ale pieniądze da...

— Co za typ! — warknął Fąfel. — Śmiał powiedzieć, że umyślnie!

Puma wypluł źdźbło trawy i podniósł głowę. Spojrzał na Fąfla, potem na mnie. Uśmiechnął się samymi wargami.

— Dziwicie się? — zapytał. — Przecież wszystko gra. Niczego innego nie należało się po nim spodziewać.

— Niby dlaczego? — mruknąłem.

— Masz krótką pamięć — odezwał się po pauzie Puma. — Niemożliwe, żebyś nie pamiętał. Pomyśl przez chwilę, Jacek.

52

Przypomniałem sobie. Jakbym patrzył na film.

...Klasówka z matmy, słoneczny promień ukośnie przecina tablicę, na której bieleją słupki cyfr. Profesor przechadza się wolno między rzędami ławek, potem siada, rozkłada gazetę. Do dzwonka pozostał niecały kwadrans. Kończę ostatnie zadanie. Witek Soł-tan — najlepszy w klasie matematyk — już skończył, piegowata twarz jaśnieje zadowoleniem. Raptem znika z niej uśmiech, ustępując miejsca skupieniu. Idę za jego wzrokiem: dwie ławki dalej siedzi nowy uczeń, policzki mu płoną, "zęby miażdżą dolną wargę. Patrzy błagalnie na Sołtana. Błagalnie i rozpaczliwie. Oczy wydają się pęcznić

od powstrzymywanych też.

Sołtan ruchem powiek daje znać, że zrozumiał. Zerka szybko na profesora. W porządku, Sinus jest pochłonięty lekturą. Witek pochyla się, szybko pisze coś na karteluszkę, potem zwija papierek w kulkę i rzuca nowemu. Karol chwyta ściągę. Wykonuje przy tym gwałtowny ruch ramieniem.

Sinus unosi głowę znad gazety. Wstaje. Podchodzi do Karola.

— Daj — rzuca krótko.

Karol czerwienieje jeszcze bardziej, posłusznie wręcza profesorowi papierek. Sinus przegląda go pobieżnie i chowa do kieszeni.

— Ja z tego nie skorzystałem — mówi szeptem Karol. — Proszę zobaczyć, panie profesorze, dwa zadania mam rozwiązane, trzecie też bym rozwiązał, wcale nie prosiłem...

— Kto ci to przysłał? — pyta profesor.

Zamieramy. Cała klasa wpatruje się w usta Karola. Cisza dzwoni, przewala się grzmiotem, rozdziera bębunki.

— Ja nie prosiłem... — powtarza cicho Karol. — Dwa zadania mam rozwiązane, trzecie też bym...

53

— Kogo nie prosiłeś? — pyta Sinus. — Kto ci przysłał ściągaczkę?

Nowy uczeń blednie. Twarz, przed chwilą purpurowa, raptem bieleje.

— On — wskazuje na Sołtana. — Nie wiem, dlaczego to zrobił. Dwa zadania rozwiązałem, proszę zobaczyć, panie profesorze...

Sinus podchodzi wolno do Sołtana. Odbiera mu zeszyt, przekreśla pracę czerwonym ołówkiem i zamasyście pisze u dołu: Niedostatecznie!

Przerwa. Cisza dalej dzwoni, buczy, trzeszczy, łomocze. Nikt nie opuszcza klasy. Nikt nie podnosi się z miejsca. Oczy wszystkich skierowane są na nowego.

Karol wysuwa się z ławki, podchodzi niepewnie do Sołtana.

— Wybacz mi — odzywa się szeptem, ale cisza przestaje grzmieć i słyszy to cała klasa. — Nie miałem innej rady. Dla ciebie dwója z matmy nic nie znaczy. Poprawisz lekko. A ja... — urywa na moment — nie pojechałbym na wycieczkę zagraniczną.

— Spłyń — rzuca przez zęby Sołtan.

Karol wyjmując z kieszeni podłużny, lśniący przed-miocik. Nieśmiało pochyła się nad Witkiem.

— Weź — szepce. — Podobał ci się... Na zgodę, weź. Scyzoryk: szylkretowa rękojeść, dwa chromowane

ostrza, korkociąg, nożyczki, śrubokręt, pilnik.

Witek wstaje. Patrzy na scyzoryk i krzywi się, jak gdyby połknął coś gorzkiego.

— Spłyń — syczy nienawistnie. — Spłyń, bo nie wytrzymam!

...Przypomniałem sobie to wszystko, jak gdybym patrzył na film. Ma rację Puma: niczego innego nie należało się po Karolu spodziewać. I nie da rady tego odkręcić ani zmienić. Miałki facet. Szydło, co w worku nie usiedzi, wylazło znowu.

54

— Eusebio — powiedziałem — ojcu ani słowa, twój stary ma ciężką rękę. Inaczej to załatwimy.

— Jak? - zapytał Fąfel.

— Składka — wyjaśniłem. — Ja dam czterdzieści złotych, mam zaoszczędzone z pensji. Ty, Puma, masz coś?

— Dwadzieścia osiem zet.

— Ode mnie siedem dych — powiedział Grzesiek. — Wuj mi odpalił na kometkę.

— I ode mnie pięć dych — wtrącił Ciupas. — Razem prawie dwieście. Kto następny?

Misiek, Artur, Krzyś, Wojtek, Mazepa, Lolo... Koniec licytacji. Trzysta osiemdziesiąt sześć złotych.

— Powinno starczyć nawet na włoskie koło — podsumowałem. — I niech się Pieszczoch turla jak najdalej od nas. Zbiórka z forszą o szóstą.

Chcieliśmy się rozejść, ale Eusebio zagroził nam drogę.

— Momencik... — wy sapął, patrząc na nas dziwnie wilgotnymi oczami. — Chłopaki... ja wam... rozumiecie...

„Przyjaciołom dziękować? — pomyślałem. — Przyjaciół to taki gość, od którego wszystko ci się należy, bo i ty przecież w potrzebie oddałbyś mu wszystko. Więc nie ma o czym gadać. Normalka.”

— Nie rozplącz się — powiedziałem kpiąco. — Pruj do chaty i opatrz sobie pyszczek, bo ci się będzie pas-kudzić.

Pieniądże włożyliśmy do koperty: równiutko trzysta osiemdziesiąt sześć złotych. Od rzeki płynął fioletowy, przymglony zmierzch. Chłopcy zostali na brzegu, poszliśmy tylko we dwóch: Puma i ja.

Przy ogrodzeniu Puma podniósł gałąź i przejechał nią po metalowych sztachetach.

55

— Reks... Reks, ty kundlu!

Stary sposób: jeden „bawi” Reksa, reszta obrabia jabłonie. I tym razem wilczur dał się nabrać. Zaatakował gałąź, kłapiąc zębiskami tuż przy ziemi.

Przesadziłem ogrodzenie kawałek dalej i ścieżką ruszyłem w stronę willi.

Na parterze paliło się światło. Okno było uchylone. Postanowiłem wrzucić kopertę z pieniędzmi i kartką: Na kolo. I turlaj się od nas.

Podszedłem na palcach do okna. Uniosłem rękę z kopertą i zamarłem.

— To wszystko? — usłyszałem nagle męski głos.

— Tak — odpowiedział głos Karola. — Jutro pójdę do dyrektora szkoły i...

— Nie pójdziesz!

— Pójdę!... Nauczę ich!...

— A może to ty powinienes się od nich czegoś nauczyć?

Pauza. Szurnięcie krzesłem.

— Ja od nich? Chyba żartujesz, tato...

— Rad byłbym żartować, Karolu. Mówię jednak poważnie, bardzo poważnie. Jeżeli koledzy cię unikają, musi być jakiś powód. Znasz go chyba... — pauza wypełniona szybkim, nierównym oddechem. — Nie pytam cię o ten powód, bo i tak nie mógłbym ci w niczym pomóc. Obawiam się, że dotąd za wiele było pomocy, za łatwo żyłeś... — znów pauza. — Musisz sam rozgryźć tę sprawę.

— Nie! To oni...

— Kogo chcesz okłamać, Karolu? Mnie czy siebie?

Mocne ciężkie kroki. Skrzyknięcie drzwi. Potem seria dźwięków przypominających ni to kaszel, ni skowyt.

Jerzy Kulik

Opowiadanie dla przyjaciela

Pamiętasz? Chciałeś, żebym opowiedział ci o Pawle. Nigdy nie miałem czasu na rozmowę z tobą. I dopiero dzisiaj historię tę ci opowiem.

— Paweł! Paweł, wstań! Wpół do ósmej, słyszysz?! — matka tarmosiła chłopaka za ramię. — Paweł, spóźnisz się do szkoły!

— Wiem... wstaję — uniósł się na łokciu, spojrzął na matkę sennym wzrokiem. — Która godzina?

— Wpół do ósmej — powtórzyła matka.

— O rany! Nie zdążę. Obudziłaś mnie tak późno, nie zdążę! — wołał.

Już wyskoczył z łóżka, boso pobiegł do łazienki. Słysząc plusk wody, prychnął. Za chwilę wbiegł do pokoju, złapał ubranie, zaczął wciągać koszulę na ledwie otarte z wody ciało. Przyczesał włosy przed lustrem, złapał teczkę.

— Śniadanie, Pawełku.

— Nie będę jadł, mamó! Nie zdążę do szkoły! Zjem, jak przyjdę! — mówił w pośpiechu.

Wybiega na schody, na ulicę, pędzi do skrzyżowania, zielone światło, przebiega przez jezdnię, aby szybciej do narożnego domu.

— Cześć, Paweł!

59

— Cześć! Wiesz, myślałem, że już nie będziesz na mnie czekał.

Pawła poznałem niedawno, jakieś dwa miesiące temu. Przeszedłem do tej szkoły prawie w połowie roku szkolnego, ponieważ przeprowadziliśmy się tu z innego miasta. Szkoła spodobała mi się od razu: nowa, czysta i jasna. W porównaniu z poprzednią, ech, nie ma w ogóle porównania!

Wychowawczynie posadziła mnie w ostatniej ławce. Miejsce wydało mi się wprost idealne: róg klasy, daleko od nauczycielskiego stolika, a co najważniejsze, siedzę sam. Zadomowiłem się w swoim kącie, porozkładałem na pulpicie książki i zeszyty.

W połowie drugiej lekcji otworzyły się drzwi i do klasy wszedł jakiś chłopak.

— Siadaj, Pawełku na swoje miejsce. — Wychowawczynie uśmiechnęła się do niego i wróciła do przerwanej lekcji. Chłopak predefiniował przez całą klasę i — o zgrozo! — usiadł w mojej ławce.

— Ty tu siedzisz?! — spytałem.

— Tak. A co? Nie podoba ci się?

— Nie bardzo — odpowiedziałem. — Wolalbym siedzieć sam.

— Ja też, ale nic na to nie poradzę. Prawdopodobnie będziemy musieli siedzieć razem.

— Zobaczymy... — mruknąłem, a on uśmiechnął się i powiedział:

— Na ulicy możesz mnie nie znać, ale tutaj w klasie... nazywam się Paweł.

— A ja Jurek.

Podaliśmy sobie ręce na znak zgody.

I tak właśnie zawarliśmy znajomość. Nikt nie przypuszczał, a już najmniej my sami, że kiedyś zostaniemy przyjaciółmi. Wówczas, gdy zobaczyłem go pier-

60

wszy raz, był po chorobie. Wysoki, szczupły, ciemne włosy spadające na czoło, głębokie czarne oczy. Trudno byłoby mi wtedy określić go jako fajnego kumpla. Po pierwszej rozmowie wydał mi się strasznie zarozumiały. Dopiero później przekonałem się, że jest zupełnie inny. Ale nim zostaliśmy przyjaciółmi, minęło trochę czasu. Siedzieliśmy w jednej ławce, razem rozwiązywaliśmy krzyżówki ze „Sztandaru Młodych”, razem ściągaliśmy na klasówkach.

— Odrobiłeś na dzisiaj fizykę? — spytał Paweł, kiedy szliśmy któregoś dnia ulicą.

— Tak. A ty?

— Nie. Nie miałem czasu.

— Nie miałeś czasu? — zdziwiłem się. — Wyjeżdżałeś gdzieś?

— Nie. Pisałem opowiadanie. Dam ci później do przeczytania.

Pobiegliśmy. Kiedy wpadliśmy do klasy, zadzwonił dzwonek. Zaczęła się lekcja.

Ciekawiła mnie zawartość zielonej teczki wystającej spomiędzy książek Pawła. Kryła w sobie jego nowe opowiadanie. Paweł, w odróżnieniu od innych moich kolegów, na filmy cowboyskie nie chodził, za big-be-atem nie przepadał, nie ganiał za piłką, pływał i to był jedyny sport, jaki uprawiał. Natomiast pisał. Pisał dużo: opowiadania, artykuły i referaty do szkolnej gazetki.

Na trzeciej przerwie nie wytrzymałem. Wyciągnąłem zieloną teczkę, a z niej kilkanaście stron zapisanych niestarannym pismem. Żeby to widziała nasza pani od polskiego, wygłosiłaby zaraz kazanie na temat takiego pisania. Pośrodku pierwszej strony nagryzmołony był tytuł: „MY”. Zacząłem czytać, ale nie bardzo mi się to udawało. Po trzecim zdaniu, czytany co piąty wyraz, odłożyłem kartki. Będę

61

musiał zaczekać, aż Paweł sam mi je przeczyta. Pomyślałem, że specjalnie pisze niewyraźnie, żeby nikt nie mógł tego przeczytać. To nieładnie z jego strony. Postanowiłem powiedzieć mu o tym. Po dzwonku Paweł usiadł w ławce. Zobaczył wyjętą teczkę.

— Po co wyjmowałeś? — spytał.

— Żeby przeczytać. A ty jesteś świnią, bo piszesz tak, żeby nie można było przeczytać. Nie rozmawiam z tobą.

— Trudno — powiedział. — Nie potrafię pisać czytelnie, kiedy się śpieszę. Wiesz, kiedy się chce napisać to, o czym się myśli, trzeba się strasznie spieszyć. Myśli uciekają i...

— Dobra, dobra. Powiedzmy, że tak jest. A po co schowałeś tę teczkę? Żeby też nie uciekła?

— Jurek, jesteś złośliwy. Ja naprawdę nie mam zamiaru chować przed tobą tego, co napisałem, ale nie odczytasz ani słowa.

Na pewno miał rację, ale mnie to nie przekonało. Do końca lekcji nie odezwałem się do niego ani słowem.

Po lekcjach Paweł zapytał:

— Pójdziemy do mnie? Przeczytam ci opowiadanie.

— Nie mam czasu — odpowiedziałem. — Na jutro jest dużo lekcji. Może innym razem.

— Jeżeli nie chcesz, to trudno. Do jutra!

— Do jutra! — powiedziałem i poszedłem w stronę domu.

Paweł stał przez chwilę na ulicy w nadziei, że jeszcze się namyśli. Chciałem właściwie wrócić, ale nie zawróciłem.

Wieczorem siedziałem przed telewizorem i oglądałem film, kiedy zadzwonił telefon.

— Słucham?

~ Jurek? — doleciało z tamtej strony. — Wiesz... —

62

chwilę się zastanawiał — ...czy można do ciebie wpaść/

— Można. A co się stało?

— Nic, nic. Zaraz będę u ciebie. — Odłożył słuchawkę.

„Pewnie chce mi przeczytać swoje nowe opowiadanie. Uparty facet — pomyślałem. — Dałby już spokój. Nie jestem aż tak ciekaw jego wycieczek.”

Zadzwonił dzwonek u drzwi: raz, drugi, trzeci. Szybko przyszedł. Telefonował chyba z budki przed domem. Wszedł do pokoju, stanął w drzwiach.

— Wejdz. Powieś kurtkę w przedpokoju.

— Nie, nie. Ja tylko na chwilę. To dla ciebie — podał mi dużą szarą kopertę. — Cześć! — wyrzucił z siebie i znikł równie szybko, jak się pojawił.

Usiadłem przy biurku i rozerwałem kopertę. Wewnątrz znajdowały się jakieś kartki. Wyjąłem je. Na pierwszej stronie pośrodku napis: „MY”, a niżej, niemal kaligraficznym pismem, przepisane całe opowiadanie. Zrobiło mi się głupio. To przez moje humory on siedział nad tym cały wieczór. Znowu pewnie nie odrobi lekcji. Dziwny człowiek. Dokończyłem wypracowanie z polskiego, spakowałem książki na jutro i usiadłem do kolacji. Dopiero w łóżku przypomniałem sobie o leżącym na biurku tekście.

Kiedy skończyłem czytać, było już po dwunastej. Zgasilem światło i patrząc w gęstą czerń pokoju myślałem o Pawle. Wydał mi się teraz zupełnie inny, jakiś bliższy. Podobało mi się jego opowiadanie, ale zdenerwowało mnie trochę to, że występowałem w nim ja. I że byłem taki, jaki jestem

rzeczywiście, a więc niezbyt idealny.

Nazajutrz po lekcjach wracaliśmy do domu wcale się nie śpiesząc, jutro niedziela, więc lekcje można odrobić później. Szliśmy wolno. W pewnym momencie Paweł zapytał:

63

— Jurek, czy wiesz, o czym jest to opowiadanie?

— Chyba o kolegach... — odpowiedziałem.

— Nie. O przyjacielach. Wiesz, między koleżeństwem a przyjaźnią jest duża różnica. I to opowiadanie jest właśnie o przyjaźni. Podobało ci się?

— Nie.

Zaskoczyła go ta odpowiedź.

— Dlaczego?!

— Bo nie wiem, po co pisałeś w nim o mnie.

— Jak to? Czy nie jesteśmy... — zawahał się — ...czy nie jesteśmy przyjaciółmi?

— No, jesteśmy. I co z tego?

— Ojej, ty nie rozumiesz, przecież to strasznie ważne, że ja jestem twoim przyjacielem, a ty moim.

— Ładnie, ale czy trzeba o tym pisać? Jesteśmy przyjaciółmi i już.

— Nie... — był zdziwiony, że można mieć takie poglądy. — Przecież nie mogłem pisać o kimś, kto nie jest w rzeczywistości moim przyjacielem, o nieznanym mam pisać jak o przyjacielu?! Zastanów się. To chyba logiczne, nie?

— Logiczne, owszem. Ale! wolałbym, żebyś o mnie nie pisał.

Chciał zapytać dlaczego, ale zrezygnował. Może to i lepiej, bo co bym mu odpowiedział?

— Wiesz... — powiedział, kiedy przechodziliśmy koło sklepu — muszę kupić coś na kolację. Cześć!

— Jeżeli musisz.... No, to cześć!

Pobiegł do sklepu. Ja powlokłem się wolno do domu.

— Paweł przyjdzie dzisiaj do ciebie? — spytała mama, ledwie wszedłem.

— Nie. Chyba nie. Ma coś załatwić na mieście, nie wiem.

— Na film też nie przyjdzie?

64

— Mówiłem już, że nie przyjdzie.

— Dlaczego jesteś taki zły? Dostałeś dwójkę? — mama dopytywała się jak na spowiedzi.

— Nie dostałem żadnej dwójki, ani pałki, ani nawet zera. Jestem zły, bo... po prostu jestem zły.

Widocznie mama uznała, że nie warto ze mną rozmawiać, wzruszyła ramionami i poszła do kuchni.

Wieczorem nie miałem niczego do roboty. W telewizji nic ciekawego. Z nudów poszedłem więc do kina. Wracając myślałem, że nie bardzo rozumiałem, o co w tym filmie chodziło. Może obejrzeć go jeszcze raz?

Przed domem czekał na mnie Paweł. Stał w swojej szarej kurtce z podniesionym kołnierzem, z wełnianym szalikiem okręconym dookoła szyi.

— Czekasz na mnie? — spytałem.

— Tak. Mam do ciebie pewną sprawę.

— Jakieś nowe opowiadanie? — spytałem nieco złośliwie.

— Nie.

— No, to chodźmy na górę — zaproponowałem.

— Jest u ciebie ktoś w domu?

— Jest. A co?

— Nic.

Weszliśmy na schody. W połowie drugiego piętra Paweł zatrzymał się.

— Jurek, powiedz mi, czy my jesteśmy przyjaciółmi?

— A jak ci się wydaje?

— Mnie się zdaje, że jesteśmy. Ale co ty o tym myślisz?

— Mnie się też tak zdaje.

— To dobrze.

— Dlaczego? — pytania Pawła wydały mi się dość dziwne.

5 — Wiele dróg

65

— Wiesz... — i utknął. Często od „wiesz” zaczynał dłuższe wywody. Tym razem jednak zaczął i skończył jednocześnie.

Weszliśmy do mieszkania. Rozebraliśmy się w przedpokoju i poszliśmy do mojego pokoju. Paweł usiadł w fotelu. Odchylił głowę w tył i zamyślił się nad czymś.

— Wiesz... moi rodzice chcą się rozwieść — powiedział patrząc w sufit.

— To jest ta sprawa... Skąd wiesz, że chcą się rozwieść?

— Słyszałem, jak matka rozmawiała z sąsiadką. — Chwilę milczał. — Wiesz, ona mówiła, że ojciec jest okropny... że ją źle traktuje, że... Jurek, ja nie wiem, ale ojciec... on jest... on nie jest zły. On jest całkiem dobry. Ja nie wiem, dlaczego matka tak mówiła... ona nie ma racji, prawda?

— Pewnie — powiedziałem, chociaż skąd mogłem wiedzieć. Może właśnie jest odwrotnie? Może ojciec Pawła jest złym człowiekiem, a on tego nie widzi?

Paweł wstał z fotela, podszedł do półki. Przejechał cłonką po grzbietach" książek.

— No i co ja mam teraz robić? — zapytał nie odwracając się.

W pierwszej chwili chciałem powiedzieć: „nic”, ale to nie byłaby odpowiedź. On chyba potrzebował jakiejś konkretnej rady.

— A co masz robić? — powiedziałem po chwili. — Przecież i tak nic nie zmienisz. Przestań się tym przejmować, to nic nie pomoże. Ja wiem? Może byś pogodził się z tym...? — i zaraz pożałowałem tej propozycji.

— Jurek! Jak to? Ty mówisz „pogodzić się”. Z czym?! Z tym, że ojciec odejdzie, a matka weźmie

66

sobie innego? Jurek! Przecież... czy ty zgodziłbyś się na to?

— Nie, ale... powiedziałem głupstwo. Pewnie, że bym się nigdy z tym nie pogodził.

— No więc?... Przecież to nie jest żadne wyjście. Tak nie można. Przecież... nie wiem, ale trzeba coś zrobić.

— Jasne, musimy coś zrobić. Tylko co? Najlepiej odłożmy całą sprawę do jutra. Rano zawsze łatwiej jest coś wymyślić.

— Może masz rację, jutro... — powiedział niepewnie. Był niezadowolony z mojego pomysłu.

— Na pewno coś wymyślimy. Zobaczysz. Przestań się denerwować, jakoś zawsze będzie. Ostatecznie jest nas dwóch.

— Wiem — uśmiechnął się — razem nie zginiemy nigdy, tylko że... Masz rację, jutro coś się wymyśli — powiedział wychodząc z pokoju.

W chwilę potem trzasnęły drzwi. Poszedł. Weszła mama.

— Co się stało? Paweł wybiegł tak nagle — spytała zaniepokojona.

— Jego rodzice się rozwodzą.

— Ach tak, u kogo zostanie?

— Jak to? — zdziwiłem się. — Jak to „u kogo”?

— U matki czy u ojca?

No tak, nie przyszło mi to na myśl.

— Pewnie u ojca, właściwie to nie wiem, ale chyba u ojca.

— Żal mi go — westchnęła mama. — Ale cóż, czasami tak bywa...

Nie podobało mi się to „czasami tak bywa”. Dlaczego tak bywa, że mój przyjaciel musi „zostać” u kogoś z rodziców, jak zapomniana rzecz. Dobrze, niech sobie „czasami bywa”, ale dlaczego właśnie

67

musi być tak z Pawłem? Nie bardzo mieściło mi się to w głowie. Z uczuciem niezrozumienia praw rządzących tym zwariowanym światem poszedłem spać. Obudziłem się dziwnie zmęczony. W głowie szumiało mi nieustannie, ale... gdzieś na dnie zaczęła kiełkować jedna myśl. Tak, to było jakieś rozwiązanie.

Całą niedzielę siedziałem w domu. Czekałem na telefon od Pawła. Nie zadzwonił. Wieczorem miałem iść na koncert do Filharmonii, ale nie poszedłem, bo przecież w każdej chwili mógł przyjść Paweł. Chciałem mu przedstawić swoją myśl. Nie przyszedł. Byłem zły na niego. Jak to, ja tutaj siedzę cały dzień, łamię sobie głowę nad jego problemami, a on nie raczy nawet zadzwonić?! A może... powinienem pójść do niego? Może siedzi sam i zamartwia się na śmierć? Może spakował rzeczy i uciekł z domu? Bywa tak przecież. Nie, nie mógł uciec, a gdyby nawet, to dokąd? Najpierw przyszedłby do mnie. Nie mam się czego obawiać. Nic się nie stało. Czy na pewno? Zwykle w niedzielę Paweł przychodził do mnie. Przesiadywał do wieczora. Oglądaliśmy razem program w telewizji, jedliśmy razem obiad, a po obiedzie szliśmy do kina albo do teatru, czasem do parku. Paweł lubił chodzić do parku. Mógł całymi godzinami wysiadywać na ławce i patrzeć na drzewa. Nie wiem, co w nich widział? Często zamyślał się i, ni stąd ni zowąd, pytał mnie: „Czy to nie cudowne, że możemy tutaj siedzieć? Powiedz mi, czy nie czujesz się jakiś lżejszy, swobodniejszy? Wiesz, ja jestem szczęśliwy, że mogę tutaj przychodzić. Ja muszę, muszę widzieć niebo, muszę moknąć na deszczu”. Zachwycał się wszystkim. Trochę to niepoważne, ale nie dawał sobie tego wytłumaczyć. Straszny dziwak. Może teraz też siedzi w par-

68

ku i ogląda żwir w alejkach. Trudno, powiem mu wszystko w szkole.

Rano pod narożnym domem Pawła nie było. Kiedy przyszedłem do klasy, on już siedział w naszej ławce i coś pisał.

— Cześć! Dlaczego nie czekałeś na mnie na rogu? — spytałem.

— Nie mogłem. Muszę przepisać zadania. Nic wczoraj nie zrobiłem — odpowiedział nie przerywając pisania.

— A dlaczego wczoraj nie przyszedłeś do mnie?

— Byłem u ciotki. Miałeś może bilety do kina?

— Nie, siedziałem cały dzień w domu — powiedziałem z wyrzutem.

— Przepraszam cię, ale naprawdę nie mogłem przyjść.

— Paweł... — chciałem mu zdradzić swój pomysł.

— Nie przeszkadzaj, widzisz, że piszę. Zaraz dzwonek.

— Ale mam dla ciebie...

— Proszę cię, Jurek, potem. Jeszcze tylko jedno zadanie. — Wyraźnie nie chciał ze mną rozmawiać. Nie to nie. Prosić go nie będę.

Zadzwonił dzwonek. Wszyscy zajęli miejsca. Wszedł matematyk. Paweł kończył ostatnie zadanie.

— No nareszcie. Zdążyłem. — Odłożył pióro. — Wiesz, rozmawiałem wczoraj z matką. Powiedziała, że będę teraz mieszkał z ojcem. Lepiej, nie?

— Nie wiem, może. — A ja chciałem mu zaproponować... Mniejsza o to.

Matematyk przeczytał listę i zaczął sprawdzać pracę domową.

Dwa następne dni minęły bez żadnych wydarzeń. Rano szliśmy do szkoły, wieczorem oglądaliśmy te-

69

lewizję. Trzeciego dnia, to znaczy w czwartek, Paweł nie przyszedł do szkoły.

— Stenca znów nie ma? — zapytała polonistka.

— Pewnie jest chory — powiedziała Zenka. — On ciągle choruje. Więcej siedzi w domu niż w szkole.

Jakie te dziewczyny są niemądre. Uważają, że jak przejrzą żurnal, to już wszystkie rozумы pozjadały.

— Jurek — polonistka zwróciła się do mnie — nie wiesz, co się dzieje z Pawłem?

— Nie, nie wiem. Wczoraj był u mnie. Odrabialiśmy razem lekcje — guzik prawda, cały czas oglądaliśmy telewizję! — Nie wiem, co się stało. Może rzeczywiście jest chory?

— ...Na lenia! — wyrwała się Zenka.

Jak Boga kocham, głupia! Sama lekcji nie odrabia, a zresztą, nie chcę nią sobie głowy zawracać. Są ważniejsze sprawy. Chociażby to, co naprawdę stało się z Pawłem?

Do końca lekcji siedziałem jak na szpilkach. Dlaczego Paweł nie przyszedł? Wracalem do domu „naszymi” ulicami. Pod narożnym domem stał Paweł. Czekał na mnie.

— Cześć! — ucieszyłem się. — Co się stało? Nie byłeś w szkole, myśleliśmy, że jesteś chory.

— Nie, nic mi nie jest — powiedział cicho. — Jeżeli się nie śpieszysz do domu, to chodźmy do

parku...

— Jak chcesz — zgodziłem się.

Poszliśmy. W parku Paweł zaraz usiadł na ławce. Długo patrzył w niebo, wreszcie się odezwał.

— Wiesz... ojciec... — urwał. Coś go dławilo, ścisnęło za gardło. — Ojciec nie chce... nie chce wziąć mnie do siebie! Chce wyjechać z Warszawy. Jurek, przecież mógłby mnie zabrać ze sobą, nie?

— Jasne — przytaknąłem. Wydało mi się to oczy-

70 \'

wiste, skoro wyjeżdża z Warszawy, to przecież może Pawła zabrać ze sobą.

— Powiedziałem mu, że mógłbym jechać razem z nim. A on, wiesz, powiedział, że wykluczone, bo musi mieć spokój, musi intensywnie pracować. Tak się wyraził. „Muszę mieć spokój...” Tak jakbym mu przeszkadzał. Jurek, powiedz — spojrzał na mnie. W oczach miał łzy. — Czy ja jemu przeszkadzam? No, powiedz!

— Dziwny jesteś. Zadajesz głupie pytania. Jasne, że nie.

— No więc dlaczego?

— Chce się pewnie ciebie pozbyć. Wykręca się tylko...

— Co ty?! Ojciec?! Jurek, co ty mówisz! On nie jest taki. Mówię ci, on wcale nie jest taki zły, jak mówi matka. On jest zupełnie dobry...

— Dobry? A zabrać ciebie nie chce!

— Wiesz, może nie ma jeszcze mieszkania, czy ja wiem? Może... Ty myślisz, że on naprawdę nie chce mnie więcej widzieć?

Nie odpowiedziałem. Jeżeli powiem „tak”, Paweł gotów rzucić się pod pociąg. Taki już jest. A jeżeli powiem „nie”, to powiem nieprawdę.

— Dlaczego nic nie mówisz? — spytał po długim milczeniu.

— Co mam mówić...

— No, tak — westchnął. — Z matką nie mogę zostać, bo jej nie lubię. Ojca kocham, ale też nie mogę z nim zostać, bo on tego nie chce. Więc co? Gdzie mam iść?!

— Do mnie! — palnąłem natychmiast. — Jak ojciec nie chce cię wziąć, to nie. Przeniesiesz się do mnie. Będziemy mieszkali razem.

— Nie.

— Dlaczego? — zdziwiłem się.

71

— Dlaczego? Bo ja... ja mam swój dom i nie ma powodu, żebym musiał się przeprowadzić.

— Ale przecież... no, gdzie będziesz mieszkał?

— Nie wiem. Ale do ciebie się nie przeprowadzę — zaczął butem rozgarniać żwir.

— Dziwny jesteś. Przecież możesz u mnie mieszkać. Co ci strzeliło do głowy?

— Wiesz... to ja mam problemy, a nie ty. Zostaw te zmartwienia mnie. Nie bój się, nie zginę.

— Paweł, jestem twoim przyjacielem...

— Jesteś, pewnie, że jesteś. No więc proszę cię jak przyjaciela, zostaw te zmartwienia mnie, dobra?

Zwariował albo coś go ugryzło.

— Jak nie, to nie. Ale pomyśl jeszcze o tym.

— Idziemy! — Wstał z ławki, obciągnął kurtkę i nie czekając na mnie poszedł w kierunku bramy.

— Paweł, zaczekaj! — dopędziłem go. — Co ci się stało?

— Nic. Zły jestem... Przejdzie.

Przy obiedzie panowała grobowa cisza. Mama jadła zupę, ojciec czytał gazetę (a tyle razy mama mówiła, że przy stole się nie czyta!). Odsunąłem talerz.

— Dlaczego nie jesz? — zapytała mama.

— Nie chce mi się. Myślę. Ojciec wyrzwał z gazety.

— Nareszcie! Myślisz? Prawdziwe święto w domu. Jurek zaczyna myśleć!

— Dałby tata spokój. Nie wolno mi już myśleć?! — zdenerwowałem się.

— Ależ oczywiście, wolno. Myśl, kiedy chcesz i ile chcesz, byle mądrze i nie przy jedzeniu — zakończył.

— Tata przy jedzeniu czyta gazetę i wszystko jest w porządku — odciąłem się.

— Ty mi uwagi nie zwracaj, ty się zajmij...

72

— Przestańcie! Spokojnie nie można zjeść obiadu — jęknęła mama, zabrała talerz i poszła jeść do kuchni.

— No widzisz, coś narobił?! — powiedział ojciec. — Widzisz do czego zmuszasz mamę, do jedzenia w kuchni.

— Czy tata musi żartować? Jest tyle poważnych spraw, a tato żartuje...

— A jakie ty masz poważne sprawy na głowie? — odłożył gazetę.

— Widzi tata, rodzice Pawła rozwodzą się... Paweł miał mieszkać z ojcem, ale nie może, bo ojciec wyjeżdża i nie chce go zabrać ze sobą.

— A matka? — spytał ojciec poważnie.

— Z matką też nie może mieszkać, bo mówi, że ona jest niedobra i że jej nie lubi.

— Rodziców się kocha, nie lubi. Lubić można ciastka.

— No dobrze, nie kocha jej... — czekałem na odpowiedź.

— Pięknie. A gdzie tu jest problem? — zapytał.

— Jak to gdzie? Tato nie widzi problemu! A u kogo Paweł ma mieszkać? To nie jest dla taty problem?

— Dla mnie nie. Dla Pawła tak — zamyślił się. — I co, chcesz, żebyśmy znalazł jakieś rozwiązanie, tak?

— Koniecznie! To znaczy, bardzo bym prosił, żeby tata coś wymyślił — musiałem dodać to „prosił”, bo ojciec nie cierpi żadnych konieczności.

— Dobrze — powiedział. — Przed kolacją obywatel zgłosił się do mnie po odpowiedź. Tymczasem żegnam — wyszedł z pokoju. Za chwilę wrócił. — Idź, przeproś mamę.

Chciałem spytać „za co”, ale dałem spokój. Zaraz zaczęłyby swoje kazanie. A to już zupełnie nie nadawało się do słuchania. Poszedłem do kuchni. Mama zmywała talerze.

73

— Mamo, gniewasz się na mnie? — spytałem.

— Nie, ale moglibyście nie kłócić się przy stole. Tobie zdaje się, że jak masz problemy, to wszyscy muszą tylko ciebie słuchać. Ja też mam swoje problemy, ojciec swoje...

— Ale wy nie macie takich jak ja — broniłem się.

— Takie mieliśmy wtedy, kiedy byliśmy w twoim wieku, teraz mamy inne, wierz mi, niemniej ważne.

Masz, teraz wiek im przeszkadza. O nic nie można się spytać, porozmawiać poważnie, a to wiek nie taki, a to są czymś zajęci... Postanowiłem korzystać z okazji i przypuścić od razu niespodziewany atak.

— Mamo, czy Paweł mógłby mieszkać u nas?

— Dlaczego? — zdziwiła się, ale nie zaprzeczyła, to znaczy, że atak był skuteczny.

— Ojej, „dlaczego”. Po prostu pytam: „Czy Paweł mógłby mieszkać u nas?”

— Mógłby. Ale nie rozumiem, dlaczego o to pytasz. Złapałem mamę za szyję.

— Jesteś najfajniejsza ze wszystkich mam! — Pocałowałem ją w czoło.

— Widzisz, nic nie rozumiesz, bo nie masz tych samych problemów, co ja. Ale to lepiej!

Wybiegłem z kuchni. Chciałem od razu porozmawiać z ojcem, ale przypomniałem sobie, że siedzi teraz w swoim pokoju i pracuje nad jakimiś planami. Nie wolno mu przeszkadzać. Musiałem więc czekać, aż skończy. Chociaż właściwie po co? I tak wszystko jest już jasne. Paweł przeprowadzi się do mnie i będziemy mieszkali razem. Tylko... czy jego rodzice się zgodzą? Dlaczego mają się nie zgodzić, przecież i matka, i ojciec nie chcą go u siebie.

Ojciec wyszedł ze swojego pokoju dopiero po dwóch godzinach. Usiadł przy stole i zaczął czytać gazetę.

— Tato... — zacząłem niepewnie.

74

— Słucham — powiedział, ale nie przerwał czytania.

— Czy tata coś wymyślił? No, z Pawłem...?

— Widzisz, to nie taka prosta sprawa. Skoro Paweł nie może mieszkać u ojca, będzie musiał mieszkać u matki. No, a to, że nie chce, to niczego nie zmieni.

— No, ale jeżeli nie chce, to przecież nie musi? — upierałem się.

— Widzisz, prawo w tym wypadku jest bezwzględne i Paweł nie będzie miał nic do powiedzenia.

— Dlaczego?!

— Mój drogi, jest jeszcze wiele spraw, których nie możesz zrozumieć. Kiedyś może odpowiesz sobie na to pytanie. Chociaż... jestem bądź co bądź starszy od ciebie, a też nie wiem, dlaczego Paweł ma zostać bez dachu nad głową.

— Tato, przecież to niemożliwe. Jak to „bez dachu nad głową”? Tu jest coś nie w porządku.

— I to więcej, niż przypuszczasz... — wrócił do przerwane go czytania.

— Tato... a gdyby Paweł zamieszkał u nas? — spytałem.

— Niezła myśl. Tylko zupełnie nierealna — wymamrotał.

— Dlaczego?

— Po prostu dlatego, że... Jak ty sobie to wyobrażasz?

— Normalnie! Paweł przeprowadzi się do nas i już.

— Paweł przeprowadzi się do nas, zgoda. Ale czy nie pomyślałeś, że jego matka może się nie zgodzić. Przecież on ma rodziców.

— E tam, tacy rodzice...

— Wszystko jedno, jacy. To w tej chwili nie jest

75

ważne. Ważne, że ma rodziców, i ostatecznie oni decydują o swoim dziecku.

— Ale Paweł nie jest już dzieckiem! — zaprotestowałem.

— Według ciebie nie, a według prawa jeszcze jest. Nie, to mi zupełnie się nie podoba. Jakieś

dziwne

prawo. Jeżeli rodzice się rozwodzą, to „dziecko” powinno sobie wybrać, u kogo chce mieszkać. Tu jest coś nie tak, jak trzeba. I znów, po raz nie wiem który, ten święt wydał mi się tak zawikłany, że nie sposób cokolwiek zrozumieć. I jak się w tym wszystkim poruszać?

— Tato, a gdyby porozmawiać z matką Pawła, co? Może zgodziłaby się?

— Może... — odpowiedział w zamyśleniu — spróbować zawsze można.

— Spróbujemy?

— Jeżeli ci tak bardzo na tym zależy... Możemy spróbować.

— To tata rozmawia z matką Pawła?

— A czy ja coś mówiłem? Jak by to wyglądało, wtrącać się w czyjeś prywatne sprawy...

— Ale Paweł... Przecież on już u nas prawie mieszka!

— To nie ma nic do rzeczy. Może mieć co prawda jakiś wpływ, ale...

— No więc, rozmawia tato? — nalegałem.

— Zobaczymy, zobaczymy...

Skoro tata mówi „zobaczymy”, to na pewno rozmawia. Dobra jest! Wszystko w porządku. Ojciec rozmawia z matką Pawła, przekona ją, że Paweł powinien mieszkać u nas, i wszystko będzie super. Żeby tylko Paweł się zgodził... Zadzwoił telefon.

— Słucham?

— Jurek? Gośka mówi. Słuchaj, masz trochę czasu?

— Mam. A co chciałaś?

76

\ — JTUSZIJ-Dysiny шиле guiira, jaił. iijf oiim :

— Może byśmy i poszli. A dokąd?

— Ja wiem, może na spacer... — zaproponowała.

— Możemy iść. Gdzie się spotkamy?

— Przyjdź do mnie do domu, dobrze?

— Dobra. Zaraz wychodzę.

— No, to na razie — odłożyła słuchawkę.

— Dokąd się wybierasz? — zapytała mama widząc, że wkładam kurtkę.

— Idę do Gośki. Niedługo wrócę...

Mama jeszcze coś mówiła, ale nie słyszałem co, bo byłem już za drzwiami.

Gośkę poznałem miesiąc temu. Właściwie już wcześniej rozmawialiśmy ze sobą, ale były to zwykłe rozmowy, takie, jakie prowadzi się w szkole. Chodziła do naszej klasy, była dobrą uczennicą i chyba jedyną rozsądną dziewczyną w tym towarzystwie. Można było porozmawiać z nią poważnie o filmie, o książkach, w ogóle o wszystkim. Lubiłem Gośkę, nie ma czego ukrywać. Miała ładne niebieskie oczy, długie, spadające na ramiona włosy. Ubierała się zawsze w błękitne sweterki. Podobała mi się. No co, przecież dziewczyna może podobać się chłopakowi, nie?!

Poszedłem po nią do domu. Ubrała się szybko i wyszliśmy. Opowiadała mi, że jej mama wyjeżdża za tydzień do Francji, że obiecała przywieźć jej coś ładnego. Pomyślałem sobie: „No cóż, nie każdy może mieć mamę aktorkę, wyjeżdżającą ciągle za granicę... Niektórzy mają całkiem inne matki...”

Wracaliśmy prawie pustymi ulicami. Gośka mówiła coś bez przerwy, ale nie wiem co, bo jej nie słuchałem. Cały czas myślałem czy Paweł da się wreszcie namówić na przeprowadzkę do mnie, czy nie. Widocz-

77

nie Gośka zauważyła moje dziwne zachowanie, bo spytała:

— Dlaczego ty jesteś dzisiaj taki małomówny?

— Mam kłopoty... — odpowiedziałem wymijająco. Po co ma wiedzieć... Co ją obchodzą nasze sprawy.

— Ty masz kłopoty? — zdziwiła się.

— Ja... no, prawie ja.

— Nic nie rozumiem.

— Paweł ma kłopoty w domu. — Jednak wyciągnęła to ze mnie. — Nie ma teraz gdzie mieszkać.

Wiesz, jego rodzice... — i zacząłem opowiadać całą historię od początku. Słuchała uważnie. A kiedy powiedziałem, że chcę, aby Paweł przeprowadził się do nas, przerwała mi.

— Jedyne rozsądne wyjście. Powinien przenieść się do ciebie. Twoi rodzice nie mają nic przeciwko temu?

— Nie.

— No, to w takim razie, wszystko jest w porządku.

— Tak, tylko widzisz, Paweł nie chce.

— Nie rozumiem, dlaczego? Powinieneś go namówić.

I bez jej rady wiedziałem, że właśnie tak, a nie inaczej muszę postąpić. Z Pawłem porozmawiam jutro. Na pewno go przekonam.

Piątek jest najgorszym dniem w szkole. Siedem lekcji z historią włącznie.

Paweł zjawił się dzisiaj na lekcjach i nawet się nie spóźnił.

— Paweł, no i jak? — zapytałem.

— Co?

— No jak, będziesz mieszkał z ojcem?

Nic nie odpowiedział, tylko kiwnął przecząco głową.

— A z matką?

— Też nie. Wiesz, będę mieszkał u babci pod Warszawą. Ma tam swój domek i mały ogródek. Tam jest całkiem fajnie.

78

— Wiem, byliśmy tam Kieays.

— Będziesz mógł przyjeżdżać do mnie, ja będę przyjeżdżał do ciebie, dobra?

— Nie.

Moja odpowiedź bardzo go zdziwiła.

— Dlaczego nie?!

— Bo ty nie wyjedziesz! — powiedziałem stanowczo. — Nigdzie nie wyjedziesz.

— Co ci wpadło do głowy? Dlaczego mam nie wyjechać? — zdziwił się.

— Najwyczajniej w świecie, nie pojedziesz do babci! Będziesz mieszkał w Warszawie! Będziesz mieszkał u mnie!

— Nie, Jurek, mówiłem ci już, że nie mogę mieszkać u ciebie. Wiesz, to nie są takie proste sprawy... — zawiesił głos.

— Paweł, a może ty nie chcesz ze mną mieszkać. Może nie odpowiada ci moje towarzystwo, co?

— Dlaczego tak mówisz? Wiesz doskonale, że gdybym miał mieszkać nie w swoim domu, to na pewno mieszkałbym u ciebie, ale... — chwilę milczał — ... ale wiesz, to jest tak: jeśli ktoś ma swój dom, to nie powinien się z niego wyprowadzać.

To racja. Trzymał się tej zasady i nie mógł zrozumieć, że właściwie nie miał już swojego domu.

— A jednak — próbowałem ostatni raz — jeżeli się namyślisz, to zawsze możesz przyjść. Moi rodzice zgodzili się.

Uśmiechnął się tylko i nic nie odpowiedział. No cóż, nie chce — trudno. Nie będę się wieszać z tego powodu. I znów ogarnęła mnie jakaś złość, myślałem cały czas o nim, wymyśliłem dla niego wyjście z tak trudnej sytuacji, a on odrzuca moją propozycję, odrzuca moją pomoc. I gdzie tu wdzięczność? Ludzie jednak są okropni, nie potrafią docenić wysiłków innych ludzi.

79

Do domu wróciłem zły jak sto nieszczęść. Nie chciało mi się nic robić. Nawet obiadu nie jadłem. Jakieś dziwne zniechęcenie do wszystkiego. Położyłem się na tapczanie z zamiarem czytania książki. Zadzwoił telefon. Gośka.

— Jurek, wychodzisz gdzieś? — zapytała piszczącym głosem.

— Nie, a co?

— Zły jesteś na mnie, że zadzwoniłam?

— Nie jestem wcale zły. Co chciałaś?

— W takim razie wydawało mi się tylko. Co chciałam?... Chciałam, żebyś przyszedł do mnie. Nie mogę dać sobie rady z rosyjskim. Myślałam, że mi pomożesz, co?

— Bardzo chętnie. A kiedy mam przyjść?

— Możesz nawet zaraz — ucieszyła się. — Przyjdiesz?

— Tak. Na razie, cześć! — Odłożyłem słuchawkę. W drzwiach przywitała mnie mama Gośki.

— Dobry wieczór, Jurku. Cieszę się, że przyszedłeś. Gosia nie może sobie poradzić z rosyjskim. Pomożesz jej, prawda?

— Tak — powiedziałem.

Odebrała ode mnie kurtkę i powiesiła na wieszaku, a ja poszedłem do pokoju Gośki. Siedziała przy biurku, na którym leżały książki i zeszyty.

— Cześć! — powiedziała wesoło. — Popatrz, nie mogę dać rady... To tłumaczenie... Dojechałam do połowy i ani rusz dalej.

— Nie czytałaś tej czy tanki?

— Przecież wiesz, że chorowałam. Dopiero od poniedziałku chodzę do szkoły. '

Weszła mama Gośki.

— No jak, dajecie sobie jakoś radę?

— Tak, zaraz skończę.

80

— Może napijcie się herbaty?

— Ja dziękuję — powiedziałem.

— Mamo, nie pytaj, tylko daj. Wiesz, jaki Jurek jest, żeby miał z głodu umrzeć, to też powie „dziękuję”. Wstydzi się.

Mama roześmiała się i wyszła z pokoju. Gośka zebrała z biurka zeszyty i schowała je do teczki.

— Co tam u Pawła? — zapytała nagle.

— Nic nowego. Powiedziałem mu, że mógłby się przeprowadzić, ale on nie chce. Przekonywałem go, a on nic.

— Dlaczego?

— Czy ja wiem... Uparł się i już.

— A gdybyś spróbował go przekonać?

— Próbowałem. Nic z tego. Wiesz, jaki on jest, kiedy się uprze, to nic już nie pomoże, żadna siła.

Taki ma charakter.

— Dziwny... — zamyśliła się. — Zupełnie go nie rozumiem.

Weszła mama Gośki z herbatą. Postawiła szklanki na stole.

— Pijcie, dzieci. Ja muszę już pędzić do teatru. No, bawcie się dobrze — wyszła z pokoju lekko zamykając drzwi za sobą.

W tej samej chwili zadzwonił telefon.

— Jeśli do mnie, to powiedz, że wyszłam już do teatru — krzyknęła z korytarza.

Gośka podeszła do telefonu. Słuchała przez chwilę.

— Jurek, do ciebie — powiedziała i podała mi słuchawkę.

— Do mnie?! — zdziwiłem się. — Kto?

— Paweł. Chyba coś się stało...

— Słucham?! — prawie krzyknąłem.

— Jurek?

— Tak, słucham.

— Wiesz, ja jutro nie przyjdę do szkoły. Powiedz wychowawczynie, że mnie nie będzie, dobra?

— Dobrze. Ale dlaczego nie przyjdiesz?

— Idę jutro do sądu.

— Ty?! Po co?

— Jutro będzie sprawa rozwodowa. Podobno muszę być, chociaż właściwie to nie ja się rozwodzę... — próbował żartować. Widocznie był bardzo zdenerwowany. — Tak powiedzieli rodzice. Skoro muszę... Powiesz wychowawczynie? Tylko wiesz, nie mów tego przy klasie, dobra? Po co wszyscy mają wiedzieć.

— Dobrze. W poniedziałek przyjdiesz?

— Nie wiem. Zależy, komu mnie przyznają. Jeżeli ojcu, to pewnie nie przyjdę. Będę się musiał przygotować do wyjazdu. Rozumiesz...

— Rozumiem. Ale przynajmniej przyjdź do mnie przed wyjazdem!

— Przyjdę na pewno. Wiesz, muszę już kończyć, bo tu kolejka do automatu. Cześć!

— Cześć! Trzymaj się!

— Dziękuję... — chrobot w słuchawce, a potem cisza.

— Czy coś się stało? — zapytała Gośka.

— Nie, nic. Mówił tylko, że nie przyjdzie jutro do szkoły. Idzie z rodzicami do sądu.

— Też! Mogliby dać mu święty spokój. Ja bym powiedziała: „Chcecie się rozwodzić, to się rozwódźcie, a mnie dajcie spokój. Co mnie to obchodzi?!” A on się tak wszystkim przejmuję. I po co?

— On tak zawsze... — urwałem w połowie zdania.

Co za głupie gadanie „nie obchodzi”, ją też by obchodziło. Przecież to nie jest zupełnie obojętne, czy się będzie miało obydwoje rodziców, czy tylko jedno z nich. Dla Pawła to jest bardzo ważne.

82

— Gośka, ja już chyba pójdę. Muszę jeszcze coś załatwić — powiedziałem po chwili milczenia.

— Dopiero co przyszedłeś i już chcesz iść? Ty też za dużo się wszystkim przejmujesz. Jesteście obaj jednakowi...

— Chyba tak. Wiesz, Paweł jest moim przyjacielem, nie mogę zostawić go samego.

Kiedy wychodziłem, Gośka powiedziała:

— Przestań się wreszcie martwić o niego. Zajmij się sobą chociaż trochę...

Lubię Gośkę, ale jej rady „przestań się martwić” zdenerwowały mnie. Ja dam sobie jakoś radę, a Paweł? Paweł wyjedzie pewnie z Warszawy, zapomni o mnie, będzie miał nowych kolegów, nowych przyjaciół... Właściwie nie ma po co się wysilać. Świata i tak nie zmienię.

Następny dzień w szkole minął bez żadnych większych niespodzianek. Na poniedziałek zadali nam niedużo, więc będzie można odpocząć trochę przez niedzielę. Umówiłem się z Gośką, że pójdziemy

dzisiaj do teatru. Dawno nie byliśmy razem w teatrze.

Po powrocie do domu zjadłem obiad i zacząłem szykować się do wyjścia. Kąpałem się, kiedy przyszedł Paweł. Usiadł na brzegu wanny, spuścił głowę.

— Byłeś dzisiaj w sądzie? — zapytałem.

— Byłem — odpowiedział krótko.

— I co?

— Nic. — Był bardzo przygnębiony.

— Nic? Z kim będziesz teraz mieszkał?

Chwila milczenia. Westchnął głęboko, wreszcie powiedział :

— Z matką...

— Dlaczego?

— Jak to dlaczego?! — Uniósł nagle głowę. — Ty jesteś chyba nieprzytomny! Sąd tak postanowił i nie

e* 83

ma na to rady. Takie są przepisy. Wszystko dla dobra człowieka, a w rezultacie ja muszę mieszkać z matką, chociaż nie chcę, tak? A ty myślisz, że będę z nią mieszkał?

— Nie wiem... — powiedziałem niepewnie. — Chyba będziesz...

— Nie! Nie chcę z nią mieszkać i nie będę.

— Rób, jak chcesz. Nie mogę ci nic radzić. Chciałem, żebyś mieszkał u mnie, dałoby się to jakoś załatwić. Nie chcesz... To co ja jeszcze mogę ci zaproponować?

— Ty ciągle swoje! Mówiłem ci, że mam dom i nie muszę się nigdzie wyprowadzać! Będę mieszkał u siebie.

— To znaczy gdzie? — Moje pytanie zastanowiło

go.

— Gdzie?... Nie wiem... a po chwili — u babci.

— I w połowie roku przeniesiesz się do innej szkoły? Głupi jesteś. Mógłbyś zostać do końca roku u mnie, a w czasie wakacji....

— Nie zostanę u ciebie — nie dał mi skończyć. — Przeprowadzę się do babci teraz, jeszcze w tym tygodniu.

— Paweł, zastanów się...

— Już się zastanowiłem. Nie potrzebuję żadnych porad, wiem, co mam robić.

— Trudno. W takim razie pożegnamy się. Chyba napiszesz kiedyś do mnie?

— Tak... — znów zamyślił się.

— Paweł, czy ty naprawdę chcesz wyjechać? — spytałem po chwili.

— Nie chcę, ale muszę.

— Wiesz, zawsze mówiłeś, że jesteśmy przyjaciółmi. W takim razie, jeżeli naprawdę jesteśmy przyjaciółmi, proszę cię, zostań do końca roku. — Chciał coś powiedzieć, ale nie dałem mu dojść do słowa. —

84

Me mów, że musisz. uayDys cnciai, zostaiDys na pewno. Tylko że ty nie chcesz. Po prostu nie chcesz. Jeżeli uważasz, że nasza przyjaźń tak powinna się skończyć, to jedź. Jedź sobie, dokąd chcesz. Tylko nie mów, że jesteś moim przyjacielem. A jeśli jesteś, zostań!

— Jurek, przecież nie mogę mieszkać u ciebie, o rany! Jak ty lubisz znęcać się nad człowiekiem! Przecież twoja mama i tak ma dużo roboty.

— Mama zgodziła się. Ojciec też. Powiedział, że porozmawia z twoją matką. Paweł, nic nie stoi na przeszkodzie. Jeżeli się tylko zgodzisz, wszystko się załatwi. Pomyśl trochę i zdecyduj się.

Przypomniałem sobie, że umówiłem się z Gosią do teatru.

— Przepraszam cię, ale muszę teraz wyjść. Sam rozumiesz, dziewczyna. Jeżeli chcesz, to zostań. Obejrzyj film w telewizji.

— Nie, pójdę do domu. Wstał, obciągnął kurtkę.

— Cześć! — powiedział i wyszedł z łazienki.

— Zadzwoń do mnie jutro! — krzyknąłem za nim. Nie zadzwonił jednak, a przyszedł.

— Dzień dobry. Czy Jurek jest w domu? — zapytał mamę.

— Nie, Pawełku, wyszedł do Gosi.

— A kiedy wróci?

— Nie wiem. Nic nie mówił, ale chyba przed kolacją będzie. Masz do niego jakąś sprawę?

— Nie, nie. Nic ważnego. To ja jeszcze przyjdę później.

— Oczywiście, przyjdź, proszę. A może zadzwonić po niego?

— Nie, nie. Przyjdę później. Przepraszam. Do widzenia.

— Do widzenia, Pawełku.

85

— Teraz kolej na Jurka! — powiedziała Hanka. — Jurek, wychodź za drzwi. Będziesz zgadywał, co zmieniliśmy.

— Dajcie z tym spokój. Zatańczmy lepiej. Wojtek włączył adapter.

— Przepraszam, czy Jurek już wrócił? — zadzwieczał w słuchawce głos Pawła.

— Nie, jeszcze go nie ma. Jest u Gosi. Zadzwoń do niego — powiedziała mama.

— Nie, nie będę mu przeszkadzał. Jeżeli pani pozwoli, to ja później jeszcze raz zadzwonię. Przepraszam bardzo — odłożył słuchawkę.

Mama uśmiechnęła się i powiedziała do ojca siedzącego przed telewizorem:

— Życ bez siebie nie mogą...

Zmęczeni tańcem siedzieliśmy na podłodze i opowiadaliśmy różne swoje przygody. W pewnym momencie Gośka pociągnęła mnie za rękaw do drugiego pokoju. '

— Co z Pawłem? — zapytała cicho.

— Nic. Powiedziałem mu, że jeżeli jest moim przyjacielem, to powinien zostać w Warszawie. Dałem mu do jutra czas do namysłu.

— Postawiłeś go w trudnej sytuacji — powiedziała po chwili. — Gdybyś kazał mi wybierać między rodzicami a tobą...

— Ale zrozum, przecież on właściwie nie ma już rodziców. Sąd przyznał go matce, a on nie chce z nią mieszkać — tłumaczyłem.

— Wszystko jedno, jakoś to niezbyt ładnie załatwiłeś.

— A co? Miałem mu pozwolić wyjechać?! 86

— Nie, ale można było załatwić to inaczej, czy ja wiem... rozsądniej...

— Przecież nic się nie stało — broniłem się.

— I może się nie stanie. Może... — spojrzała na mnie i wróciła do pokoju, w którym znów tańczono.

Nie rozumiałem, o co jej chodzi. Sama mówiła, że powinienem nakłonić Pawła do zostania, a teraz ma pretensję. O co?

Do domu wróciłem późno. Mama czekała z kolacją. Udzieliła mi lekcji na temat: „O której godzinie powinienem wracać do domu”. Z idealnym spokojem wysłuchałem „kazania”, zjadłem szybko i poszedłem się myć. Mama zebrała ze stołu talerze i zajrzała do łazienki.

— Paweł był dzisiaj u ciebie — powiedziała przez uchylone drzwi.

— Co chciał?

— Nie wiem. Miał zadzwonić, ale widocznie się rozmyślił.

— Mógł zadzwonić do Gośki. Wiedział, gdzie jestem.

— Może nie chciał...

— Jakby miał coś ważnego, to by zadzwonił.

— Ja też tak myślę... — Mama przytknęła drzwi. — Tylko nie siedź długo w łazience — powiedziała odchodząc.

Chlapałem się chyba z pół godziny. Wreszcie zupełnie zmęczony poszedłem spać. Kiedy się obudziłem, była dziesiąta. Paweł siedział w fotelu i czytał książkę.

— Dlaczego mnie nie obudziłeś? Dawno przyszedłeś?

— Nie, niedawno — powiedział znad książki.

— Stało się coś?

— Nie, nic się nie stało — powiedział to dziwnie rzeczowym tonem.

87

Leżałem patrząc w sufit. Paweł ciągle czytał. Wreszcie odłożył książkę, podszedł do mojego łóżka i powiedział:

— Wiesz, rozmawiałem z matką. Mówiłem jej, że przeprowadzę się do ciebie...

— Zgodziła się?

— Tak — odpowiedział dopiero po chwili.

— No, to wszystko w porządku — ucieszyłem się. — Kiedy się sprowadzisz?

— Nie wiem, może w przyszłym tygodniu. Wiesz, może byłoby dobrze, gdyby twój ojciec porozmawiał z moją matką.

— Jasne! Już mówiłem tacie, żeby wybrał się do was. Powiedział, że jak znajdzie trochę czasu, to pójdzie. Zobaczysz, wszystko da się załatwić. Najważniejsze, że się zgodziłeś. Bardzo się cieszę, że będziemy mieszkali razem, a ty?

— Ja... też — odpowiedział z pewnym wahaniem. — Tak, naprawdę się cieszę.

Posiedział u mnie jeszcze kilkanaście minut. Rozmawialiśmy o różnych rzeczach związanych z jego przeprowadzką. Początkowo Paweł był raczej przygnębiony, jeszcze coś w sobie trawił, później przeszło mu. Był znów sobą: wesoły, dowcipny i rozgadany.

Ojciec wybrał się do matki Pawła w środę. Miał akurat trochę wolnego czasu. Nie wiem, o czym z nią rozmawiał. Nie chciał nic powiedzieć. W każdym razie matka Pawła zgodziła się na przeprowadzkę syna, ale tylko do końca roku szkolnego. Dobre i to — chociaż przez parę miesięcy Paweł będzie mieszkał u nas. Potem — zobaczymy. Cały tydzień wypełniony był przygotowaniem do przeprowadzki. Przystawialiśmy meble, ja wyrzucałem ze swojej półki niepotrzebne zeszyty, leżące tam od niepamiętnych czasów. Wstawiliśmy łóżko, na którym miał spać Paweł. Wszystko było właściwie przygotowane. Brakowało tylko najważniejszego — Pawła.

Czas dłużył się w nieskończoność. Sobota, dzień, w którym Paweł miał zamieszkać u mnie, była niby tak blisko, a jednak ciągle pozostawało do niej masę czasu: cztery dni, trzy, dwa, jeden...

Wreszcie nadszedł oczekiwany dzień.

To miał być uroczysty dzień, najważniejszy, a tu w zeszłym tygodniu w czasie prywatki umówiłem się z Gošką, że pójdziemy do jej koleżanki na urodziny. Trudno było mi się wymówić, no bo jak? Nie wypadało. Ale głupio byłoby też, gdybym tego dnia nie został w domu. Stałem przed problemem: jak zrobić, żeby Goška się nie obraziła i żeby być w domu? Prawdę mówiąc, miałem wielką ochotę iść na te urodziny. Ale iść akurat dzisiaj, kiedy Paweł ma się do mnie przeprowadzić? Nie, tak nie można. Długo nad tym myślałem i wreszcie wymyśliłem: jest wyjście! Pójdę na urodziny, ale będę również w domu. Niemożliwe? Owszem, możliwe. Po prostu pójdę z Gošką do jej koleżanki na czwartą. Paweł ma przyjść do mnie o szóstej, tak postanowili nasi rodzice (musieli się jednak wtrącić!). Wyjdę więc z urodzin przed szóstą i będę czekał w domu na Pawła. A później razem, ja i Paweł, pójdziemy z powrotem. Rozwiązanie chyba nie najgorsze.

O trzeciej przyszła do mnie Goška.

— Gosiu, mam do ciebie prośbę. Czy mogłabyś porozmawiać z tą swoją koleżanką... Mówiłem ci, że Paweł ma dzisiaj przeprowadzić się do mnie. Będzie o szóstej. Czy nie mógłby przyjść do niej. Zapytaj, dobrze?

— Ty bez Pawła nigdzie nie możesz się ruszyć! — powiedziała ironicznie.

— Mogę, ale wiesz... Dzisiaj jest niezwykły dzień. Rozumiesz chyba?

— Rozumiem. Zapytam ją, oczywiście. Gotów byłbyś zwać z urodzin i siedzieć z nim tutaj przez cały wieczór.

Wyglądało to na zazdrość. Ciekawe, Goška jest o mnie zazdrosna? Może tylko wydaje mi się... Chyba nie?

— Powiedz, czy ty jesteś o mnie zazdrosna? — zapytałem, kiedy wyszliśmy na ulicę.

— O ciebie?! Przesadzasz.

— A jednak... wydaje mi się, że jesteś.

— To dobrze ci się wydaje! — powiedziała szybko. Śmieszne, nie? Ona jest o mnie zazdrosna! Nigdy mi przez myśl nie przeszło, że ktoś może być o mnie zazdrosny. A jednak... I to ona właśnie. Przyznam się szczerze, że to całkiem przyjemne uczucie.

Kiedy zadzwoniliśmy do drzwi, była czwarta. Otworzyła nam dziewczyna o kruczoczarnych, ściętych krótko włosach. Miała na sobie czarny sweterek i spódnicę w dużą jaskrawą kratę.

— Cześć! Jesteście punktualni! — uśmiechnęła się miło. — Jest już kilka osób. Rozbierzcie się tutaj. Powieście płaszcze na wieszaku i chodźcie do pokoju. Przedstawię was.

Powiesiliśmy nasze płaszcze, Gośka poprawiła przed lustrem włosy. Marta zaprowadziła nas do pokoju.

— Przedstawiam wam Gosię i Jurka — powiedziała uroczystym głosem do kilku osób siedzących na tapczanie. Przerwali rozmowę. — Poznajcie się: Ania, Ewa, Zbyszek, Stefan, Marek — przedstawiała kolejno swoich znajomych.

Czułem się obco, nikogo nie znałem. Wszyscy byli znajomymi Marty. Właściwie żałowałem, że przyszedłem tutaj, co to za zabawa w obcym towarzystwie?

90

To Gośka zaciągnęła mnie prawie siłą. Mówiła, że Marta jest całkiem miła. Nie wiem, może. Mnie nie podobała się. Jest za bardzo pewna siebie. Gośka też jest ważna, ale to zupełnie co innego. Marta z pomocą Zbyszka i Stefana wyniosła krzesła z pokoju. Marek włączył adapter i zaczęliśmy tańczyć. Po kilku tańcach rozkręciłem się jakoś. Poczułem się pewniej w tym towarzystwie. Marta wydała mi się teraz inna niż na początku. Była wesoła i niewymuszenie dowcipna. Świetnie tańczy, kto wie, może lepiej niż Gośka... W pewnym momencie ktoś spytał o godzinę. Spojrzałem na zegarek. O rany! Za piętnaście szósta! Przeprosiłem wszystkich. Powiedziałem, że zaraz wrócę z kolegą, i wybiegłem na ulicę. Do domu było niezbyt daleko.

Jednak kiedy wchodziłem na schody, było już dziesięć po szóstej.

— Paweł już przyszedł? — zapytałem jeszcze w drzwiach.

— Nie, jeszcze go nie było — odpowiedziała mama. — Pewnie zaraz przyjdzie. Jest przecież punktualny.

Wszedłem do swojego pokoju, spojrzałem jeszcze raz na przestawione meble. Wszystko w porządku, może przychodzić. Usiadłem w fotelu. Byłem zdenerwowany. Nie wiem dlaczego. Widocznie jestem nerwowy. Czekając na Pawła przewróciłem kilka stron książki, próbowałem czytać. Nie wychodziło. Myliły mi się wiersze, nie mogłem się skupić.

Wpół do siódmej. Pawła jeszcze nie ma. Może coś się stało? Może zadzwonić do niego? Przecież nie ma telefonu. Może pójść?

Za dwadzieścia siódma. Oni tam pewnie bawią się w najlepsze, a ja czekam tutaj jak głupi. A jeżeli

Pawłowi strzeliło coś do głowy i rozmyślił się? Z nim nig-

91

dy nic nie wiadomo. Nie, nie, gdyby się rozmyślił, na pewno by zadzwonił.

Za piętnaście siódma. Jeżeli za pięć minut nie przyjdzie, wychodzę. Nie będę dłużej czekać na niego. Zostawię kartkę z adresem. Jak będzie chciał, to przyjdzie.

— Mamo, wracam do Marty. Zostawiłem dla Pawła kartkę. Zadzwoń po mnie, jak przyjdzie.

— Dobrze. Tylko wróć przed dziesiątą.

W kilkanaście minut później byłem na miejscu.

— A gdzie Paweł? — spytała Gośka.

— Jeszcze nie przyszedł. Zostawiłem kartkę. Jak się zjawi, to mama zadzwoni po mnie.

— Może trzeba było jeszcze trochę poczekać?...

— Czekałem prawie godzinę.

Poszliśmy do pokoju. Wszyscy mieli świetne humory. Tańczyliśmy trochę, potem zjedliśmy przygotowane kanapki i znów tańczyliśmy. Co chwila spoglądałem na zegarek. Było już po dziewiątej, a mama nie dzwoniła. Co się stało z Pawłem? Może miał jakiś wypadek? Kiedy się czeka, zawsze przychodzą do głowy głupie myśli.

Wreszcie koło wpół do dziesiątej zadzwieczał telefon. Podniosłem słuchawkę.

— Mama? Jest Paweł?

— Był i poszedł.

— Jak to?... — nic nie rozumiałem. — Jak to „poszedł”?!

— Przyszedł przed chwilą, spytał, czy jesteś. Powiedziałam, że jesteś z Gosią u Marty. Chciałam zadzwonić, ale on nie czekał. Zostawił tylko kartkę dla ciebie.

— Jaką kartkę?

— Nie wiem, nie czytałam.

— Przeczytaj mi ją przez telefon.

— Chwileczkę... — chrobot, a po chwili znów głos mamy. — Słuchasz? Jurek. Nie mogę mieszkać u ciebie. Wyjeżdżam z Warszawy dzisiaj o 22,10 z Głównego. Jeżeli będziesz mógł, przyjdź na dworzec. Chciałbym się z Tobą pożegnać. Cześć! Paweł.

— To wszystko?! — niemal krzychałem w słuchawkę. — Nic nie mówił?! —

— Nie. Dał mi tylko tę kartkę i poszedł.

— Mamo, jadę na dworzec!

— Jurek...

Nie słuchałem. Zarzuciłem kurtkę i wybiegłem na ulicę. Autobus włókł się nieskończenie długo. Zdyszany wbiegam na dworzec. Zegar wskazuje dziewięć minut po dziesiątej. Może zdążę... Wybiegam na peron. Stoją dwa pociągi. W którym z nich jest Paweł?

— Przepraszam pana — pytam jakiegoś kolejarza — z którego toru odchodzi pociąg o 22,10?

— Z piątego... — odpowiada po namyśle.

— Dziękuję!

Teraz znaleźć piąty tor.

— Halo, chłopcze! — woła za mną kolejarz. — Ten pociąg już odjechał...

— Jak to?!

— Jest już wpół do jedenastej. Odszedł punktualnie dwadzieścia minut temu.

— A na tym zegarze jest dopiero... — nie wierzyłem w jego słowa.

— Ten zegar jest zepsuty. Stoi już od tygodnia... Do domu wróciłem pieszo. A więc Paweł odjechał.

A ja nie wiem, dokąd i dlaczego. Powinienem być siedzieć w domu i czekać na niego. Miał się przecież sprowadzić do mnie. Po co ja poszedłem na te urodziny?! Gdybym nie poszedł... Nawet się nie pożegnaliśmy. Pewnie niedługo przyjedzie...

Znów siedzę sam w ławce w rogu klasy. Tak jak chciałem. Tylko że teraz ta ławka jest pusta...

Siedzę sam. Brakuje Pawła. Kilka dni szukałem kogoś, kto mógłby mi powiedzieć, dokąd Paweł wyjechał. Nikt nic nie wiedział. Ani wychowawczynie, ani nikt w klasie. Byłem w jego domu. Dozorczynie powiedziała, że państwo Stencowie wyprowadzili się. Dokąd? Tego nie wiedziała. Czekałem na list od Pawła, na jakąś wiadomość. Nie napisał. Dlaczego?

Minęło kilka lat. Czas zatarł w pamięci ślady tamtych dni. Nie pamiętam już wielu szczegółów, to tylko niedokładna rekonstrukcja. Zaczęłem pracować, poznałem nowych ludzi, nawiązałem nowe przyjaźnie.

Ale wiesz, nie spotkałem człowieka, który by tak jak Paweł przepisywał cały wieczór swoje opowiadanie, żeby dać je przeczytać przyjacielowi...

K. Siesicka

Urszula

— Kłamiesz! — mówi mama. — Zwyczajnie kłamiesz !

Patrzy mi prosto w oczy, taka jest pewna mojego kłamstwa, taka jest przekonana o swojej racji. Milczę.

— Kłamiesz! — powtarza jeszcze raz.

Ten wzrok. Zakrywam twarz rękoma, ale czuję jej spojrzenie, nie mogę przed nim uciec, nawet gdybym wyszła z domu, powędrowałoby za mną jak cień.

— Lepiej powiedz mi prawdę. I tak wyjdzie w końcu szydło z worka. Och, Urszulo, tylko bez hysterii!

Bez hysterii? Tak, płaczę, ale to nie jest histeria.

— Wiem, że jest ci wstyd! — mówi mama. — Każdemu człowiekowi musi być wstyd, jeżeli wychodzą na jaw jego kłamstwa. Tylko prawda może wszystko naprawić, Urszulo, więc powiedz mi prawdę...

Milczę, milczę.

— No, powiedz! — nalega mama.

Czeka przez chwilę, ale ja nie mogę wydobyć z siebie ani słowa. Potem mama wychodzi. Jestem

sama, chyba jeszcze nigdy w życiu nie byłam tak bardzo sama. Staję przy oknie i patrzę w dół. W czworokącie podwórza bawią się dzieci, ale wiem, że niedługo rozejdą się do domów, bo zaczyna się zmierzch, w oknach sąsiednich domów zapalają się już światła, tylko widzę, że przez podwórze idzie Jacek. Zatrzymuje się pod moim oknem, podnosi głowę, składa dłonie wokół ust i woła:

— Urszuuulaaa!

Ale mnie nie ma w domu dla nikogo, nawet dla Jacka, który stoi jeszcze przez chwilę. Znowu woła, już chyba cały dom słyszy to moje imię, tylko ja udaję, że nie słyszę. Przypomina mi się scena z filmu, który oglądałam niedawno, tam też był chłopiec wołający z dołu i dziewczyna ukryta za firanką.

A może każdy ma swoją taśmę, na której kręci własny film? Jeżeli tak, to moja urwała się przed chwilą. Trudno mi będzie dokleić do niej następny odcinek, ten z dalszym ciągiem, bo jestem chyba bardzo złym reżyserem, jeśli mama z takim przekonaniem powiedziała: „Kłamiesz! Zwyczajnie kłamiesz!” wtedy, kiedy ja przecież mówiłam prawdę.

Wszystko ma swój początek, swoje „gdyby nie”. Odejdź, Jacku, nie wołaj mnie, muszę teraz zostać sama, muszę zdobyć się na sprawiedliwy sąd. Łatwo jest sądzić innych, ale siebie — piekielnie trudno. Być może rozłożę swój „towar”, jak przekupka na wózku: na wierzchu same zalety, same racje, a pod spodem wady. Jeżeli tak zrobię, nigdy nie odnajdę początku tej historii, która sprawiła, że nagle urwała się taśma mojego filmu.

Czy lubisz piątkowe popołudnia? Ja bardzo lubię. Czy może być coś cudowniej szego niż świadomość, że jutro będzie sobota? Najbardziej wariackie pomysły przychodzą mi do głowy w piątek po południu. Może właśnie dlatego wszystko zaczęło się w tym dniu? Maryśka przyniosła bilet do kina. Na następny dzień. Na jedenastą. — Pójdiesz?

— Pójdę.

Gdyby nie te bilety! Gdyby nie te wagary. „Gdyby nie”. Kiedy jestem w kinie, zapominam o sobie. O swoich latach, o swoim zadartym nosie, o granatowym fartuchu z białym kołnierzykiem. To ja kocham szeryfa w małym miasteczku na dzikim zachodzie, to ja idę po szerokich schodach wspaniałego zamku, to ja tańczę w ramionach Roberta Moora. A wtedy, w sobotę, właśnie w tej samej chwili, w której nasz matematyk zawołał „Urszula, proszę do tablicy!”, opierałam głowę o ramię Gregory Pecka i byłam taka szczęśliwa! Matematyk rozejrzał się po klasie, wpisał mi nieobecność do dziennika, zapytał Iwonę, a Gregory Peck szepnął mi do ucha: „Kocham cię!”

Następna była historia. Jechaliśmy z Gregorym wzdłuż wybrzeża, on prowadził wóz, morze było spokojne i nie myślałam wcale o tym, że gdzieś, daleko stąd, jakaś pani wyjaśnia jakiejś klasie

przyczyny upadku jakiegoś powstania i że w dwa dni później może zażądać tych samych wyjaśnień ode mnie.

No i zażądała. Ja wiem, Jacku, że chciałeś mi podpowiedzieć. Wyglądałeś śmiesznie, jak ryba wyjęta z wody, bezgłośnie poruszająca pyszczkiem. Niestety.

— Naucz się, Urszulo! — powiedziała pani Lipińska miłosiernie. — Zapytam cię na następnej lekcji.

— Naucz się, Ulka! — powiedziałeś. — Znasz ją, ona cię zapyta.

Ze wszystkich moich kuzynek najbardziej lubię Renatę. Może dlatego, że pozostałe są dużo starsze i traktują mnie z góry. Renata jest inna. Nie pyta o szkołę, o stopnie, nie każe mi się już teraz zastanawiać nad wyborem zawodu, chociaż też jest starsza ode mnie.

99

— Którego wieszczę lubisz najbardziej? - zapytała mnie kiedyś Iza.

— Żadnego nie lubię! — odpowiedziałam. — Moim wieszczem jest Gałczyński.

I wtedy Iza wzruszyła ramionami, obraziła się.

— Pytam poważnie! — powiedziała.

I nie potrafiła zrozumieć, że ja też odpowiedziałam poważnie. Po prostu nie pamięta, że kiedy miała czternaście lat, to też żaden wieszcz jej się nie podobał. Druga moja kuzynka, Zuzanna, też mnie nie rozumie.

— Czternastoletnia dziewczyna nie powinna być taka rozkudłana! — mówi często, patrząc na mnie z wyraźnym obrzydzeniem.

To słowo „rozkudłana” jest przykre. Gdyby Zuzanna mówiła, że jestem potargana, może nie miałabym do niej takiego żalu. Tylko Renata jest inna.

— Słuchaj, Ula — zapytała mnie kiedyś — jeżeli mogłabyś wyjść teraz za mąż, to za kogo byś wyszła?

I jej mogłam odpowiedzieć żartem:

— Za Kwartet Warszawski.

— Coś ty! Przecież ich jest czterech!

— Trudno. Tylko Kwartet Warszawski mógłby być moim mężem, innego nie chcę!

— Zabawna jesteś! — roześmiała się wtedy Renata.

Bo ona wie, że kiedy ma się czternaście lat, to człowiek jest kawałkami zupełnie dorosły, tak że można z nim rozmawiać i żartować. Powiedziałam to kiedyś Renacie.

— Tak! — przyznała. — Kawałkami jest dorosły, ale ta cała reszta czasami bywa silniejsza...

Gdybym zastanowiła się nad tymi słowami Renaty, może nie poszłabym na jej imieniny, może zostałabym w domu i przyczyny upadku powstania listopadowego przestałyby być dla mnie tajemnicą. Posz-

100

łam jednak. Następnego dnia pani Lipińska patrzyła na mnie długo i z namysłem.

— Niestety... — powiedziała w końcu. — Niestety, Urszulko...

Miała rację. Tę dwójkę z historii muszę położyć na samym wierzchu, jeżeli nie chcę być chytrą przekupką, która wybrakowany towar kładzie na dnie.

Nie pamiętam, dlaczego nie przygotowałam się również i na następną lekcję, chociaż wiedziałam, że z całą pewnością będę pytana. Jednak tym razem uniknęłam drugiej bomby. Po prostu cały ranek spędziłam w muzeum. Oglądałam salę po sali, obraz po obrazie, przed „Śmiercią Barbary Radziwiłłówny” uroniłam kilka najprawdziwszych łez. Kiedy wracałam do domu, spotkałam Jacka.

— Dlaczego nie byłeś w szkole? — zaatakował mnie. —

— Pani Lipińska chciała cię zapytać!

— Właśnie dlatego nie byłam.

— Mama wie?

— O święta naiwności! — jęknęłam. — Pewnie, że nie wie.

— Więc co zrobisz?

— Coś tam zrobię, pomyślę.

Rezultatem mojego myślenia było piękne usprawiedliwienie, które w imieniu mamy wpisałam sobie do dzienniczka. Następnego dnia, jeszcze przed lekcjami, pokazałam je naszemu wychowawcy.

Chciałam mieć z głowy tę sprawę, nie bardzo mi się podobała.

— Dobrze! — usłyszałam. — W porządku.

Kiedy chowałam dzienniczek do torby z książkami, podszedł do mnie Jacek.

— Jednak powiedziałaś mamie?

— Nie.

— Więc...? Я,

— Ach, daj mi spokój! — mruknęłam.

101

Kiedy pokazywałam dzienniczek wychowawcy, miałam uszy zupełnie białe, teraz zaczęły czerwienieć. Zawsze zależało mi na Jacku. Taka jest prawda. Potrafiłam kpić z niego, nazywać „bohaterem pozytywnym”, dokuczać mu. Wreszcie napisałam o nim wstrętne wypracowanie z polskiego, kiedy mieliśmy klasówkę na temat: „Wielki człowiek naszych czasów”. Większość pisała o Gagarinie, Kennedym, Picasso miał kilku zwolenników. Iśka wybrała Pendereckiego. A ja napisałam o Jacku. Kiedy po kilku dniach polonistka przyniosła do klasy sprawdzone zeszyty, myślałam, że umrę widząc ją w proggu, tak się bałam. „Bardzo dobrze, ale bardzo złośliwie” — to była jej ocena. Hanka puściła mój zeszyt po klasie, nawet nie wiedziałam o tym. Jacek przyniósł mi go na przerwie.

— Bardzo złośliwie, ale bardzo dobrze! — powiedział, odwracając kolejność oceny.

— Gniewasz się? — zapytałam.

— Nie! — odparł, ale patrzył na mnie dziwnie.

— Jeżeli jest ci przykro, przepraszam. To był żart.

— Żart? Dobra, możemy się umówić, że to miał być żart.

Schowałam zeszyt, ale było mi bardzo głupio. A kiedy wróciłam do domu i zaczęłam zastanawiać się nad tym wszystkim, doszłam do wniosku, że moja drwina wynikała ze zwykłej zazdrości, bo Jacek jest naprawdę równym chłopakiem, a ja pewnie nigdy nie potrafię być taka jak on. No, i może jeszcze dlatego zawsze z niego kpię, że zależy mi na nim bardziej niż na innych kolegach, a muszę to ukrywać. Wtedy myślałam „może”, dziś wiem, że na pewno.

Swoją sympatię dla Jacka musiałam ukrywać. U nas dziewczęta nie interesują się chłopcami z

klasy. Kochają się w trochę starszych i bardziej skomplikowanych.

102

„^ширлсс musi być skomplikowany, żeby mógł mi się podobać!” — to określenie Iwony.

Jej Tomek jest rzeczywiście skomplikowany. Dwa lata siedział w dziewiątej klasie, a w połowie dziesiątej musieli go przenieść do innej szkoły.

„Bo Tomka nikt nie rozumie!” — wzdychała Iwona.

A mnie się zdaje, że Tomek jest po prostu z lekka stuknięty i w tym tkwi tajemnica jego intelektu. „Intelekt” to też określenie Iwony.

Jacek nie jest skomplikowany, więc kiedy chowałam do torby ten swój dzienniczek z usprawiedliwieniem napisanym przez siebie, uszy mi czerwieniały i myślałam z przerażeniem, że on na nie patrzy.

— No, wiesz, Urszula... — mruknął. — Ty i takie coś? Ale jeżeli chcesz, to możemy razem przerobić te dwa rozdziały z historii. Opowiem ci, co pani Lipińska mówiła na lekcji.

— Jacek, czy ty chcesz Urszuli dostarczyć tematu do następnego wypracowania o wielkim człowieku? — wtrąciła się Iśka.

— Nie! On chce po prostu pokazać, jaki jest wspaniałomyślny! — roześmiał się Michał.

A ja powiedziałam:

— Dziękuję, poradzę sobie sama. Jeszcze mi doksztalcanie niepotrzebne!

Byłam wściekła na Iśkę, na Michała, na siebie. Wiedziałam tylko jedno, że powinnam teraz wykuć tę historię tak, aby na następnej lekcji błysnąć jak gwiazda pierwszej wielkości.

Wróciłam do domu z zamiarem zabrania się do nauki zaraz po obiedzie. I pewnie zrobiłabym tak, gdyby nie mama, która otworzyła mi drzwi z grobową miną.

— Czy coś się stało? — zapytałam.

— Nie, nic!

Od razu wiedziałam, że coś się jednak stało, bo takie

103

mamy: „Nie, nic!” nie wróżyło niczego dobrego. Frzy obiedzie zapytała mnie, czy poprzedniego dnia mieliśmy klasówkę z chemii.

— Nie.

Klasówki nie było naprawdę, bo pytałam o to lśkę. Mama jadła swoją zupę zupełnie spokojnie i zupełnie spokojnie zapytała znowu:

— Skąd wiesz, że nie było klasówki?

— Jak to? — zdziwiłam się. — Jak to, skąd wiem?

— Urszula! — zawołała wtedy mama i łyżka pełna zupy zatrzymała się ponad talerzem. — Gdzieś ty była wczoraj przed południem?

— Nie rozumiem, mamó! — powiedziałam, żeby zyskać na czasie.

— Ach, nie rozumiesz... Zastanów się w takim razie! „A więc, ktoś musiał mnie widzieć w muzeum!” —

myślałam. — Albo zauważyć, jak szłam nie do szkoły, a w zupełnie odwrotnym kierunku. Ktoś powiedział o tym mamie, ale ten ktoś mógł się przecież pomylić i teraz ja muszę mamę o tym przekonać!”

— Wczoraj przed południem byłam w szkole. Dlaczego o to pytasz, mamó?

Mama zjadła kilka łyżek zupy, potem odsunęła od siebie talerz. Wyjęła z kieszeni fartucha jakąś kartkę i podała mi ją bez słowa. Spojrzałam. Był to brudno-pis mojego usprawiedliwienia.

— Czy w dalszym ciągu nie rozumiesz, Urszulo. Czy też może ta kartka rozjaśniła ci w głowie?

Następnego dnia obudziłam się z uczuciem, że stało się coś koszmarnego, pomału przypominały mi się zdarzenia wczorajszego popołudnia, cała udręka rozmowy z mamą, potem z ojcem. Tego ranka padał deszcz, za « oknem widać było chmury szare, smutne, beznadziejne. A ja znowu nie nauczyłam się historii. Nie tknę-

104

łam jej, nawet nie zajrzałam do książki. Przepłakane popołudnie skończyło się bólem głowy i męczącym snem. Wiedziałam, że tego dnia czeka mnie kolejna dwójka. Kiedy wyszłam z domu, usiłowałam wymyślić jakieś usprawiedliwienie, które powstrzymałoby panią Lipińską od zapytania mnie. Wreszcie zrezygnowałam ostatecznie. Trudno, niech będzie dwójka. I wtedy przypominałam

sobie Jacka. Jego propozycję i moją odmowę.

Zatrzymałam się przed wystawą z butami. Nie mogłam pójść do szkoły, to stało się nagle zbyt trudne. Nie bałam się pani Lipińskiej, nie bałam się nowej klęski, tego dnia wszystko było mi już obojętne. Tylko Jacek nie.

Patrzyłam. Buty męskie, damskie, dziecięce. Buty niczyje. Stałam przed wystawą i usiłowałam wyobrazić sobie ich przyszłych właścicieli. Jacy będą, dokąd pójdą w swoich nowych butach. Potem spojrzałam na własne botki, podniszczone, ale wygodne. Byłam już pewna, że tego dnia nie zjawią się w szkolnej szatni, że pójdą sobie ulicami miasta dokądkolwiek, byle nie tam, gdzie pójść powinny.

Chodziłam bardzo długo, wreszcie zmarzłam i przemokłam. W końcu weszłam do Klubu Międzynarodowej Prasy i Książki, rozebrałam się w szatni i usiadłam przy stoliku pod oknem. Tu było naprawdę dobrze. Wyjęłam zeszyt i książkę do historii. Po dwóch godzinach byłam gotowa do najbardziej szczegółowej odpowiedzi. Zrobiło mi się lżej na sercu i postanowiłam, że od następnego dnia rozpocznę „nowe życie”. Do domu wracałam biegiem. Powinnam być już dawno, bo w czwartek mamy tylko cztery lekcje. Kiedy zdyszana wpadłam do przedpokoju mama zawołała z kuchni:

— Dlaczego tak późno?

105

Nie mogłam powiedzieć, dlaczego. Może innego dnia przyznałabym się otwarcie, że nie umiałam historii i bałam się pójść do szkoły. Ale po wczorajszym...

— Polski przeciągnął się. Dyskutowaliśmy o poezji Staffa! — zawołałam, dorzucając ten szczegół, żeby wszystko wypadło prawdziwiej.

Byłam głodna. Zajrzałam do kuchni. Moja kuzynka Zuzanna siedziała przy stole, mama obok niej. Piły herbatę i patrzyły na mnie sponad swoich szklanek.

— Widziałam ciebie... — powiedziała wreszcie Zuzanna. — W Klubie. Masz pecha.

Racja. Miałam pecha.

A teraz wyglądam przez okno. Dzieci rozeszły się do domów, Jacka też już nie ma, odszedł. Może wróci jeszcze, może znowu usłyszę swoje imię, ale tak jak przedtem nie odpowiem na jego wołanie. Nie zejdem, nie będę rozmawiała z Jackiem, nie chcę, żeby mnie widział.

Mógłby zapytać, czy płakałam. A ja nie chcę mówić z nim o sobie, chociaż on i tak już wie, że tamta sprawa z dzienniczkiem, do którego sama wpisałam usprawiedliwienie, nie była moim jedynym

wyczynem, jedynym wyskokiem, zupełnie do mnie niepodobnym.

„Ty i takie coś?” — zawołał wtedy.

A właśnie. Ja i „takie coś”. Nie wiem, jak to się dzieje, że nagle człowiek potrafi robić rzeczy, które przedtem były do niego niepodobne. Nagle nadchodzi jakaś chwila, w której traci panowanie nad sobą, przegapia samego siebie. A potem sypie się już cała lawina, nie można jej powstrzymać, bo paraliżuje człowieka jakiś głupi wstyd albo strach. I wtedy mówi sobie: „Jutro się zmienię!” — ale nie zmienia się, bo kamyki toczą się dalej, jeden po drugim, szybko, w końcu już nie ma czasu na myślenie, na zejście z toru, chociaż się wie, że to niedobry tor.

106

Wiedziałam o tym przez cały czas, zupełnie niepotrzebnie mama mówiła mi: „Zrozum!”, przecież ja rozumiałam, że robię źle.

Kiedy tamtego dnia wieczorem zmieniałam sukienkę na harcerski mundur, mama zapytała:

— Dokąd ty się wybierasz, Ula?

— Na zbiórkę drużyny.

— W szkole nie byłaś, a chcesz iść na zbiórkę? O nie! Na to nie pozwolę.

— Ale ja muszę!

— Do szkoły też musiałaś, a wylądowałaś w Klubie. Nigdzie nie pójdziesz.

Wiedziałam, że nie ustąpi. Nie musiałam iść na zbiórkę, po prostu chciałam. Głównie ze względu na Jacka.

Nie mogłam pogodzić się z myślą, że tego wieczoru nie zobaczę go. Chciało mi się płakać, kiedy wieształam w szafie swój mundur. Mama przyglądała mi się spod oka.

— Odrobiłaś lekcje?

— Jeszcze nie.

— Więc na co czekasz?

I wtedy błysnęła mi myśl. Zupełnie inna od poprzednich.

— Nie wiem, co zadane. Myślałam, że się dowiem na zbiórce, a tak to muszę iść do Mirki.

— A Mirka będzie w domu?

— Tak, ona nie należy do harcerstwa. I wiesz, mamó, matmę zrobię razem z nią.

— Dobrze.

Zdążyłam. Drużyna siedziała w kręgu. Przycupnęłam z boku, żeby nie było widać mojej granatowej sukienki, wszyscy byli w mundurach, tylko ja jedna nie.

W końcu drużynowy zaczął mówić. Jacek przesunął

107

wzrokiem po wszystkich twarzach, wreszcie trafił na moją. Był wyraźnie zaskoczony, uniósł do góry brwi, zdziwiony, że jestem. Po zbiórce podszedł do mnie.

— Myślałem, że jesteś chora! — powiedział. — Dlaczego nie byłaś w budzie?

— Uczyłam się historii. Chcę się zgłosić na najbliższej lekcji.

— Wykułaś?

— Na blachę.

— To genialnie.

Iwona powiedziała mi, co jest zadane, i wróciłam do domu. Zastałam pogaszone światła i ciszę, jak gdyby nie było nikogo. Mama jednak była. Leżała na swoim tapczanie. Kiedy zapaliłam lampę, zauważyłam, że na stoliku stoi szklanka z wodą, obok kartonik z proszkami od bólu głowy.

— Muszę zapalić światło, mamó, bo gdzieś tu jest mój atlas i książka do matmy. Nie zdążyłyśmy z Mirką zrobić wszystkiego... — powiedziałam cicho.

Mama milczała. Dopiero po chwili, kiedy wzięłam do ręki słownik rosyjsko-polski, powiedziała z wysiłkiem:

— Mirka to przyniosła. Prosiła, żeby ci oddać i podziękować. Jak się udała zbiórka... druhnó...?

I wtedy popatrzyłam na mamę i pomyślałam, że jej nienawidzę.

Czy w takiej sytuacji mogłam prosić mamę o pieniądze? Nie. To było ponad moje siły.

Już od dawna wiedziałam, że mam pójść na imieniny do Barbary. Bałam się, że może teraz, po tym wszystkim, mama cofnie swoje pozwolenie. Nie zaopnowała jednak, kiedy Baśka przybiegła upewnić

się, czy przyjdę.

— Wszyscy będą u mnie do dziewiątej. Urszula też, prawda, proszę pani?

108

— Tak, Basiu! — powiedziała mama, ale nie spojrzała w moją stronę.

Już od trzech dni w ogóle nie patrzyła na mnie. Omijała mnie wzrokiem, jakbym w ogóle nie istniała. Więc, czy mogłam ją o cokolwiek prosić? Nie. Doprawdy nie mogłam! A zwrócenie się z prośbą o pieniądze na prezent dla Barbary było już zupełnie nie do pomyslenia. Może powinnam powiedzieć Baśce wprost, że nic jej nie przyniosę, bo nie mam za co kupić. Zrozumiałaby z pewnością, bo jest równą dziewczyną. Ale przyjść bez prezentu, narazić się na pytania: „Co kupiłaś Baśce?” i na własną odpowiedź: „Nic!”

Wybrałam inną drogę. Krótką nawet, bo z naszego domu do antykwariatu jest zaledwie kilka kroków. Starszy pan długo oglądał książkę, którą mu podałam.

— Skąd ty to masz? — zapytał. — Skąd ty to masz, moje dziecko?

— Znalazłam na półce między starymi podręcznikami. Mama kazała mi sprzedać, bo u nas w domu nikt się tym nie interesuje.

— To wcale nie jest stary podręcznik! — usłyszałam. — To bardzo ciekawa książka! Szkoda, że nie chcesz jej mieć w swojej bibliotece.

Kupiłam. Odetchnęłam. Długo łąziłam po mieście i oglądałam wystawy. W końcu znalazłam dla Baśki śliczną kosmetyczkę i lusterko w złoczonej oprawce. Kiedy zjawiłam się u niej, wszyscy już byli.

Cudownie bawiłam się na tych imieninach. Zresztą u Barbary zawsze jest cudownie, bo jej mama jest inna niż moja. Mama Baśki chodzi co kilka dni do fryzjera, do kosmetyczki, jest pachnąca, ma piękne białe ręce. Ja wiem, dlaczego moja mama ma ręce spierzchnięte, krótko obcięte włosy i moc zmarszczek wokół oczu. Nie jestem taka głupia, wiem, dlaczego tak jest i, wiem, że to żaden wstyd mieć taką mamę. Wolała-

109

bym jednak, żeby była chociaż trochę podobna do mamy Barbary.

Powiedziałam o tym Jackowi, kiedy tańczyliśmy.

— Ty, to głupstwo. Smutniejsze, że twoja mama też z całą pewnością chciałaby mieć forszę na

fryzjera i różne babskie fatałachy, a nie ma. Czemu masz taką minę, Ulka? Czy nigdy ci to nie przyszło do głowy? — roześmiał się.

Prawdę mówiąc, nigdy, lecz nie przyznałam się Jackowi do tego. To dziwne, ale właśnie na tych imieninach Baški, kiedy patrzyłam na jej mamę, już po tym, co mi powiedział Jacek, pomyślałam sobie, że to, co nazywałam nienawiścią, powinno mieć jakąś inną nazwę. Dopiero dziś wiem, że można nienawi-dzieć kogoś za swoje wady. Na to uczucie nie ma jednak innej nazwy, w każdym razie ja jej nie znam.

I znowu słyszę wołanie. Znowu jak ta dziewczyna z filmu stoję przy oknie i spoglądam w dół, niewidoczna dla Jacka, ukryta za firanką.

— Urszuuulaaa!

Nie krzycz tak, Jacku, bo w końcu nasza sąsiadka otworzy okno i powie ci wszystko, co myśli o dzisiejszych chłopakach. Spadną na twoją głowę winy wszystkich okolicznych chuliganów, ty staniesz się odpowiedzialny za napisy zdobiące ściany naszej klatki schodowej, za rozbitą latarnię, za kamień, który wpadł przez okno do pokoju starej pani Słowikowej. Nie zapomnę nigdy, jak sam wołałeś na lekcji wychowawczej:

„Dlaczego my ponosimy odpowiedzialność za tamtych? Dlaczego o nas wszystkich mówi się «tacy i owacy»? A czy ktoś z naszej klasy, panie profesorze, zrobił kiedyś coś naprawdę złego? Czy ktoś nam może zarzucić, że rozrabiamy? Jak my się mamy bronić? Jak?”.

110

Och, jak mi się podobałeś tego dnia! Więc nie krzycz teraz, Jacku, bo ktoś może pomyśleć naprawdę, że mu złośliwie zakłócasz spokój dzisiejszego wieczoru, nikt nie zrozumie, że twoje wołanie jest pełne obawy o mnie, * że twoje: „Urszuuulaaa!” — to jak gdyby głos latarni

morskiej na moim Niespokojnym Oceanie.

Widzę, jak odchodzisz. Nie jesteś podobny do Gre-gory Pecka, Belmonda też nie przypominasz. A jednak właśnie ty odegrałeś główną rolę w moim filmie, którego taśma urwała się niedawno! Szczupły chłopak z jasną czupryną i szarymi oczami, właśnie ty, Jacku...

Pamiętam ten dzień, nigdy go chyba nie zapomnę, nawet wtedy, kiedy już będę babcią, starszą od pani Słowikowej. Ojciec spóźnił się na obiad, siadłyśmy do stołu we dwie z mamą. W milczeniu, oczywiście. Każdy dzień podwyższał mur między nami, to milczenie było jeszcze jedną cegiełką. Kończyłyśmy drugie danie, kiedy wszedł ojciec.

— Przepraszam za spóźnienie — powiedział witając się z mamą. — Ale wiesz, przytrafiła mi się zdumiewająca historia...

Mama podniosła się, chciała przejść do kuchni, żeby podać ojcu zupę. Zatrzymał ją.

— Siadaj, proszę cię! Zjem później. Najpierw muszę ci coś opowiedzieć. Słyszałaś kiedyś o inżynierze Roz-tockim?

— Nie! — powiedziała mama.

Czułam, że napina się we mnie wszystko. Mama nie słyszała o inżynierze Roztockim, ale ja go znałam! A przede wszystkim znałam jego syna.

— Inżynier Roztocky pracuje w naszej instytucji. W innym wydziale, może dlatego nie opowiadałem ci nigdy o nim. Sam już nie wiem, co myśleć o tym wszystkim... — zawahał się nagle.

— Mów! — przynagliła mama.

111

Ale ojciec zapalił papierosa, przysunął do siebie popielniczkę, zaciągnął się kilka razy i dopiero po chwili zaczął mówić znowu.

— Otóż Roztocky zjawił się dziś u mnie i wręczył mi list zaadresowany do nas. Poznajesz?

Wyjął z kieszeni marynarki niebieską kopertę, którą położył przed mamą. Patrzył wyczekująco.

— Oczywiście. To list od Mietka. Skąd się wziął u Roztockiego? I co Mietek pisze? Przyjedzie?

— Ależ to list z zeszłego roku!

— Z zeszłego roku? — powtórzyła mama. — Skąd ten Roztocky go wziął?

— Ba! Skąd wziął! To była pierwsza rzecz, o którą zapytałem. Roztocky interesuje się historią sztuki. Kilka dni temu dostał od syna książkę. Na imieniny. Wiesz jaką?

— Skąd mogę wiedzieć? I co to ma wspólnego z listem od Mietka? Nic nie rozumiem! — denerwowała się mama.

A ja zaczynałam rozumieć wszystko.

— Dostał „Sztukę cenniejszą niż złoto” Białostockiego. W tej właśnie książce był list od Mietka zaadresowany do nas. Około dwunastej wpadłem do domu, ciebie nie było. Sam sprawdziłem w

bibliotece. Nasz Białostocki zniknął.

Nie, nie spojrzeli na mnie. To tylko ja patrzyłam na siebie.

— Nie brałaś tej książki, Urszulo? — zapytał ojciec.

— Nie.

— Jesteś zupełnie pewna? — odezwała się mama.

— Jestem pewna. Nie interesuje mnie historia sztuki, przecież wiecie.

Skąd mi się wziął wtedy ten spokój, ta swoboda? Patrzyłam im prosto w oczy i nawet powieka mi nie drgnęła.

112

— Czy ktoś obcy zostawał sam w tym pokoju? — zapytał ojciec.

— Nie! — odparła mama zdecydowanie. — Z całym przekonaniem to mówię! Nikt obcy tu nie zostawał.

— Jeżeli ktoś przychodzi do mnie, jesteśmy zawsze w drugim pokoju. Tu nigdy nikt nie wchodzi! — powiedziałam.

Ojciec rozłożył ręce.

— To niewiarygodne! A jednak syn Roztockiego ofiarował mi moją książkę. Sprawdziłem, znalazłem swoje podkreślenia! Nie wiem, co o tym myśleć, nie wiem, nie wiem! — powtarzał. — Być może ta sprawa wyjaśni się jutro...

— W jaki sposób? — zapytała mama.

— Roztockie dowie się od syna, gdzie kupić książkę. To może nas naprowadzi na jakiś ślad. Mam nadzieję, przynajmniej.

Podziękowałam i wstałam od stołu. Czułam się teraz straszliwie zagrożona. Jeżeli Jacek powie swojemu ojcu, że kupił książkę w antykwariacie, pójdą tam, starszy pan może mnie pamiętać, rozmawialiśmy przecież, mógł zapamiętać jakiś szczegół mojego ubrania, może czerwoną czapkę, a to zgubiłoby mnie ostatecznie!

— Może teraz pójdziesz do Roztockiego? Może on już rozmawiał z synem?

— Nie mam po co chodzić. On dziś ma wrócić do domu bardzo późno. Został na konferencji u dyrektora...

A więc Jacka nikt jeszcze nie mógł pytać o książkę! To była zatem moja ostatnia deska ratunku. Powiedzieć Jackowi wszystko i poprosić, żeby skłamał, żeby mnie krył. Powiedzieć Jackowi wszystko? To nie była łatwa sprawa. Czy on zrozumie, że nie mogłam iść na imieniny Baśki bez prezentu? Na pewno

8 — Wiele dróg

113

nie zrozumie. Powie: „Mogłaś, to zawracanie głowy!” — myślałam beładnie. Czy zechce skłamać? Jacek? Ten chłopak wiecznie zbuntowany przeciwko wszystkiemu co niejasne, podejrzone? I właśnie do niego mam pójść i powiedzieć, jak było naprawdę!? Ale muszę to zrobić, muszę, bo inaczej...

„Ulka, wiesz co? — powiedziała mi niedawno Iwona. — Ten Jacek bez przerwy ci się przygląda! Bez przerwy gapi się na ciebie! Może on się w tobie zakochał?”

A teraz przyjdę do Jacka z takim klopsem, co on sobie pomyśli, co mi powie...?

Poszłam. Jakaż to była długa droga, jaka ciężka. Nie mogłam się przecież pokazać w jego domu, żeby później nikt nie mógł sądzić, że zjawiłam się w sprawie książki. Zatelefonowałam z automatu. Sam przyjął telefon.

— To ja... — powiedziałam. — Urszula!

— Cześć!

— Słuchaj, czy nie mógłbyś zejść na chwilę? Jestem przed twoim domem... wiesz, ten automat na rogu... ale nie mów mamie, że dzwonię...

— Dobrze, Ulka! Schodzę.

Dosłownie w parę minut był już przy mnie.

— Czy coś się stało? Masz taką minę...

— Jaką minę? Nie mam żadnej miny.

— Może mi się zdaje. Ej, Urszula!

Spojrzałam na niego, uśmiechał się. Wzruszyłam ramionami.

— Coś ci jest, widzę przecież, nie rób ze mnie wariata!

— Nie robię, coś ty! Po prostu, chciałam się przejść...

Szliśmy obok siebie, nie wychodziło mi to powiedzenie Jackowi prawdy. A on przyglądał mi się, jak

114

gdyby czuł, że jednak mam o mego jaks-ąs sprawę, ale nie pytał już o nic. „Bohater pozytywny musi być dyskretny” — myślałam z rozpaczą, już teraz nie mogę liczyć na to, że mi pomoże najgłupszym nawet pytaniem, muszę w końcu zacząć sama...

— Ulka! — powiedział nagle Jacek. — Wiesz, ja zawsze myślałem, że ty mnie nie lubisz.

— Lubię cię, Jacku! — powiedziałam. — Dlaczego myślałeś, że nie?

— Może masz tylko taki ostry język. Nieraz mi przycięłaś. Chodź, pokażę ci coś...

Pociągnął mnie za rękaw płaszcza i zanim zdołałam cokolwiek pomyśleć, staliśmy przed wystawą antykwariatu.

— Spójrz! — powiedział. — Widzisz tę książkę? Chciałbym ją mieć. Tu są w ogóle fajne książki. Kilka dni temu kupiłem w tym antykwariacie „Sztukę cenniejszą niż złoto”. W bardzo dobrym stanie. Ojcu kupiłem. Na imieniny.

— Na imieniny... — powtórzyłam głupio. — To jak twój tata ma na imię?

Już wiedziałam, że nie potrafię zdobyć się na żadną szczerość w stosunku do Jacka, że o nic go nie poproszę. Nie widziałam żadnego wyjścia z tej ślepej uliczki, pozostawało mi jedynie brnąć dalej i liczyć na to, że starszy pan mnie nie zapamiętał.

— Miałś dobry pomysł z tym spacerem! — powiedział, kiedy żegnaliśmy się przed moją bramą. — To można bisować.

Odszedł, a ja pomyślałam z przerażeniem, że kiedy zobaczymy się znowu, on już będzie się domyślał, będzie wiedział, co zrobiłam i dlaczego wpadłam na pomysł tego spaceru.

Weszłam do klasy tak spokojnie, jak gdybym nigdy na oczy nie widziała książki pod tytułem „Sztuka cen-

115

niejsza niż złoto”. Jak gdyby żaden antykwariusz nie spędzał snu z moich powiek, jak gdyby cały

świat należał do mnie. Wiele mnie to kosztowało, ale weszłam do klasy bardzo zwyczajnie. Jacek już był. Spojrzał, uśmiechnął się i dalej rozmawiał z Pawłem. Usiadłam, wyjęłam książki. Wiedziałam, że to będzie ciężki dzień. Czekałam, aż Jacek podejdzie do mnie i zacznie mówić, pytać. Nie podszedł. Ani na pierwszej, ani na drugiej przerwie, zaczęłam wątpić, czy podejdzie kiedykolwiek. Podszedł na trzeciej. Wyciągnął z kieszeni paczkę dropsów, podsunął mi.

— Chcesz? — zapytał. — Miętowe. Wzięłam. Wysiłam się na uśmiech.

— Dzięki! Lubię miętowe.

— Ja też.

Przez chwilę stał przy mojej ławce i szczyrykiem zdrapywał zaschnięty na niej klej. Potem rozległ się dzwonek. Zaczęła się fizyka, nasz wychowawca posłał Jacka do jakiegoś magazynu po odbiór przyrządów i tego dnia nie zobaczyłam go więcej.

Za to usłyszałam o nim, kiedy ojciec wrócił z biura.

— No i jak? — zapytała mama. — Wyjaśniło się coś?

— Niewiele, chociaż Roztockiego pytał syna... Przestałam oddychać, tylko serce tłukło się jak oszalałe.

— Syn powiedział mi, że kupił tę książkę od jakiegoś obcego chłopca. Na ulicy.

Od chłopca... Na ulicy... Od chłopca... Na ulicy... Nie słuchałam tego, co ojciec mówił dalej. Wystarczyło mi to jedno. Jacek skłamał! Domyślił się wszystkiego, skłamał, żeby mnie uratować. Zrozumiał, że chciałam go prosić o to i że ta prośba nie przeszła mi przez gardło. Och, był wspaniały! Wspaniały! Przekreślił

116

dla mnie swoje zasady, on, „bohater pozytywny”!, „iue-dy go zobaczę? — pomyślałam. — Kiedy go zobaczę?”

Już wszyscy spali, a ja ciągle jeszcze nie mogłam usnąć, bo nie wiedziałam, co zrobię, kiedy zobaczę Jacka. Gdybym mogła zapaść się pod ziemię na jego widok, zapadłabym się bez chwili wahania, takie było niewygodne to miejsce, które sama sobie wybrałam, miejsce za plecami Jacka! Było mi wstyd. Kiedy w łazience zobaczyłam w lustrze swoją twarz, spuściłam oczy.

Spotkałam Jacka rano, weszliśmy do szkoły prawie jednocześnie. Szatnia była jeszcze pusta, na

wieszakach wisały jakieś dwa płaszcze, ale w boksie nie było nikogo.

— Cześć, Urszula! Jak ci wyszła matma? — zapytał.

Przez chwilę mobilizowałam nędzne resztki swojej
odwagi.

— To okropne... — powiedziałam. — To okropne, Jacek...

— Co jest takie okropne?

— Okropne jest, kiedy człowiek ma do czynienia z takim chłopakiem jak ty! Mówię ci, Jacek, to jest straszne!

Nagle zachciało mi się płakać. Odwróciłam się w stronę okna.

— Dlaczego? — zapytał ostro. — Co się z tobą dzieje, Ulka? Co ty pleciesz? Co ja ci zrobiłem?

Wreszcie spojrzałam na niego.

— Nic mi nie zrobiłeś! Tylko powinieneś wygarnąć wszystko, rozumiesz? Kawa na ławę i cześć!

On też patrzył na mnie, a może tylko na moje łzy, które spływały po policzkach. Nie odpowiedział od razu. Dopiero po chwili, pytaniem.

— O czym ty właściwie mówisz, Ula...?

117

— xy wiesz, o c^ym ja mówię, me zgrywa] siei

— Ja się nie zgrywam — mruknął. Nachylił się i wkładał kapcie.

— Babie nie dogodzisz! — rzucił krótko. — Choćbyś na łbie stanął.

— Jacek... to było idiotyczne... wiesz przecież, o czym mówię, no! — rozmazałam się już na całego. — No, przecież wiesz... dostaję tak mało pieniędzy, a były mi potrzebne... i dlatego, rozumiesz...?

— Urszula! — powiedział nie podnosząc głowy. — Skończ tę mowę.

— Kiedy mi jest głupio! Wiem przecież, że powinnam to załatwić inaczej, ale teraz już nie umiem, tak zabrnęłam, jedno tylko ci powiem, Jacek, że to było moje ostatnie w życiu kłam...

— Klawo! — przerwał mi. — To bardzo klawo! — Podniósł się i nie patrząc na mnie zapytał: — Więc jaki masz wynik w matmie?

Wracałam ze szkoły w cudownym humorze. Było mi lekko, miałam jeszcze tylko jedną sprawę do załatwienia, ale już postanowiłam, że przeproszę mamę zaraz po przyjściu do domu. Zastałam ją w kuchni, jak zwykle, ale znowu nie samą. Tym razem był z nią ojciec. Stałam zdziwiona, bo nigdy nie wracał z pracy wcześniej niż ja ze szkoły.

— Wejdz! — powiedział. — Cóż tak stoisz w tych drzwiach? Wejdz! Usiądź tutaj.

Usiadłam przy stole, spjrzałam na mamę. Płakała.

— Mimo wszystko byłem w antykwariacie — powiedział ojciec. — Ten pan, Urszulo, pamięta dziewczynkę, od której kupił Białostockiego. Pamięta numer szkoły na tarczy, pamięta czerwoną czapkę. Czy dalej masz zamiar wypierać się wszystkiego?

Wolę nie pamiętać tamtych swoich łez. Wieczorem przyszła Renata. Najpierw długo siedziała w pokoju rodziców, nie słyszałam ich rozmowy. Potem przyszła do mnie. Schowałam twarz w poduszkę. Renata usiadła i położyła mi rękę na głowie.

— Och, ty niemądra... — szepnęła. — Och, ty głuptasie, widzisz, jak to teraz jest? Co to się czuje po czymś takim? A nie mogłaś przyjść do mnie?! Przecież zawsze mam te parę groszy, dałabym ci, gdybym wiedziała, że bardzo potrzebujesz! Na taki pomysł to już nie mogłaś wpaść? A tak nie można, Ulka, to się potem pamięta przez całe życie, po co ci taki garb? Sama nie wiem, jak ci pomóc, chyba w ogóle nie można, śpisz?

Skąd, nie spałam, tylko Renaty ręka przesuwająca się po mojej głowie uciszyła we mnie wszystko, już nie płakałam, nie zadawałam sobie w kółko pytania: „No i jak ja teraz będę żyć?”, wiedziałam już, że jakoś będę, tylko że to będzie trudne, przynajmniej na początku.

Było bardzo trudne. Te pierwsze dni ciągnęły się w nieskończoność, każda doba trwała wieki. Ojciec zamknął na klucz swoją biblioteczkę. Właściwie, to było wszystko, co zrobił, tylko tak mnie ukarał, ale to była straszna kara. Mama w dalszym ciągu odzywała się do mnie tylko wtedy, kiedy musiała.

Na szczęście zaczęła się prawdziwa zima, na którą tak bardzo czekałam. Zaraz po lekcjach biegłyśmy z Iską na łyżwy. Nasze szkolne boisko lśniło w słońcu. W niedzielę przychodziły tu przedszkolaki z rodzicami, dlatego w niedzielę woleliśmy jeździć na Tor-war. Całą naszą klasę można było tam spotkać. Jacka także.

Jeździł brzydko. Zamaszyście wymachiwał rękami, nogi wyrzucał w bok, jak gdyby w ogóle nie umiał nad nimi zapanować.

119

- On jest tragiczny, daję słowo! — jęczała Iśka. — Spójrz! Wygląda potwornie! No, ale ty na pewno jesteś zachwycona! — dorzuciła ironicznie. — Tobie on się podoba nawet wtedy, kiedy ryje nosem po lodzie.

Nie, wtedy mi się nie podobał, wolałabym, żeby jeździł tak ślicznie jak Jerzy albo Roman. Ale nie zamieniłabym Jacka na żadnego z nich, nawet na obydwóch, nawet na cały Kwartet Warszawski.

Zawsze musiałam pierwsza schodzić z lodowiska. Wszyscy zostawali aż do zmierzchu, tylko ja jedna miałam czas ograniczony. Nie żałowałam tego, bo najczęściej Jacek widząc, że podjeżdżam do wyjścia, rezygnował z dalszej jazdy i wracaliśmy razem. Dziś też tak było.

— Może jeszcze zostaniemy? Z pięć minut, co?

— Nie mogę.

— Nawet pięciu minut?

Spojrzałam na zegarek. Nie mogłam nawet pięciu minut.

— No, niech będzie! Ale nie więcej. Zresztą ty nie musisz wracać, przecież mogę sama.

Pięć minut na Torwarze to jest nic. Już po chwili tłoczyliśmy się w szatni. Nie wiem, kiedy zginęły mi rękawiczki. Może wyleciały z kieszeni płaszcza, może sama rzuciłam je nie wiadomo gdzie. Wszystko jedno jak było, dość, że szukaliśmy ich z Jackiem przez pół godziny. Zobaczyłam je wreszcie, leżały na poręczy ławki. Kiedy byliśmy już na ulicy, spojrzałam na zegarek.

— Będę miała piekło! — powiedziałam. — Och, żebyśmy chociaż prędko złapali autobus!

Biegliśmy do przystanku, niepotrzebnie zresztą, bo i tak autobus nie przyjeżdżał przez dwadzieścia minut. Denerwowałam się coraz bardziej.

120

że się coś takiego przytrafić, to jasne!

— Już dawno powinnam być w domu! — powtarzałam w kółko.

— Zaraz coś przyjedzie. No, nie denerwuj się tak, Ula, nie masz czego! Powiesz, że szukałaś

rękawiczek, zgubiły się, zwyczajna rzecz...

Tak mówił, ale sam co chwilę patrzył na zegarek albo w głąb ulicy, z której nic nie nadjeżdżało. Wreszcie przyszedł zatłoczony autobus, wepchnęliśmy się jakoś. Jechał tak przeraźliwie wolno po oblodzonej jezdni, a wskazówki na moim zegarku pędziły tak niemiłosiernie... Wpadłam do domu ledwie żywa ze zmęczenia, bo gnaliśmy od przystanku w zawrotnym tempie.

— Przepraszam, mamó! — zawołałam od progu. — Ja wiem, że* powinnam już dawno być w domu, ale...

— Ale? — przerwała mi mama. — Ale co?

— Ale zginęły mi rękawiczki. Tam jest piekielny tłok w szatni, nie mogłam ich znaleźć, szukałam strasznie długo! A potem...

— A potem? — znów przerwała mi mama.

— A potem czekałam na autobus. Pół godziny czekałam !

Mama spojrzała na mnie, milczała przez chwilę, a później powiedziała bardzo spokojnie:

— Kłamiesz!

Właśnie tak powiedziała. A przecież ja mówiłam prawdę.

Znowu pada śnieg, wolno wirują grube, białe płatki. Patrzą w dół, ktoś wychodzi z bramy, ale to nie Jacek. Był tu już tyle razy w ciągu ostatniej godziny. Tyle razy wołał: „Urszuuulaaa!” I stał pod moim oknem, czekając na jakiś znak. Nie odezwałam się, nie skinęłam mu nawet ręką przez okno, więc

121

Z ! pcwiiuoi-ici JWZ z.ruz.uiiiicii, ic niania nie uwierzyła

w moją prawdę.

Och, Jacku, nie myśl, że mam do niej żal! To może byłoby najprostsze: mieć żal do mamy. I może miałabym go, gdybym się nie zdecydowała na rozłożenie przed sobą swojego „towaru” tak, jak mi to kiedyś poradziła Renata.

„Trzeba się najpierw rozejrzeć, Ulka! Bardzo uważnie rozejrzeć. Dopiero potem można wyciągać wnioski, krytykować, potępiać. Nigdy na wariata, pamiętaj! Nigdy na wariata!”

Rozłożyłam więc przed sobą swój „towar”, nie jest piękny, ty też coś o tym wiesz, Jacku. Czy uda mi się przekonać mamę, że to, co dobre, jest pod spodem? I jak to zrobić, jak?

Smutno mi. Już nie płaczę, jest mi tylko po prostu bardzo smutno. Gdybym mogła wziąć samą siebie za rękę i zaprowadzić tam, dokąd chcę iść! Bo ja przecież wiem, dokąd chcę iść, tylko ciągle jeszcze płaczą mi się nogi. Tak, jak tobie, Jacku, na lodowisku. Bo prawdę mówiąc, to wszędzie jest ślisko.

— Urszuuulaaa!

To znowu buczy latarnia morska na moim Niespokojnym Oceanie. Cicho, Jacku! Cicho, nie wołaj mnie. Wypłynę jakoś z tej mojej mgły.

Tadeusz Zimecki

Virtuti dla Karakuła

Wakacje zaczęły się na dobre.

Nie musiałem się spieszyć. Ale z głośnego szurania garnkami na blasze wywnioskowałem, że mama nie jest w najlepszym humorze. Ubrałem się więc pośpiesznie. Wypiłem kubek mleka i porwałem ze stołu pajdę chleba z masłem. Wkrótce wędrowałem już razem z Bašką i Maliną. One są bardzo mądre. Świetnie się porozumiewamy. Patrzymy sobie w oczy. A oczy mają wielkie, zawsze spokojne. Nigdy się nie gniewają. Gdy mówię, słuchają z uwagą. Jeśli pada łub chmurzy się, zabieram gumowce i stary wzorzysty dywanik. Ten dywanik tak zszyłem, że tworzy na głowie coś w rodzaju namiotu. Paradnie w tym muszę wyglądać, ale dywanik nie przepuszcza wody.

Tego dnia, na początku, było ciepło. Doszliśmy nad rzekę. Powiedziałem do Baški i Maliny:

— Stać mi tu. Grzecznie. Nie chcę żadnych kawałów. Stać mi i podziwiać, jak pan hrabia bierze kąpiel.

Popatrzyły, jak zwykle, z pokorą. Skoczyłem do wody. Popłynąłem pod prąd crawlmem. Dałem kilka nurów i uspokoiłem sumienie — mycie miałem z głowy.

Po godzinie zaczęło się chmurzyć i właśnie wtedy, w ten najbardziej pieski czas, w deszczyk zacinający po twarzy z ukosa, ujrzałem, że w moją stronę zbliża się grupa harcerzy.

— Chłopaki, jak rany, król perski! - wykrzyknął ten na przedzie pokazując mnie palcem.

W szeregach zarechotano z udanego porównania. Rzeczywiście musiałem wyglądać głupio w tym wzorzystym dywaniku na głowie i w gumowcach na gołych nogach. Ten, który wymyślił „króla perskiego”, zatrzymał się, popatrzył na mapę, strzyknął śliną i powiedział:

— Jesteśmy na miejscu.

Chłopcy jęknęli. Był to jęk zawodu. Równinka nad rzeką nie wyglądała teraz okazale. Chciałem im powiedzieć, żeby się nie martwili, że kiedy tylko wyjdzie trochę słońca, wszystko się zmieni, że tu jest prześlicznie. Ale zanim to powiedziałem, ten kędzierzawy, ten, który nazwał mnie „królem perskim”, zwrócił się do mnie z miną lorda:

— Ty, mały, czy ten strumyk nazywa się Pławsawka?

— Acha... — powiedziałem.

— Nie jesteś rozmowny, mały.

— Karakuł, on wcale nie jest taki mały — powiedział inny.

— Tylko zabiedzony — przytaknął Karakuł. Właściwie powinienem się obrazić. Nie. Opadła mnie wesołość. Zupełnie nieoczekiwanie zacząłem się śmiać.

— I w dodatku — ciągnął dalej nieco zdziwiony Karakuł — i w dodatku, szajba mu odbiła.

Tu Karakuł zakręcił młynka zaciśniętą pięścią nad czołem, co miało oznaczać, że uważa mnie za stukniętego.

— Król perski z szajbą, nie ma co, dobrze trafiliśmy — stwierdził jeszcze inny.

126

jeszcze ktoś.

— Tyś wybierał to miejsce, Karakuł?

— Ja. Ale, kiedy tu byłem z druhem...

— Stary. Nie pękaj. Dostaniesz za swoje, jak przyjdą tamci.

— Niech zastęp gospodarczy nie trzeszczy. Do roboty!

Chłopcy kulili się pod mokrymi kocami. Tylko ten nieznośny, zarozumiały Karakuł panoszył się,

zaglądał w różne zakamarki. Liczył kroki do rzeki. Rysował plan ustawienia namiotów. Szarogęsił się. Popędzał.

Uśmiechnąłem się już powściągliwie. Wyglądali mi na odpuconych maminsynków, z których deszcz systematycznie zmywał odprasowaną elegancję. I te żałosne miny pod mokrymi kocami. I ten miotający się Karakuł. Drużyna warszawska. Poznałem, bo jednemu koc się obsunął z ramion i zobaczyłem herb z syrenką. Kwiczałem cicho z radości, bo byli moimi rówieśnikami, a wyniośle nazwali mnie „małym”.

— Coś bym zjadł — powiedział jeden.

— Skocz. Dwa kroki. Za rzeką jest bar „Praha”. Kanapki z szynką przybrane jajkiem i majonezem.

— Swoją drogą, Karakuł, jak myślisz? Czy my tu będziemy żyli manną?

Karakuł był wyraźnie przygnębiony ponurymi nastrojami zastępu. Przejęty misją, odpowiedzialnością za potęgujące się nastroje pesymizmu, wreszcie przekonany, że tym zwątpieniom należy się gwałtownie przeciwstawić — odwrócił się do pytającego o żarcie, strzyknął śliną, puknął palcem w mapnik i rzekł:

— Dwieście metrów w górę Płásawki jest źródło.

— A chlebuś, Karakuł, chlebuś. Bułeczki chrupiące. Jezusieńku! Bułeczki!

127

Wózczykiem. Dobrze pół kilometra.

— Koło cmentarza — wtrąciłem się do rozmowy — koło cmentarza będzie bliżej...

— Maleńki — strofował mnie Karakuł — u nas jest taki zwyczaj, że trzeba prosić o głos. Jak będziemy potrzebowali twojej pomocy, w odpowiednim czasie zwrócimy się do ciebie...

Bardzo chciałem odgryźć się, ale nie powiedziałem nic. Powiedzieć im, że chodzę do siódmej klasy? Niech się nie wygłupiają z tym „małym”. Oni przecież nie są starsi. Może naprawdę wyglądałem jak szczeniak... nie chciałem z nimi żadnej wojny, nawet z tym Karakułem. Żeby tylko się nie wynosili ponad wszystko. Co bym dał, żeby zobaczyli, jak zimą jadę na deskach. Jak na górze robimy skocznię i jak biorę skok dwunastometrowy! Żeby zobaczyli, jak biegam. Jak pływam. Dlaczego oni są tacy?

— Ty, mały?! Tu tak stale pada? — zapytał chłopak zwany Angorem.

— Nie. Zaraz przejdzie.

— Jak ci rolnicy wszystko wiedzą! — powiedział Angor do kolegów.

— Przejdzie, słowo daję. Tu jest pięknie — zachwalałem naszą okolicę.

— Co słyszę? Król przemówił. I jeszcze próbka lokalnego patriotyzmu! — wtrącił się do rozmowy Karakuł.

— Nie przejmuj się — pocieszył mnie Angor. — To wpływy władzy. On jest zastępowym. My wszyscy mamy sznury szare, a on brązowy. To szef. Szeryf. Szlachetny szeryf.

— Angor! Licz się! — warknął Karakuł.

— Ta... est, panie chief*! — Angor zameldował paradnie i kiedy dał nogę na spocznij, wrócił do rozmowy ze mną.

* Chief (czyt. czif) — z angielskiego szef.

128

— Ty, koleś, stąd jesteś?

— Tak.

— Czyjś ty chłopak?

Zaczynał być nieprzyjemny. I ten także! Dlaczego?

— No, powiedzcie, synu! — pokrzykiwał dalej Angor — od kogoście? Może sołtysów, może Walentych, może Wincentych?...

Chłopcy pokładali się ze śmiechu. Nie mogłem zrozumieć, o co im chodziło. Dlaczego tak mówili.

— Słuchaj, mały — włączył się Karakuł. — Teraz uporządkujemy sprawy węzłowe. Jak widzisz, rozbijamy tu obóz. Namioty ustawimy pod ścianą drzew, na środku zrobimy maszt, a kuchnię damy przy zejściu do rzeki.

— Nieźle pomyślane — powiedziałem.

— Dziękuję za uznanie, mały — przerwał mi — mówiłem ci to wszystko nie po to, abyś mnie chwalił, tylko żebyś wyciągnął z tego wnioski!

— Nie przyswajam — powiedziałem, bo rzeczywiście nie domyślałem się, o co mu chodzi.

— A wyglądasz mi na bardziej rozgarniętego. Te stworzenia są twoje?

— Malina, Baśka... no... tak nazywamy krowy... tttak. Moje...

— No, więc paś je, mały, trochę dalej od obozu. Jasne? — syknął zastępowy.

— Jeszcze gotowe zeżreć struclę z makiem, w którą matuś mnie wyposażyła! — zauważył inny.

Harcerz, który milczał do tej pory, a na którego mówiono Pietrucha, włączył się do sporu:

— Już ja wolę krowy. Na poprzednim obozie mieliśmy w sąsiedztwie kozę. Zjadła mi trzy skarpetki.

129

I każdą od innej pary. Panowie, należy to mieć na uwadze. Człowiek inteligentny gromadzi doświadczenia i potrafi je wykorzystać...

— Do czego ty pijesz, Pietrucha? — zapytał jeden z harcerzy.

Ze skupionego milczenia można było wnosić, że głos tego Pietruchy bardzo liczy się w zastępie. Pietrucha należy do tych chłopaków, którzy mają coś do powiedzenia. Ciągnął zaczętą myśl:

— ... zatem, radzę wam, drodzy przyjaciele, nie zrywajcie pochopnie kontaktów z Małym, z jego Baśką i Maliną. Te trzy słowa: „Mały”, „Malina” i „Baśka” kojarzą mi się z czymś, z czym nie chciałbym się nigdy rozstawać. Dżentelmeni domyślają się już, że myślę o... mleczku! O mleczku prosto od krowy...

— Precz z mlekiem! — wrzaśnięto dookoła.

— Precz z mlekiem! — porykiwali harcerze karmieni tak jak i ja od dzieciństwa „zdrowymi pożywkami mleczno-mącznymi”.

— Osobiście uczestniczyłem w planowaniu jadłospisów i kalorii — kontynuował Pietrucha — i muszę powiedzieć, że Komitet Rodzicielski narzucił nam odpowiednie racje mleka. Święty Boże nie pomoże. Musimy szatkować pęcak na mleku, jaglaną na mleku i ryzyk...

— Preeecz! — pojękiwano.

Bawiło mnie to ogromnie. Fajne chłopaki. Tu się rozumieliśmy. Pietrucha, nie zrażony, mówił:

— Tyle tylko, że chcieli nam wpakować mleko w proszku.

— Preeecz!...

— Preeecz!...

— No więc, sprzeciwiłem się. Jako człowiek inteligentny zachowałem bowiem pamięć o pewnym obozie, na którym karmiono nas proszkiem mlecznym. To

130

nic, proszę panów, ze przypominał zapach pieluch młodszego rodzeństwa. To nic. To byłaby fraszka. Ale, drodzy panowie, jeszcze w dwa tygodnie po obozie puszczałem nosem bańki. Regularne bańki. Bo, może panowie nie wiedzą, że mleczko w proszku jest niczym innym jak mydełkiem „Jacek i Agatka”...

— Preeecz! Precz z mlekiem!

— ... w proszku — kończył Pietrucha. — Zgoda. Ale od mleczka w ogóle nie uciekniemy! Koniec! Kropka! I dlatego radzę trzymać z Małym.

Zadziwiająco. Już była chwila, kiedy zdawało się, że dadzą mi spokój. Ale każda rozmowa kończyła się na „Małym”. Na szczęście dali spokój z tym „królem perskim”, no bo jakby się to przyjęło... No a... „Mały” — to już było zbyt niedorzeczne... Takie przezwisko nie mogło mnie ośmieszać. Za bardzo było naciągnięte.

— Dobrze, żeś mi przypomniał... — powiedział Karakuł, sądząc, że należy odzyskać autorytet nadwątlony władcym wystąpieniem szeregowca Pietruchy (który przecież wyraźnie napomknął, że zasiadał w komisji przygotowującej obóz) — ... musimy zaraz pójść po chałupach i zaklepać mleko. — Strzyknął śliną, spojrzął do notatek — taaaak, potrzeba nam codziennie dziesięć litrów. Minimum.

— Możecie zacząć od nas — powiedziałem — z całą pewnością mama odstąpi ze trzy litry.

— Widzisz! — triumfował Pietrucha.

Słonko wyrzało zza chmur. Polana wybrana przez harcerzy warszawskich na obozowisko przedstawiała się teraz okazale. Widać było, jak nagle wysychając białą się leżące na brzegu rzeki jajowate kamienie. Chłopcy zrzucali z grzbietów koce. Brali się do pracy. Rozbijali namioty według planu Karakuła. Na początku postawili duży namiot komendy obozu. Następnie ustawili namiot gospodarczy. Wokół, pod drzewami,

131

stanęły namiociki czteroosobowe. Było jeszcze trochę dyskusji, z której strony zrobić otwór paleniska. Próba papierka rzuconego z ręki rozstrzygnęła sprawę.

Kiedy już zasadnicze sprawy zostały załatwione, Karakuł i Pietrucha zwrócili się do mnie, abym wyjaśnił, jak idzie się do naszego domu, ponieważ chcą pogadać w sprawie tego mleka. Wytłumaczyłem. Nasz dom leży przy polanie tuż za lasem. Nie mogę im towarzyszyć. Do obiadu daleko. Powinienem tu jeszcze być z krowami. Trafią na pewno. To proste.

Karakuł powierzył resztę zastępu Angorowi. Byli tam chłopcy o różnych jeszcze przezwiskach. Na przykład Tolo-Bek (podobno dobrze gra w nożną na obronie), Franek-Sadza (domyśliłem się, że starszy bujacz), Kazik (spokojny chłopak, którego widać nie imać się żadne przezwisko), no i mały, grubutki Piwko. Piwko nie rozstawał się z trąbką. Trzymał ją na plecach przepasaną sznurkiem jak karabin. Ciekawiło mnie, dlaczego mówią na niego Piwko. Wziąłem się za okopywanie namiotu, przy którym pracował, a mozolił się tego, co chwila przecierał spocony kark chustką.

— Ty, czemu na ciebie tak mówią?

— Jak?

— No... piwo?

— Piwko.

— Właśnie?

— Bo trąbię pobudki i apele.

— To dlatego?

— A widziałeś, w mieście, tych przy budkach z piwem? Widziałeś, jak trąbią z flach „małe jasne”? Wtedy zupełnie przypominają trębaczy.

— Długo tu będziecie?

Piwko spojrzał na mnie podejrzliwie. Odpowiedział naburmuszony: - Tajemnica służbowa.

132

Polubiłem trębacza Piwko, bo przynajmniej on nie mógł mieć tyle czelności, aby nazywać mnie „Małym”. Chciałem jakoś podtrzymać rozmowę.

— Ale wasz zastęp to chyba jeszcze nie wszyscy?

— Nadal pytasz o tajemnice. Mogę ci powiedzieć, że zjadą jeszcze dwa zastępy (nie pytaj tylko w jakiej sile chłopca) i komendant. Jest nim student łączności, z polibudy, druh Marian Adamski, zwany powszechnie Małym Księciem.

— O sile ludzi dowiem się z ilości bułek, które będziecie zamawiać w spółdzielni — powiedziałem.

Piwko gwizdnął przeciągle. Spojrzał mi głęboko w oczy. Przetarł kark chustką.

— Zdaje się, Mały, żeś ty niezły kozaczek!?

— Ty, duży! — nie wytrzymałem. — Z której ty jesteś klasy?...

— Noooo... jak by ci to powiedzieć?... — kręcił. Najwyraźniej kręcił.

— Dam głowę, że najwyżej z szóstej! A ja, bracie, z siódmej! Możesz mi mówić „proszę pana”.

Cisnąłem łopatkę i położyłem się na słońku mniej więcej w miejscu, w którym miał stanąć maszt.

I zrobiło mi się głupio. Zalaatywało ode mnie skun-ksem. W końcu dokuczyłem małemu trębaczowi — Piwko, a nie potrafiłem odszczeknąć się tamtym. Chociażby Karakułowi, który przy każdej okazji chciał mnie pognębić, wywyższał się, pysznił, najwyraźniej okazywał mi pogardę i lekceważenie. Odegrałem się na małym, śmiesznym grubasku, na trębaczcu Piwko. Na nim wyładowałem upokorzenie. Bo też i ten Piwko — (próbowałem się rozgrzeszać) tak szybko i tak bezkrytycznie dołączył do tamtych...

Nie wiedziałem jeszcze, co mnie czeka wraz z powrotem Pietruchy i Karakuła.

Angor służbiście zameldował się Karakułowi. Po-

133

wiadomi! go o postępie prac nad rozbijaniem obozu i dziękował przesadnie za zaufanie, jakim go obdarzył druh zastępowy.

Karakuł nie wyczuwał kpiny. Odsalutował do beretu. Strzyknął śliną. Zaczął zrazu niewinnie:

— Ty, Mały, ta tysiąclatka to twoja buda?

— Tak — odpowiedziałem.

— Dawno ją postavili? — spytał Pietrucha.

— Dwa lata temu.

— A gdzie przedtem była szkoła w tym twoim My-ciowie?

— Tak dawno przedtem — mówiłem — za Niemców, była szkoła, ale spaliła się podczas forsowania Odry. Uczyliśmy się w domu u pewnego gospodarza.

— No, to teraz ma Myciów paryską Sorbonę! — pajacował Karakuł.

Wiedziałem, że Sorbona to głośna francuska uczelnia. Porównanie naszej szkoły z Sorboną było jeszcze jednym wygłupem. Nic to — mówię sobie. Oni są z zawodu kpiarzami. Taki jest ich sposób bycia. Musi być w Warszawie, w dużych miastach, taka moda na żarciki, na lekceważenie i dokuczanie innym. Przecież nabijają się także z siebie? Byłem przewrażliwiony. Stanowczo przewrażliwiony. Odpowiedziałem Karakułowi :

— Z Sorboną toś bracie przesadził, ale mamy całkiem fajną szkołę...

— Nic nie przesadziłem — chytrze odezwał się zastępowy — przywołuję na świadka Pietruchę. Odkryliśmy, że poziom w Myciowie jak na Sorbonie. I to jest fakt.

— Gigantyczny poziom — wspierał zastępowego Pietrucha.

— Do tej myciowskiej Sorbony chodzą też giganty . umysłowe — kontynuował Karakuł.

134

jeszcze nie widziałem takiej ściagi. Jak żyję. Robi je cała rodzina. — Zwrócił się do mnie — Przyznaj się, że ci w domu piszą ściągaczki?!

— O czym wy mówicie? — zapytałem niespokojnie.

— Nie udawaj wariata!

— Słowo daję, jakie ściagi?

— Dajmy na to, panowie — Karakuł zwrócił się do wszystkich chłopców — dajmy na to, przerabia się na lekcji Konopnicką, taaaak... — znów strzyknął śliną. — Wiadomo, że synuś z pamięcią nie tego... taaaak... — Karakuł zrobił pięścią młynek nad czołem, co znów przypomniało wszystkim króla perskiego z szajbą. — Co wtedy robią starzy?... No co?...

Dokończył Pietrucha:

— ... wtedy starzy, uważajcie: na dachu, literami jak woły malują ściagi... Jeśli przerabia się w myciowskiej Sorbonie Mickiewicza, to wystarczy namalować „Litwo, ojczyzna moja", a jeśli

Konopnicką to: „Nie rzucim ziemi”...

Musiałem być zielony, musiało mi się robić słabo, bo Piwko podtrzymał mnie za ramię. Ale nie dali mi dojść do słowa. Zapanowała powszechna wesołość. Karakuł przekrzyczał wszystkich:

— ... i nasz Mały dostał taką ściągę, że hej! Wyrzy tylko w klasie przez okno, spojrz na chałupę, na dach spojrz, a tam tata pędzlem wymalował początek wiersza albo nawet wzór z matmy. Taka ściągawa stoi jak byk. Widzieliśmy. Na jego domu. Na dachu. Czerwoną farbą...

— Po pierwsze — mówiłem wyraźnie, dusząc się ze złości — ... po pierwsze, nasz dom stoi za lasem, nie widać go z okien klasy...

— ... co po drugie? Mały? Co po drugie? — zachęcał Karakuł.

135

— po drugie — usiłowałem się opanować — po drugie, to dziadek... wy go nie znacie... dziadek... Notoczopaju...

Targnął lasem potężny ryk, śmiech grzmiący.

— To dziadek ci namalował?

— Dziadek...

— Jak mu? Notocz...?

— Klawy dziadek! Kto by wpadł na taki pomysł? Ściąga na dachu... Nieźle pomyślane. Nieźle.

— Jak mówisz, Mały? Dziadek Notocz...

— Notoczopaju — odpowiedziałem z godnością, która ich tylko ubawiła na nowo.

Pokładali się ze śmiechu.

Znieść tego nie mogłem. Chociaż się całą siłą powstrzymywałem — łzy ciekły mi po policzkach.

Widok moich mokrych ślepiów jeszcze bardziej zachęcał ich do wygłupów. Ze mnie. Z mojego domu. Z dziadka Notoczopaju. Przesolili. Dobre stosunki z warszawską drużyną zostały przekreślone.

Pognałem Baśkę i Malinę na drugą stronę rzeki. Doganiały mnie szyderstwa warszawiaków.

Wiedziałem, że teraz zamknę się przed nimi jak chrząszcz na zimę. Złość zwykle przechodzi mi prędko, długo nie trzymam w sobie urazy, ale tym razem było inaczej. Zaczęło mi coś kielkować w głowie. Coś, co było przeciwko tym zadufanym pansom ze stolicy, zarozumiałcom, chyba zakochanym w sobie, nie

liczącym się z nikim i z niczym. Nie wyobrażającym sobie, że poza ich wielkim miastem mogą istnieć inni chłopcy tak samo odczuwający, tak samo myślący i wcale nie głupsi. W każdym razie powinni dostać za swoje. Nie wiedziałem jeszcze co, jak, kiedy, w jaki sposób. Ale przecież to oni wykopali topór wojenny. Gdyby mnie tak nie obcinali od początku, zapewne wygadałbym wcześniej to i owo.

W tej chwili, być może, przyda się moja nie zamie-

136

rzona powściągliwość. Ile to razy, już, już ledwo wytrzymałem, aby im nie powiedzieć, że jestem przecież tak jak Karakuł — zastępowym najrówniejszych chłopaków z naszej wsi. Zastępu, o którym niejedną raz powinni jeszcze usłyszeć...

Obudziłem się późno, a tak szczerze mówiąc zostałem obudzony.

Zapieкло mnie na policzku. Ale zanim otworzyłem oczy, usłyszałem:

— Pobudka! Utracjuszu wszechczasów! Zrywaj się, panie dzieju!...

To był głos dziadka Notoczopaju. Głos potężny, nie znoszący sprzeciwu. Takim właśnie basem musiał dziadek przywoływać w boju swoich żołnierzy. Cisnął we mnie szyszką. Wycelował świetnie i śmiał się. Dziadek przy taszczył już z lasu wór suchych szyszek. Staliśmy teraz oko w oko, chociaż ja znajdowałem się na półpiętrze, dziadek Notoczopaju w lesie. Bo nasz dom stoi wśród leśnych wzgórz na polanie, przylepiony jest do wzniesienia jak jaskółcze gniazdo i na tarasik biegnący wokół pięterka można wskoczyć prosto ze skarpy.

— No, to czołem, panie dzieju! Oddaj latarkę! — rozkazał. Zmarszczył brwi. Wiedziałem już, że mnie nakrył. Ażebym się długo nie namyślał, dziadek wybrał zieloną, twardą szychę i przymrużywszy oko dla lepszego celowania, znów mierzył we mnie.

Należało odsunąć konflikt. Powiedziałem, jak mogłem najśłodziej:

— Ma dziadek moje słowo, że jutro sam uzbieram szyszek. I nie tyle. Dwa razy więcej.

Rzeczywiście, zawahał się.

— No to, panie dzieju, dajesz słowo?

— Słowo.

137

— Oficerskie?

— Oficerskie!

Szyszki to była czuła strona Notoczopaju. Zawsze widzę dziadka zapisującego „Wspomnienia sierżanta” lub siedzącego na zydelku przy drzwiczkach od piecyka. Z precyzją łamie gałązki i na przemian z szyszkami wrzuca do ognia. Przez szpary w fajerkach przedostają się refleksy ognia, figlują na dziadkowych wąsach, na pomarszczonej twarzy, tańczą na powale.

Wszyscy mówią do dziadka „Notoczopaju”, bo prawie każde zdanie zaczyna od: „No, to czołem, panie dziej u”. Uczył mnie kiedyś, jak się skraca powitanie generała. Kilkuset żołnierzy nie może pięknie skandować „Czo-łem-pa-nie-ge-ne-ra-le”, wobec tego rąbie się krócej: „czoem-anie-rale”. Wymyśliłem więc skrót dla dziadkowego „No, to czołem, panie dzieju” i wyszło „Notoczopaju”. Przyjęło się. Tak mówią wszyscy. Mama, tata, ciotka Agata, cała wieś i ja. A dziadek się nie złości. Czasami wydaje mi się, że jest jedynym człowiekiem na świecie, z którym potrafię się dogadać. Nie mamy dla siebie tajemnic.

Nie na długo uspokoiłem dziadka obietnicą. Mimo oficerskiego słowa stał nadal pod oknem i prześwietlał mnie wzrokiem.

— No to, panie dzieju, jedna sprawa: szyszki, druga sprawa: latarka!

— Dziadku, jaka latarka!? — udawałem niewiniątko, a przecież gorączkowo rozmyślałem, kiedy to mnie Notoczopaju wypatrzył. Mieszkam sam w pokoiku na piętrze. Okno zasłoniłem szczelnie. Jeśli nawet dziadek wyszedł wieczorem na podwórko, nie mógł niczego zauważyć.

— No, to czołem, panie dzieju, domagasz się dowodu prawdy? — najeżył się dziadek — zapomniałeś

138

już, żem służył w zwiadzie i potrafię czytać z nosa twojego, kartoflanego!

— Dziadziu...

— Milczeć mi teraz, panie dzieju! Zaraz ci dam ten dowód. Otóż być tak nie może, żeby takie stare byczysko leżało w wyrku do ósmej rano, kiedy już przepracowały się sójki, mleko z war żyło, kopki na polu wyschły, a ja, stary człowiek, schyliłem się pięć tysięcy razy po pięć tysięcy szyszek. No, to czołem, panie dzieju! Czytałeś znowu z latarką pod kołdrą. Tak czy nie?!

— Dziadziusiu!

— Tak czy nie? Drabie przebrzydły!?

— Tak, dziadziu...

— Dawaj latarkę.

Nie wiem, czy wszyscy macie dziadków, i w dodatku takich, którzy byli w zwiadzie, na prawdziwej wojnie. Przed takim nic się nie ukryje. Oczy ma niby stare, a tropi jak „Czerwona Chmura”. Czyta z połamanych gałązek, pociętych traw. Cudo — ten mój dziadek Notoczopaju.

Stałem teraz wobec wyraźnego rozkazu oddania latarki. Jest to piękna latarka na dwie baterie. Niesie kilkaset metrów. W dobre noce, na wiosnę, pomaga także przy łapaniu w rzece raków. Ma tak silny promień, że raka można wypatrzeć nawet na dwumetrowej głębi.

Żegnałem się teraz z latareczką. Dziadek czekał. Była jeszcze ostatnia deska ratunku. Zaryzykowałem:

— Dziadziu, kiedy teraz będziesz bronował, ja będę... regulirowszczykiem*!

— Będziesz?

— Będę.

* Regulirowszczyk (ros.) — żołnierz, najczęściej kobieta, regulujący ruch na frontowych drogach.

139

- I jak będę ciął ściernisko?

— Tak, dziadku.

Zatrzymałem latarkę — oczywiście pod warunkiem, że już nie będę czytał pod kołdrą. Zbliżały się bowiem nasze wielkie dni, kiedy na czeskim „Zetorze” zajeżdżał Witek-traktorzysta z między kółkowego ośrodka maszynowego. Witek przepadał za robotą na polu mojego ojca, bo zaraz dziadek Notoczopaju dawał mu na piwo i zwalniał z pracy. Leżał Witek na słońku, brzuchem do góry, całe godziny kręcił młynka palcami.

Tata wyklócał się wtedy z dziadkiem, twierdził, że dziadek jest nie w porządku, że Witka demoralizuje i różne takie. Mama przytakiwała. A dziadek robił swoje. Wyciągał z kufra sukienne zielone spodnie, mundur jeszcze z pagonami. Zakładał to dziadek razem z zieloną czapką rogatywką. Spodnie tylko wyglądały dziwnie, bo były do wysokich butów, a Notoczopaju zakładał coś w rodzaju balowych lakierków. W takich dniach wisiła nad domem awantura. Dziadek długo przebierał w

kufrze. W kufrze leżały pamiątki obu naszych dorosłych mężczyzn — bo tata także był z dziadkiem na froncie. Odbływały się przy tym złośliwe rozmowy między dziadkiem i tatą. Notoczopaju wyciągał zielone sukna jak święte relikwie. Relikwie były niemożliwie pogniecione i to był pierwszy powód do uwag.

— No, to czołem, panie dziej u! — mówił dziadek do mamy. — Leży to wszystko jak kiecki po ślubie.

— Tak się to ojcu przyda, jak mnie do tańcowania — odpowiadała mama.

— I ty, dziecko, jeszcze tańcować możesz — pomrukiwał dziadek Notoczopaju — i ja mogę jeszcze wdziać mundur. Widziane to rzeczy, panie dzieju — stękał

140

wyciągając mundur ojca i oglądając go przy oknie — widziane to rzeczy?...

Tu zwracał się do mnie, jakby szukając sprawiedliwości, a ja już wiedziałem, o co chodzi.

To Była wielka zadra w dziadkowej duszy. Chociaż razem z tatą byli na wojnie, to dziadek był starszym sierżantem, a tata podporucznikiem. Medale mają jednakowe. To wiem. Są w pudełku po herbacie. Wszystkie podwójne. Ojcowe i dziadkowe. Z niechęcią unosił dziadek mundur podporucznika, syna — a przecież starszego rangą — i mówił do mnie głośno, żeby cały dom słyszał:

— No, to czołem, panie dzieju! Teraz to sama niesprawiedliwość. Kiedy ja już wojowałem, to niektórzy — tu patrzył wymownie na tatę — mieli na pupie czerwone kółka odcisnięte od nocnika. Ale niektórzy mnie wydawali rozkazy. Rozumiesz wnuku. Mnie!

Zwykle mama likwidowała ciężką atmosferę. Stawiała na stole talerze. Tata uśmiechał się do dziadka życzliwie, obejmowali się jak przy wiązaniu snopa i Notoczopaju rozchmurzał się.

Dziadek już był stary. Nie pracował w polu. Siadał tylko czasem na traktor Witka. Bo dziadek nie tylko służył w zwiadzie, potem został dowódcą czołgu i chciał sobie chyba przypomnieć tamte czasy. Były to także wielkie dni dla mnie. Co tu ukrywać — to były dni moje i dziadka. Przyczepiałem czerwone chorągiewki do dwóch kijów. Byłem dziadkowi na polu regulirowszczykiem. Dziadkowi, pędzącemu na „czołgu” Witka, wydawałem rozkazy. Skrzyżowawszy chorągiewki przypominałem, że zbliża się miedza. „Czołg” skręcał. Przebiegałem na przeciwległą miedzę, aby tam powtarzać komendy. Notoczopaju wtedy śpiewał.

I tym razem udało mi się. Dziadek odszedł. Zachowałem latarkę. Leżałem jeszcze chwilę. Słonko

oś-

141

wietlało konary drzew, jęczały trzmielce. Było już dobrze ciepło. Do mojego pokoju dobiegały trele wszelkiego ptactwa. Nagle przypomniałem sobie tych z obozu, przypomniałem sobie o zemście, którą im poprzysiąłem. Zerwałem się z łóżka!

Jeszcze tego dnia rozesłałem wici. W moim zastępie są: Olek, Tadek, Jacek, Leszek, Artur i Zbyszek. Równa paka. Świetni narciarze, pływacy. Najlepsi uczniowie. Nie wyróżniamy się odpucowanymi mundurkami i wyglansowanymi bucikami. Cywilne portki, koszulki gimnastyczne.

Roboty mamy huk. Po pierwsze: zjechała do wsi kolonia. Dziewczyny! Zamieszkały wygodniutko, ale nieciekawie. Nie pod namiotami, lecz w naszej szkole. Jeśli chłopcy mogą myć się w zimnym potoku, dziewczynom musisz zapewnić ciepłą wodę. Nie są zahartowane. Pan Dobek jest u nas palaczem centralnego, ale ma etat tylko w miesiącach nauki. Zgodził się palić teraz, latem, byle miał pomocników do zsypywania koksu. Wstajemy rano, jeszcze przed kolonią, jeszcze przed trąbką Piwka (a niesie produkcje Piwka po okolicy — wszędzie go słyhać) i... pomagamy. Nikt o tym nie wie. Nawet same dziewczyny z miasta. Pluskają się pod ciepłymi prysznicami i wcale nie wiedzą, czyja to zasługa.

Po pracy w kotłowni wypędziłem Malinę i Baškę. Ale pasłem po drugiej stronie rzeki. Oglądałem obóz harcerski przez wodę. Przyjechała reszta. I ten druh, student, Mały Książę. Dlaczego? Wyjątkowy dryblas, na przekór. Oni muszą wszystko na przekór. Nie gadaliśmy ze sobą. Tylko jeden raz mały, pulchny Piwko podszedł nad rzekę, zrobił trąbkę z dłoni i pokrzykiwał:

— Mały! Nie nawalaj! Karakuł to postać tragiczna. Facet załgany. Zawsze ściąga ode mnie matkę, ale wy-

142

głasza referaty o etyce i za przykład mijania się z moralnością daje nagminne odpisywanie. Kapujesz? Nasz matematyk powiedział, że przed Karakułem albo wielka przyszłość, albo klops. Za wcześniej zaczął cyniczeć. Nie bierz tego do serca. Zajrzyj do nas... Nie pękaj, Mały!

Nie miałem zamiaru gadać z nimi. Obcięli mnie szpetnie. I... raz na zawsze. Musieli się teraz zastanawiać, skąd tak nagle zaczęły się mnożyć tajemnicze wypadki. A dziwnym zbiegiem okoliczności łączyły się zwykle z osobą Karakuła- lub z jego zastępem. Na przykład, gdy zastęp Karakuła pełnił wartę, jacyś czartowie zakradli się nocą, ominęli czujnego wartownika i podwędzili z masztu

proporzec. Za dwa dni proporzec przysłało... pocztą. Pod adresem komendanta. Mała paczuszka nadana była ekspresem. Tłumaczył się Karakuł. Stawał z tego powodu do raportu. Innym razem, gdy zastęp dyżurował przy dowożeniu chleba i, oczywiście, wykorzystywał wskazaną przeze mnie krótszą drogę koło cmentarza, „dzielni rycerze” opuszczali wózek z chlebem i przyskali z wrzaskiem do wsi, bo nagle na cmentarzu rozlegały się dziwne głosy: wycie, skomlenie, jęki... Po tym incydencie mówiono w obozie, że skręcone w supeł kędzierzawe włosy Karakuła, których nie da się rozczesać końskim zgrzebłem, wyprostowały się na cmentarzu jak patyki i można je było ulizać, nawet z przedziałkiem.

Innym znów razem w obozie doszło do straszliwego piekła. Zastęp Karakuła zajmował dwa namioty. Spali. Bardzo smacznie. A rano przebudzili się wszyscy, łącznie z zastępowym, dokumentnie wymazani pastą do obuwia marki „Wszechświat”. Dochodzenie nie przyniosło rezultatów. Harcerze z innych zastępów warszawskiej drużyny dali słowo, że nie przykładali

143

ręki do tego mazania. Niepowodzenia zastępu Karakuła były seryjne i tak nie kończące się, że poddawano nawet myśl, iż w te historie zaangażowane są siły nadprzyrodzone. Czy diabli są sprysiężeni przeciwko: Karakułowi, Pietrusze, Angorowi, Sadzy, a nawet Piwko, który najwyraźniej nie sympatyzował ze zwierzchnikiem zastępu? Dochodziło do tego, że kiedy karakułowcy sprawowali władzę przy kotle, kilka pierogów okazało się być wypełnionych... trawą. Właśnie jeden z tych pierogów przypadł samemu komendantowi, Małemu Księciu. Oczywiście, Karakuł został wezwany na „serdeczną rozmowę” do namiotu komendy.

Kiedy Jacek i Artur przepłynęli bez oddychania Płasawkę i wynurzyli się tylko na moment potrzebny do zaczepienia żyłki o ucho kotła przygotowanego na brzegu do szorowania — efekt przeszedł wszystkie oczekiwania. Na oczach kilku chłopaków z obozu kocioł sam obsunął się do wody i sam przepłynął rzekę.

Po tym ostatnim zdarzeniu Leszek powiedział na zbiórce naszego zastępu:

— Wyda im się podejrzane, że niepowodzenia spadają tylko na jeden zastęp.

Zgodziłem się chętnie. Od dawna myślałem, że nasilenie akcji tylko na zastęp Karakuła to moje prywatne odgrywanie się.

Tak więc na jednym z porannych apeli sam Mały Książę, szary ze złości, stanął przed zastępami w... rannych ciapkach. Po długich poszukiwaniach buty komendanta znaleziono na dnie kociołka.

Oczywiście, o ten głupi żart posądzono... Karakuła.

Aż przyszedł ten dzień...

Nagle pociemniało, zerwał się taki wiatr, że pomyśla-

144

łem: chłopakom powywraca namioty, powyrywa linki z kołkami. Szła burza. Na niebie ukazywały się pierwsze zygzaki wyładowań atmosferycznych. W naszej dolinie grzmoty były silniejsze, potęgowane echem ze wzgórz, zatrzymywane ścianą lasu.

W ryku nieba postyszałem dzwon alarmowy. Rozlegał się w okolicy wieży triangulacyjnej. W lesie. Tam gdzie jest punkt obserwacyjny gajowego. Wiedzieliśmy, co to znaczy. Pożar! Był to także alarm dla mojego zastępu. Już dwukrotnie z Olkiem, Tadkiem, Jackiem, Zbyszkiem, Arturem i Leszkiem braliśmy udział w akcji ratowniczej. Zapewne w całej okolicy zbierali się teraz także dorośli strażacy — ochotnicy. Wcisnąłem buty o twardej podeszwie. Z drewnitni wyciągnąłem łopatkę. Dziadek usiłował zagrozić mi drogę. Raz po raz rozbłyskiwało jeszcze po niebie. Kiedy jednak obliczył, że burza jest już o trzy kilometry za wsią, pozwolił mi ruszyć. Wyrываłem co sił w nogach. Przy mostku na Płasawce był już Artur i Tadek. Wkrótce przybiegli inni.

Palił się las. Pod Karczyskami. Wybrałem drogę na skróty. Powinniśmy być przed strażą. Strażacy mogą tam dotrzeć tylko końmi. Samochodem nie dojadą. Prowadziłem moją tyralierę. Każdy z łopatką. Kierunek wyznaczały kłęby dymu. Czad płonącego lasu, dym gryzący unosił się już po łąkach, na dobry kilometr przed frontem pożaru wszyscy zaczęliśmy popłakiwać, bo aż tak szczypało w oczy. Sytuacja okazała się bardzo skomplikowana.

Gdyby spojrzeć na teren akcji z lotu ptaka, zobaczyćłoby się, że las przygraniczny przechodzi jakby w gruszkę, w języczek dość długi, a i szeroki na dwieście metrów. Ogień szedł, na szczęście, nie do środka lasu, lecz ogarniał ten „język”. Straż powinna zajechać ze strony przeciwnej, ale tam właśnie znaj-

145

dowały się mokradła na wpół wysuszonych stawów. Jak dojdą? Podejście od czoła zamykała rzeka. Rozpoczęcie akcji w samym lesie znaczyło pchanie się w ogień. Zrozumieliśmy, że powodzenie akcji zależy w dużym stopniu od nas. Zjawiliśmy się nie tylko w samą porę, ale i w najdogodniejszym miejscu. Ogień i dym szedł na nas. Rzuciliśmy się do gaszenia jak wariaci. Przekopywaliśmy ścieżkę, znacząc kreczę piasku w poprzek atakowanego przez ogień pasma lasu. Nie wiem, co się wokół nas działo. Nie było czasu na rozglądanie. Słyszeliśmy wiele głosów, jęk toporów, komendy, wrzaski. Musieli być już inni. Wszyscy ludzie ze wsi stanęli do walki z płomieniami. Straszna jest taka śmierć

lasu. Huczy wtedy złowrogo, jęczy, trupio trzaskają gałęzie. Nie wiesz już, czy to wiatr wyje, czy ogień, który niesie się błyskawicznie. Pełźnie po ziemi, pożera trawy, mech, suche szpilki, oblizuje konary, w oka mgnieniu połyka niskie świerczki, kępy olszyny, dzikiej róży, jałowca strzelając nim w górę jak rakieta rozpryskującą tysiące świec.

Płomień zbliżał się do nas z prędkością wiatru i wiedziałem już, że nie zdążymy. Zatrzymamy go, w najlepszym wypadku, w połowie „języka” lasu. Nie zdołamy przekopać rowu na całej szerokości. Obejdzie z prawa i zagarnie to, co już uchroniliśmy. Jakież było nasze zdziwienie, kiedy z przeciwnej strony, na linii coraz bliżej pełzającego ognia — usłyszeliśmy uderzenia łopat.

To byli ONI.

Warszawscy harcerze. Przedarli się jeszcze przed strażą. Przez bajora. Przez wodę. Mokra mundury, wilgotne chusty zaciągnięte na twarzach pod same oczy. Najszybciej przedzierał się zastęp... Karakuła. Byli lepsi. Pracowali o dobre dziesięć metrów przed nami. Nie przerywaliśmy kopania. Powstawały w ten

146

sposób dwie linie ochronne. Strażacy uderzyli na ogień z boku, z flanki. Nie wiem, jak to długo trwało. W jednej chwili wszystko ucichło. Rozległa się trąbka. To grał Piwko. Na zbiórkę. Zgromadziliśmy się wszyscy wokół oddziałów straży ochotniczej. Byliśmy utyłtani, umorusani, szczęśliwi. Komendant straży powiatowej oglądał przekopy robione przez nas i przez kolegów z Warszawy. Nie mógł się nadziwić.

Jeszcze tu, na polu komendant z powiatu złożył wszystkim podziękowanie. Także „drużynie harcerskiej z Myciowa”. I tak się wydało.

— Ty, Mały! — zapiszczał przeciągle Piwko uderzając mnie trąbką w bok. — Jak rany... Mały... ty też, wy też?...

Chyba nie tylko Piwko był zdumiony, zaskoczony i wybałuszał zaczerwienione od dymu ślepie.

Dziadek Notoczopaju o niczym jeszcze nie wiedział.

Choć w lesie było gorąco od ognia, dzień był zimny. Zapłacili za „kąpiel” w stawach warszawiacy. Pod wieczór trzech dostało gorączki: Sadza, Piwko i sam Karakuł. Karakuł chorował najciężej. Oczywiście, nie mogli spać pod namiotem. Dziadek Notoczopaju kazał ich przytaskać do nas. Na pięterko. Do mojego pokoju. Wstawiono dodatkowe łóżka, bo tu zawsze są dwa. Mama naparzyła kwiatu lipy, tyknęli chłopcy po dwie aspiryny, żeby się wypocić, Notoczopaju polecił jeszcze herbatę z

malinowym sokiem. Piwko nie rozstawał się z trąbką. Trzymał ją pod poduszką. Karakuł nie strzykał śliną. Za to błędził oczami po mojej bibliotece. Milczał. Kiedy wypatrzył „Encyklopedię antyczną”, to już był bliski splunięcia, a kiedy wypatrzył „Podręcznik angielskiego dla zaawansowanych”, splunął naprawdę.

147

— Do you speak english*? — zapytał.

— Yes, I do**... — odpowiedziałem.

Karakuł o nic już nie pytał, to bardzo dobrze, bo zdaje się, na tym kończyła się — i jego, i moja — znajomość angielskiego.

— Aleś nas, Mały, robił w konia — mówił Piwko — no mnie, jak mnie. Ja jestem pionek, szeregowiec, trębacz, chłopiec na posyłki, ale żeby tak zakpić z szarży, z tytana umysłowego i wodza, z Karakuła!!? Z Pietruchy-filozofa, Angora-intelektualisty, z kozaków warszawskich! ?

Podejrzewałem i siebie o lekką gorączkę. Z ciepła płonącego lasu, po pracy, przy której nieźle się napociliśmy, wyleźliśmy wtedy na przyległą do lasu łąkę. Było bardzo chłodno. Gdybym się jeszcze tak taplał w stawach jak zastęp Karakuła — leżałbym tu razem z nimi. Choroba kumpli nie była groźna. Tak ceniła to moja mama. A mama wie wszystko. Należało jednak pojechać po doktora. Wyciągnąłem z drewnitni dwukótkę, żółtą, z dwoma dyszlami. Używał jej tylko dziadek, gdy jechał do powiatu wystrojony w mundur żołnierski. Mamy wspaniałego konia — Moryca. Popędziliśmy z Morycem dwukótką na koniec wsi, a to cztery kilometry. Przekazałem doktorowi list od Notoczopaju. Dziadek prosił doktora o przybycie. Po kilku kwadransach gnaliśmy z lekarzem wąską drogą, przez którą nie przeszaby „Syrenka” doktora. W wypadku Sadzy i Piwka skończyło się na zastrzyku. Ach, jakże Piwko skomlał i użalał się nad niedolą swej biednej, tylnej części ciała! Karakuł oberwał dziesięć baniek. Przytrzymałem palnik ze spirytusem.

* Do you speak english (czyt. du ju spik inglisz?) — Czy mówisz po angielsku?

** Yes, I do... (czyt. jes, aj du...) — Tak, mówię.

148

— Wzięto druha zastępowego — mówił Piwko patrząc na tę „operację”. — Niechby nam tylko nie przejechał się do świętego Piotra. Byłaby to dla ludzkości strata niezwykła. A ja, na domiar złego, zapomniałem zabrać nut marsza żałobnego Chopina.

— Nie rób sobie wyrzutów, Piwko — poważnie dodał Sadza. — Któż to mógł przewidzieć?

I zaczęli nucić „W mogile ciemnej”. Karakuł, chociaż mu bańki naciągały czernią, zaczął rechotać, trząsał plecami i prosił przez łyż, abyśmy przestali się wygłupiać i rozśmieszać go, bo mu bańki podskakują.

W drużynie nastąpiło lekkie rozprężenie. Dowództwo nad resztką zastępu Karakuła przejął Pietrucha. Przychodzili do nas pod byle pretekstem. Było widać, że wszyscy bardzo się lubią. Między tymi kpiarzami jest naprawdę wielka przyjaźń. Zaglądali także chłopcy z innych zastępów, tym bardziej, że druh Mały Księżę nieustannie perorował z dziadkiem Notoczopaju. Zauważyłem, że na kartonowym bloku rysuje dziadkowi schemat układu odgromnikowego dla naszego domu i długo tłumaczy, że według ostatnich badań pewnego profesora z Gdańska nie potrzeba już tradycyjnej, skręcanej linki. Wystarczy drut pojedynczy, byle głęboko zakopany w ziemi. I jak dziadka znam, ten drut, ten odgromnik, będzie u nas w najbliższym czasie.

Nazajutrz była sobota. Od dawna zaplanowano uroczyste ognisko. Rozlepiono we wsi afisze, zapraszano wszystkich. Dziadek Notoczopaju miał opowiedzieć, jak w tym miejscu forsowano graniczną rzekę. Postanowiono jednak, że ognisko rozpali się nie jak zwyczaj każe w obozie nad Płasawką, ale na naszej polanie, pod domem. Ze względu na „rannych”. Trzej rekon-

149

walescenci nie wstawali jeszcze z łóżek, ale pozwolono im w grubych kocach posiedzieć na balkonie. Przysiedli na starych, wygodnych fotelach. Jak w łoży. Mogli w ten sposób uczestniczyć w imprezie. Dziadek odstawił się jak na defiladę przed marszałkiem. Od rana zamęczał mamę o odświeżenie munduru... Mama zrobiła wielki garniec zimnego napoju z cytryną. Drugi garnek z kawą, dla starszych. W godzinę znieśliśmy stertę suchych gałęzi. Lokowano się wokół ogniska.

Po raz pierwszy mój zastęp wystąpił w mundurach. Miałem podobnie jak Karakuł, brązowy sznur zastępowego. Warszawiacy mieli chusty, a my, zastęp z Myciowa, wchodzący w skład sporej drużyny z trzech okolicznych wiosek, nosiliśmy barwne krajki z ładnym haftem. A to nie przypadek: w te okolice zjechały po wojnie rodziny osadnicze z kilku wiosek sąsiadujących ze sobą na wschodzie. I tam nosiło się koszule i bluzki z takimi haftami.

Piwko raz jeszcze gwizdnął, kiedy zobaczył mnie w mundurze.

— Ty! Janek! — pierwszy raz nazwał mnie po imieniu — Janek! Ta zniewaga krwi wymaga. Zapłacisz, bracie. Zapłacisz!

A Karakuł — pewien tego byłem, po raz pierwszy bez żarcików (choć gest wyglądał błazeńsko), poderwał się z fotela i zsalutował mi do gołej głowy. Uśmiechnąłem się.

Na prośbę Małego Księcia mama zapaliła ognisko. Wiara ryknęła na jej cześć tak głośno, że po dolinie poszedł huk jak z kilkudziesięciu armat. Rozśpiewaliśmy się. Ogień trzaskał. Podawano sobie kubki z kawą, z chłodnym napojem. Tylko tych trzech dostało kubasy z... gorącym mlekiem, miodem i masłem.

Piwko wznosił oczy do niebios i domagał się spra-

150

wiedliwości. Dziadek szykował się do wystąpienia. Wkroczył na balkonik, tam gdzie w fotelach siedzieli rekonwalescenci. Postanowił mówić z wysoka, jak z trybuny, żeby go wszyscy słyszeli. Nie ma obawy. Usłyszą. Chociażby Notoczopaju przemawiał z końca lasu. Piwko poprzedził wystąpienie krótkim, przejmującym akordem na trąbce. Bardzo się to dziadkowi spodobało, bo mu ustąpiła z czoła „pralka” — uśmiechnął się od ucha do ucha. Trochę się denerwowałem, co dziadek powie. Czy będzie się podobało?

Czułem, że kropelka potu biegnie mi spod pachy i zatrzymuje się dopiero na boku, przy pasku. Wreszcie Notoczopaju zagrzmiął:

— Żołnierze!

Byłem bliski omdlenia, ale stwierdziłem, że nikt się nie śmiał.

— No, to czołem, panie dziej u. Powiedzieć muszę, że was wszystkich ogromnie polubiłem. Witam was tu z radością i cieszę się, żeście wybrali Myciów. Ze przyjechaliście do nas z samej Warszawy. Pięknie jest u nas. Nie gorzej niż nad morzem czy w górach. Mnie się też tu spodobało. Dwadzieścia pięć lat temu. Szliśmy tu z frontem. Z synem moim. O to ten, chyba już wiecie, siedzi tam obok mojej drogiej synowej...

Notoczopaju zaczął wywlekać sprawy rodzinne, nie bardzo mi to odpowiadało. Ale, o dziwo, wszyscy siedzieli z kamiennymi twarzami.

— ... wiedzieliśmy już wtedy, że Polska jest do tej rzeki — ciągnął dziadek — a granica jest dokładnie pośrodku rzeki. Szczupaki po tej stronie są polskie, a po tamtej... niemieckie. Ale, żeby dojść do tej rzeki, nad którą już przed wiekami Polska była, natrudziliśmy się ogromnie. Zresztą,

dochodziliśmy nie tylko do rzeki, trzeba ją było przejść, a tu, pod Kostrzyniem, zaczynała się najkrótsza droga na Berlin. I uderzyliś-

151

my. My, chłopcy z dywizji Traugutta. Okopał się w ko-strzyńskiej twierdzy ze swoją sforą z SS generał Rei-nefahrt. Ciężko było. Zdobywaliśmy to miasto pięciokrotnie. Podchodziliśmy i wycofywaliśmy się. Wiedział, czego broni. Stąd najbliższej było do Hitlera ukrywającego się w berlińskich bunkrach. Ta rzeka była czerwona od krwi. Mówię wam. Na własne oczy widziałem. A po wierzchu płynęły setki żołnierskich czapek. Czapek polskich i radzieckich. I kiedyśmy gada dobili...

Dziadek wzruszył się i poprosił o szklankę z napojem. ,

— ... no, to czołem, panie dzieju, kiedyśmy gada faszystowskiego dobili, wróciliśmy tutaj. Pod blachą w kuchni odgrzaliśmy puszkę tuszonki. I trzeba było powiedzieć światu, że Polska jest już teraz do tej rzeki. Że do rzeki będzie na zawsze. Tak jak już była za króla Krzywoustego. I wiecie, co wtedy zrobiłem? Na dach wlałem. Wymalowałem, jak tylko można było największymi literami: NIE RZUCIM ZIEMI, SKĄD NASZ RÓD. Żeby te litery widzieli w samym Berlinie. Farba była dobra. Tyle deszczów, tyle burz i śniegu, a ten napis trzyma się jeszcze na dachówce. Popatrzcie...

Kilku chłopaków nie podniosło głowy. Nie wiem, co sobie myśleli. A i nie mógł wiedzieć sam dziadek Notoczopaju, co mu w tej chwili zawdzięczałem.

- Żołnierze! - ciągnął. - Tamte trudne czasy już się raz na zawsze skończyły. Już nad tą rzeką nie będzie frontów i strażów. Są za to wesołe harcerskie obozy. Polska tu jest znów od ćwierć wieku i teraz trzeba się tylko starać, aby to była Polska mądra, bogata i czysta. Tamci bohaterowie sprzed lat zdobywali rzekę. Ale i teraz są bohaterowie. No, to czołem, panie dzieju, czym nie widział ich na własne

152

oczy? Dwa dni temu!? Widziałem. Nie tylko ja. Wszyscy widzieli. I cały kraj o nich wie. Dziadek wyciągnął z kieszeni gazetę.

— ... stoi tu, panie dzieju, napisane o tym ogniu w lesie: Dzięki przytomności umysłu zastępowych drużyny warszawskiej bawiącej na obozie i drużyny harcerskiej ze wsi Myciów, zatrzymano front ognia na bardzo ważnym odcinku lasu. Rozprzestrzenienie się pożaru groziło nieobliczalnymi stratami. Tak piszą. Są tu jeszcze podziękowania komendanta straży. I ja też chcę złożyć im swoje podziękowania. Moje. Od starszego sierżanta z dywizji imienia Traugutta...

Wiedziałem, że dziadek ma różne pomysły. Nigdy, nigdy jednak nie mogłem przypuszczać... Kazał mi zbliżyć się do fotela, na którym siedział Karakuł.

— No, to czołem, panie dzieju, na dwadzieścia cztery godziny czynię tych dwóch zastępowych i ich podwładnych kawalerami Orderu Virtuti Militari.

Już nie pamiętam, co się działo. Wokół szła radość. Wrzaski, krzyki. Wielokrotne „hurrra”. Trąbka Piwki. Płacz mamy. Notoczopaju podszedł do nas, zaczął od Karakuła, dłoń mu uściśnął, wyczałował z dubeltówki. Ta sama ceremonia ze mną. Na naszych piersiach zawisły (dziadkowy i taty) orderzy Virtuti Militari. Karakułowy na pizamie. Mój na mundurze.

Tylko na dwadzieścia cztery godziny.

Daliśmy sobie szufle z Karakułem.

Edmund Niziurski

Trzech pancernych i pół

— No, to załatwione! — powiedział Zakus. — Spotykamy się w krzakach nad rzeką, przy tylnym wejściu.

— To znaczy przy tej dziurze w ogrodzeniu? — zapytał Bysio.

— Tak. Przy tej dziurze, godzina dziewiętnasta. Są jakieś pytania?

— O dziewiętnastej trzydzieści mamy zbiórkę w szkole — zauważyłem zimno.

— Jaką zbiórkę?! — zmarszczył brwi Zakus.

— Zapomniałeś? Idziemy z całą klasą na „Balladynę”. Pani Kieszkowska powiedziała, że obecność obowiązkowa.

— Prawda! Juliusz S. wchodzi nam w paradę! W takim razie musimy zacząć akcję o godzinę wcześniej, żeby zdążyć na czcigodnego Juliusza. A więc spotykamy się o osiemnastej.

— A co z wodą mineralną? — przypomniał Bysio.

— Weźmiesz z apteki na koszt paczki.

— W aptece zabrakło. Słyszałem, jak babcia narzekała. Podobno jedyne miejsce, gdzie można jeszcze dostać, to sklep GS w Kaczycach. Zaklepujesz?

— Zaklepuję.

Bysio chrząknął i obejrzał sobie paznokcie.

— To będzie kosztować dwie monety więcej.

— Z jakiej racji?

157

— Transport. Ja nóg nie wygrałem.

I znów zaczęły się targi o forszę. Obaj, Zakus i By-sio posiadali tak zwany zmysł praktyczny i bardzo się nim szczylicili. Miękkosc w sprawach pieniężnych uchodziła w naszej paczce za objaw niedojrzałości.

— Nie mam zamiaru pompować ci kieszeni — uciął dyskusję Zakus. — Transport nie będzie nic kosztował.

— Nic?! .

— Poślemy Pitułkę. Pitułka zasunie gratis.

— No, nie wiem. Będzie się dziwił.

— Pitułka zawsze się dziwi, ale robi swoje.

— Tak, ale tym razem nie otrząsnął się jeszcze z poprzedniego zdziwienia. Obiecałeś mu po poprzedniej akcji, że na pewno zostanie już pancernym, i jakoś wywietrzała ci z głowy obietnica. Powiedział, że ma dosyć, że nic dla nas więcej nie zrobi i nie chce być dłużej półpancem.

Zakus machnął ręką lekceważąco.

— Pitulenie. Normalne pitulenie Pitułki. Oświadczysz mu, że jak przyniesie dziesięć butelek, to w nagrodę zwolnimy go od dalszych trudów akcji. Pójdzie sobie do domu.

— Coś ty, przecież on pali się do akcji.

— Ale ja się nie palę do Pitułki.

— Naprawdę, nie chcesz go wziąć?

— A po co? Żeby znów dziwił się i pitulił? To nie jest robota dla półpanca. Wystarczy, jak zasunie po wodę.

— Więc czym mam go w końcu przekonać? — jęknął Bysio.

— Tym co zwykle. Że na pewno już dostanie nominację. Cześć!

Zakus swoim zwyczajem wykonał sprężysty półobrót na pięcie i odszedł żołnierskim krokiem, a ja

158

znów pomyslałem, że przeciąga sirunę z riruka i że to w końcu źle się skończy.

Od wielu już miesięcy Tadeusz Pitulski, krępy, żylasty głowacz, zwany popularnie Pitułką, zajmował w naszej paczce pancernych przykre stanowisko półpanca, czyli kandydata i używany był do najbardziej uciążliwych prac, posług i zleceń.

W pancernych zaczęliśmy się bawić trzy lata temu pod wpływem znanej telewizyjnej serii. Urządzaliśmy co dzień wspaniałe bitwy, z reguły dla naszej paczki zwycięskie, bo tylko my dysponowaliśmy „prawdziwym” czołgiem. Ale zabawa skończyła się szybko. W naszym miasteczku ruszyła wielka budowa, pojawili się nowi ludzie, a wraz z nimi nowa indywidualność w naszej szkole, gość z wielkiego świata, niezrównany spec i rzeczoznawca, jednym słowem — Zakus.

Przyszedł kiedyś na nasze podwórze, popatrzył, strzyknął łuską pestki i powiedział, że nasz czołg nie jest czołgiem, ale wrakiem starej ciężarówki — marka Dodge 1942 — ugrzęzłym od lat w błotnistym kącie pod płotem. A potem zaproponował nam inną zabawę i reorganizację paczki. Nazwa miała pozostać, ale nadał jej głębszy sens — „pancerni”, czyli: twardzi, odporni, nieprzenikalni. A nasza nowa działalność — „specjalne akcje niewidzialnej ręki” zostały zaplanowane według recepty Zakusa, która w skrócie sprowadzała się do atrakcyjnego hasła:

NOWA TECHNIKA, FOTOOPYKA I DRESZCZ!

Pierwszą akcją było rozłożenie wraku ciężarówki na składniki pierwsze i sprzedanie w charakterze złomu. To zapewniło podstawy finansowe naszej paczce.

Po tej pracochłonnej akcji Zakus uznał, że nie powinno być za dużo ludzi w paczce i zaczął przepro-

159

waazac ostrą sieiekcję. ucipadi wtedy nawet taki cwaniak jak Dryś. Może dlatego, że za duży był

cwaniak. Zakus nie lubił zbyt wielkich cwaniaków przy sobie, zwłaszcza odkąd kupiliśmy za część pieniędzy uzyskanych ze sprzedaży wraka rower wyścigowy, wprawdzie używany, ale w doskonałym stanie.

Dryś nie mógł darować Zakusowi, że go wywalił z paczki, odgrażał się, że jeszcze się odegra, i zgłaszał ciągłe pretensje do roweru. Twierdził, że napracował się przy demontażu wraka tak samo jak my i ma takie same prawa. Ale Zakus nie przejmował się zbyt Drysiem, jego pogrożki kwitował wzruszeniem ramion i dalej przeprowadzał to, co nazywał weryfikacją.

Ostatecznie w paczce utrzymałem się tylko ja i Zbyszek Byszewski, zwany Bysiem, nie licząc, oczywiście, Pitułki.

Z Pitułką była osobna historia. Przyjechał do naszego miasteczka z pobliskiego pegeeru. Jego ojciec, świeżo przyuczony murarz, zginął parę miesięcy temu w wypadku przy budowie elewatora, pozostawiając żonę i pięcioro dzieci. Prowadzący budowę inżynier, chcąc przyjść z pomocą wdowie, zaopiekował się Pitułką, przyjął go na bezpłatną stancję i umieścił w naszej szkole. Wkrótce potem Pitułka przyłgął do naszej paczki i został kandydatem, z nieoficjalnym tytułem półpanca. Właściwie to dawno już powinien zostać pancernym, ale Zakus zwlekał jakoś z nominacją, podejrzewałem, że po prostu jest mu wygodnie mieć przy sobie gotowego do usług półpanca, a może... to śmieszne, ale odnosiłem czasami wrażenie, że się go obawiał.

Prawda, że nie rozgryźliśmy Pitułki do końca, że często niepokoił nas i drażnił. Bywało, że potrafił

160

wyprowadzić z równowagi nawet samego Zakusa, który przecież chlubił się zimną krwią.

Denerwował nas, zwłaszcza gdy zaczynał się dziwić. Każdy ma prawo się dziwić. Ale zdziwienia Pitułki były szczególnego rodzaju. Potrafił dziwić się w sposób wręcz nieprzyzwoity i żenujący, bezczelnie i ob-raźliwie, więcej — oskarżycielsko. W dodatku bez jednego słowa, samymi oczyma, samą tylko twarzą.

Dziwiło go, skąd Zakus bierze dwieście pięćdziesiąt-ciowatowe żarówki do naszej pracowni fotograficznej, skoro nie ma ich w sklepie, oraz jak uzyskał „pozwolenie na broń myśliwską” i „prawo do polowań w okolicy”, o czym wspominał z tak znudzoną miną, jakby to była rzecz naj naturalniej sza pod słońcem. Nie mniejszym zdziwieniem napełniał Pitułkę nader chwiejny stan naszego zdrowia, a zwłaszcza poważne schorzenia brzuszne i napady okresowej gorączki, którym ulegaliśmy w dniach pisania klasówek, a które mijały pod wpływem intensywnej gry w piłkę.

Dziwiły go nasze rozliczne zagrania i sposoby, nasze niebezpieczne kawały i karkołomne akcje, łatwość, z jaką balansowaliśmy na pograniczu dobra i zła.

Krótko mówiąc — nasz styl go dziwił.

Inna rzecz, że ja też się dziwiłem Pitułce. Dlaczego tak Ignął do nas, trzymał się nas uparcie i niczym się nie zrażał? Tym bardziej było to dziwne, że przecież płacił solidne frycowe. Trzymając się nas popadał co trochę w przykre sytuacje i psuł sobie opinię w szkole.

Dwa wypadki szczególnie mu zaszkodziły. Raz, pamiętam, było to w okresie, kiedy ulegliśmy pasji fotograficznej. Oczywiście Pitułce, jako półpancowi, przypadła najmniej przyjemna część zabawy. Podczas gdy my uganiał się z aparatem po plenerze, Pitułka siedział w ciemni szkolnej i paprał się w chemikaliach. Raz chłopcy zamknęli go dla kawału na klucz. Pitułka

И — Wiele dróg

161

aoDijai się nadaremnie. iNiKt go nie słyszał, tsyfo pozne popołudnie, a ciemnia znajdowała się na drugim piętrze. W końcu postanowił spuścić się przez okno na sznurze od zasłony okiennej. Ale widać sznur był za krótki, bo Pitułka zawisł bezradnie piętro niżej — tuż przed oknem pokoju nauczycielskiego. Akurat odbywało się tam posiedzenie i zdumionym oczom pedagogów ukazała się w oknie okrągła, wystraszona twarz półpanca. Posądzono go, że podglądał umyślnie... Na próżno twierdził, że zamknięto go w ciemni. Stwierdzono, że drzwi ciemni były otwarte. Łobuzy zdążyli już otworzyć...

Innym razem w czasie sławnego polowania z dubeltówką, które urządził Zakus, Pitułka obarczony został funkcją tropiciela i naganiacza. Niestety, zanim zdążył wytropić jakiegoś czworonoga, sam został wytropiony przez dorosłych myśliwych. Zarzucono mu, że płoszy zwierzyne i depcze świeże sadzonki. Został napiętnowany jako wandal leśny i złożono na niego skargę w szkole.

Tak, biedny półpanc miał poważnie zaszarganą opinię z naszej winy, nie mówiąc o tym, że byliśmy powodem jego ustawicznych rozterek wewnętrznych. Już dawno należała mu się za to nagroda. Jaki był, to był, ale zasłużył na upragniony tytuł pancernego... Dlatego postanowiłem sobie, że po tej akcji Zakus musi dotrzymać słowa i dokonać obiecanej nominacji Pitułki.

Z kluczykiem od koparki nie poszło mi tak łatwo, jak myślałem. I to wcale nie z powodu jakichś trudności technicznych. Trudności technicznych właściwie nie było żadnych, przeciwnie...

Ojciec miał przydzieloną na cały czas robót jedną maszynę, odpowiadał za nią i w tym trudnym

okresie musiał być gotów do pracy o każdej porze dnia, dla-

162

Lego ше заавай в уыспузы иигш кшсгька копарки, lecz nosił go stale przy sobie w jednej z niezliczonych kieszeni swego wspaniałego kombinezonu. Kombinezon ten ojciec ściągał po powrocie z roboty i wieszał w szafie w przedpokoju. Wystarczyło więc tylko otworzyć szafę i wsunąć rękę...

A jednak nie mogłem się na to zdobyć. Och nie, bynajmniej nie dlatego, że ojciec spał w drugim pokoju. To, co paraliżowało moje ruchy, to nie był właściwie strach, lecz odraza. Tak to chyba można nazwać: odraza. Nigdy przedtem nie robiłem takich rzeczy i nagle zrozumiałem, że nie potrafię ich robić. Póki był przy mnie Zakus, wszystko wydawało się proste, a teraz ta nieprzewidziana odraza... Czyżbym nie był stuprocentowo pancerny?

— Przestań się kręcić tam i nazad — dobiegł mnie z kuchni głos matki. — Ojciec miał dzisiaj ciężki dzień. Daj mu się przespać. Co ty właściwie tam robisz?

— Ja? Nic... — bąknąłem zmieszany — oglądałem ubranie... Chyba będę je musiał wyczyścić, bo idziemy dziś na „Balladynę”. Wie mama, teatr przyjechał.

— Wytrzepałbyś przy okazji kombinezon ojca, bo cały biały od pyłu — powiedziała matka.

Wtedy dopiero wyjąłem ten kluczyk. Pomyślałem, że powinienem go wyjąć i schować, żeby nie wypadł przy trzepaniu. Ale kiedy z powrotem pakowałem kombinezon do szafy, nie było już w nim kluczyka. Pozostał w mojej kieszonce na piersiach.

Co trochę sięgałem ręką do niego i upychałem go głębiej, bo miałem głupie uczucie, że sterczy i że wszyscy go widzą. Nie mogłem usiedzieć z nim w domu i pobiegłem nad rzekę. O wiele wcześniej pobiegłem, niż było umówione.

163

ten oieg aoorze mi zroou. ucmonąfem i, Kiedy przyszedł Zakus, byłem już dość spokojny. Potrafiłem mu wręczyć kluczyk niedbałym ruchem, jakby to, co zrobiłem, było zupełnym drobiazgiem i zgoła nic mnie nie kosztowało.

Zakus też przyjął kluczyk zwyczajnie, jakbym go poczęstował cukierkiem i tylko mruknął pod nosem:

— Dobry jesteś!

Zaraz potem nadszedł Bysio, a za nim zziąjany i czerwony Pitułka. Dźwigał teczkę z butelkami. Więc jednak znowu dał się namówić! Zakus ostentacyjnie spojrzął na zegarek, a potem zmierzył Pitułkę surowym wzrokiem.

— Spóźniłeś się trzy minuty. To jest niedopuszczalne! Zostaniesz do końca półpancem, jak nie nauczysz się punktualności.

Pitułka zaczerwienił się jeszcze bardziej i przygryzł wargi.

— Daj mu spokój — powiedziałem do Zakusa. — To jest w końcu sześć kilometrów! I ten ciężar! Trzeba mu było dać rower, byłby szybciej.

— Coś ty?! Rower? Półpancowi? Na te wertepy? Żeby się wywalił?! To jest rower wyścigowy wysokiej klasy, nim można jeździć tylko po szosie... No, Pitułka, na co jeszcze czekasz? Spływaj!

Pitułka zdziwiony zamrugął oczami.

— Jak to? Przecież ma być akcja...

— Ty już zrobiłeś swoje. Reszta należy do nas.

— Co wy właściwie knujecie? — Pitułka zaniepokoił się.

— Nic nie knujemy — rzekł Bysio. — Robotnikom chce się pić, napojów brakuje, więc dostarczymy na budowę te butelki.

— Dlaczego nie przez bramę?

— O rany, mówiłem ci przecież. Żeby było cieka-

164

wiej. To ma być akcja niewidzialnej ręki... A poza tym...

— Co poza tym?

— Poza tym chcemy przy sposobności przyjrzeć się z bliska maszynom.

— Tylko przyjrzeć?

— Tylko — skłamał bez wahania Zakus.

Pitułka milczał przez chwilę jakby przetrawiając jakieś myśli. Wreszcie oświadczył:

— Idę z wami.

— Mowy nie ma — warknął Zakus.

— To ja jestem tylko do dźwigania? Zakus odchrząknął.

— Jesteś na razie półpancem i nie możesz być dopuszczony do pewnych spraw...

— Przecież obiecałeś, że po tej akcji dostanę na pewno nominację... więc mógłbym chyba już teraz... z wami...

— Lepiej nie. Jeszcze byś się wygadał!

— Nic nie powiem.

— Weź go, Zakus — powiedziałem. — On na pewno nie powie.

Przez parę minut trwał między nami spór o Pitułkę, wreszcie Zakus ustąpił.

— No, dobra — wycedził łaskawie — niech idzie. Tylko pamiętaj, półpanc, gęba na kłódkę. Choćby cię przypiekali. Słowo?

— Słowo! — zasapał Pitułka.

Przeniknęliśmy przez druty, rozglądając się czujnie. Mrok już zgęstniał, ale orientowaliśmy się łatwo w terenie, gdyż centrum budowy oświecały jaskrawe lampy.

Wkrótce znaleźliśmy się przy wykopach. Od razu poznałem koparkę ojca. Stała w pobliżu wąskiego wykopu zabezpieczonego u góry pomostem z desek. W sztucznym oświetleniu wydawała mi się o wiele

165

większa niż w dzień. I jakaś tajemnicza. Poczułem przyjemny dreszcz... i nieprzepartą chęć, żeby wdrapać się na nią... dotknąć dźwigni... uruchomić, ożywić jej stalowe cielsko...

Pitułka pociągnął mnie za rękaw.

— Gdzie ustawimy te butelki? — szepnął głosem zdławionym z emocji.

— Zaczekaj, mamy czas, najpierw obejrzymy sobie koparkę — powiedziałem, lustrując wzrokiem okolicę.

Na budowie poza nami nie było żywej duszy. Stróż na pewno spał w budce jak zwykle. Od strony

miasta dochodził' głośny warkot motorów. To ciężarówki wracały jedna za drugą do bazy.

Pomyślałem, że w tym hałasie, nawet gdybyśmy uruchomili koparkę, nikt nic nie usłyszy...

— No, coś tak zeszywniał — mruknął Zakus. — Masz boja?

— Skąd... Pomyślałem właśnie, że nie ma żadnego ryzyka.

— No, to przymierzamy się?

— Przymierzamy.

— Tylko ostrożnie, panowie, to nie taksówka. Można pobrudzić szaty, tu wszystko zakurzone.

— Kurz to głupstwo, ale te smary... — Zakus skrzywił się i ostrożnie wspiął na koparkę.

Ja wgramoliłem się za nim, a na końcu Bysio. Z ciekawością pochyliliśmy się nad tablicą rozdzielczą. A potem Zakus z miną znawcy zaczął objaśniać nam, do czego służą poszczególne pedały, dźwignie i wyłączniki.

Pitułka stał na dole, niecierpliwie przekładał z ręki do ręki teczkę z butelkami i patrzył pożądliwie na maszynę.

166

— Pozwólcie i Pitułce się przyjrzeć — powiedziałem.

— Chodź,~ półpanc, przymierz się! — kiwnął palcem Zakus i zeskoczył z koparki.

Pitułce zaświeciły się oczy. Zakręcił się nerwowo w miejscu. Ale mimo widocznego podniecenia nie stracił przytomności umysłu. Najpierw ostrożnie postawił teczkę z butelkami na stercie pustaków, a potem ściągnął swoją nową marynarkę, złożył ją starannie podszewką na wierzch, żeby się nie pobrudziła i umieścił na teczce. Dokonawszy tych zabezpieczających czynności wdrapał się na koparkę. Ustąpiliśmy mu miejsca. Sapiąc z przejęcia siadł na fotelu operatora i łapczywie chwycił za stery. Mruczał coś pod nosem... udawał, że jedzie... że manipuluje szuflą, z pożądlivością dotykał wyłączników i dźwigni...

Patrzyliśmy na niego ubawieni.

— Ty, Pitułka — mruknął okiem Zakus — chciałbyś sobie pojeździć naprawdę?

— No, pewnie.

— Potrafiłbyś?

— Czemu nie?

— No, to spróbuj! — Zakus leniwie wyciągnął z kieszeni kluczyk i pokazał oniemiałemu chłopcu.

— Co to? — wytrzeszczył oczy Pitułka.

— Chyba widzisz...

— Kluczyk od koparki?!

— I to od tej właśnie.

— Skąd go masz?

— Ojciec Zenona nam pożyczył.

Pitułka umilkł, a w jego oczach pojawiło się zdziwienie. Wyjątkowo przykre i bolesne, jeśli można to tak określić. I od razu popsuł nam zabawę.

— Patrzcie, to ja mu robię przyjemność, a on jeszcze wydziwia! — zdenerwował się Zakus.

167

— Przecież nic nie powiedziałem — wykrztusił Pitułka.

— Ale pomyślałeś! Ja wiem dobrze, co sobie pomyślałeś! Złaź! I wy też!

Zakus ściągnął brutalnie Pitułkę z fotela i sam zasiadł za sterami. Nie było rady — musieliśmy wysiadać z koparki.

— Odsuńcie się!

— Co chcesz zrobić? — jęknął Pitułka.

— Przejadę się. No, z drogi!

— Nie żartuj! Naprawdę chcesz się przejechać?

— No, chyba, a po co tu przyszliśmy!

— Mówiłeś przecież, że to ma być akcja niewidzialnej ręki...

— No właśnie. Podjadę do wykopu i pomogę robotnikom kopać ten rowek...

— Nie... nie... daj spokój! — Pitułka na serio już przerażony uczeplił się maszyny. — Nie rób tego, Zakus!

— No, proszę, znów się zaczyna! — westchnął Zakus. — Mówiłem, żeby go nie brać! Na przyszłość słuchajcie moich rad.

Pitułka doskoczył do mnie i Bysia.

— Nie dajcie mu! Zabierzcie mu ten kluczyk! Chyba rozumiecie, że on nie powinien... chyba zgadzacie się, że on nie ma prawa... — powtarzał roztrzęsiony.

— Półpanc, co cię napadło?! Cicho bądź, bo jeszcze stróż przyleci! — syknął Bysio.

— Tak jest — zachrypiałem. — Nikomu nie zaszkodzi, że Zakus przymierzy się do koparki.

— Zaszkodzi! Będzie heca... On nie umie...

— Ja nie umiem? No, to patrz, półpanc — Zakus uśmiechnął się pobłaźliwie, po czym bez pośpiechu, zwolnionym ruchem, żeby dłużej podręczyć Pitułkę, wsunął kluczyk do stacyjki i przekręcił.

168

Rozrusznik ^K wkołał i nagle rozległ się przeraźliwy ryk motoru.

Zdrętwieliśmy. Wydawało nam się, że sianu -p^qcu-je wyjątkowo głośno. Ktoś mógł przecież usłyszeć... Ale Zakus roześmiał się i powiedział:

— Nie bójcie się, patałachy. Koło budki stróża wciąż warczą te pekaesy z bazy. Nawet jeśli nie śpi biedaczysko, nawet jeśli ma słuch jak nietoperz, niczego nie usłyszy w tym huku! Ja zawsze obmyślam wszystko bez pudła. A teraz patrz, Pitułka, włączam bieg, puszczam sprzęgło! Jadę!

Patrzyliśmy jak zahipnotyzowani to na gąsienice koparki, to na Zakusa... Zakus jeszcze przez chwilę mocował się z dźwignią. Nagle gąsienice drgnęły i chrzęszcząc zaczęły sunąć naprzód! Cofnęliśmy się. Zakus przejechał kilka metrów i zatrzymał się między stosem materiałów budowlanych a wykopem. Nie ma co! Zaimponował nam Zakus!

— Teraz ja — zasapał Bysio, wdrapując się na maszynę. — Daj mi spróbować, Zakus.

— Dobrze, tylko uważaj — mruknął Zakus. — Nie pomył się! Pokazywałem ci, co trzeba robić... Pamiętaj?

— Pamiętam! — podniecony Bysio usadowił się za sterami.

— No, to jazda! — Zakus zeskoczył na ziemię. — Sprzęgło, pierwszy bieg, gaz!

— Tak jest... sprzęgło... pierwszy bieg... gaz... — powtarzał zaaferowany Bysio, manipulując przy maszynie. Ale w ostatecznym wyniku tych manipulacji motor zgasł.

— Ech, patałach, nie masz jeszcze czucia — westchnął Zakus. — Za mało dodałeś gazu. Złaź i poćwicz sobie w domu na krzesetku. •

— Czekaj! — sapnął Bysio. — Spróbuję jeszcze raz.

169

Zapuścił silnik i nacisnął mocniej podał gazu. Maszyna zawyła płacźliwie.

— p>i,c=occij sprzęgło! — krzyknął Zakus.

Bysio puścił sprzęgło... Koparka szarpnęła i ruszyła gwałtownie naprzód, miotając piasek spod gąsienic. Zobaczyłem przerażoną twarz Bysia.

— C/Ważaj! Wpadniesz w wykop! Stop! — zawołałem, odskakując na bok.

Całe szczęście, że w tym miejscu rów wykopu przykrywały grube deski. Rozległ się wprawdzie nieprzyjemny trzask, ale koparka zatrzymała się na tych deskach.

— Co się stało? — wykrztusił pobladły Bysio.

— Najechałeś gąsienicą na deski — wrzasnął Zakus. — No, co wytrzeszczasz ślepie! Cofaj szybko, idioto! Wrzuć tylny bieg, matole!

Zdenerwowany Bysio szarpał się bezskutecznie z dźwignią.

— Zjeżdżaj! - Zakus zepchnął go z koparki i sam zajął jego miejsce.

Koparka ponownie zawarczała... przez chwilę trzęsła się i zgrzytała bezsilnie zębami przekładni, wreszcie wierzgnęła do tyłu.

Wydaliśmy głośnie westchnienie ulgi, ale było to westchnienie przedwczesne. W chwilę później rozległ się bowiem straszliwy grzmot. Zobaczyłem w półmroku jakiś rozlatujący się mur, a potem tuman pyłu przesłonił wszystko. Zdrętwiałem i zamknąłem oczy. Z początku pomyślałem, że Zakus wyrznął w ścianę fabryki i że zawaliła się cała budowla, ale potem przypomniałem sobie, że przecież fabryki jeszcze tu nie ma, że dopiero będzie zbudowana, a więc to nie mógł być żaden mur. W takim

razie, co?

Otworzyłem oczy. Pył już opadł. Ochłonąwszy nieco stwierdziłem, że sprawa nie wygląda zbyt tra-

170

gicznie. Zakus wpakował się tylko na stos luźno poukładanych pustaków, rozwalił go i ugrzązł w nim po tablicę rozdzielczą. Opodał stał przerażony Bysio, a Pitułka... Pitułka wyciągał spod zwaliska swoją nową marynarkę i teczkę. Podbiegłem do Zakusa.

— Żyjesz?! — wykrztusiłem.

— Żyję! Ale niech ją diabli, tę maszynę! — zacharczał. — Coś się chyba zacina w pedale. Nacisnąć trochę, nie jedzie. Nacisnąć bardziej, wrywa jak wściekła! Nie rozumiem w ogóle, jak twój stary może na niej pracować! — dodał wyraźnie zde gustowany.

Ale trzeba podkreślić, że nie stracił w tej opresji głowy. Nie porzucił koparki, lecz starał się ją wymanewrować z pobojuwiska. Dopiero gdy ustawił ją mniej wiecej w tym samym miejscu, gdzie poprzednio stała, zeskoczył jak oparzony na ziemię.

— A teraz chodu, chłopaki! — wrzasnął i rzucił się do ucieczki.

Istotnie, był najwyższy czas, żeby pryskać, bo od strony bramy rozległ się ochrypły głos stróża. Nie zdziwiłem się wcale. Staruch mógł nie słyszeć warkotu, ale ten grzmot i gruchot rozwalanych pustaków zbudziłby nawet nieboszczyka.

Czym prędzej wziętem więc nogi za pas i pogałem za Zakusem. Za mną skoczył spłoszony Bysio. Wkrótce wydostaliśmy się z kręgu światła. Tu było już bezpiecznie. Zwolniłem kroku i odetchnąłem. Już po strachu! Stróż nie dogoni nas, nie rozpozna. Mowy nie ma.

Obejrzałem się z ulgą...

I wtedy zobaczyłem Pitułkę...

Co mu się stało, u licha! Stał wciąż w tym samym miejscu, pośród rozrzuconych pustaków i patrzył na

171

nas osłupiały... Nie, raczej zdziwiony. Ale jak zdziwiony! Znałem jego wszystkie poprzednie zdziwienia, lecz mógłbym przysiąc, że jeszcze nigdy nie zdziwił się tak ogromnie.

Wypadek z koparką miał w każdym razie jedną dobrą stronę: sprawnie i spiesznie opuściliśmy miejsce naszej szlachetnej akcji, do tego stopnia spiesznie, że zdążyliśmy jeszcze na „Balladynę”. Było to o tyle ważne, że pani Kieszkowska sprawdzała listę obecności w trosce, by nie ominęło nas przeżycie artystyczne. W tym roku uniknęliśmy już paru przeżyć artystycznych i pani Kieszkowska zagroziła, że jeśli dalej będziemy unikać, skieruje nas za karę do ciężkich robót kobiecych.

Dryś był raz skazany na ciężkie roboty kobiece i mówił, że nie ma gorszej kary. Polegała ona na praniu, maglowaniu, cerowaniu i prasowaniu firanek, portier, zasłon, serwet i innych materii szkolnych oraz na haftowaniu głowy Juliusza Słowackiego na sztandarze szkolnym. Odkąd jestem w szkole, pamiętam, że głowa ta była bez przerwy haftowana i pruta, gdyż nie mogła uzyskać zatwierdzenia władz szkolnych z powodu, jak twierdzono, „niepodobieństwa” i „brzydoty”. Ale Dryś mówił, że najgorsze jest pranie wielkich portier pluszowych z gabinetu pana kierownika, i poradził nam, by w razie czego zgłosić się jednak do haftowania głowy.

Przerażeni takimi perspektywami uznaliśmy, że lepiej się nie spóźnić na „Balladynę”, i stawiliśmy się punktualnie o pół do ósmej do dyspozycji pani Kieszkowskiej. Tylko jeden Pitułka się nie stawił. Bardzo mnie to zdziwiło, gdyż zawsze był zdyscyplinowanym uczniem. I od razu pomyślałem z lękiem, czy aby nie wpadł w ręce stróża. Zwierzyłem się z tej obawy Za-

172

kusowi, ale Zakus roześmiał się tylko i powiedział, że to wykluczone... Pitułka ma wprawdzie spóźniony refleks, ale musiałby być zupełnym imbecylem, żeby dać się złapać niedołęznemu starcowi, a przecież w końcu imbecylem nie był.

Opinia Zakusa uspokoiła mnie trochę. Również „Balladyna” wpłynęła na mnie kojąco. Starałem się myśleć tylko o sztuce, co zresztą przyszło mi łatwo. Już po pierwszych minutach stwierdziłem z ulgą, że da się oglądać bez większej przykrości. Zupełnie niezły kryminał, tylko szkoda, że mówią wierszem.

Ale ledwo zapadła kurtyna, tamte myśli wróciły i wiedziałem, że już nie opuści mnie obraz Pitułki stojącego tam, wśród rozrzuconych pustaków. I wiedziałem, dlaczego mnie nie opuści.

Rozdrażniony rozejrzałem się za Zakusem, ale już go nie było. Gdzieś przepadł. Koło mnie dreptał tylko zaaferowany By sio. Nic nie mówił. Czyżby i jego dręczyło to samo?

Postanowiłem go sprawdzić.

— Właściwie nic się nie stało — bąknąłem pod nosem.

— Co mówisz? — drgnął wyraźnie.

- Mówię, że właściwie nic się nie stało.
- Zupełnie nic — zgodził się pośpiesznie.
- Wyszliśmy obronną ręką.
- Tak... Nikt nawet nie domyśli się, że to my... — urwał nagle — chyba że Pitułka...
- Pitułka też nie — odparłem szybko.
- Co nie?
- Nie "dał się złapać.
- Tak... na pewno nie dał się złapać.
- W ogóle ma się czym truć — mruknąłem.
- Pewnie, że nie ma.
- Te pustaki to głupstwo.

173

- Oczywiście, że głupstwo.
- I te deski też...
- Jakie deski? — zmarszczył brwi.
- No, te na wykopie, które przygniotłeś...
- Te deski są w porządku.
- Ale, co ty gadasz — powiedziałem zdziwiony. — Przecież słyszałem trzask. Musiały się złamać.
- Są całe. Gdy zsiadłem z koparki, rzuciłem na nie okiem — upierał się Bysio.
- W takim razie musiały tylko pęknąć i dlatego z wierzchu nic nie widać.
- Co powiedziałeś?! — zdrętwiał nagle. Spojrzałem na niego zdumiony.
- O co ci chodzi... Skoro nic nie widać...
- Ależ, człowieku, to właśnie jest okropne!

— Co jest okropne?

— Że nic nie widać.

— Dlaczego?

— Zrozum, ty pało zakuta, przecież te deski położyli na wykopie, żeby było przejście... Jeżdżą po nich taczkami i przetaczają różne ciężary... Więc skoro nie widać, że deski są pęknięte i że trzymają się tylko na łasce pana Boga, no to jutro rano znów na nie wejdą... nie będą podejrzewać nic złego i wejdą, a wtedy...

Zrobiło mi się przeraźliwie łyso. Co za kretyn ze mnie, że o tym od razu nie pomyślałem! To przecież zupełnie jasne! Jutro pierwszy robotnik, który wjedzie z taczkami na te deski albo tylko wejdzie... Nie... lepiej nie myśleć...

— Ależ w takim razie... — wykrztusiłem.

— W takim razie nie można tego tak zostawić! — wybuchnął Bysio.

— Co chcesz zrobić? — wybełkotałem.

Ale on puścił się już biegiem. Ruszyłem za nim.

174

Na placu budowy panowała nieprzyjemna cisza. Warkot motorów w bazie pekaesu ustał już zupełnie i słychać było tylko dalekie ujadanie psów. Mgła zgęstniała. To było głupie uczucie, ale od momentu, gdy przeszliśmy przez dziurę w ogrodzeniu, miałem wrażenie, że śledzą mnie dziesiątki oczu. Wzdrygnąłem się...Co za bzdura... Nikt nie widzi... To tylko oczy zamglonych lamp patrzą. A ja całkiem zwyczajnie się boję. Dlaczego dopiero teraz? Przecież przedtem, gdy szliśmy z Zakusem, nie bałem się... Tak, wtedy nie bałem się. Wtedy w ogóle wszystko było inaczej... wtedy to była zabawa. A teraz skończyła się zabawa. Zrozumiałem to wreszcie i chyba dlatego się boję.

Zamyślony, nie zauważyłem nawet, kiedy zbliżyliśmy się do miejsca wypadku.

— Chodź szybko! — usłyszałem nagle zdławiony głos

Bysia.

Drgnąłem i podbiegłem do niego.

— Co się stało?

— Patrz!

Spojrzałem i osłupiałem z wrażenia. Wszystkie pustaki były starannie poukładane. Wydało mi się to tak niewiarygodne, że zapytałem Bysia:

— Słuchaj no, czy to na pewno tu?

— Na pewno — odparł — przecież tu stoi koparka.

Istotnie, we mgle majaczyła znajoma sylwetka maszyny, a na ziemi dostrzegłem jakieś świeże, cementowe okruchy. To pewnie po tych paru pustakach, które wtedy się stłukły. Czułem, jak krew nabiega mi do twarzy.

— Ktoś poukładał — szepnąłem.

— Kto? — zapytał Bysio.

— No, chyba nie stróż!

Spojrzeliliśmy po sobie. Wiedziałem, że obaj pomyśleliśmy to samo. Bysio przygryzł wargi.

175

— Ładny kawał roboty. Ale ważniejsze są te deski.

Doskoczył do wykopu. Deski były na miejscu. Wstąpił na nie ostrożnie. Nie drgnęły.

— Musiało ci się wtedy zdawać! — mruknął. — Te deski są całe. Zobacz! Wcale nie pęknięte.

Kucnąłem i obejrzałem je dokładnie.

— Nie. Nie zdawało mi się — powiedziałem. — Po prostu to są inne deski. Nowe.

— Nowe?!

— Łatwo poznać. Nie są zabłocone jak tamte i nie pokaleczone.

Rozejrzałem się dookoła.

~ Patrz — wskazałem — te stare leżą chyba tam, za koparką.

Bysio poszedł sprawdzić.

— Rzeczywiście pęknięte! — wymamrotał. — Coś takiego! No, to nie mamy tu nic do roboty.

— Tak, już nic... — odetchnąłem głęboko i odgarnąłem włosy ze spoconego czoła. Dziwne, ale czułem się zmęczony, jakbym to ja napracował się tutaj... Powiodłem okiem dookoła. Wszystko na miejscu. Właściwie żadnych śladów. Nikt nie domyśli się nawet. Co za ulga!

Usiadłem nad wykopem, spuściłem nogi w dół, przeciągnąłem się jak kot i ogarnęło mnie rozkoszne uczucie spokoju... Ale potem pomyślałem o Pitulce i twarz mi spochmurniała.

Powoli wróciłem do domu. Kluczyk od koparki udało mi się niepostrzeżenie wsunąć do kieszeni kombinezonu ojca.

Nazajutrz, zanim jeszcze ojciec wyszedł do pracy, zjawił się u mnie zupełnie niespodziewanie Zakus. Bardzo się zdziwiłem, co może znaczyć ta wizyta

176

o pół do siódmej rano. Był bardzo zdenerwowany, choć starał się to ukryć.

— Przyszedłem cię ostrzec, Zenon — powiedział. — Wiesz, ten łotr Dryś... — zawahał się.

— Co Dryś?

— Zbudził mnie dziś o świcie. Oświadczył, że wczoraj nas śledził i wszystko wie...

— To przykre — powiedziałem. — Kto widział budzić tak wcześnie rano! Przecież widzieliśmy się z nim wczoraj w teatrze. Mógł wtedy złożyć to smutne oświadczenie. Dlaczego wtedy milczał? Czy bał się nam popsuć nastrój? Czy też nie chciał dostać po uszach?

— Widzę, że jesteś w doskonałym humorze — zauważył kwaśno Zakus.

— W nie najgorszym, mój stary.

— Zaraz ci go popsuję. Dryś dlatego wczoraj nic nie powiedział, bo jest perfidną świnią.

— Rzadki przypadek zoologiczny. Świnia, rozumiem. Ale dlaczego perfidna?

— To jest perfidne zagranie. Nic nie powiedział wczoraj, bo bał się, że wrócimy na budowę, uprzątniemy pustaki i zatrzemy ślady. A wtedy nie mógłby już nas straszyć. Nie miałby żadnych dowodów.

— A więc on przyszedł cię straszyć??

— Zażądał, żebyśmy go dopuścili do spótki rowerowej i przyjęli z powrotem do paki. Odgrażał się, że w przeciwnym wypadku opowie wszystko o nas pani Kieszkowskiej w szkole i kierownikowi na

budowie.

— Tak? A to faktycznie łobuz... — rzekłem raczej wesoło. — To nazywa się chyba szantaż.

— Tak. To jest szantaż — mruknął ponuro Zakus i spojrzał na mnie zdumiony swoją zimną krwią.

— Nie bardzo się jakoś przejmujesz.

— Raczej nie. Natomiast ty, bracie, tracisz fason. Zupełnie cię nie poznaję. Opanuj się!

12 — Wiele dróg

177

— Łatwo ci powiedzieć. On tam czeka.

— No, więc powiedz mu, żeby sobie przyniósł krzesło, bo będzie długo czekał.

— Dał mi termin do pół do ósmej. Muszę zaraz iść do niego i nie wiem, co mam zrobić.

— To proste, daj mu wycisk.

— Oszalałeś!

— I powiedz mu, żeby nie robił nas w konia — rzekłem, oglądając sobie paznokcie. — Na budowie jest wszystko w porządku.

Zakus wytrzeszczył oczy.

— Jak to... a te pustaki? •

— Wzorowo poukładane.

— Nie wierzę.

— Więc idź, przekonaj się. I zabierz z sobą Drysia. Będziesz miał większy ubaw.

— Co ty bredzisz, kto mógłby poukładać?! — wybełkotał Zakus.

— Zapewne automaty — odparłem, patrząc mu w oczy.

— Nabijasz się ze mnie!

— Jak to, więc nie wiesz, że na budowach działają teraz nocne ekipy porządkowe? Można narobić bałaganu, rozwalić wszystko, rozsypać, a rano i tak jest sprzątnięte. Wyższa technika i organizacja pracy, bracie. Cybernetyka. Mają specjalne automaty do sprzątnięcia i układania.

— Nie mam czasu na głupie dowcipy! — zdenerwował się Zakus. — Gadaj, kto tam posprzątał!

— A jak myślisz, kto? — popatrzyłem mu w oczy. Zakus poczerwieniał.

— Pośpiesz się — powiedziałem. — Musisz pokazać te pustaki Drysiowi, zanim przyjdą robotnicy.

Zakus wybiegł oszołomiony. Wrócił zadyszany parę minut przed ósmą, gdy pakowałem już książki.

178

— Wszystko poukładane, to fakt — zasapał

— A co Dryś? — zapytałem spokojnie.

— No... zdębiał oczywiście.

— A co ty?

— Dałem mu wycisk już bez żadnych skrupułów. Ale on jeszcze coś chowa w zanadru.

— Cóż takiego?

— Wspomniał coś o Pitułce...

— Co?

— Nie chciał powiedzieć, ale odgrażał się, że choć zatarliśmy ślady, on i tak nas pogrąży, bo ma w ręku Pitułkę... chyba, że dostanie ten rower.

— Odmówiłeś?

— Tak.

— Słusznie. Z Pitułką to jest bluff*. Jak on może mieć w ręku Pitułkę?

— Może Pitułka mu powiedział...

— Nie. Pitułka na pewno mu nic nie powiedział. Odparłem z przekonaniem.

Ale Zakus wciąż miał jakieś wątpliwości. Zwlekał z odejściem, wreszcie zapytał:

— Słuchaj... to wy te pustaki... Uśmiechnąłem się drwiąco.

— Nie obrażaj nas, Zakus. Czy to pasowałoby do nas? Myślisz, że nam by się chciało?

— No... to byłoby naprawdę raczej... dziwne.

— Bardzo dziwne byłoby, Zakus. I niezgodne z naszymi zasadami, które mamy zaszczyt wyznawać wspólnie. W podobnych okolicznościach stosujemy zasadę błyskawicznego odwrotu i wykazujemy się sprawną pracą nóg. Tam była raczej praca rąk. Około pół tysiąca pustaków, ulgowo licząc, no i wymiana desek

* Bluff — zastraszenie przeciwnika demonstracją siły.

179

na wykopie, bo pękły. Można dostać pęcherzy, stary. Nie, to nie w naszym stylu.

— Pokaż łapy! — powiedział zdenerwowany.

— Służę. Są nieskażone pracą.

Wyciągnąłem przed siebie ręce i zademonstrowałem. Zakus rzucił na nie okiem i skrzywił się.

— W takim razie, kto? Przecież chyba nie ten głupi półpanc?!

— Chyba jednak ten głupi półpanc. Tylko jemu mogło coś podobnie głupiego wpaść do głowy.

Zakus spojrzał na mnie ponuro.

— Półpanc nie półpanc, klawo jest i cacy — mruknął starając się odzyskać swój styl.

— Tak jest, Zakus — rzekłem zimno. — Wszystko jest cacy. Okey, jak mówią gangsterzy. Możemy śmiało iść do budy.

Czułem, że powinienem porozmawiać przed lekcją z Pitułką. Ale nie bardzo wiedziałem, co mam mu powiedzieć... Głupia sytuacja. I jakiś wstyd mnie pętał. Postanowiłem odłożyć rozmowę na później. Zresztą nigdzie nie było widać Pitułki. Czyżby nas unikał? Natomiast napatoczył się od razu Dryś i zapytał, czy dojdziemy do zgody. Powiedział, że po raz ostatni pyta. Odparłem, żeby się odzepił, bo dostanie, a Zakus zaliczkowo pomacał go w żebro. Dryś uciekł i krzyknął z półpiętra, że idzie do pani Kieszkowskiej i że pożałujemy. Wytrącił nas trochę z równowagi. Czyżby naprawdę miał coś skutecznego w zanadrzu? I coś w związku z Pitułką?

— Słuchajcie, może ten stróż... — bąknął Bysio.

— Stróż?

— Pomyślałem, że Dryś może powołać się na stróża jako świadka. Może działać w porozumieniu ze stróżem.

— Głupi jesteś — zgasił go Zakus. — Stróż nic nie

180

powie. To nie byłoby w jego interesie. Stróżowi tak samo jak nam zależy, żeby nikt się nie dowiedział o wczorajszym wypadku.

— Jasne — przytaknąłem. — Byłby skandal i na stróżu by się najbardziej skrupiło. Mogliby nawet wyrzucić go z pracy za to, że źle pilnuje. Nie, Dryś nie może działać w porozumieniu ze stróżem. W porozumieniu ze stróżem to musiał działać Pitułką.

— Jasne, a w takim razie Dryś...

— Albo bluffuje, albo wykombinował jakiś szatański plan — powiedziałem.

— Jaki?

Spojrzeliliśmy po sobie. To właśnie było pytanie.

Z tym większą niecierpliwością czekaliśmy na lekcję z panią Kieszkowską. Nie ulegało wątpliwości, że lekcja tak czy owak zacznie się od małej awantury. Półpanc będzie maglowany za Juliusza Słowackiego. Ale co będzie dalej? Czy pani Kieszkowską ograniczy się do tej sprawy?

Przesłuchanie zaczęło się, jak zwykle, zupełnie niewinnie. Po prostu wpisując lekcję do dziennika pani Kieszkowską rzuciła mimochodem:

— Pitulski, nie byłeś na „Balladynie”.

Półpanc wstał ociężale. Wydał mi się bardziej krępy i bardziej zwarty w sobie niż zwykle.

— Nie mogłem, proszę pani.

— Niedyspozycja brzuszna? Uprzedzałam was, że więcej się na to nie nabiorę!

— Ja... ja nigdy nie miałem niedyspozycji brzusznej, ani w ogóle — zaczerwienił się półpanc.

— Więc czemu przypisać twoją nieobecność?

— Miałem przeszkodę — powiedział Pitułką.

Pani Kieszkowską spojrzała na niego spod okularów.

— Wstydz się! Przyjeżdżają do nas aktorzy, tłuką

się kawał drogi z Warszawy, poświęcają nam swój talent i zdrowie, a pan Pitulski z Wylęgowa grymasi. Cóż to, nie odpowiada panu Pitulskiemu poziom gry?

— O... owszem, odpowiada.

— A może pan Pitulski w ogóle nie uznaje przeżyć artystycznych?

— Uznaję — oświadczył Pitułka.

— To już lepiej. Więc pewnie tylko sztuka nie była w guście pana Pitulskiego. Pan Pitulski wolałby iść na „Skaldów” albo „Trubadurów”. Nie cenimy Słowackiego, co?

— Ja cenię Słowackiego. Bardzo cenię — wykrztusił Pitułka — i przepraszam, że nawaliłem.

— Co to za wyrażenie?!

— To niechący — zmieszał się Pitułka.

— Obecność była obowiązkowa — głos pani Kiesz-kowskiej zaostrzał się stopniowo. — Uprzedzałam, że ukarzę nieobecnych. Wiedziałaś.

— Tak... ale... ale nagle coś mi wypadło. Bardzo ważne zajęcie.

— Wiemy coś o tym zajęciu... Musiało być w istocie nader absorbujące, bo wróciłeś późno wieczorem ze zniszczoną marynarką i pokiereszowaną teczką.

Pani Kieszkowska zbliżyła się do Pitułki i zajrzała mu w oczy.

— Jak ty się nie wstydzisz! — powiedziała. — Twoi opiekunowie kupili ci tę marynarkę i teczkę za ciężko zarobione pieniądze...

— Odkupię — zasapał Pitułka.

— Ubierają cię, troszczą się o ciebie jak o rodzone dziecko — ciągnęła pani Kieszkowska — a ty jak się odwdzięczasz? Nawet nie chciałeś im powiedzieć, gdzie byłeś i co robiłeś... To ich obraża i oburza. Mają chyba prawo wiedzieć... Ale prawda i tak wyjdzie na wierzch. Zastanów się, Pitulski, wiemy więcej o to-

bie, niż myślisz. Około godziny szóstej biegłeś z ciężką bardzo wypchaną teczką. Sterczały z niej

butelki. Co było w tych butelkach?

— Woda mineralna, proszę pani.

— Czy twoi opiekunowie posłali cię po tę wodę?

— Nie, proszę pani.

— A więc po co ją niosłeś? Dla kogo? Zacinęliśmy nerwowo ręce na pulpicie. Niebezpieczne pytanie.

Jeśli Pitułka się przyzna, pani Kieszkowska wyciągnie od niego całą prawdę. Dojdzie po nitce do kłębka. Pitułka sapał przez chwilę, mocował się z sobą.

— Nie mogę powiedzieć, proszę pani — wykrztusił wreszcie.

— Rozumiem... — westchnęła pani Kieszkowska. — Nie byłbyś taki tajemniczy, gdyby tam naprawdę była woda. Szkoda, że nie chcesz się przyznać. Nie dlatego cię pytam, że nie wiem. Pytam cię, bo chciałam, byś szczerym wyznaniem zmniejszył swoją winę. Ja wiem, co naprawdę niosłeś w teczce, Pitulski. Kiedy twój kolega Dryś spotkał cię na ulicy, zajeżdżało od ciebie wódką. Miałeś czerwoną twarz, niepewnie trzymałeś się na nogach i użyłeś wulgarnych słów wobec Drysia.

Pitułka zbladł. Zaniemówił. A my o mało nie podskoczyliśmy na ławkach. A więc na tym polega szatański plan Drysia!

Wiedział, że nie może oskarżyć nas wprost, bo zaprzeczylibyśmy łatwo. I my, i zapewne stróż. Tak, Dryś świetnie rozumiał, że Pitułka układając pustaki wytrącił mu dowód z ręki.

Postanowił więc dobrać się do nas inaczej, oskarżając fałszywie Pitułkę o rzeczy niezwiązane na pozór z wypadkiem. Liczy na to, że sam Pitułka nas wsypie. Bo

183

Pitułka może się bronić tylko w jeden sposób: mówiąc o naszej wieczornej akcji na budowie.

Gdyby powiedział o tej akcji, wyjaśniłby i sprawę butelek, i zniszczonej marynarki, i teczki, i przyczynę swej nieobecności na sztuce. W rezultacie wyszedłby z tej hecy obronną ręką, więcej — jako bohater. Bo przecież on nie chciał, on przestrzegał, on nie uciekł, no i on naprawił za nas szkodę.

Zakus trącił mnie w bok.

— Patrz, co za główka! — cmoknął z podziwem.

— O kim mówisz?

— No, o Drysiu... Wymyślił gangsterski chwyt. Będzie nas chyba miał? — zauważył markotnie.

— Zależy od Pitułki... — mruknąłem ponuro,

— Pitułka nie ma w tej sytuacji wyjścia.

— Przysiękłem, że nie powie — szepnąłem.

— Tak, ale zrobiła się większa heca. To go może za dużo kosztować. Gra idzie dla niego o życiową stawkę. Znam się na ludziach. Nie będzie dla nas nadstawiał pyska.

Spojrzeliliśmy z niepokojem na Pitułkę. A on stał wciąż jeszcze osłupiały, porażony niespodziewanym oskarżeniem.

— To nieprawda! Dryś kłamie — wykrztusił wreszcie — to nie była wódka, to była woda mineralna! Są chłopcy, którzy widzieli... Potwierdzą...

— Ja widziałem! — zerwał się Zakus, jakby się bojąc, żeby półpanc nie powiedział za dużo. — To naprawdę była woda mineralna.

— Ja też widziałem — podniosłem się błyskawicznie. — Dryś kłamie, proszę pani. Drysiowi w ogóle nie można wierzyć.

— Tak, proszę pani — poparł mnie Bysio — to była woda mineralna.

— To oni kłamią! — podskoczył Dryś. — Oni mi

184

zabrali rower, proszę pani, to są łobuzy i oszuści! Pani chyba wie! Oni bronią Pitułki, bo to ich pupilek...

— Co? — osłupiała pani Kieszkowska.

— Pupilek, proszę pani. Przyjęli go do paczki i pieścą go w tej paczce!

— Pitulski jest waszym pupilkiem? Nie wiedziałam — pani Kieszkowska obróciła się do nas zdziwiona.

Zakus posiniał i zatrząsł się.

— Pitulski? Co za pomysł! Czy on nadaje się do pieśczenia? Jaki z niego może być pupilek?!

Klasa zachichotała.

— Cisz! — krzyknęła pani Kieszowska i zapytała Zakusa:

— Gdzie widziałeś Pitulskiego z tą... no, z tymi butelkami?

— Na ulicy Głównej, proszę pani — odparł bez namysłu Zakus.

— Czy wiesz, gdzie niósł tę wódkę?

— Wodę mineralną, proszę pani — poprawił spokojnie Zakus.

— No, więc gdzie niósł tę wodę?!

Pitułka drgnął i spojrzał na Zakusa. Czekał w napięciu, co powie... wstrzymał oddech. Przygryzł wargi. Czyżby miał nadzieję, że Zakus wyzna całą prawdę? Nie był chyba tak naiwny.

Zakus odchrząknął.

— Skąd mogę wiedzieć, proszę pani.

— Na pewno nie wiesz?

— Nie pytałem go.

Pitułka wytrzeszczył oczy, jakby wciąż nie dowierzał. To było chyba jego ostatnie zdziwienie.

— A wy? — pani Kieszowska zwróciła się do nas.

185

— My też nie wiemy — odparł By sio, a ja przytaknąłem.

— I nie wiecie, co robił przez cały wieczór? Nie widzieliście go potem?

— Nie, proszę pani — zaprzeczyliśmy wszyscy. Pitułka pochylił głowę. Zapadła denerwująca cisza.

Czuliśmy, że sytuacja staje się napięta i niebezpieczna. Pitułka wiedział już, że my się wyłączyliśmy, że zostawiliśmy go samemu sobie. Czy złamie słowo? Czy zdradzi tajemnicę? Czy nas wyda? Milczał.

— Czy to prawda, że wracając wieczorem, pobiłeś pod waszym blokiem Drysia? — zapytała nagle pani Kieszowska.

To było coś nowego. Spojrzeliśmy zaskoczeni na Pitułkę.

— Prawda — odparł — dostał ode mnie trochę. Ale mu się należało.

— Tak sądzisz?

— Tak sądzę, proszę pani.

— Czy dlatego, że zwrócił ci uwagę, że nie byłeś w teatrze i że zajeżdża od ciebie wódką?

— To kłamstwo! — wykrztusił Pitułka. — On łże bezczelnie, proszę pani. Nic nie piłem!

— Ty kłamiesz! - krzyknął Dryś. - Kłamiesz, bo ci wstyd! Zataczałeś się po ulicy. Ledwie ruszał nogami, proszę pani, miał marynarkę rozdartą i brudną, teczkę też. I ta teczka już była pusta, proszę pani! Ani jednej butelki! Niech pani go zapyta, co zrobił z tymi butelkami... W jakiej melinie je zostawił i czym go tam częstowali! Pani wie, że u nas są takie lewe spelunki... handlują wódką.

— Nie byłem w żadnej speluncie. On mnie chce zrobić umyślnie. Pani mu chyba nie wierzy — Pitułka spojrział błagalnie na panią Kieszowska.

186

— Chciałabym ci wierzyć. Ale musisz być szczery. Twierdzisz, że Dryś nie mówi prawdy. Więc powiedz, o co wam poszło. Dlaczego go pobiłeś? Co ci takiego powiedział?

Pitułka utkwiał zmęczone oczy w nauczycielce.

— Nie mogę, proszę pani.

— No więc, jak mogę ci wierzyć? Gdyby to było pierwszy raz — westchnęła — ale ile już było tych wybryków. Skandaliczne wyczyny w lesie, spuszczenie się na linie z okna, podglądanie konferencji...

— Zamknęli mnie wtedy w ciemni.

— Tylko ty to tak tłumaczysz, a inaczej wyglądają fakty. Zawiodłam się na tobie, Pitulski, wszyscy się zawiedliśmy. Okazałeś się chłopcem skrytym, nieufnym i podatnym na szkodliwe wpływy. Kto wie, czy nie lepiej będzie, jeżeli wrócisz do matki na wieś. Tutaj wpadłeś w złe towarzystwo. Wszyscy chcieli ci pomóc. Dostałeś stypendium, bezpłatne obiady. Miałeś dobrych, troskliwych opiekunów, a ty czym im odpłaciłeś? To jest po prostu niewdzięczność.

— To... to się nie powtórzy, proszę pani. Na pewno!

— Obiecywałeś to samo już dwa razy. Obawiam się, że nie będziesz mógł dalej liczyć na szczególne względy. W każdym razie stypendium zostanie cofnięte. Regulamin jest bardzo surowy...

Pani Kieszkowska umilkła, zrobiła przerwę, jakby chciała dać jeszcze szansę Pitulce, jakby spodziewała się, że coś powie, że wreszcie wyzna wszystko.

W klasie zrobiła się śmiertelna cisza... Czułem, że to i dla nas jest szansa. Że moglibyśmy jeszcze wstać i powiedzieć, jak było naprawdę. Spojrzałem na Za-kusa. Siedział rozparty niedbale na ławce i gapił się w okno, jakby znudzony, że tak długo się to wszystko przewleka, ale całkiem spokojny już i pewny, że ocali skórę. Twardy człowiek — pomyślałem z goryczą. Nic

187

nie powie. No tak, czego innego mogłem się spodziewać po Zakusie? On uważa, że wszystko jest w porządku. Nie ma żadnych wątpliwości. Ale ja? Ja przecież wiedziałem, że wcale nie wszystko jest w porządku. Więc powinienem chyba... A jednak nic nie powiedziałem.

— Siadaj, Pitulski — rozległ się znużony głos pani Kieszkowskiej. — Widzę, że nie ma sensu przedłużać tej rozmowy. Jesteś bardziej zepsutym chłopcem, niż myślałam. Wyciągnę z tego odpowiednie wnioski.

Po lekcji Zakus położył mi łapę na ramieniu.

— No i po dreszczu, Zenek. Miałeś rację. Pitulka nie wsypał. Twardy chłop.

— Tak, twardy — mruknąłem.

— Sprawdził się — Zakus wypluł łuskę pestki. — Można go przyjąć do paki. Przeciwwskazań nie ma.

— Oczywiście... nie ma przeciwwskazań. Facet będzie głęboko wzruszony! Idź, zaproponuj mu to, ja wolę nie patrzeć chłopakowi w oczy.

Zakus wzruszył ramionami.

— Mięczak jesteś. Małż i ślimak! Zerwałem się z ławki.

— Nie czujesz, Zakus, że tu coś było fałszywie zagrane i śmierdzi?

— Kto chce, niech wącha. Ja odwracam głowę...

— Idę dalej i śpiewam.

— Mniej więcej...

— Zawsze masz zdrowe poglądy. Zazdrozczę ci.

— Te... te... ironista, lepiej być ruszył czaszką. Roz-tkliwienie się nie przystoi pancernym.

— Więc uważasz, że wszystko jest cacy?

— Pitułka przyrzekł i musiał dotrzymać przysięgi. Nie mógł postąpić inaczej.

— A my?

188

— My też nie mogliśmy inaczej.

— Naprawdę?

— A co niby mieliśmy robić? No, zastanów się, chłopie. Wyznać wszystko? I co by to dało? Gdybym wtedy wstał i powiedział, ocaliłbym Pitułkę, ale ilu facetów bym wsypał! Gdyby chodziło tylko o mnie — westchnął i podniósł oczy do góry. Zawsze podziwiałem Zakusa, tak świetnie umiał wzdychać.

— Gdyby chodziło tylko o mnie, sprawa prosta — spuścił głowę i strzepnął nieważki pyłek z marynarki. — Ale czy miałem prawo pogrążyć tego pocziwca stróża, Bysia, ciebie i twojego ojca?

— Mojego ojca?!

— No... bo przecież jego też by się czepiali, że nie pilnował kluczyka. A w ogóle to dam ci jedną radę na przyszłość. Nie wiesz, jak postąpić, matematyki się pytaj. W tym wypadku prosty rachunek ci powie, że zysk nie byłby wart straty. To jeszcze nic, że wsypałbym kupę ludzi, ale jaki skandal wybuchłby na budowie i w budzie, ile zamieszania, kłopotów, dochodzeń... To byłoby po prostu głupie rozbabranie sprawy. A tak ogień wypalił się na jednej zapałce.

— Na niewinnym Pitułce.

— Głowy mu nie urwą.

— Ciekaw jestem, czy ty na jego miejscu też byłbyś taki twardy?

— No... chyba — Zakus chrząknął.

— Nie wierzę. Wzruszył ramionami.

— Sądzisz widać według siebie. Chodźmy lepiej poszukać Pitułki.

— Jest w szatni — powiedział zadyszany głosem Bysio, zbliżając się do nas. — Coś się z nim

stało...

— Co?

— Ubiera się... wkłada buty.

189

Wybiegliśmy na korytarz. ±чшiкa wycnoazu wias-nie z szatni. Dopadliśmy go w sieni.

— Ty, coś ty... oszalał? Gdzie idziesz?! — zapytałem. Milczał.

— Przejąłeś się Kieszkowską? Przecież cię nie wylała. Że stypendium?! Pluj na to... — machnął ręką Zakus. — Te nędzne trzysta złotych? Pokryjemy z funduszów paki. Nie zginiesz z nami, koleś... Na tych opiekunów też możesz gwizdać.

— Zamieszkaś u nas — powiedziałem.

— Albo u mojej babki — rzekł Bysio — będziesz miał własny pokój na facjacie!

— Tak jest, niepotrzebnie się łamiesz, stary — Zakus poklepał Pitułkę po łopatkach. — Od dzisiaj wszystko będzie inaczej! Przyjmiemy cię do paczki. Równy chłop z ciebie! Od tej chwili jesteś pancernym.

Pitułka patrzył na nas spod ściągniętych brwi... uważnym, skupionym wzrokiem.

— No, słyszysz?! Jesteś pancernym! — Zakus szarpnął go za ramię. — Zamroczyło cię, czy co!
Wracamy do klasy!

Pitułka potrząsnął głową.

— Cóż to, nie przyjmujesz nominacji?

— Nie — odpowiedział wolno i z namysłem Pitułka. — Wy nie jesteście pancernymi.

— Jak to? — zeszywniał Zakus.

— Chciałem was poznać, zrozumieć... Wciąż próbowałem, ale nie potrafiłem. Tylko jedno wiem na pewno: wy nie jesteście pancernymi.

— No, no, bracie! Cóż to za mowa? — warknął Zakus.

— Puszczaj! Nie chcę być z wami. W ogóle nie chcę tu być!

Pitułka wyrwał się, pchnął drzwi i wybiegł na ulicę.

Chciałem się rzucić za nim, ale Zakus przytrzymał mnie.

— Zostaw go!

Przez chwilę żuł powoli pestkę, a potem wypluł łuskę i dodał:

— W gruncie rzeczy facet nie nadawał się. Zupełnie nie był w naszym stylu.

— W naszym pięknym stylu — poprawiłem, patrząc w ziemię.

Janusz Nasfeter

Mustang

— Mój dziadek też ma takiego konia — powiedział Leon. Jeszcze raz popatrzył na plakat, na konia z dziko rozwianą grzywą, zajmującego prawie cały prostokąt papieru, potem tym samym, umyślnie ściszonego głosem, dodał: — Też całkiem biały i ma taką grzywę.

— Kto? — spytał Edek, oglądając się.

Bronek również się obejrzał. Stał obok i podobnie jak oni gapił się na plakat. Pod pachą trzymał teczkę, z której sterczała linijka, a w drugiej ręce, poplamionej atramentem, zaciskał napoczętą bułkę.

— Twój dziadek ma grzywę? — zapytał z głupia frant.

Edek zachichotał, ale dostrzegłszy zdziwienie w oczach Leona spieszył się i umilkł.

— Nie dziadek, a koń — powiedział Leon.

— Aha... — Bronek z przesadną gorliwością poruszył głowę i zaraz, zmrużywszy oczy, zapytał: — Twój?

— Dziadka — odburknął niechętnie Leon.

— Gdzie?

— Na wsi.

— Daleko?

— Zaraz za Pruszkowem.

— Mustang, co?

W głosie i spojrzeniu Bronka wyraźnie już czaiła się zaczepka, złośliwie uśmiechnięty, z ustami zapchanymi bułką i przymrużonymi oczami patrzył na Leona. Ten zawahał się, obejrzał. Stali w bramie kina oświetlonej mimo dnia paciorkami żarówek, a ich sylwetki odbijały się w szybach osłaniających gablotki z fotosami i plakatami. Leon cofnął się i, jakby chcąc zyskać na czasie, zerknął na konia z plakatu i na napis przekreślający go ukośnie: siedem tłustych, czerwonych liter — przeliczył je — układało się w tę dziwną, egzotyczną nazwę mustang. Nie wiedział, co odpowiedzieć: przytaknąć, czy po prostu obrócić w żart tę całą historię z koniem — niech się śmieją obydwaj. Nawet i on zacznie się śmiać. Czemu nie?... Tylko czy wówczas nie będzie to śmiech z jego dziadka? Jeśli tak, to nie wolno mu do tego dopuścić. Nie, nikomu nie pozwoli na taki śmiech! Przecież ich nie okłamał, ten koń istnieje, naprawdę istnieje. I Leon zdecydowany nagle spogląda na Bronka.

— Tak — mówi — właśnie, że to mustang, żebyś wiedział.

Tamten ociera usta i wykrzywia je niby w uśmiechu.

— Więc chcesz nam wmówić, że twój dziadek ma mustanga, tak?

— Tak — powtarza Leon. — Nie wierzysz? Możemy tam pojechać, sprawdzić. Proszę bardzo...

Bronek nie słucha już, odwrócił się, pociąga Edka za rękaw.

— Słyszałeś, on ma mustanga. Cha, cha, białego mustanga...

— No, to co? — odpowiada Edek. — Niech sobie ma.

— Coś ty, prawdziwego mustanga? — Broniek parska śmiechem, ale raptem cichnie i pochylony wlepia oczy w Leona. — Ty wiesz chociaż, co to jest mustang? No, jak wiesz, to powiedz...

1DS

Leon stoi przed nim wyprostowany i — tamten aż pochylił się w tym swoim zacietrzewieniu — sięga mu ledwie do nosa. Z trudem też wytrzymuje jego spojrzenie. Chciałby się cofnąć, lecz za plecami czuje już kanciastą ramę gabloty i płytę szkła. Musi mu odpowiedzieć. Więc jeszcze raz spogląda na światełka żarówek odbite w oczach Bronka i mówi:

— Właśnie, że wiem, co to mustang.

— Nic nie wiesz — ucina Bronek. — Bo mustang to zdziczały koń, rozumiesz? Taki, co odbił się od

stada... No, wiedziałeś o tym?

Leon przekłada teczkę z ręki do ręki, spogląda na

Edka.

— Wiedziałem. Każdy to wie...

Ale jego uśmiech nie przekonuje nikogo. Broniek wyprostowany już, z ręką wepchniętą do kieszeni, wydyma pogardliwie usta.

— To powiedz, gdzie żyją te konie? Gdzie biegają?

— Gdzie? — powtarza niezdecydowanie Leon. — Po stepach.

— Po Ameryce — poprawia natychmiast Broniek.

— A jak u nas zdziczeje koń — wtrąca nagle Edek — to już nie mustang?

— Właśnie — podchwytuje Leon. — Koń dziadka też zdziczał. Kiedyś uciekł nawet ze stajni i po polach biegał.

— Głupi jesteś! W Polsce są tylko tarpany*. Na Mazurach, w specjalnym rezerwacie.

Leon chce jeszcze coś powiedzieć, ale tamten nie dopuszcza go do głosu. A Edek w ogóle już nie słucha. Odwrócił się, machnął ręką, wychodzi z bramy. Leon daje więc za wygraną. Naciąga czapkę i też wychodzi

* Tarpan — dziki koń stepów czarnomorskich, mały, o bujnej sierści, wytępiony około 1870 r., obecnie tarpany żyją tylko w rezerwatach.

197

na ulicę. jest zgnębiony i zły. No bo dlaczego mu nie wierzą? Dlaczego tylko on stale musi się tłumaczyć? Inni mogą sobie zmyślać, wygadywać co im ślina na język przyniesie i nikt nie ma o to pretensji. A do niego — o wszystko. Cokolwiek zrobi, powie albo pochwali się czymś, choćby najbłahszym, im zaraz wydaje się to śmieszne i nieprawdopodobne. Jakby już na nic mądrego nie było go stać — dlaczego? Taki Broniek, na przykład, opowiadał przed całą klasą, że poleci ze szwagrem na odrzutowcu — i co? Nikt nie mówił, że kłamie. Przeciwnie, zazdrościli mu, a Kowalczyk bał się już nawet o niego. Ale, żeby nie wierzyć, skąd? Szwagier Bronka jest przecież w lotnictwie, więc mógłby go przewieźć samolotem. A jednak od tamtego czasu minęło już kilka miesięcy i Broniek ani słowem nie napomknął o tym locie. Wiadomo, że nie latał, ale czy ktoś stanie przed nim i zapyta: „No i co,

latałeś, latałeś, Broniek?" A niechby to Leon pochwalił się tym szwagrem i odrzutowcem, ho, ho! Dopiero by mu dali. Dnia i godziny nie miałby spokojnej. Stale podchodziłby ktoś i pytał: „A co, a jak, a kiedy?...” Potem śmieliby się tylko, a Broniek najgłośniej. Tak, jak niedawno z Józia, kiedy ten pochwalił się nieostrożnie, że gołym okiem dojrzał kabinę z amerykańskimi kosmonautami, latającą wokół Księżycy. Nawet nie pomogło mu tłumaczenie, że mieszka na dwunastym piętrze i z jego okien lepiej widać. Broniek aż za brzuch się złapał i łzy mu poleciały ze śmiechu. Później z tydzień wypominał jeszcze Józkiowi tę kabinę.

Teraz idzie wyprostowany, zadarł głowę i gapi się na wystawy. Ani się obejrzy na Leona. Z teczki, którą oparł niedbale o biodro,, sterczy wyszczerbiona linijka. Edek też się nie ogląda. Widocznie i jego nie interesuje idący z tyłu Leon.

198

Najchętniej zabiegłby im teraz drogę i co o tym myśli. Albo w ogóle coś takiego, żeby zapamiętali na zawsze. Choćby o tym lataniu Bronka — o tym szwagrze i odrzutowcu...

Gdy jednak w chwilę później zrównuje się z nimi, a potem wyprzedza nieco i ogląda za siebie, jego słowa brzmią najzupełniej zwyczajnie:

— To co, chłopaki, zagramy dzisiaj w piłkę?

Zagrali wieczorem. Leon stał na bramce, między drążkami metalowego trzepaka, a Broniek i Edek spoceni i zasapani uganiał się dryblując* po podwórku. Strzały, które z rzadka posyłał na bramkę, Leon wyłapywał bez trudu, potem ustawiał piłkę pod trzepakiem, cofał się dla nabrania rozpędu i znów wykopywał ją na środek podwórka. Tamci wybiegali jej naprzeciw, dreptali obok siebie, rozpychali się łokciami. Aż dziw, że nie podarli na sobie ubrań, tak byli zawzięci. Leon tymczasem, nie mając co robić, siadał sobie na poprzeczce trzepaka, ujmował ją oburącz, potem koziółkował do tyłu i z głową zwieszoną w dół patrzył na podwórze. Teraz wszystko widział do góry nogami: Edka, Bronka, blaszane pojemniki na śmieci, a nawet ludzi wchodzących i wychodzących z sieni. Cały dom stał na głowie, celując antenami w niebieską przepaść.

Ale oto nadbiega właśnie Broniek. Wygląda bardzo zabawnie. Łokcie rozstawił w bok, przebiera drobniutko nogami, wreszcie strzela do bramki. Leon zawieszony na poprzeczce z łatwością wychwytuje ten strzał. Zakotłosał się tylko, ale piłki nie puścił.

— No, masz, bracie, refleks! — sapie Broniek i zdu-

* Dryblowanie — prowadzenie piłki ze zwodami dla zmylenia i wyminięcia zagrażającego drogę

przeciwnika.

199

miony staje obok trzepaka. — Taka bomba, kto by pomyślał?...

Edek też patrzy na niego z uznaniem.

— Puść — mówi naraz. — Niech i ja tak spróbuję. — Zmusza Leona do zejścia z trzepaka i sam gramoli się na poprzeczkę.

— No, strzelajcie — woła zwiesiwszy głowę w dół. — Tylko z daleka, z piętnastu metrów.

Obydwaj cofają się, odliczają kroki i pierwszy strzela Leon. Piłka wymyka się jednak Edkowi z rąk i płaska o mur. Strzał Bronka jest jeszcze ostrzejszy. Tym razem piłka uderza w poprzeczkę, rykoszetuje, trafia na but Bronka, po czym jak pocisk mknie do „bramki”. Edek wyciąga desperacko ręce, zaciska powieki i nawet nie dotknąwszy piłki zwala się na asfalt.

— Co, zgłupiałeś? — woła do Bronka. — Taki strzał? — Podnosi się i otrzepuje ubranie. — Chodź, spróbuj, zobaczymy, jak ty obronisz.

Ale Bronek wcale nie ma ochoty na tę próbę. Wzrusza ramieniem, przestaje się śmiać.

— Myślisz, że do niego strzelałem inaczej? No, powiedz — zwraca się do Leona — słabszy był tamten strzał?

— Taki sam — odpowiada Leon i chyba po raz pierwszy od wielu dni spogląda na niego z wdzięcznością. — Tylko to trzeba umieć złapać — dodaje natychmiast. — Jak piłka leci, nie bać się, chwycić prosto na piersi albo na brzuch...

Po chwili wszyscy trzej już pogodzeni siedzą na poprzeczce trzepaka. Z ulicy słychać warkot motocykla, a zza któregoś z otwartych okien niesie się jakaś ludowa melodia. Edek porusza nogami do taktu, nagle spogląda z westchnieniem w niebo.

— Na wsi musi być teraz przyjemnie, co?

200

— Wiosna — stwierdza krótko Bronek, też przebierając nogami.

— Pewnie bociany już przyleciały — odzywa się po chwili Leon. — U dziadka mają takie gniazdo na stodole. Co roku przylatują.

— To i jagody będą niedługo — wtrąca Edek. Bronek zeskakuje nagle z trzepaka i zaciera ręce.

— Jeszcze dzień, dwa i wyciągniemy rowery, zobaczysz. Odczyści się je, bracie, naoliwi kółka...

— Racja — mówi Edek.

Uśmiechnięty schodzi z trzepaka i klepie tamtego po plecach.

— Wskoczysz się zaraz na wieś albo do lasu, co?

— A nad Wisłę, to nie?

Cieszą się, poklepują nawzajem, zupełnie zapomnieli o piłce.

A milczący Leon siedzi na trzepaku i dalej kołysze nogami. On jeden z całej tej trójki nie ma roweru. Ojciec wprawdzie obiecał mu kiedyś, ale było to dawno i nic z tego nie wyszło. W końcu nawet i Leon przestał o tym myśleć. A teraz tamci rozprawiają o rowerach,, cieszą się, zacierają ręce, on zaś siedzi na poprzeczce trzepaka i musi milczeć. Zresztą gdyby spróbował napomknąć o czymś — o przerzutce czy choćby o dzwonku, to tylko by się ośmieszył. Nie chcieliby nawet słuchać, bo po co? — sami wiedzą co i jak. Mają przecież rowery, a on?... Od dawna już czuł, że dla posiadaczy rowerów, on — zmuszony chodzić pieszo, proszący o pozwolenie przejechania się, zrobienia choćby kółka między bramką a śmietnikiem — znaczył o wiele mniej od tych siedzących dumnie na skórzanych siodełkach. Zwykle traktowano go w takich przypadkach z góry i z jakąś ostentacyjną*

* Ostentacja — sposób zachowania się obliczony na pokaz, mający na celu zwrócenie czyjejs uwagi.

201

niedbałością, jakby w ogóle nie zasługiwał na szacunek. A przecież gdyby uparł się, to i on mógłby mieć rower. Ojciec mu obiecał! Wystarczyłoby tylko przypomnieć, ale co tam? Ojciec i tak, wcześniej czy później, kupi rower. Najważniejsze, że w razie czego Leon ma dokąd pojechać. Nie tak, jak oni. Zresztą przekonają się, niech tylko dostanie ten rower.

I Leon pociąga naraz nosem, głośno, aby zwrócić uwagę na siebie, i mówi:

— Tam, gdzie mieszka mój dziadek, jest wielki las... — Teraz dopiero złazi z trzepaka i obciąga rękawy kurtki. — Z toporkiem trzeba się przedzierać, taki gąszcz.

— Gąszcz? — powtarza Bronek.

Odwrócił się, spogląda na niego zdziwiony, jakby w ogóle nie rozumiał.

— Jaki gąszcz?

— Las — wyjaśnia natychmiast Leon. — Ale jaki! Bez strzelby i psa lepiej nie wchodzić. Dziadek, kiedy jeszcze był młody, to raz ledwie przed wilkami uciekł. Teraz to już razem tam chodzimy. We dwóch bezpieczniej. W zeszłym roku...

— Dobra, dobra — ucina Broniek. — Daj już spokój z tym dziadkiem. Na oczy go człowiek nie widział, a ten...

— No, to co? — wtrąca nagle Edek. — A Skrzetuskie-go albo Kmicica widziałeś?

— Kmicica?... — Broniek zupełnie nie pojmuje, o co mu chodzi. — A co Kmicic ma do tego?

— To — odpowiada Edek — że ten dziadek też prawie jak z książki. Na pewno jakiś traper...

— Właśnie — podchwytuje z entuzjazmem Leon. — I nawet ma taki kapelusz. No wiesz, taki... — Usiłuje przypomnieć sobie tę dziwną, egzotyczną nazwę kapelusza, ale Broniek uprzedza go:

202

— Może stetson? — podrzuca chytrze. — Taki z szerokim rondem? Wszyscy traperzy mają takie.

Leon chce przytaknąć i raptem dostrzega jakiś błysk w oczach Bronka. Wzrusza więc ramieniem i mówi niepewnie:

— Taki zwykły, no, trochę tylko szerszy. Tamten roześmiał się.

— Taki? — uniół ręce na wysokość uszu i rozstawił je. — No, zobacz...

— Chyba nie — odparł Leon i też uniół ręce. Popatrzył na nie, potem lekko rozsunął.

— No i co, nie mówiłem? Stetson! Najprawdziwszy stetson! — wrzasnął Broniek i zaraz zaczął się śmiać.

— Niech będzie i stetson — powiedział Edek. — Jakby nie było, warto tam jechać.

— Gdzie? — zapytał Broniek, z tym swoim dziwnym uśmiechem. — Do jego dziadka?

— Do lasu. Dziadka zobaczy się przy okazji... — Edek roześmiał się, klepnął Leona w ramię, aż ten zachwiał się i upuścił piłkę. — Daleko to?

Leon podniósł piłkę i spojrzał w bok.

— Zależy — mruknął. — Pociągami będzie z godzinę, a samochodem...

— Jakim tam samochodem? — zawołał Edek. Machnął lekceważąco ręką i zwrócił się do Bronka:

— To jak myślisz, rowerem damy chyba radę w dwie?

Tamten zamyślił się.

— >Jakby tak zdrowo przycisnąć — rzekł po chwili ~ to może by się udało. W każdym razie to niezły kawałek drogi.

Edek nie patrzył już na niego.

— A rzeka? — zapytał spoglądając na Leona.

— Jest. Bardzo ładna. Szeroka czy wąska?

203

— Ja wiem — Leon zawahał się i rozejrzał — może jak to podwórko, a może szersza? Ale bystra — dodał zaraz — koń ledwie przepłynie.

Edek wyraźnie się ucieszył.

— No, dobra, a ryby?

— Są — powiedział Leon — nawet szczupaki. — Uniósł wolną rękę na wysokość brody, ale napotkawszy drwiący uśmiezek Bronka opuścił ją aż do kolan. — O, takie, czasem nawet i większe.

— O rany — westchnął Edek. — To tylko na błysk albo na żywca.

— Mniejsze też są — uspokoił go Leon. — Dziadek tych dużych w ogóle nie łowi. Nie lubi.

— A ty? — zakpił Bronek.

— Daj mu spokój — powiedział Edek i znów zwrócił się do Leona. — Okonki też są?

— Tak — odparł Leon — i karaski, i płotki, nawet miętusy i piskorze.

— Nieźle! — zawołał Edek i aż zatarł ręce z uciechy. — W takim razie bez wędek ani rusz.

— Wziąć zawsze można — powiedział bez entuzjazmu Bronek. Potem spojrzał chytrze na Leona.

— Gdyby tak jakaś łódeczka jeszcze — dodał — albo motorówka...

— Jest — przytaknęła tamten. — W pegeerze jest motorówka. I nikt jej nie używa.

— Motorówka? — powtórzył prawie szeptem Edek. — A jak by poprosić, to by wypożyczyli?

— Nie wiem — powiedział Leon — ale powinni pożyczyć.

— Zrobi się — powiedział z nagłym przekonaniem Edek. — Nic się nie martw, damy parę złotych, kupi się benzynę i jeszcze nam podziękują. — Odwrócił się, popatrzył na Bronka. — To jak, Bronuś, jedziemy?

204

Tamten przeniósł wzrok na Leona, potem kopnął jakiś kamyk i znów spojrzał na Edka.

— Jak chcesz — mruknął. — Ja tam wolałbym nad Zalew. Zresztą jest czas, po co się spieszyć?

— A jak w niedzielę będzie słońce?

— W niedzielę? — powtórzył Bronek. — Jeszcze za zimno.

Edek machnął niecierpliwie ręką:

— To ubierzesz się ciepłej.

— A on? — zapytał nagle Bronek i palcem wskazał Leona. — Co z nim zrobisz? Na ramę go weźmiesz?

— Racja, racja — wymamrotał Edek.

Zmarszczył czoło i z zakłopotaniem spojrzał na Leona. Przez chwilę patrzyli na siebie obaj, wreszcie pierwszy odezwał się Edek:

— Właściwie — rzekł — jeśli bardzo by ci zależało, Leoś... — zakaszłał, popatrzył za siebie, ale speszony ironicznym uśmiechem Bronka, znów wlepił oczy w Leona. — Jeśli tak bardzo by ci zależało — powtórzył — to mógłbyś dojechać sobie pociągiem. No nie? Byłbyś nawet szybciej... — umilkł i odetchnąwszy, próbował się roześmiać. — Prawdę mówiąc, pedałowac dwie godziny to żadna frajda, żebyś wiedział...

— Kiedy ja — wtrącił niespodziewanie Leon — ja wcale nie chcę tam jechać.

— Co?

Edka zatkało prawie. Jego usta rozluźnione już w uśmiechu ściągnęły się nagle, oczy rozszerzyło zdziwienie.

— Chyba żartujesz — wyjąkał. — Przed chwilą opowiadałeś...

— To ty opowiadałeś — wtrącił ze śmiechem Broniek.

— Ja? - zawołał Edek. - A on?... - i znów palcem

205

wskazał Leona. — A on nie gadał, nie opowiadał o tym lesie, o rzeczce, o rybach?

Broniek odwrócił się, kopnął jakiś patyk, aż ten wyfrunął w górę i pacnął o mur.

— Zresztą, co mnie to obchodzi — rzekł. — Rób, jak chcesz.

— Dobrze — odpowiedział ze złością Edek. — Nie, to nie...

Zabrał Leonowi piłkę, a właściwie wyrwał mu ją z rąk i zły poszedł w kierunku sieni.

— Co, myślicie, że mi zależy — powiedział oglądając się. — Mogę tam w ogóle nie jechać...

A jednak pojechał i nawet Bronka zdołał namówić na tę wycieczkę. Wyjechali wprawdzie nie od razu, nie w pierwszą niedzielę, jak obiecywał Edek, ale gdzieś w połowie czerwca. Maj był chłodny, lało całymi dniami i o jakichkolwiek dalszych wyprawach rowerami nie można było nawet marzyć. Znów chodzili do szkoły w kurtkach i szalikach — na dobre odłożyli je dopiero w czerwcu, niedługo po niespodziewanym wyjeździe Leona na wieś.

Ani słowem nie wspomnieli im o tym wyjeździe. Zobaczyli go przypadkowo, jak szedł z ojcem w kierunku przystanku autobusowego. Miał na sobie palto, w ręku jakąś walizkę, czapkę na głowie i szalik wokół szyi. Pod pachą dźwigał jeszcze pęk patyków, które z daleka wyglądały jak składana wędka. Było jasne, że Leon wybiera się gdzieś daleko albo na bardzo długo. Kroczył raźnie, zaraz za ojcem i chociaż doskonale wiedział, że tamci dwaj podążają z tyłu, ani razu się nie obejrzał. Wsiadł do autobusu, potem usadowił się przy oknie i po prostu odjechał. Tak, jak gdyby Edek i Broniek, stojący po przeciwnej stronie jezdni,

206

byli mu zupełnie obcy. &et>y c noc raz spojrz.a.1 u machał im ręką ** nic.

— No i co — powiedział Edek, odwracając się — pojechał?

Broniek wzruszył ramionami i udając wesołość, odparł:

— Trudno, widocznie musiał...

Cała sprawa wyjaśniła się dopiero później, w dwa czy w trzy dni po wyjeździe Leona. W szkole podczas dużej przerwy zjawiał się jego ojciec i rozmawiał o czymś z kierownikiem. Ktoś podsłuchał i potem powtórzył w klasie, że matka Leona jest chora, a on na czas jej pobytu w szpitalu, to znaczy przynajmniej na dwa tygodnie, musiał wyjechać do dziadków na wieś. U tych dziadków podobno Leon nie będzie miał nic do roboty i od rana do wieczora będzie mógł się uczyć.

W tydzień później Edek kupił dokładną mapkę okolic Warszawy i wspólnie z Bronkiem wyznaczyli na niej trasę. Wiodła w kierunku Pruszkowa, potem skręcała w bok, aż do cieniutkiej, niebieskiej tasiemki oznaczającej rzekę. Nie ulegało wątpliwości — sądząc z opowiadania Leona — że tu właśnie w okolicy tej rzeczki znajdowała się wioska, w której mieszkał jego dziadek — traper.

Wyjechali następnego dnia zaraz po lekcjach.

Droga początkowo nie była interesująca — szare, nowoczesne bloki przedmieść, potem pojedyncze zabudowania, jakieś płoty, tory tramwajowe i czerwone, kopzące nieznośnie autobusy. Dopiero za miastem było lepiej. Edek obwieszony torbami, z wędką przytroczoną do ramy i sterzącą spod siodełka, pogwizdywał wesoło i co jakiś czas oglądał się na jadącego z tyłu Bronka.

207

— i\o, jaK — wołał — nie za szybko?

— Nie, nie! — odkrzykiwał Bronek i zaraz naciskał mocniej na pedały, żeby zbliżyć się do Edka.

Było to męczące, a w dodatku irytowało go, bo uparcie przywodziło na myśl te „peletony” z Wyścigu Pokoju. Po godzinę takiej jazdy obaj byli zmęczeni. Edek obejrzawszy się stwierdził, że Bronek pozostał daleko w tyle. Zsiadł więc z roweru, położył się nad rowem i czekał. Las podchodził tu aż do szosy, okrywał ją cieniem, a powietrze nasycone wilgocią było chłodne, jak w wiejskiej piwnicy. „Idealne miejsce — pomyślał Edek — nic lepszego nie trzeba”.

— To co — zawołał ze śmiechem, kiedy nadjechał towarzysz — odpoczniemy?

Bronek był tak zdyszany, że nawet nie zwrócił uwagi na ten śmiech. Ukosem przeskoczył przez rów, potem poderwał przednie koło, wpadł między drzewa, i tu na leśnej ścieżce, kilka metrów od szosy — „złapał gumę”. Natychmiast zsiadł z roweru, pchnął go na jakiś krzak i omal się nie rozpląkał.

— Widziałeś — powiedział powstrzymując tży — widziałeś? Jakiś głupiec rozbił tu butelkę.

Edek nie od razu się zorientował. Dopiero podszedłszy bliżej, zobaczył na ścieżce kawałki szkła, kopnął je i aż splunął ze złości.

— Mało to głupich — powiedział. — I co poradzisz? Wypije taki jeden z drugim wino, później ciach butelkę o drzewo i dobra...

— Ale tutaj — wykrzykiwał z wściekłością Bronek. — Akurat tu, na środku ścieżki?

Tym razem Edek nie odpowiedział. Oparł swój rower o pniak, podniósł rower kolegi i z miejsca zabrał się do odkręcania przedniego koła. Wyjął je z widełek, potem wsunął między kolana i zaczął zdejmować

208

oponę. W rozcięciu gumy tkwił jeszcze kawałek szkła. Bronek na ten widok znów zaczął krzyczeć:

— No, widzisz? Całą dętkę mi łobuz zniszczył. Gdybym złapał takiego, to... to od razu za kark i na posterunek...

— Racja — mruknął Edek.

Usiadł pod drzewem, oparł się o nie i położył koło na kolanach.

— A pamiętasz — zapytał w chwilę później — jak rozbiłeś słoik na naszej ulicy? Schowałeś się potem i patrzyłeś, co z tego wyniknie.

— Ja? — wykrzyknął Bronek. Poderwał się i otwartą dłonią uderzył w piersi. — Ja rozbiłem na ulicy słoik?

— Widocznie zapomniałeś — odparł spokojnie tamten. — To może pamiętasz chociaż, co wtedy mówiłeś?

— Co? Proszę, powtórz...

Edek spojrzał na niego z ukosa, uśmiechnął się jednak.

— Że to „dla draki”, tak powiedziałeś i śmiałeś się z tego.

— Ja? Kłamiesz...

— No, no — mruknął Edek — uważaj. Butelek też pewnie nie rozbijałeś, co? A przypomnij sobie, co ci Leon powiedział, jak tłukłeś je kamieniami.

Bronek cofnął się i zacisnął pięści.

— To było na śmietniku, rozumiesz? W kącie podwórka, a nie w lesie.

— Daj lepiej zapas — odparł obojętnie Edek. — Zmieni się i pojedziemy.

Bronek stał przez chwilę bez ruchu, wreszcie podszedł i wyszarpnął mu koło z ręki.

— Obejdzie się bez łaski — powiedział. — Sam sobie zmienię.

14 — Wiele dróg

209

Tamten roześmiał się, zsunął z czoła czapkę.

— Proszę, zmieniaj.

Wstał, otrzepał spodnie i zabrał się do zbierania szkła. Wszystkie kawałki złożył pod krzakiem jałowca, potem dopiero znów usiadł i popijając z termosu herbatę patrzył na Bronka. A ten założył już zapasową dętkę i teraz pochylony pompował ją tak zawzięcie, że aż żyły wystąpiły mu na czole.

W półtorej godziny później, zmęczeni i zasapani, dojeżdżali do wsi. Przedtem był jeszcze kawałek lasu — sosnowy zagajnik i piach, przez który nie sposób było przejechać. Musieli zejść z rowerów i chyba pół kilometra prowadzić je zapadając się prawie po kolana. Potem trzeba było odpocząć — tak się zmęczyli tą przeprawą. Położyli się przy drodze. Edek zdjął buty i zdrzemnął się nawet. Broniek leżał po drugiej stronie drogi. Oparł głowę na rękach i senny patrzył w kierunku wsi. Najchętniej wsiadłby zaraz na rower i pojechał z powrotem. Dość już miał tej wyprawy. Że też w ogóle dał się namówić? Taki Edek, to co innego: proszę — chrapie sobie i tyle. Takiemu najlepiej. Wszystko mu obojętne. Najwyżej zaklnie pod nosem, obetrze pot z czoła albo uwali się, jak teraz, prześpi się i dalej będzie jechał. O, właśnie się przebudził, przeciera oczy i już, już się uśmiecha. Zupełnie jak gdyby to całe zmęczenie otarł ręką. Nie, jeszcze ziewnął, przeciąga się i teraz dopiero wyszczerza zęby.

— No jak, jedziemy?

— Proszę, możemy — odpowiada Broniek. Wsiada na rower i nawet nie czekając na Edka rusza w stronę wsi. Tamten ociąga się jeszcze, sznuruje buty, wreszcie rozprostowuje ramiona i też dosiada roweru.

210

- Nie ma to jak wieś! — woła, już pedałując. — Słyszysz, Broniek? Fajna wycieczka, co?

Gdy w chwilę później dobrnęli do pierwszych chałup, powiedziano im, że dziadek Leona mieszka na drugim końcu wsi.

— O, jak ten kościół. Widzicie? Te dwie wieże. Potem będzie cmentarz, kilka chałup po lewej, a jego, znaczy dziadkowa, po prawej, ostatnia. Poznacicie, bo na stodole jest gniazdo bocianie.

Bronek znów zaczął narzekać, groził nawet, że wróci, i wreszcie zsiadł z roweru.

— Co, nie wytrzymasz? — roześmiał się Edek. — Przecież to najwyżej czterysta metrów.

— Czterysta? Zobacz! — Bronek wyciągnął rękę w kierunku widniejących w oddali wież. — Nie widzisz? Co najmniej dwa kilometry!

— O, la, la! — zawołał Edek. — Przejechaliśmy prawie czterdzieści, więc jeszcze i te dwa dasz radę. O co ci chodzi?

— O nic — odburknął tamten. — Ja nie jadę.

— Dobra, nie to nie — powiedział Edek. — Myślałem, że się coś zje, odpocznie, a potem do lasu i nad rzekę. Jak sobie chcesz...

Poderwał koło, przesadził bruzdę koleiny i już jadąc obejrzał się. Bronek stał nadal na środku drogi.

— Więc jak — zawołał Edek — jedziesz? — Chwilę patrzył na niego, wreszcie nie doczekawszy się odpowiedzi, pojechał przed siebie.

Bronek nie zawrócił jednak, wsiadł w końcu na rower i nie spiesząc się ruszył za Edkiem. Gdy nieco później Edek znów się obejrzał, Bronek „siedział” mu już na kółku. Ucieszyło go to, ale zupełnie nie zdziwiło. Wiedział, że tak będzie. Otarł czoło i, jak zwykle, wyszczerzył w uśmiechu zęby.

211

— No, jak myślisz? — zawołał. — Leon ucieszy się, kiedy nas zobaczy, co?

Bronek przytaknął milcząco.

— A jeżeli nie będzie go w domu? — zaniepokoił się nagle Edek. — Jeżeli się wybrał do lasu albo z dziadkiem na ryby?

— Łodzią? — spytał obojętnie Bronek.

— Mogli popłynąć i motorówką.

— To byśmy słyszeli. Rzeka niedaleko.

— Skąd wiesz?

— Co, nie oglądałeś mapy?

— Tak, racja — zgodził się Edek.

Minęli cmentarz, potem kilka chałup przycupniętych za opłotkami i znów otoczyły ich pola. Ścieżką, której z drogi nie mogli dostrzec, szedł jakiś chłopak. Po pas ukryty był w życie. Kroczył rażno, pogwizdywał i, jak gdyby opędzając się od much, machał wesoło kijem. Edek, gdy tylko go dostrzegł, zahamował i wskazał go Bronkowi.

— Czy to nie on? Popatrz...

Bronek zatrzymał się obok, przysłonił ręką oczy.

— Chyba nie — mruknął. — Za mały na Leona.

— Taki sam — obruszył się Edek. I zaraz przyłożył dłonie do ust i wrzasnął na całe gardło: — Leon! Leon!

Chłopak zwolnił nagle, opuścił kij, ale zobaczywszy biegnącego ku niemu Edka, odwrócił się i pognął w stronę lasu.

— Tak, miałaś rację — wysapał Edek. Podniósł rower i sadowiąc się już na siodelku dodał: — Leon nie szpilka, nawet w lesie go znajdziemy...

Tymczasem Leona wcale nie trzeba było szukać w lesie! Nie był ani na grzybach, ani nad rzeką, ani też nie popłynął z dziadkiem motorówką. Siedział sobie po prostu na ławce przed chałupą i obierał ziem-

212

niaki. Obok wygrzewał się w słońcu kot i leżała otwarta książka — podręcznik geografii.

Kury kręciły się sennie po podwórku, rozgrzebywały piasek, a w cieniu na pół rozwalonej budy drzemał pies. Muchy łąziły bezkarnie po jego nosie, po uszach — oklapłych i unurzanych w piasku, zaglądały nawet w szparki zaciśniętych oczu, a on nie reagował zupełnie. Czasem otwierał jedno tylko oko, gapił się sennie na czubek własnego nosa i znów je przymykał. Na sznurku rozciągniętym wzdłuż płotu suszyła się bielizna, a nieco dalej, na kołkach sztachet czerniały usmolone garnki.

Taki sam garnek, tylko nieco większy, stał teraz przed Leonem, a on wrzucał do niego obrane już ziemniaki. Prawdę mówiąc wcale się nie spieszył. Najwidoczniej i jemu udzieliła się ta senna atmosfera, ogarniająca tu wszystko — kury otumanione upałem, psa zubożniętego na wszystko, nawet prześcieradła twardejające na słońcu. Ręka Leona uzbrojona w nożyk też poruszała się leniwie, jak gdyby na przekór samemu Leonowi, a oberki wolno spadały do wiadra... Od czasu do czasu Leon zaglądał do książki, odczytywał półgłosem tekst, potem powtarzał go z przymkniętymi oczami, wreszcie opierał głowę o ścianę i nieruchomiał, podobnie jak kot. Wystarczył jednak najmniejszy choćby szmer, a Leon otwierał natychmiast oczy, jego ręce zaś zaczynały poruszać się żwawo i z niezwykłą wprawą.

Ktoś obcy mógłby w takiej chwili pomyśleć, że ten niepozorny chłopak to jakiś prawdziwy mistrz w obieraniu ziemniaków, pracowity przy tym i sumienny jak rzadko. Jednak ani Broniek, ani Edek nie widzieli w tym nic godnego pochwały. To obieranie ziemniaków, tak samo jak zamiatanie czy zmywanie naczyń, urągało ich poczuciu męskości i wręcz ośmieszało.

213

A przecież jeden i drugi pomagali w domu. Edek potrafił nawet gotować, a Broniek dzień w dzień targał przez podwórko kubek ze śmieciami. A ileż to razy zamiatął albo czołgając się na kolanach szorował podłogę w korytarzyku? Obaj byli jednak zdania, że owszem — można to wszystko robić, ale tak, żeby nikt nie widział i żeby nikt nie mógł się potem śmiać.

Leon też widywał Bronka z tym kubkiem w ręce. Ale, czy z tego powodu miał się z niego śmiać? Pokazywać go palcem? Po co? I on, i Edek byli jego kolegami, więc najwyżej mógłby im jeszcze pomóc, gdyby chcieli. Zawsze może im pomóc.

Broniek i Edek właśnie zbliżali się do zagrody; zmęczeni i zadyszani dotarli najpierw do płotu, potem do furtki, zajrzawszy na podwórze, odetchnęli. Tak, tym razem nie mogli się już mylić — to był z całą pewnością on — Leon. Wsparty plecami o ścianę, z nożykiem i ziemniakiem w ręce, drzemał w najlepsze.

— Jest — wyszeptał radośnie Edek. — Spi.

Pchnął ostrożnie furtkę i razem z Bronkiem weszli na podwórze. W tej samej chwili — niemal równocześnie z powitalnym okrzykiem Edka, pies napiął raptownie łańcuch, zaszczeakał, a wystraszone tym kury i kaczki rozbiegły się z wrzaskiem po podwórzu.

Leon porwał się natychmiast do obierania ziemniaków, ale już w sekundę później spojrzał w kierunku furtki i zneruchomiał. Kot tymczasem otworzył oczy, ziewnął, potem wygiął pałąkowato

grzbiet i miękko, z kocią godnością, zeskoczył z ławy. Potrącona książka upadła obok. Leon podniósł się i teraz stał z nożykiem w ręce, z ziemniakiem w drugiej i patrzył na nich. Usta miał rozchylone, oczy otwarte szeroko — nie wiadomo: wystraszony czy tylko zaskoczony ich wizytą.

214

— Cześć — powtórzył głośno Edek. — Nie poznajesz? To my: Broniek i ja... — roześmiał się i nie zważając już na psa ani czekając aż Leon ochłonie, ruszył na podwórze.

Broniek natomiast zatrzymał się przezornie obok furtki.

— Nie cieszysz się? — wołał tymczasem Edek. — No, dawaj piątkę...

Chwycił Leona za rękę i mocno nią potrząsnął.

— To wy? — spytał Leon, jak gdyby nie dowierzając jeszcze. — Wy?

— A kto? — odparł wesoło Edek. — Tyle nam cudów naopowiadałeś, no to jesteśmy. Ja i on...

Odwrócił się, wskazał na Bronka i znów się roześmiał. Ale ten śmiech wcale nie zabrzmiał czysto.

— No dobra — wymamrotał wreszcie Leon. — To zaraz... ja tylko te ziemniaki, raz dwa, a potem...

— Walimy nad rzekę — dodał za niego Edek. — Popływamy sobie, poskaczemy. Wędki też zabraliśmy.

Tamten nie słuchał już, odwrócił się i spojrzał na psa.

— Do budy! — zawołał Edek. — Dalej, już cię tu nie ma!

— Tak, tak — powiedział Leon i też krzyknął na psa, jednocześnie pogroził mu pięścią. — Uciekaj, Burek!

Pies ucichł, podkulił ogon, ledwie jednak zniknął pod daszkiem krytym strzędzami papy i rdzewiejących blach, zaraz wysunął stamtąd pysk, obnażył kły i zaczął warczeć. Leon cisnął w niego ziemniakiem.

— Leoś, Leoś! — rozległo się naraz z wnętrza chałupy. — Z kim tam rozmawiasz?

Wszyscy trzej spojrzeli w otwarte drzwi sionki, a pies znów wypadł z budy i zaczął szczekać. W drzwiach pojawiła się drobna, szczupła kobieta

215

ubrana po wiejsku. Spod zawiązanej na głowie chustki wymykały się pasemka włosów — szarych i suchych jak sznurek. Przez chwilę przyglądała się chłopcom, wreszcie podeszła i wręczyła Leonowi wiadro.

— Ci chłopcy to twoi koledzy? Leon zadzwonił pałką wiadra.

— Tak, babciu — powiedział. — Jesteśmy z jednej szkoły. Nawet z tej samej klasy.

Pies ucichł, przekrzywił łeb i też zdawał się przysłuchiwać.

— Mieszkamy w tym samym domu — wtrącił grzecznie Edek.

Leon kołysząc wiadrem pobiegł do studni. Kobieta przyjaźnie pokiwała głową.

— To ładnie, że odwiedziliście Leosia. Bardzo ładnie.

Edek skłonił się i wymieniwszy swoje imię, pocałował ją w rękę. To samo zrobił Broniek.

— Pewnieście głodni? — spytała rozbrojona tym do reszty. — Mleko jest, trzeba tylko obrać jeszcze trochę ziemniaków i obiad gotów.

— Jeżeli pani pozwoli — wtrącił Edek — to sami je obierzemy. Bardzo lubimy obrać. Prawda, Broniek?

Tamten uśmiechnął się nieszczerze, spuścił oczy. Leon wracał już z wiadrem pełnym wody. Niósł je w prawej ręce, a lewą machał dla równowagi i przebierał zabawnie nogami. Edek podbiegł do niego i wspólnie wnieśli wiadro do sieni, ustawili na stołku.

W chwilę później kobieta wyniosła im dzbanek mleka.

— Pijcie — powiedziała, stawiając szklanki na ławce. — A ty, Leoś, będziesz musiał przebrać jeszcze te ziemniaki w piwnicze. Inaczej zgniją... — Odchodząc spojrzała na Edka i jak gdyby dla usprawiedliwienia się dodała: — Wszystko na mojej głowie, a tu

216

w kółko robota. Nigdy jej nie przerobisz. Czasem Leoś przyjedzie, pomoże trochę, czasem córka, co mieszka w sąsiedniej wsi, i tak, dziękować Bogu, jakoś się żyje. Gdyby mąż nie chorował, ho, ho, inaczej by było. Edek przytaknął, spojrzał na Bronka.

— To i my pomożemy. Raz dwa się zrobi, prawda, Broniek?

Jeszcze raz popatrzył na niego, ale Broniek pił mleko, a Leon pochylony nad wiadrem obrał

ziemniaki. Widać było, że wstydzi się, że zły jest na babcię za to jej mówienie i że najchętniej zatkałby sobie uszy albo w ogóle gdzieś uciekł. Tylko Edek, on jeden, uśmiechał się i przytakiwał grzecznie.

— Wszystko się zrobi, proszę pani. Drzewa też na-rąbiemy.

— Niech babcia już idzie — powiedział nagle Leon.

— Dziadek na pewno chce pić...

— Już, już — powiedziała, jak gdyby ubawiona surowością jego głosu i jeszcze raz zwróciła się do Edka:

— to ładnie, że chcecie pomóc, ale przyjechaliście tu odpocząć, po lesie polatać...

— Oni chcieliby tu zanocować — wtrącił obcesowo Leon. — Pozwoli babcia? Spalibyśmy we trzech w stodole.

— A choćby i w izbie — odparła — bardzo nam będzie miło...

Szurając kapciami weszła do chałupy, a Leon zamknął za nią drzwi i znów zabrał się do strugania ziemniaków.

— No, panowie, do roboty — powiedział wesoło Edek. Odpiął z karabińczyka kozik, otworzył, siadł obok Leona.

Bronek odstawił szklankę i rozejrzał się. Leon wyraźnie unikał jego wzroku. Siedział naburmuszony

217

i obierał ziemniaki. Edka, który to robił równie zręcznie i szybko jak on, też zdawał się nie dostrzegać. Nawet nie patrzył w jego stronę.

— Nie masz dla mnie jakiegoś nożyka? — zapytał

Bronek.

Leon zerknął na niego bokiem, chciał coś odburknąć, ale potrząsnął tylko głową. Czuł, że głos może mu zdrzeć i tego się właśnie lękał. Wolał więc milczeć.

— Co, w chałupie nie ma żadnego noża? — zdziwił się głośno Bronek.

Chciał wejść do sionki, gdy raptem Leon zerwał się i podbiegł do niego.

— Nie, nie trzeba — powiedział — nie wchodź tam. — Plecami przywarł do drzwi, potem wsunął

się za nie i zawołał z głębi sieni:

— Sam ci przyniosę, poczekaj.

Bronek obejrzał się, mrugnął znacząco na Edka. Teraz wiedział już, o co tamtemu chodziło. Był prawie pewien. Leon nie bez powodu zagroził mu drzwi i nie wpuścił do domu. Wiadomo, kogo chciał ukryć. Zresztą w godzinę później i on, i Edek wiedzieli wszystko dokładnie, od początku do końca. Było właśnie tak, jak przewidywał Bronek.

Zaczęło się od tego, że kobieta, ta babcia Leona, zaprosiła ich do kuchni na zsiadłe mleko z kartoflami. Stół, żeby było widniej, przysunięto wraz z ławką do okna. Siedli na niej we trzech: Leon, Edek i Bronek. W milczeniu i nie spoglądając na siebie unosili łyżki i siorbali głośno. Bronek zaś rozglądał się bezceremonialnie po całej kuchni i od czasu do czasu rzucał ukradkowe spojrzenia na drzwi wiodące do sąsiedniej izby. Były otwarte, ale otwór przysłaniało grube płótno w barwne, mocno spłowiałe pasy. Zapewne chroniło ono przed światłem mieszkańca tamtej izby, w której nawet i okna musiały być szczelnie zakryte.

218

Stamtąd właśnie, z tego mroku oddzielonego od kuchni płótnem, rozlegał się czasami czyjś starczy, ochrypnięty głos. Leon w takich momentach zaczynał od razu szurać butami i tak głośno chrząkać, jak gdyby umyślnie starał się go zagłuszyć. Wreszcie nawet babcia zwróciła na to uwagę.

— Ciszej, Leoś, on coś mówi.

A ten głos już po raz trzeci powtarzał to samo:

— Przyszedł ktoś? Może Janek, powiedzcie?

— Nie, nie — odparła uspokajająco kobieta. — To do Leonka, dwaj chłopcy z Warszawy.

— Skąd?

— Z Warszawy — powtórzyła z łagodną cierpliwością. Uśmiechnęła się przy tym i jak gdyby opędzając się od dziecięcej natarczywości tamtego głosu, machnęła dobrotliwie ręką. — Człowiek stary, to trochę jak dziecko — tłumaczyła poprawiając zawieszony w drzwiach płótno. t

Ani na chwilę nie usiadła przy stole. Stale czymś zajęta dreptała między kuchnią a tą izbą pogrążoną w półmroku. Przystawiała garnki, zaglądała do pieca i garściami suchych, zeszlórocznych szyszek podsycala ogień. Potem znów krzątała się wokół stołu, zachęcała do jedzenia — w każdej chwili gotowa pośpieszyć na to starcze, nieporadne wołanie.

— Już, już — odpowiadała głośno.

Przechodząc obok chłopców uśmiechała się, a oni, gdy tylko odchyliła płótno, zaglądali za nie. Nikogo nie mogli jednak wypatrzeć. Raz wprawdzie udało się Bronkowi dojrzeć jakiś fotel ukryty w cieniu, a potem jeszcze dwie laski, takie kije z sękami, oparte o ten fotel. To odkrycie było dla Bronka szczególnie ważne. Teraz dobrze wiedział, komu mogły one służyć. Zaraz też popatrzył na Leona, lecz ten siedział pochmurny z nosem niemal w misce i udawał, że nie

219

dostrzega jego wzroku. A przecież co rusz zerkał niespokojnie na drzwi i szurając butami bez żenady już głośny dochodzące stamtąd głosy.

— No, siądź — powiedziała kobieta. — Czekaj, pomogę ci..

I zaraz, prawie równocześnie ten drugi, roztrzęsiony głos:

— O czym to rozmawiacie?. Powiedz.

— O niczym, tak sobie mówimy. — Kilkakrotne pacnięcie ręką w poduszkę i znów głos kobiety: — Palisz i palisz, aż wezmę kiedy i powyrzucam te pa-pierosiska... — Groźnie niby, a przecież pogodnie, z wielką troskliwością. I po chwili: — Poczekaj, herbaty ci przyniosę... — I znowu to szybkie, niestrudzone człapanie kapci, potem trzaskanie ognia w palenisku i śpiew czajnika na blasze.

Kobieta schyliła się, grzebie haczykiem w ogniu, dmucha zawzięcie w płomień. Leon zaczyna kaszleć, a Edek opuścił głowę i patrzy na czubki swoich butów. Tylko Broniek rozgląda się dalej, wypatruje czegoś. Tę starą kapotę zawieszoną na gwoździu i sfilcowany kapelusz dawno już spostrzegł. Kapota wytarta, upstrzona łatami, a kapelusz zmięty od deszczu i całkiem niepodobny do stetsona. Obok, na tej samej ścianie sterczy jeszcze z pięć gwoździ, następne trzy w ścianie naprzeciw, ale ani tu, ani tam nic porządnego nie wisi. W każdym razie nic takiego, co w jakiś sposób zgadzałoby się z opowieściami Leona o tym traperze, jak powiedział Edek. Zamiast strzelby, pasa z nabojami czy choćby torby myśliwskiej, jakieś rzemienie spękane od starości i sznurki niepotrzebne nikomu, bo nawet nie można by ich rozsuptać, takie poskręcane. Broniek przecież wie dobrze, gdzie wieszka się strzelby. Można trzymać je w hallu, jak u jednego leśnika, którego odwiedził podczas ostatnich wa-

220

kacji, można i w kuchni — na haku przy oknie, ale najczęściej broń myśliwską przechowuje się w specjalnym pokoju, tak zwanym „gabinie”. Tylko że taki trzeba mieć. A tu, aż śmiać się chce — jaki

tam „gabinet” ?

W ogóle ta cała paplanina Leona od samego początku wydawała się Bronkowi podejrzana. Teraz więc spogląda na niego, chwyta jego spłoszony wzrok i mówi:

— Tam jest twój dziadek, prawda?

Leon przenosi spojrzenie na kotarę, za którą zniknęła właśnie babcia ze szklanką herbaty, potem zerka ukradkiem na Edka i wreszcie przytakuje.

— Leży? — pyta znów Broniek. — No, odpowiedz.

— A jak? ~ wtrąca niespodziewanie Edek. — Inaczej chodziłby sobie i spacerował.

— Tak — potwierdza natychmiast Leon. I też próbuje się uśmiechać.

— To wiadomo — ucina Broniek. Chce jeszcze coś dodać, ale dostrzegłszy wchodzącą do kuchni kobietę, urywa w pół słowa.

— Może i wy napijecie się herbaty?

— Nie, nie, dziękujemy — odpowiada Edek. — Teraz trzeba się zabrać do roboty... — Podniósł się, sięga po czapkę. No, idziemy, chłopaki...

W kilka minut później kłęcząc na pustych workach przebierali ziemniaki. Drzwi od piwnicy były otwarte i na stertę szaroziemistych bulw kładł się prostokąt słońca. Płomyk lampy kołysał się, podświetlał wilgotne, wiszące pod sufitem sreberka pajęczyn. Niepotrzebnie wzięli tę lampę. Leon dmuchnął więc i zgasił płomyk, potem dźwignął kosz napełniony gnijącymi ziemniakami i wyszedł na dwór. Zsywał je w sadzie, zaraz za furtką. Leżała tam cała ich kupa i grzebały w niej kaczkę. Kury przystawały tylko i patrzyły przekrzywiając łebki. Leon wrócił do piwnicy. Znów pra-

221

cowali we trzech. Edek od czasu do czasu rzucał nadgniętymi ziemniakami i cieszył się, gdy trafiały w słupek stojący za drzwiami. Broniek milczał uparcie. Dopiero kiedy kończyli już i Leon po raz ostatni wynosił kosz — podniósł się i wyprzedzwszy go, stanął w drzwiach.

— Chciałem cię o coś zapytać — powiedział z udawaną powagą. — Dwa słowa, nie więcej.

Leon zatrzymał się, oparł kosz o ścianę. Tamten patrzył mu prosto w oczy.

— No? Mów — powiedział Leon. Broniek znów się uśmiechnął.

— Właściwie — rzekł — to od jak dawna twój dziadek jest chory?

— On? On ma reumatyzm — odparł niepewnie Leon. — Babcia tak mówi...

— Oczywiście — podchwycił z miejsca Edek. — A wszystko przez tę wilgoć, przez rzekę...

— Właśnie — przytaknął skwapliwie Leon ruszając pod górę. — Gdyby nie ta wilgoć...

— Wilgoć — powtórzył Bronek. — Przecież tu piach, sam piach dookoła.

Leon, który był już w połowie schodów, zatrzymał się, a nawet cofnął. Nad nim, w oślepiająco jasnym prostokącie drzwi stał teraz Bronek. Nie mógł widzieć jego twarzy, słyszał za to śmiech — cichy, spokojny, irytujący.

— Puść — powiedział niemal szeptem. Postąpił do przodu, ale Bronek uniósł rękę.

— Chwileczkę...

Leon znów się zatrzymał. Kosz pełen zgnitych ziemniaków zaczął mu raptem ciążyć, więc oparł go na zgiętej nodze i przycisnął do brzucha. Za nim stał już Edek i wołał w stronę Bronka:

222

— Czemu go nie puszczasz?! Masz pretensję o tego dziadka?

— Niech najpierw odpowie — powiedział Bronek.

— Co ma odpowiedzieć? Że jak człowiek włóczy się ze strzelbą albo z siecią po jakichś bagnach i wertepach, to się w końcu wyłoży? Nie wiesz niby o tym?

Bronek nie ruszył się, nie uląkł się Edka. Wepchnął obie ręce do kieszeni i roześmiał się.

— A wiesz chociaż, co jego babcia mówiła? Że ten dziadek już od kilku lat nie wychodzi na dwór...

— Więc co z tego? — wykrzyknął Edek. — Masz o to żal do niego? Zwariowałaś?

Odwrócił się i jakby udając, że nic a nic nie rozumie, rozejrzał się zdziwiony.

— Nie wiesz przypadkiem, o co mu chodzi? — zwrócił się do Leona.

— O to — wybuchnął nagle Bronek — że to wszystko, to nieprawda, rozumiesz? Wszystko...

Wyszarpnął rękę z kieszeni i palcem wycelował przed siebie.

— Nie pamiętasz, zapomniałeś, co on opowiadał? — Śmiejąc się lub raczej udając śmiech,

pokrzykiwał teraz, a każde jego słowo uderzało w Leona jak lepki, nadgniły kartofel. — Polowania, cha, cha! Wyprawy ze strzelbą! Połowy na rzece? Motorówka!... A widziałeś ten jego kapelusz? Tego ślicznego stetsona na gwoździu?...

Leon nie czekał już. Poderwał się, przycisnął mocniej kosz i pognął na górę. W drzwiach zderzył się z Bronkiem.

— Puść! — wrzasnął.

Zaraz za progiem potknął się i gubiąc ziemniaki popędził dalej.

— Leon! Leon! — zawołał Edek. Kilkoma skokami dopadł do drzwi, potem wybiegł na dwór.

223

Bronek, nie śpiesząc się, zerwał jakiś liść, wytarł nim ręce, po czym znów wsunął je do kieszeni i jakby speszony ruszył w stronę podwórka. Przed drzwiami sionki stał już Edek i rozmawiał z babcią Leona. Słuchała, ale zdawała się go nie rozumieć. Broniek podszedł bliżej, nastawił uszu.

— Pewnie zaraz wróci — usłyszał jej głos. Obejrzała się i osłoniwszy oczy, popatrzyła na drogę. — Do wsi chyba nie poszedł...

— On pobiegł tam — sprostował Edek. — Do ogrodu.

— To pewnie nad rzekę, po konia. A co, posprzeczaście się?

— Skąd? — odparł Edek z udawaną beztroską. — Poszedł tylko i nic nie powiedział.

— Po konia, po konia poleciał...

— A daleko to?

— Do rzeki, z półtora kilometra. Jeśli chcecie zobaczyć rzekę, to lepiej z rana. Ściemnia się już.

— Nie, nie — powiedział Edek. — Teraz pójdziemy. — Odwrócił się i nie ukrywając złości, spojrzął na Bronka. — Idziesz?

— Dokąd? — zapytał tamten.

— Nad rzekę, po Leona.

— Sam trafi — powiedział Bronek.

Edek nałożył więc czapkę i bez słowa ruszył w stronę furtki.

— Rowerów lepiej nie brać — zawołała za nim kobieta. Stała już w sieni, trzymała rękę na klamce.
— Drogą też nie trzeba, bliżej przez sad i łąki...

Edek zawrócił. Po chwili Broniek wszedł za nim do sadu. Zaraz za obalonym płotem skręcili w prawo, potem ominęli pole z młodym, bujnie wyrosniętym żytem i wyszli na łąki. Przed nimi widniał teraz niewielki laszek, a z lewej — w tle różowiejącego nieba — białe brzozy i srebrzył się świerkowy zagajnik.

224

Za łąkami teren był już nierówny, suchy i piach sypał się im do butów. Tu i ówdzie sterczały jeszcze karpy po ściętych drzewach, okolone nieruchomymi mackami korzeni. Broniek zatrzymał się, poprawił sznurowadło, potem, nie spiesząc się już zbytnio do-pędził Edka.

— Tu chyba nie ma żadnej rzeki — powiedział. — Nawet chłodu się nie czuje. — Zadał głowę i wciągnął głęboko powietrze. — Od rzeki musi wiać wilgocią, nie uważasz?

Ponieważ tamten nie odezwał się ani słowem, Broniek odczekał chwilę i znów zaczął:

— Z tą rzeką — roześmiał się — to pewnie taki sam numer, jak ze strzelbą i dziadkiem-traperem.

Ostatnie słowa wypowiedział umyślnie z błazeńskim uśmiechem, żeby mocniej jeszcze rozżłościć Edka i sprowokować do rozmowy. Uparte milczenie kolegi irytowało go tak bardzo, że w tej chwili nawet sprzeczka wydawała mu się lepsza. Ale Edek w ogóle nie reagował.

— Słyszysz? — odezwał się ponownie Broniek. — Ten koń, to też pewnie jakieś чудо. Wyobrażasz go sobie? — Spojrzał na plecy idącego przed nim Edka, ale ten nadal milczał. Jego buty chrzęściły w piasku sucho i nieprzyjaźnie. — Muszę koniecznie zobaczyć tego konia — powiedział jeszcze Broniek.

Po głupim i niepotrzebnym starciu z Leonem Broniek odczuwał jakiś niesmak, nawet upokorzenie, więc teraz zgrywał się i udawał, że nic sobie z tego nie robi. Bo właściwie o co im poszło? Czyż nie miał racji? Jeśli rzeczywiście czymś tu zawinił, to chyba jedynie tym, że uwierzył Leonowi. No, bo czym? To Leon, on przede wszystkim nie powinien był kłamać. Gdyby nie to, nikt nie miałby do niego pretensji; on też nie. Więc o co w końcu chodzi? Po co Edek udaje

15 — Wiele dróg

225

obrażonego? Dlaczego wepchnął ręce do kieszeni i nie chce z nim rozmawiać?

Bronek wzrusza obojętnie ramionami, jest niby wesoły, ale nie chce mu się śmiać. Zaraz też przyspiesza kroku i zrównuje się z Edkiem. Jego głos brzmi trochę niepewnie:

— No, powiedz, wierzysz w tego konia? A może

obraziłeś się?

— Ja? — odzywa się wreszcie Edek. — Niby o co?

— To dlaczego nie odpowiadasz?

— A co ci mam powiedzieć? Koń jak koń, jaki ma

być?

— Mustang! Zapomniałeś już? Najprawdziwszy mustang!

Edek westchnął i popatrzył w górę.

— Ech, dałbyś już spokój...

— Tak? — zawołał nagle Bronek. — A po co on kłamie? Po co oszukuje?

— A ty zawsze mówisz prawdę? — zapytał Edek. Obejrzał się, odczekał, potem gestem głowy wskazał

jego buty.

— Choćby o tych butach, no, co gadałeś? Że będą najlepsze i w sam raz do piłki. A one nie różnią się nawet od moich...

— Nieprawda — zaperzył się Bronek. — To świetne buty, z importu, zobacz... wybiegł do przodu i podniósłszy nogę, uchwycił ją rękami. — Nie wierzysz? — spytał podskakując na tej drugiej — to proszę, obejrzyj. Węgierskie. A twoje, zwyczajny Chełmek.

— Ale eksport — powiedział Edek z urazą w głosie. ** Odrzuty. Wiesz, ile taki but kosztuje w Londynie? Co najmniej pięć dolarów!

Zatrzymał się, przetarł jasny jak piasek zamsz cholewki i ruszył dalej. Znów szedł z rękami w kieszeniach i, zły na Bronka, gapił się w niebo. Nie mógł

226

jednak milczeć. Już po kilku krokach odwrócił się i udając spokój, powiedział:

— Gadasz tyle, a nic nie wiesz. Niczego, nawet najprostszych rzeczy nie potrafisz zrozumieć...

— Ja? — zapytał Bronek i aż go zatkało ze zdziwienia i złości.

— Jakich, jakich niby rzeczy?...

Edek spojrział w górę, odczekał, aż tamten się uspokoi, i rzekł z uśmiechem:

— Bo widzisz, każdy by chciał, żeby to jego było najlepsze: ubranie, buty, dziadek, wszystko jedno co. No, nie tak?

— Nie — zaprzeczył z pasją Bronek. — Nieprawda...

— Poczekaj — przerwał mu Edek — daj skończyć. Tym razem był już zły na siebie, nie na niego. Że też, u diabła, nie umie tego sprecyzować? Chciał przecież wyjaśnić mu wszystko tak, jak to sobie ułożył, i oto w żaden sposób nie potrafi. Odwrócił się i, aby łatwiej zebrać myśli, popatrzył w górę/ Ale jak wytłumaczyć Bronkowi tę pogmatwaną i chwilami tak bardzo żalosną sprawę ludzkich ambicji?...

— Nie rozumiesz tego? — zapytał po chwili.

— Czego? — zdziwił się Bronek.

— No, tego gadania, chwalenia się?

— Ja tam w ogóle się nie chwale, czego chcesz?

— Dobra, dobra — uciął ostro tamten — każdy się chwali. I ty, i on, wszyscy prawie.

— Ja? — wykrzyknął znów Bronek. — Ja nawet nie opowiadam o sobie, nigdy...

— Zrozum — powiedział Edek, siląc się ponownie na cierpliwość — kiedy człowiek niewiele ma, to chce, żeby choć inni myśleli inaczej.

— Nie — powtórzył z uporem Bronek i podbiegł do niego. — To Leon, tylko Leon wymyśla wszystko. Tę strzelbę, te wielkie ryby, nawet dziadka!

15*

227

— Więc co? __ spytał zmienionym już głosem Edek.

_ Tak ci zależy, żeby tego nie miał? Żeby wszyscy

widzieli, że nie ma?

— Skąd? __ powiedział Bronek. — Niech sobie ma.

- Głos zadrżał mu, więc żeby to pokryć, zakaszła i potrząsnął niedbale głową. - Co mi do tego?...

— No widzisz — ucieszył się niespodziewanie Edek.

— Człowieka trzeba zrozumieć... — Wyszczrzył wesoło zęby, ale zaraz spoważniał i zatrzymawszy się wyciągnął przed siebie rękę. — Zobacz - powiedział -zdaje się, rzeka...

Bronek spojrział we wskazanym kierunku i nagle dostrzegł między drzewami coś białego.

— Biały koń. O, tam, widzisz? Jak te olchy... Zbiegli w dół łagodnym płaskim stokiem, potem

skradając się już między kępami jałowca dobrnęli do olch. Jeszcze kilka, może kilkadziesiąt kroków i wreszcie rzeka. Właściwie płyciutki strumień, tyle że rozlany szeroko i płynący dnem piaszczytego jaru. Przy brzegach trawa, tatarak i gąszcz olszyny, a w przezroczystej wodzie gromadki ruchliwych kijanek i całe stada nartników na powierzchni. Tylko ryb ani śladu.

Ostrożnie, żeby nie zrobić hałasu, ściągnęli buty i niczym dwaj polujący w buszu Indianie weszli do wody. Edek pierwszy, Bronek zaraz za nim. Szli teraz wolniutko, tuż przy brzegu — prosto w kierunku konia. Widzieli go już wyraźnie. Stał pośrodku strumienia, osowiały, z łbem zwieszonym ku wodzie. Lejce splecione ze sznurka wisały na nim luźno.

— To chyba ten? — szepnął Bronek.

Edek przyłożył palec do ust.

Oślaniani płataniną krzaków ostrożnie rozchylali gałęzie i podchodzili coraz bliżej. Koń nadal stał bez ruchu. Zatrzymali się. Stąd, z odległości kilkunastu metrów, mogli już dostrzec żebra sterczące mu pod

228

skórą, żółte plamy pokrywające sierść i nawet muchy łożące po pysku. Był rzeczywiście biały i tylko te żółte plamy sprawiały wrażenie, jakby ktoś umyślnie pochłapał go farbą. A jednak, mimo tych plam i sterczących żeber, nie był to brzydki koń. Przeciwnie, bardzo przypominał tego z plakatu za szkłem.

— A Leon? — wyszeptał znów Bronek.

— Ciii...

Dostrzegli go w chwilę później. Siedział na piasku obok głębokich kolein rozcinających w poprzek brzegi strumienia i ginących w wodzie. Teraz zupełnie nie wiedzieli, co robić: może krzyknąć i obudzić go, jeśli usnął? A może podejść, usiąść po prostu naprzeciw i zagadać o czymkolwiek?... Edek tłumaczył coś Bronkowi na migi, wreszcie wyszedł z wody i cichutko, niepostrzeżenie zaszedł Leona od tyłu. Potem pochylił się i nagle obiema rękami zakrył mu oczy. Teraz dopiero tamten poderwał się, chwycił go za rękę i zaczął się szamotać.

— Puść — zawołał. — Puść mnie...

Edek rozluźnił więc rękę i śmiejąc się upadł plecami na piasek.

— Widzisz — wrzasnął w stronę ukrytego za krzakiem Bronka — nie poznał mnie. Daję słowo, że nie.

Wreszcie wstał i roześmiany podszedł do Leona.

— No, i znaleźliśmy cię — powiedział. — Myślałeś pewnie, że nie trafimy tutaj?

— Czego chcesz? — odburknął Leon. Stał i rękawem kurtki wycierał utyflane w piasku spodnie. — A w ogóle po coś tu przyszedł...

— Jak to? — zdziwił się nieszczerze Edek. — Żeby na koniu pojeździć. Chyba pozwolił? — Rozejrzał się i gestem głowy wskazał wyłaniającego się z zarośli Bronka. — On też by chciał...

Leon bez słowa odwrócił się, podwinął obie nogawki

229

spodni i wszedł do wody. Wyprowadził konia, potem zatrzymawszy się obok pniaka, wdrapał się po nim na wytarty grzbiet siwka.

__Wio — mruknął. — No, wio, siwy.

Piętą uderzył konia w żebra, jednocześnie targnął lejcam i zmusił go do ruszenia z miejsca.

__Poczekaj — zawołał z niepokojem Edek. —

Chcesz tu nas zostawić?

Koń biegł już truchtem w kierunku zbocza porośniętego kępami jałowców. Edek skoczył za nim, zabiegł mu drogę i chwycił za uzdę.

— Odejdź! — krzyknął Leon.

Ściągnął raptownie lejce, aż koniem rzuciło do tyłu, potem uderzył go piętami po bokach, koń wspiął się naraz, wyszarpnął z rąk Edka i poczuwszy rozluźnione nagle lejce, pognął przed siebie. Edek ledwie zdążył uskoczyć w bok, potknął się i usiadł na piasku. Wystraszony poderwał się natychmiast i zaczął wołać:

— Leon, o co tu się gniewać, Leon, co ty... — Nagle odwrócił się i wrzasnął w stronę Bronka: — No, czego

stoisz?

W chwilę później obaj gnali płaskim stokiem pod górę i wołali na przemian:

— Leon! Leon!...

On tymczasem trząsał się na grzbiecie konia, popędzał go, a jego stopy pozbawione strzemion tłukły wierzchowca po żebrach.

— Zatrzymaj się — wołał rozpaczliwie Edek. — Poczekaj...

Biały koń był już na szczycie stoku, po chwili znikł w chmurze pyłu wzniesionego kopytami. Gdy kurz opadł, znów go dojrzeli — stał nieruchomo zwrócony w ich stronę.

— Prędszej — wykrztusił Edek oglądając się. Broniek

230

sapał już ze zmęczenia, mimo to biegł dzielnie dalej. Po kilku minutach obaj chłopcy, zmęczeni i zdyszani, dopadli uciekinierów. Wtedy Leon zlązł z konia i nieśmiało wyciągnął do nich lejce.

— Proszę — powiedział — chcieliście pojeździć. Broniek cofnął się, jak gdyby speszony tym gestem,

ale Edek bez wahania pochwycił uzdę.

— Co, naprawdę — wysapał — naprawdę dasz się przejechać?

— Czemu nie? — odparł Leon. — Proszę. Edek aż zęby wyszczerzył z radości.

— Równy z ciebie facet — powiedział. — A już myślałem, że chcesz nam uciec.

Broniek stanął z boku i, zadyszany jeszcze, patrzył, jak przyjaciel gramoli się niezdarnie na konia.

Kiedy wreszcie usadowił się jakoś, cmoknął i szarpnął lejcami. Koń zatańczył w miejscu, ale nie ruszył.

— Nie tak mocno — powiedział Leon. — Za bardzo go ściągasz.

Chwycił lejce chcąc je rozluźnić, tymczasem Edek targnął już nimi i, żeby nie stracić równowagi, wcisnął raptownie obie pięty w zapadły brzuch konia. Ten rzucił łbem, jednocześnie poderwał zadnie nogi i wtedy Edek całkiem niespodziewanie wyfrunął w powietrze i grzmotnął plecami o piasek. Zaraz jednak podniósł się i zarechotał nieszczercze.

— Widzieliście, fajne było, co?

Poskakał na jednej nodze, na drugiej, potem po-wiercił palcem w ucho, jak gdyby dopiero co wyszedł z wody i śmiejąc się znów podbiegł do konia.

— No, dawaj — powiedział wyjmując lejce z rąk Leona.

Ten splótł obie dłonie, pochylił się i podstawił mu je pod stopę. Edek bez trudu już wgramolił się na siwka.

231

— Tylko pamiętaj, nie ściągaj za mocno...

— Okey, stary — odkrzyknął Edek. — Wszystko się wie.

Teraz siedział już wyprostowany, nawet podany lekko do przodu, jak prawdziwy jeździec. Tylko plecy ubrudzone miał piaskiem. Leon poklepał siwka po szyi, potem ujął go ostrożnie za kantar i pociągnął za sobą, Koń stąpał posłusznie, kołysał zadem. Powoli schodzili w dół. Edek też poklepał konia po karku i zadowolony obejrzał się na Bronka, który szedł za nimi po zboczu, na wszelki wypadek trzymając się z daleka. Koń, jak się okazało, tylko z pozoru był taki bezbronny i łagodny...

— No, dobra! — zawołał raptem Edek. — Teraz szybciej, szybciej!

Leon, wciąż prowadząc konia za kantar zaczął biec, ale już po kilku krokach odskoczył na bok i, żeby zmusić konia do utrzymania tempa, zamachał rękami.

— Wio, wio, Siwek!

Edek natychmiast podchwycił ten okrzyk i też zaczął wymachiwać ręką. Koń szedł teraz równym truchtem, kołysał się i chwilami przechodził w gwałtowny galop.

— Uważaj — nawoływał Leon — nie odchylaj się do tyłu!

Edek podał się więc w przód, skulił się i, chociaż trzęsło nim niemiłosiernie, nie ściągał lejców i nie zwalniał. Nawet pokrzykiwał głośno, jak gdyby zachęcał konia do jeszcze szybszego biegu.

Z daleka, z miejsca, w którym stał Broniek, wyglądał jak Tatar cwałujący przez step albo jakiś kowboj z bieszczadzskich pastwisk. Broniek zazdrościł mu i zaczął już żałować, że nie chciał wziąć lejców od Leona. Zupełnie niepotrzebnie odsunął się wów-

232

czas i założył ręce do tyłu. Leon i tak tego nie dostrzegł - od razu zwrócił się do Edka.

Edek tymczasem pokonał stok wzgórza i wciąż nie zmieniając tempa gnał wzdłuż rzeki. Tuman kurzu wisiał prawie nieruchomo nad ziemią i podobny do dymu kładł się na wysokości traw.

Po chwili koń i jeździec zniknęli w cieniu drzew - tam właśnie, gdzie koleiny wyznaczały bród i gdzie tak niedawno jeszcze siedział Leon.

Teraz też usiadł na piasku, oplótł rękami kolana, oparł o nie brodę i patrzył w kierunku rzeki. Stąd jednak nie mógł jej dostrzec. Oslaniały ją gęste krzaki olch, tamte dalekie drzewa i mrok gęstniejący w mgłach.

Broniek zszedł w dół i nie spiesząc się podszedł do Leona. Siadł obok, potem oplótł kolana rękami i podobnie jak on oparł o nie brodę.

- To całkiem niezły koń - powiedział nieśmiało. Tamten zakaszłał tylko.

- Dałbyś się przejechać? - spytał po chwili Broniek. - Choćby i tu, po tym stoku...

Teraz dopiero Leon poruszył się, siąknął głośno nosem.

- Chcesz? - spytał. - Naprawdę?

- Tak - odparł Broniek - ale po tym wszystkim, sam wiesz, głupio mi jakoś.

- Dobrze - przerwał mu Leon. — Dam ci...

Tym razem uśmiechnął się, nie czuł już do niego żalu. Chciałby nawet, żeby jak najprędzej powrócił Edek i oddał Bronkowi konia. Podniósł się i znowu głośno pociągnął nosem. Znowu obydwaj patrzyli w kierunku rzeki. Było już prawie ciemno, lecz konia dostrzegli natychmiast. Wracał tą samą drogą i w tym samym tempie. Na jego grzbiecie kołysał się i podskakiwał Edek. Rozentuzjasmowany jazdą led-

wie dał się przekonać, że przecież i Broniek ma prawo do przejażdżki.

— I tak trzeba będzie zaraz wracać — tłumaczył. — Tylko patrzeć, jak się całkiem ściemni...

W końcu zsiadł z konia, po czym wspólnie z Leonem pomogli wdrapać się na niego Bronkowi i Leon znów pobiegł przodem. Ale gdy tylko zorientował się, że tamten jako tako siedzi „w siodle”, puścił kantar i zamachawszy rękami wrzasnął:

— Dalej, wio, siwy, wiooo... Koń wyrwał truchtem. Broniek skierował go ku

rzece, potem przeciął ją niemal w galopie i woda spryskała mu twarz. Gałęzie olch musnęły go po ramionach.

— To była piękna jazda — powiedział później, gdy

wracali już do domu.

Szli całą trójką, a koń włókł się z tyłu, człapiąc nie podkutymi kopytami. Było tak ciemno, że nie odróżniali poszczególnych drzew — las i zagajnik stapiały się w jedno.

— Z grzbietu konia i w takim pędzie wszystko wygląda inaczej — mówił głośno Broniek. — Nawet zwykły las wydaje się większy i bardziej dziki. Rzeka tak samo, prawda?...

Edek przytakiwał gorliwie i ucieszony co chwila

wtrącał:

— Widzisz, a nie mówiłem, a nie mówiłem?...

W pobliżu wsi obaj doszli już do zgodnego wniosku, że jazda na rowerze, motocyklu czy choćby najszybszym samochodem, to żadna frajda w porównaniu z koniem.

„Gdy siedzi się w siodle i kłusuje przed siebie, to jakby z wiatrem człowiek się łączył, z całą przyrodą dokoła” ■ - tak właśnie określił to Broniek.

— Bo to naprawdę wspaniały koń — dodał na zakończenie tej poetycko sformułowanej myśli.

Wszyscy przyznali mu rację. Bo przecież ten koń Leona, chociaż nie miał nic wspólnego z mustangiem, należał z pewnością do znakomitych wierzchowców. W każdym razie najwspanialszych,

jakie oni — Edek i Broniek — oglądali kiedykolwiek w życiu.

To był naprawdę świetny koń.

Wanda Żółkiewska

Twarz mojego ojca

Muszę to nareszcie opowiedzieć. Choćby nawet sobie samemu, byle jakoś to odtworzyć, uporządkować. Ale jak? Od tamtej pory minęło już kilka lat. Czy pamiętam? Czy potrafię? A jednak strasznie bym chciał do tego wrócić, tak jak nieraz powracam w myślach. Jakoś to wszystko z siebie wyrzucić. Pozbyć się czegoś, co we mnie siedzi i wierci jak kolka. Może w ten sposób uda mi się...?

Była wiosna. Taka sobie, zwyczajna. Ani specjalnie piękna, ani brzydka. Zdarzały się dni gorsze i lepsze. Czuło się leniwość w kościach, po głowie latały głupoty.

Mieszkałem z rodzicami pod Warszawą. W takim osiedlu z szarymi drzewami, z szarym piaskiem wysypującym się do butów przy każdym kroku. Właściwie mogłoby tu być ładnie. Las, jezioro, łąki. Gdyby to wszystko było zielone, a nie zgasłe i suche, ale mniejsza... jest jak jest. Ja tam zresztą i tak lubię to podwarszawskie osiedle, jest się gdzie wylatać i wyrzeshzczeć. Kryjówki jak borsucze nory. trafi do nich tylko ten, kto je zna. Jak się człowiek zadekuję, to zniknie ze świata.

No i dekowałem się. Razem z chłopakami spotkanymi kiedyś nad jeziorem. Oni też mieli zatargi ze szkołą. W mig dogadaliśmy się.

239

_ Na czym plackiem leżysz? — zagadnął mnie wysoki, w pasiastym golfie.

— Matma i fiza.

— Fiuuuu! — gwizdnął przez dziurawy ząb. — Niezły komplecik.

— A ty? — spytałem.

— W ogóle, po trochu ze wszystkiego. Ale to stare dzieje. Już od dawna nie trudnię się fachem szkolnym.

— A czym?

— Na razie czekam, aż się co dobrego trafi. Może tu, w zakładach, może w Warszawie, a może jeszcze gdzie indziej.

I podparwszy brodę na dłoni zadumał się nad tymi wszystkimi możliwościami. Obok niego kilku kumpli też popadło w zadumę. Gryźli suche źdźbła, odwracali twarze do słońca, mrużyli oczy. Zdawali się na coś czekać.

— Podobno do zakładów przyjmują — mruknął wreszcie jeden w nylonowej koszuli i czarnych wąziutkich spodniach.

— Ale kogo! — westchnął drugi z białymi rzęsami. — Fachowców do kreślarni. Stuknij się w łeb, Elegancie.

— Fachowców? A... to inna sprawa.

I chłopak zwany Elegantem wyciągnął się na piasku jak do drzemki.

Ten w pasiastym golfie siadł nagle.

— Będziemy tak leżeć?

— Bo co?

— Może by... do wody?

— Właż, jak cię pięta świerzbi.

Ale pasiastego widocznie pięta nie świerzbiała, bo pozostał na brzegu. Przyjrzałem mu się. Przystojniak! Włosy przystrzy-

240

żonę w grzywkę, czarne, sypkie. Oczy trocnę dziwne, takie, jak gdyby patrzyły gdzieś z daleka, cera blada.

— Co się gapisz? — uśmiechnął się chwyciwszy moje spojrzenie.

— Tak sobie. Nie znam was. To znaczy... widywałem czasem na osiedlu, ale...

— To się poznaj: Elegant, Albinos, do mnie mówi się Seler.

— Seler? Ale to przecież warzywo!

— Nie szkodzi. Z warzywami też różnie bywa. Nie wiedziałem, jak to z warzywami bywa, więc

nie miałem nic więcej do powiedzenia. Zrozumiałem jednak, że Seler jest w paczce najważniejszy, dlatego jemu się przedstawiłem.

— Nazywam się Karol Ufniarski.

— Karol? — zdumiał się Albinos.

— Karol? — powtórzył Elegant.

— Po staroświecku ochrzcili cię rodzice. Czekaj no... czy twój stary nie latał czasem? — zainteresował się Seler.

— Latał.

— A potem co? Noga mu się powinęła?

— Wypadek.

— Bah! Zdarza się w najporządniejszym domu. Ale może byśmy zeszli z tej patelni? Podpieka.

Usadowiliśmy się w cieniu. I tu właśnie okazało się, że paczka Selera postanowiła zorganizować drużynę piłki nożnej. Okazało się też, że mają umówionych chłopaków, tylko bramkarza brak.

— Niemożliwe — powiedziałem. — Przecież ja...

— Co ty?

— Gram w szkole.

— Prawą ręką czy lewą nogą? — powiedział Albinos i mrugnął białymi rzęsami.

— Zamknij się — przerwał Seler.

16 — Wiele dróg

241

i zaczął mnie wypytywać co i jak.

Nie miałem się znowu czego tak bardzo wstydzić. Grałem wcale nieźle, a bramki broniłem nawet dobrze.

— Z gadania nic nie wyjdzie — rozstrzygnął Seler. — Trzeba by cię wypróbować, jeśli masz być naszym bramkarzem, rozumiesz? Po przeciwnej stronie może być fuszer.

Tego dnia nie było okazji do wypróbowania mnie. Dopiero za kilka dni spotkaliśmy się na polanie w lesie, nie chcieliśmy, żeby nas było za bardzo widać. Byliśmy przecież na wagarach.

— Słuchaj no, Karol — powiedział do mnie Seler tuż przed grą. — Eeee! Dajmy zresztą spokój z tym Karolem. Panowie, jak by go nazwać?

— Bo ja wiem...? — Elegant patrzył uważnie na moje czarne spodnie.

— Już wiem — stuknął się w głowę Seler. — Ale to dopiero po próbnej grze. Jak ci się uda, będziesz Bramkarzem.

Udało mi się. I tak zostałem nie tylko bramkarzem* ale i Bramkarzem.

Graliśmy jak szatany. Można nawet powiedzieć, że zagrywaliśmy się do upadłego. Najczęściej po południu, ale zdarzały się dnie, że i rano. Paczka Selera miała dużo czasu, a mnie w budzie ziemia coraz bardziej paliła się pod nogami. Na sam widok budynku z czerwonej cegły robiło mi się mdło, a jak na korytarzu pokazał się Fasolarz, no to dobranoc i cześć. Rwałem w krzaki i długo złażałem, zanim wyzijałem wszystko, co we mnie kipiło: niepokój, strach, nieopanowaną chęć, by już nigdy, nigdy więcej nie spojrzeć na Fasolarza.

Bo to właśnie Fasolarz uczył nas matematyki i fizyki. To on wbijał we mnie dwóję za dwóją, jakby

242

w kręgle grał. To on mijając mnie zatrzymywał się nagle, jakby sobie coś przypomniał. Fasolarzem został w tej samej chwili, kiedy dwóch chłopaków z naszej klasy zgadało się na pauzie, że już pięć razy widzieli, jak w sklepie naprzeciwko dworca kupował fasolkę po bretońsku i to po kilka stoików.

„Podejrzane — powiedzieli sobie. — Widocznie jakiś fasolarz”.

Matematyka i fizyka! Na nich się rozłożyłem. A miałem być przecież konstruktorem samolotów i na niczym innym w ogóle mi nie zależało. Ale trudno. Nie, to nie. Skoro Fasolarz uwiązał się, nie było rady, grałem więc jak szalony w drużynie Selera. I dobrze mi się wiodło. Seler potrafił wprawdzie bez dostatecznego powodu przypalantować w szczękę, ale potrafił też ocenić wysiłek.

— Cześć, Bramkarzu — sęczył mi ciepło w ucho. — Młodyś jeszcze, ale pociecha z ciebie murowana. Ćwicz skok. W górę i w przód. Takie podskakiwanie do piłki to cholernie ważna sprawa.

Ćwiczyłem skoki. Miałem niezłe wyniki. Bramka stawała się dla mnie ucieczką przed Fasolarzem, więcej, była pomstą na Fasolarzu za te dwóje.

„Bramka, bramka — śniło mi się po nocach — w bramce nikt mi nic nie zrobi. Tu mam obowiązek do spełnienia. Tu muszę wygrać i wygrywam. A Fasolarz może mi nagwizdać”.

Pewnego dnia, miał to być dla mnie pamiętny dzień, spuściliśmy takie lanie przeciwnikom, że im świeczki w oczach stanęły. Pięć do jednego. A ten jeden wrzepili dlatego, że któryś obwieś kopnął mnie na moment przed golem w kostkę, a ta głupia tak mnie zaboląła, jakby kto ząb rwał. Skamieniałem, no i stało się. Ale potem już ani razu, choć nasadzali się na mnie jak zbi-

243

ki. .Później chłopaki raz po raz poklepywali mnie po łopatkach, a Seler krzyczał:

— Cześć i chwała Bramkarzowi!

Po meczu poturlaliśmy się nad jezioro. Trzeba było zwycięstwo obgadać, nacieszyć się nim, no nie? Poszła sama władza: Seler, Albinos, Elegant i ja, bedłki rozeszły się jak niepyszne, Seler nie chciał się z nimi zadawać.

— Gra grą — mówił. — Prywatnie dobieram sobie towarzystwo wedle własnego uważania.

Byłem od nich ze trzy lata młodszy, a jednak... jednak nie zaliczyli mnie do bedłek. Kiedy Seler wyciągnął z kieszeni butelkę wina, swoim zwyczajem najpierw zakpił:

— Dać temu żółtkowi?

— Daj. Bądź co bądź bramkarz — chlapanął mimochodem Albinos.

— Daj. Za kołnierz chyba nie wyleje — wyraził aprobatę Elegant.

Nalewać nie było w co. Piliśmy jeden po drugim wprost z butelki. Mnie, jako „żółtkowi”, przypadła pierwsza kolejka.

— Pij, Bramkarzu, pij, pasikoniku. A rzeknij, jak to smakuje pierwszy raz, bo już zapomniałem — powiedział Seler.

Wino było słodkie, ostre. Cięło w przetyk i żołądek. Cięło nawet w oczy.

— Płaczesz? — ucieszył się Seler. — To dobrze. Będzie z ciebie pociecha, jak rany koguta. Widzisz! To jest właśnie pierwszy łyk wina. Prawidłowo wypiteś.

Potem odebrał mi butelkę i przymknąwszy oczy wdudlił w siebie dobrą porcję.

— Eeee, fundator, nie przesadzasz? — zmitygo-wali go koledzy.

I butelka powędrowała z rąk do rąk, a potem nęła do jeziora. Powirowała na jego powierzchni, aż zachłysnęła się i poszła na dno.

Dziwny zrobił się świat. Dziwne wydało się niebo, dziwni wydali się koledzy. Jedno się mgliło, inne stawało się wyraźniejsze. Na przykład oczy Selera jak gdyby zmętniały, natomiast koszula Eleganta świeciła, woda w jeziorze połyskiwała. Ale najdziwniej zachowywała się własna głowa. To była bystra, skora do myślenia, to zapadała w mrok, by wydobyć się stamtąd, jak z topieli kołyszącej szuwarami, sitowiem, trzciną. Coś się zaplątywało i rozplątywało, a potem to coś sięgało nóg i tu też plątało mięśnie czy ścięgna, nie wiadomo.

— Ale głupio wygląda — zachichotał Elegant. — Ładny mi bramkarz-zwycięzca.

— Zostaw go — wtrącił się Seler. — Szkoda, że nie ma drugiej flachy.

— Szkoda — powiedziałem, dziwiąc się, że to mówię ja.

— Może być. Wino na wino. Trzeba tylko chcieć.

— A forsa skąd? — z niedowierzaniem burknął Albinos.

— Byłaby, gdyby dobrze ruszyć głową.

— No, to jazda, ruszaj, na co czekasz?

— Mam czas — odparł Seler po chwili milczenia. — Nie od razu Kraków zbudowano.

Na tym rozmowa utknęła. Rozmarzyliśmy się jakoś i chyba nawet trochę pospali. A może spałem tylko ja? Dość, że jak się obudziłem, słońce ze środka nieba poszło sobie ukosem 'nieco dalej, chłopaków nie było nad jeziorem. I pochłodniało jakoś. Czas do domu.

Wracałem ścieżkami leśnymi. Przeskakiwałem przez dawne okopy strzeleckie, zawadzałem o wierz-

jafowcow. czułem się lekko, dobrze. Dopiero, kiedy przed oczami zarysował się pierwszy domek, jakby mnie kto cuglami ściągnął.

„Dom, dom — latało mi po głowie — ładna zabawa. Co ja powiem, co oni powiedzą? Która to godzina. Czwarta. Godzinę temu przyszli z pracy. Obiad... o, holender!”

Sam nie wiedziałem, czy przyspieszyć kroku, czy przeciwnie, ociągać się. Osiedle wydawało mi się to długie, jak wąż hoa posuwający się przede mną, to krótkie, jak zbudowane z dziecięcych klocków.

A tymczasem minąłem już domki jednorodzinne, najpierw te dawne, przedwojenne, podrujnowane, z podstrzelanym tynkiem. W dali, jakże teraz bliskiej, wyrastały duże bloki przyfabryczne. Znów mi było gorąco, nawet trochę duszno. Zaćmiło mi się w oczach, gdy zobaczyłem mamę.

Ona mnie nie widziała. Wybiegła z sieni z kubłem pełnym śmieci i odchylając daleko jedną rękę, jak gdyby nią przegarniała powietrze, płynęła poprzez betonowe płyty, ułożone na środku podwórza. Miała niedzielną sukienkę, choć to wcale nie była niedziela, granatową z białym gipiurowym kołnierzykiem i mankietami. Jej jasne włosy, spiętrzone wysoko, błysnęły, gdy zetknęły się ze słońcem. Szybko przebiegła od sieni do śmietnika, jednym ruchem przechyliła kubek uderzając nim o drewniany brzeg zsypu i już szła z powrotem do domu. Kiedy zapadły za nią drzwi, zacząłem prawie biec.

Przed domem, na ławce siedziało kilku sąsiadów z naszej klatki schodowej. Palili papierosy, pogadywali do siebie. Byłem tuż za ich plecami, usłyszałem, o czym mówili.

— Klasa kobieta.

246

— Szykowna. W tej granatowej sukience, ho, ho! Dyrektor się za nią ogląda, chociaż ma ładną żonę.

— Każdy się ogląda. Ciekaw jestem, kiedy ona się za kimś obejrzy?

— Wcale bym się nie zdziwił. Taka kobieta! A w domu same kwasy. Ufniarski skapcianał, chłopak rozwłóczony. Sam bym dał drapak, tylko by się zakurzyło.

— Pewnie. Po co jej to znosić? Taka kobieta... Załomotało mi w skroniach. O kim oni mówią?

O kim? „Taka kobieta, Ufniarski skapcianał, chłopak rozwłóczony.”

Przemknąłem koło nich bez słowa. Bez słowa wpadłem do sieni. Pies sąsiadów z parteru zaplątał mi się pod nogami, zawył przeraźliwie.

— Co to? Psa kopiesz? Ładne wychowanie. Cały chuligan, jak pragnę następnego roku w zdrowiu doczekać!

I sąsiadka z rozmachem trzasnęła drzwiami. A pies jeszcze skomlał chwilę, jakby rozumiał, że mu

coś z tego przyjdzie.

Stanąłem na drugim piętrze, naprzeciw schodów. Drzwi te same co zwykle, szare. Tabliczka na drzwiach A i S Ufniarscy. Skrzynka na listy. „I co? I co jeszcze?” — rejestrowałem szczegóły. Wycieraczka spleciona ze sznurka. Machinalnie wytarłem nogi. Machinalnie przejechałem ręką po włosach. Nacisnąłem klamkę.

Na podłogę ciemnawego korytarzyka kładły się dwie jasne plamy. Jedna z kuchni, jedna z pokoju. Drzwi nie skrzypnęły, kiedy je zamykałem.

— Więc czego ty właściwie chcesz? Dyrekcja mi daje szansę. Mam z niej zrezygnować? Po kursie dostanę samodzielną pracę. Do tego pięćset złotych wię-

247

cej. Czemu milczysz? Czy chciałbyś, żebym w kółko to samo robiła?

Mama wypadła z pokoju, prawie zderzyła się ze mną.

- I jeszcze ty na dokładkę - rzuciła, unosząc ręce, jakby miała zamiar zatkać sobie uszy. - Gdzieś się znowu wałęsał? Jest wezwanie ze szkoły. Milczysz? Dobrze. Jutro pójdę. I tak się dowiem.

Twarz jej to bladła, to czerwieniała.

- Jadę do Łodzi. Zapisuję się na kurs. A wy... wy róbcie, co wam się podoba.

Złapała torebkę, ściągnęła płaszcz z wieszaka. Przy klamce zawahała się na chwilę.

- Może byś wyszedł po mnie na wieczorny pociąg? — zwróciła się do mnie.

Słyszałem jej nerwowe kroki na schodach, w sieni, na betonowych płytach chodnika. Potem wszystko ucichło.

Pamiętam tę ciszę. Pamiętam, bo wydała mi się gorsza od krzyku. Ojciec w pokoju ani drgnął. Stałem jak wrośnięty w parkiet. Na palcach wsunąłem się do kuchni. W garnku odstawionym na bok była zupa. Talerze, talerzyki, noże, widelce i łyżki dosy-chały na suszarce. Krople wody kapały na plastikową podstawkę. I to był jedyny odgłos życia w naszym domu.

Szurnąłem garnkiem. Szczęknął. Przytknąłem w łyżkę wazową. Spadła na podłogę robiąc hałas.

- Co się dzieje? Kto tam?

Ojciec wysunął się z pokoju. Jego szerokie brwi uniosły się aż po pierwszą fałdę na czole. Staął w

progu kuchni, opierając się o futrynę drzwi.

— To ty? — powiedział.

Wydało mi się, jakby był czymś zaciekawiony, lecz gdy mnie zobaczył, spotkał go jakiś zawód.

248

— Co ty sobie myślisz? - zaczął, wyglądało na to, że będzie mnie beształ. Ale popatrzysz uważnie, machnął ręką.

— Wychodzę — oznajmił niespodziewanie. Odwrócił się. Prawa noga, którą nieco powłóczył, inaczej wystukiwała kroki niż lewa. Znow trzasnęły drzwi. Zostałem sam. Chciało mi się jeść. Zajrzałem do garnka. Grzybowa z łazankami. Lubiłem ją. Podniosłem łyżkę z ziemi, zanurzyłem w zupie. Ale nie smakowała tak jak na talerzu, przy stole. Ledwie ciepła. Jakby nie-doprawiona. Ukroiłem kawałek chleba, posmarowałem smalcem. Ugryzłem raz, drugi. Nie szło mi. Co się dzieje? Co się stało? Miałem zawsze wilczy apetyt. Pół bochenka chleba, pół ćwiartki masła, to dla mnie frajer. Teraz ścisnęło mnie w dołku.

„Ty, Karol — mówiłem do siebie — nie wygłupiaj się. Co jest do jasnej Anielki, no co? Grałeś w piłkę? Wielka rzecz! Nie byłeś w budzie? Jeszcze ci się to nie raz zdarzy. Matka się dowie? Dowiadywała się różnych rzeczy. Wino piłeś? Ojciec pije wódkę, nie tylko wino”.

Tłumaczyłem sobie, usprawiedliwiałem się, mimo to ssało mnie w dołku i nie odzyskiwałem apetytu. A poza tym? A poza tym nie mogłem usiedzieć ani ustać na miejscu. Gdzieś mnie gnało, ciągnęło... „Pójdę do chłopaków” — postanowiłem. Klucz do mieszkania zostawiało się u sąsiadki. Staruszka rencistka niemal cały dzień siedziała w mieszkaniu lub na balkonie. Miała całkiem srebrną głowę i szare oczy w różowej, mimo wieku, twarzy.

— Wychodzisz, Karolku? — zapytała. — Dopieroś przyszedł, widziałam cię z balkonu, i już gonisz? Słuchaj — zafrasowała się nagle — czy ty nie za du-

249

żo sobie pozwalasz? Bo to niedobrze. Mama się martwi, ojciec się martwi.

— Eeee... — powiedziałem. Bo co odpowiadać na takie gadanie?

— Nie „eee”, nie „eee” — zaperzyła się na tyle, na ile to było możliwe u tej spokojnej staruszki. — Otwórz oczy, popatrz dobrze. Bo potem możesz żałować, jak będzie za późno.

— Na co za późno? — bąknąłem, żeby coś powiedzieć.

Staruszka zadreptała w miejscu, jakby chciała odejść. Zatrzymała się jednak na chwilę.

— Na wszystko — powiedziała, nie odwracając głowy.

Położyłem klucz na stoliku i czmychnąłem na schody.

„Do chłopaków, do chłopaków” — powtarzałem zbiegając po dwa, trzy stopnie.

Wyskoczyłem na dwór. Nie chciałem słyszeć, co gadają ci, którzy dotąd tkwili na ławce. Zauważyłem tylko ich znaczące spojrzenia.

— Już się nawet nie kłania!

„Do chłopaków, do chłopaków. Na pewno są nad jeziorem.”

Prócz nich nie chciałem widzieć nikogo. Przekradałem się przez osiedle, jak złodziej.

Dokąd poszedł ojciec? Nie chciałem go spotkać. Ani mamy. Ona już odjechała. Smuga dymu ponad lasem wyraźnie świadczyła o tym, że pociąg już odszedł.

„Ani on, ani ona. Tylko chłopaki. Nie będą o nic wypytywać. Po prostu siądą nad jeziorem i będą pogadywać albo pogramy w piłkę”.

Biegłem tak, jakbym trenował stumetrówkę. Gałęzie krzaków cięły mnie po twarzy, po nogach. Jed-

250

na chlasnęła przez oczy. Zabolało okropnie, ale nie zwolniłem. Byle prędzej, byle prędzej!

Już widziałem zarośla nad jeziorem, już dostrzegłem oślepiająco białą koszulę Eleganta, już na tle wody zarysowała się wydłużona sylwetka Selera, który leżąc, z jedną nogą ugiętą w kolanie i ręką uniesioną nad czołem, coś mówił do swoich towarzyszy. Już zauważyłem zbawczą piłkę balansującą w dłoniach Albinosa, byłem tuż, tuż, gdy zawadziłem o coś butem. W tym miejscu płytkie korzenie, jak splecione liny, snuły się wszędzie, niekiedy wychodząc zupełnie na wierzch i tworząc zasadzki na nogi. Runąłem, jedna stopa uwięzła w zdradliwej plątaniu. Chciałem ją uwolnić, lecz poczułem taki ból powyżej pięty, że jęknąłem tylko i przywarłem policzkiem do ciepłego piasku.

Nie, to chyba nic groźnego. Ból jakby zarył się w tydkę i stępał. Bałem się, że powróci za chwilę, dlatego nie ruszałem się.

— Mieszka w pierwszym bloku. U taty i mamy, jak Bóg przykazał. Na drzwiach litery na metalowej płytce: A i S Ufniarscy. Śmieszne, co? Ludzie sobie takie coś wypisują, a potem „cześć laleczko, cześć frajerze, idziemy każde w swoją stronę”. I co wtedy z takim szyldem zrobić? Do śmietnika!

To mówił Seler. Poznałem go od razu po głosie.

— Zostaw te matrymonialne gadki i mów, w czym dzieło, bo przecież tak dla hecy nie plątałeś się pod cudzymi drzwiami.

— Bystry jesteś, Albinosie. Widzisz... ten Ufniarski to magazynier.

— Ale!

— Magazynier w zakładach, mówię ci. Przetracił kulas skacząc i od tego czasu pilnuje dobra państwowego.

251

Wsunąłem się za krzaki. „O czym oni gadają? — myślałem gorączkowo. Czego chcą od mojego ojca, ode mnie? Siedzą nas, dlaczego? To niemożliwe... po co...”

— Zaczynam kapować. Chcesz u starego dostać robotę — Elegant podniósł się i stanął nad Selerem. — Ciekaw jestem tylko, jak poderwiesz żółtka-Bram-karza?

— Najzwyczajniej, jeśli się tylko okaże, że się nie mylę. Na wszelki wypadek wzięłem na spytki jedną dziewczynę z jego klasy. Bramkarz prawie spalony. Miga się na całą parę. W domu też nie Eldorado. Stary lubi flachę. Matka z tych, co to się podrywają do lotu, żeby wyżej, lepiej. Są jeszcze takie sikorki udające orły. Daje chłopakowi wycisk. Będzie potrzebował pomocy.

— Jak cię znam, Seler, to mu jej udzielisz — zachichotał Albinos.

— Już mu jej udzielam. Palił się do piłki, miał piłkę. Polubi i inne rzeczy, które my lubimy, a wtedy droga do roboty w magazynie nie taka znów daleka.

— Na co byś polował? Na nylon spadochronowy?

— Boże uchowaj. To nie dla nas. Wolę drobiazgi, które się łatwo bierze do kieszeni, a więcej kosztują niż nylon.

— Seler! Ty...

— Gadaj, co to takiego?

Elegant i Albinos patrzyli na Selera z wielkim zainteresowaniem.

— Części do maszyn, drobne, ale precyzyjne jak jasny gwint. Nawet u prywaciarza nie kupisz.

— Aaaaa, to dobre!

— A dobre. Tylko trzeba chłopaka obejść pięknym

252

kółeczkiem i trochę bajek poopowiadać. Będę was do tego potrzebował.

— To się wie. Ale słuchaj, czy ten gnojek się nada?

— Od nas zależy. Czym więcej nas będzie potrzebował, tym łatwiej z nim pójdzie.

Albinos zachowywał spokój, uśmiechał się. Elegant wiercił obcasem w piasku.

— Ty... Seler... nie boisz się? Bo to będzie nielicha gra.

Seler ani drgnął, nie spojrzał nawet na Eleganta. Leżąc na wznak, patrzył w niebo.

— Wiem. Czasem trzeba zagrać w coś innego niż w piłkę. Zresztą... mogę zagrać sam, jeśli się boicie.

Albinos skoczył na równe nogi.

— Tylko nie gadaj byle czego. Jesteśmy kumplami czy nie?

— Tak mi się zdawało, ale Elegant...

— Ja? — zaperzył się tamten. — Ja? Nie znasz mnie, czy co? Nawaliłem kiedy?

— Nie powiedziałem tego. Myślałem, żeś się spiet-rał, a ja nie lubię spietranych. Wszystko im z rąk leci. No, to jak, panowie? Może byśmy wpadli na jednego do baru?

— A forsa?

— Znajdzie się na trzy szkła, a dalej... zobaczymy. Poderwali się. Albinos umieścił piłkę na głowie i podtrzymał ją ręką, gdy balansowała zjeżdżając na ucho. Elegant wygładził czarne spodnie, a Seler marząco nie spuszczał oczu z nieba. I tak szli wprost na mnie. Całe szczęście, że Elegant popchnął Albinosa, a wtedy piłka zsunęła mu się z głowy i potoczyła do jeziora.

— Uwważaj! — krzyknął Seler. Wszyscy trzej pognali w stronę brzegu.

Wyprysnąłem w górę, zapominając o bólu w nodze. Zapadłem za rozłożysty jałowiec. Przygnałem twarzą do suchych, kłujących igieł leżących na ziemi. Nie wiedziałem, co myśleć, nie chciałem myśleć. Mimo to zasłyszane przed chwilą słowa nie dawały mi spokoju, powracały, jak z taśmy magnetofonowej i drążyły, aż zaczęły palić, piec, jątrzyć.

„Jak oni mówili? Prawie spalony. Miga się na całą parę. Stary lubi flachę. Matka z tych, co to się podrywają do lotu. Na pewno mu daje wycisk. Będzie potrzebował pomocy. Żółtek, gnojek...”

Zatykałem sobie uszy. Nic nie pomagało... „Przetną-cię kulas skacząc. Od tego czasu pilnuje dobra państwowego, magazynier w zakładach...”

Jak oni mogą... o takim nieszczęściu. I o tym też nie chciałem myśleć, a przecież myślałem.

Tak, ojciec skakał. Jeszcze półtora roku temu. Bo w zakładach produkuje się spadochrony. Ojciec je wypróbowywał. Nic dziwnego, że był taki zwinny, taki wygimnastykowany, taki mocny i wytrzymały. Zawsze mi się zdawało, że on wszystko może. Kiedy matka narzekała, że niedobry sobie wybrał zawód i gnębiła się za każdym razem, gdy miał skakać, ja cieszyłem się. Wiedziałem, że skoczy prawidłowo, obserwator pobiegnie do niego, pomoże wypłatać się ze sznurów, z nylonu, poklepie po plecach i powie: „Majster jesteś, Stefan, wielki majster, niech cię pieska twoja niebieska!” A potem obaj będą się jeszcze przez chwilę poklepywali, cieszyli.

Skąd to wszystko wiem? Jak to skąd? Przecież i ja widziałem, jak ojciec skacze. No, nie zawsze, czasem. Najpierw leciał śmiesznie, podobny do tobołka, potem płynął, kotłował się, jak na powietrznej fali. Na ziemi walczył z ostatnimi podrywami, prężył z całych sił nogi, spadochron musiał mu być posłuszny,

musiał zrezygnować z harców opadając potulnie, jakby nie chciał z tatą zaczynać, bo wiedział, że i tak przegra.

— No i co, smyku, podobało ci się widowisko? — pytał, gdy do niego dopadłem.

Podobało mi się. Rad bym je powtarzał. Rad bym sam skakał.

— Co to, to nie — śmiał się tata. — Poczekasz trochę.

Nigdy nie mówił źle o skakaniu, nigdy nie przewidywał, że się coś może stać. Przeciwnie, cieszył się.

— Co myślisz, jak tak lecisz i lecisz? — wypytywałem.

— Nie lecę i lecę. To trwa krótko. Muszę wciąż pamiętać, kiedy wykonać jaki ruch.

— Przecież już to umiesz raz na zawsze.

— Nigdy nie ma raz na zawsze. Za każdym razem jest coś innego.

— A dziś co było?

— Wiatru mi za kołnierz naleciało. I ty czekałeś na dole.

— Pamiętałeś o mnie?

— No pewnie. Nie zauważyłeś, jak specjalnie ładnie spadałem?

— Zauważyłem. I pięknie lądowałeś.

— Właśnie. Chciałem się popisać przed przyszłym konstruktorem samolotów.

Gadaliśmy, gadaliśmy, aż nam mama zatykała „japy” plackiem z jabłkami, śliwkami lub borówkami, zależnie od pory roku. Po placku zaczynaliśmy od nowa. Na zakończenie marzyliśmy o tym najwspanialszym samolocie, który ja zaprojektuję. Rysowałem go z profilu, z przodu, z tyłu. Ojciec będzie z niego skakać. Matka miała nas zaopatrywać w spadochrony.

255

Ale ona oganiała się tylko od nas, jak od końskich bąków.

— Dajcie mi święty spokój. Mam dość spadochronów w zakładach. Nienawidzę skakania. Może byście tak o czym innym...

Nie miała wyrozumienia dla naszych marzeń, za to umiała piec placek, a w zakładach mówiono o niej, że ma „głowę na karku, dojdzie do czegoś”. Do czego miała dojść? „Jak się uprze, będzie inżynierem” — dopowiadał ojciec.

Upierała się. Zdała maturę, skończyła jeden kurs, teraz szła na drugi.

„Idzie na kurs. Ubrała się w granatową sukienkę. Pojechała do Łodzi, a ojciec...”

Nigdy nie zapomnę chwili, gdy zobaczyłem go w szpitalu. Wyglądał jak lalka owinięta w gałganki. Wielka biała bela, odsunięta na bok, wisiała na wyciągu. Prawa noga.

— Złamałeś? — krzyknąłem, przypadając do łóżka. Nic nie odpowiedział. Wcale na mnie nie

patrzył.

Nie patrzył w ogóle na nikogo.

— Co się stało? — targałem matkę za rękaw białego kitla, w który ją ubrano. — Dlaczego...?

— Ciiiiii — przerwała mi ostro.

I siadłszy na krzeselku przy głowie ojca mówiła do niego zwykłym, spokojnym głosem o zwykłych, spokojnych sprawach. O produkcji ubocznej w zakładach, o mieszkaniu, że trzeba je będzie koniecznie odnowić, bo sąsiedzi z góry znów nie zakręcili kranu i woda aż do nas przeciekła. A zresztą i tak nie było za czysto.

Stałem w nogach łóżka. Słuchałem matki, ale czekałem, co powie ojciec. Poza „tak, tak, rób jak chcesz” nic nie usłyszałem. A gdyśmy opuścili szpital, nie mogłem zapomnieć jego oczu, zupełnie in-

256

nych niż zawsze, błędzących po przedmiotach, po twarzach tak, jakby ich nie było.

Na skwerze przed szpitalem spotkaliśmy obserwatora, pana Żwirskiego, który był świadkiem skoku i wypadku ojca.

— Nikt nie mógł przewidzieć, że się tak stanie — powiedział ze współczuciem. — Nie było wiatru, zerwał się nagle. Podczas lądowania. Szarpnął nim już na betonie. Szczęście, że nie zwałił się na głowę. Rozmawiała pani z lekarzem? — zwrócił się do matki.

— Tak. A pan co myśli?

— Chyba to samo.

— Co, mamusiu? — znów szarpnąłem ją za rękę.

— Czeka! Idzie pan do niego? To niech mu pan to jakoś wytłumaczy. Ja nie mogłam.

— Postaram się. Do widzenia pani.

Matka przez całą drogę patrzyła uparcie w bruk. Dopiero przed domem spojrzała na mnie, poprawiła kołnierz wiatrówki, westchnęła.

— Ojciec nie będzie już skakał.

— Dlaczego? Noga się zrośnie. Będzie skakał, mamusiu.

Chciałem przekonać ją i siebie.

Nie, nie będzie. Złamanie jest bardzo skomplikowane. Z przebicciem i przemieszczeniem.

Powtarzała to, co jej powiedział chirurg wojskowy. Ja upierałem się przy swoim, że wszystko będzie dobrze.

Dopiero kiedy ojciec po długiej kuracji wrócił do domu, zrozumiałem, że jednak lekarz mówił prawdę. Ojciec powłóczył nogą. Starał się, by to było jak najmniej widoczne, a jednak... prawa noga stała się mniej sprawna od lewej.

Prócz tego nic się właściwie nie zmieniło. Mieszkanie zostało odnowione, rodzice chodzili do pracy, ja

17 — Wiele dróg

257

do szkoły. Czasem wpadł któryś z kolegów ojca, tych, co skakali. Wydawało im się jednak, że ojciec nie cieszy się z tych odwiedzin. Zresztą, często nie było go w domu. Siedział nad zalewem z wędką w ręce. Wracał do domu późno. Raz usłyszałem, jak mama krzyknęła w nocy: „Pijesz! Jeszcze mi tylko tego brakowało!”, na co ojciec odpowiedział spokojnie, wcale nie skruszony: „Nie krzycz, Karol śpi”.

Leżąc teraz pod jałowcem przypomniałem sobie to wszystko, och, wcale nie tak, jak opowiadam, lecz niemal dzień po dniu. Myśli tak szybko przebiegały mi przez głowę! Ledwie mogłem je jakoś złapać, jakoś zatrzymać.

Tamci już dawno sobie poszli. Seler ich poprowadził. Zawsze szedł pierwszy, a Elegant i Albinos za nim. Poszli sobie. Narobili zamętu i poszli. Narobili takiego zamętu...

Nie miałem pojęcia, co robić. Póki myślałem o tamtych sprawach ojca, było jako tako, bo to już się stało kiedyś, ale teraz...? Co robić teraz?

Najgorzej, że się to wszystko tak jakoś zbiegło, szkoła i te chłopaki. A tu jeszcze mama wyjechała. No dobrze, a gdyby była, to co? Poleciałbym do niej i opowiedział? Nie, nie... zaraz... co to mówiła sąsiadka, gdy jej oddawałem klucze? Też coś takiego zasunęła... że niby na coś może być za późno. Zęby nie było za późno, zależy ode mnie.

Mąci mi się w głowie. Dlaczego to ja mam wszystko brać na siebie? Do tej pory nigdy tak nie było. Ojciec mówił: „Zrób tak czy tak”. Matka mówiła: „Czekaj, przecież nie potrafisz sam”. A teraz nie ma

nikogo. Nikogo.

Sam nie wiem, jak to się stało, że nagle poderwałem się z ziemi i zacząłem biec. Bez celu, przed siebie. Nie wiem też, jak to się stało, że się nagle zna-

258

lazłem na drodze prowadzącej nad zalew. Ktoś mnie mijał, ktoś do mnie coś mówił. Ktoś mnie zatrzymywał.

Skoczyłem do autobusu. Wysupłałem jakieś drobne. Ledwie starczyło na bilet. Wtulony w kąt drżałem i dygotałem, jakby było zimno. Wskoczyłem w biegu. Usłyszałem za sobą podniesiony głos konduktora, dokładkę od kierowcy, ale co wykrzykiwali, nie miałem pojęcia, podobnie jak nie miałem pojęcia, co i kogo mijam po drodze. W głowie świdrowała mi tylko jedna myśl: „Jak znajdę ojca? Och, będę pytał ludzi!”

Mogłem pytać tylko rybaków, ale już po pierwszym odezwaniu się zrozumiałem, że niczego się nie dowiem, jeśli nie zachowam zupełnego spokoju. Przysiadłem się więc do łowiących i szeptem pytałem o ojca. Jedni w ogóle nie odpowiadali, drudzy mierzyli mnie takim spojrzeniem, że aż skóra cierpła. Jeszcze inni wymyślali wprost, odsyłając do wszystkich diabłów. Tylko staruszek bez zębów wskazał mi ręką miejsce obok siebie.

Siadłem. Staruszek milczał, patrzył na swoją nędzną wędkę zrobioną ze zwykłego patyka, na spławik odarty z farby i milczał, jak zaklęty.

— Panie... — zacząłem po dobrej chwili.

Zrobił nieznaczny ruch ręką. Umilkłem. Rozglądałem się na wszystkie strony w nadziei, że gdzieś wypatrzę ojca.

Zalew rozpościerał się tak szeroko i tak daleko, jakby już nigdzie nie było nic innego, tylko woda, szarzejąca ciężkim ołowiem. Gładka ołowiana powierzchnia wstępowała prosto w niebo.

— Panie...

Znów ten sam ruch, ale gdy chciałem odejść i podsunąłem się do tyłu, a następnie podkuliłem prawą

259

nogę, staruszek złapał mnie za spodnie, usadzając na poprzednim miejscu.

[dalej było to samo. Staruszek bez zębów, jego nędzna wędka, odrapany spławik wbity w wodę i ja, jak głupi, siedzący na brzegu z gorączkowymi myślami przebiegającymi przez głowę.

Nie mogę tu tak tkwić. Czego ten stary ode mnie chce? Przecież to nie on, ja go zaczepiłem..."

Spojrzałem na starego. Jego szczeciniasta twarz, od wieków nie golona, kryła w gęstym zaroście rysy, wyraz. Trudno byłoby nawet powiedzieć, jak ten człowiek wygląda, poza tym, że miał wpadnięte usta i wiszący nos. Mimo to zauważyłem w pewnym momencie jakąś zmianę w jego twarzy. Zarost zaczął kurczyć się, falować, przesuwać. Sucha jak badył ręka drgnęła. Wtedy spojrzałem na wędkę.

Spławik poruszył się, plusnął, znikł, znów wyłynął. Koło niego mały wir jak lejek wiercił wodę.

— Bierze — szepnąłem mimo woli.

Stary szarpnął wędkę do góry, pociągnął do siebie. Nieduża rybka dyndała na haczyku.

— Jesteś — powiedział dobrotliwie. — Jesteś. Mogłabyś być większa, ale nie narzekajmy. Jadłem już mniejsze.

Śmiał się zadowolony, ważył rybę w ręce, mówił do niej trochę niewyraźnie z powodu braku zębów. Wreszcie zdjął ją z haczyka i wpuścił do wiaderka z wodą.

— Niezły początek. Więc co ty, chłopcze, chciałeś ode mnie?

— Szukam takiego pana w brązowej wiatrówce.

— I co dalej?

— Brunet, ale trochę siwieje na skroniach.

— Co jeszcze?

— Kuleje na prawą nogę.

260

— Trzeba było od razu tak mówić. Ten z zakładów spadochronowych, co skakał, a teraz jest magazynierem? Tak?

— Tak.

— Swój chłop. Nie lubi dużo gadać. Znam go, pewnie, że znam. Mamy ze sobą gadkę...

— Tak, tak, ale gdzie on jest? Mnie się śpieszy, ja go muszę znaleźć.

— A ty kto jesteś dla niego?

— Syn.

— A, syn! Niepodobny. On czarny, ty blondyn. On spokojny, a ty w gorącej wodzie kąpany.

— Proszę pana, niech mi pan powie...

— Powiem, powiem. Wiesz, co ci powiem? Tylko posłuchaj, bo może nie wiesz, jakiego masz ojca? Dzieci nigdy nie wiedzą. Ja też nie wiedziałem.

— To ja już pójdę.

— Siedź, jak do ciebie stary człowiek mówi. I słuchaj. Wiesz, co mi twój ojciec wczoraj obiecał? No co, jak myślisz?

Staruszek patrzył na mnie z boku. Jego zarost znów kurczył się, falował, przesuwiał, a oczy tonęły w szparkach, stary śmiał się w ten sposób.

— Nie wiem — bąknąłem. — Ja bym tylko chciał... ja pójdę...

— Czego byś chciał? — lekceważąco machnął ręką rybak. — Dokąd ci pilno? Twój ojciec obiecał mi wędkę. Rozumiesz? Prawdziwą, porządną wędkę. I on dotrzyma słowa, ja go znam. Smutni ludzie zawsze mają serce dla innych. A on jest smutny. Może tu, nad wodą, mniej, ale tam — stary machnął ręką za siebie — jemu jest na pewno źle.

Robiło mi się gorąco i zimno, nie mogłem usiedzieć na miejscu.

261

— Proszę pana — wykrztusiłem z wysiłkiem — ja go muszę znaleźć. Gdzie on jest?

Stary zachowywał się tak, jakby umyślnie przeciągał moment dania odpowiedzi. Oglądał rybkę, macał wędkę, przymierzał ją do wody, ciągnął do siebie, gderał na nią. Kiedy już straciłem wszelką nadzieję, że się czegokolwiek dowiem, rzucił od niechcienia:

— Twój tata wybiera sobie odludne miejsca do łowienia. Czasem siedzi ze mną, ale najczęściej zaszywa się w krzaki.

— Gdzie?

— Tam — machnął ręką w lewo. Krzaki ledwie, ledwie majaczyły. Dobry kawałek

drogi. Wyrwałem się z miejsca.

— Powiedz mu o mojej złowionej płoci. I dodaj pozdrowienie rybackie od Wijaka. Od Wijaka, słyszałeś? •

— Słyszałem! Dziękuję! — odkrzyknąłem. Biegłem tak, że aż mnie w płucach bolało i nogi mdlały. Już mnie nie obchodziło, że rybacy na brzegu wściekali się, kiedy z dudnieniem przelatywałem obok nich, prawie przefruwałem nad ich pochylonymi karkami, byle krzaki zbliżyły się, byłem się wśród nich znalazł! Kiedy ich wreszcie dopadłem, zahamowałem nagle i zrobiło mi się jakoś dziwnie. Uświadomiłem sobie, że właściwie strasznie dawno nie rozmawiałem z ojcem. Jakże teraz zacząć?

Noga za nogą posuwałem się wzdłuż brzegu. Potem dałem nurka w zarośla. Powiało wilgocią i chłodem. Pachniało mułem rzeczonym, wysychającymi resztkami zbutwiałych zimą liści. Spłoszyłem ptaka. Widocznie miał tu gdzieś gniazdo.

Ojciec stał na wąsko wstępującym w zalew cypelku usypanym przez kogoś.

Stał z ręką wyciągniętą przed siebie, nieco pochy-

262

lony do przodu, jakby patrzył w wodę, jakby słuchał wody. Jego ciemna twarz odcinała się surowo od jasnego tła.

Już miałem podejść do niego, gdy drgnął, przerzucił ciężar ciała z jednej nogi na drugą, syknął, a twarz mu najpierw zmaląła, potem wydłużyła się. Westchnął. Kulejąc wyraźnie zszedł z cypla na brzeg.

Pochylił się, dotknął nogi w kostce, cofnął rękę. Znów kulejąc podszedł do zarośli. Wyturlał stamtąd drewniany klocek, ustawił go na brzegu, położył kawałek koca, siadł wyciągając przed siebie prawą nogę. Wziął odłożoną na chwilę wędkę, popatrzył na nią uważnie, ale nie zanurzył jej w wodzie, tylko ostrożnie złożył sobie na kolanach. Mijały chwile, a on tak siedział i siedział.

Co robi? Dlaczego tak siedzi? Wyjrzałem z krzaków, żeby lepiej widzieć. Przykucnąłem, a potem położyłem się. Przeczotałem się w prawo.

Ojciec nie mógł mnie widzieć, zasłonięty byłem liśćmi i szuwarami. Ja natomiast widziałem go teraz dobrze.

Było coś dziwnego w jego pochylonych plecach. Tak, jakby cały świat zwał się na te plecy, a on ugiął się pod tym ciężarem, nie mając siły go zepchnąć. Prawa noga, sztywno wyciągnięta na piasku, w jakiś sposób przypominała tę białą belkę w szpitalu. Bezczynne ręce złożone na niepotrzebnej wędce zdawały się być nieruchome, jak nieruchoma była twarz zwrócona w kierunku wody, jak nieruchome były oczy wbite w jeden punkt niewiadomy i obcy.

Pragnąłem, żeby ojciec się poruszył, żeby wziął wędkę. Dobrze, niech tak sobie siedzi nieruchomo, ale jak inni rybacy, nad wędką, śledząc krąg wody w zasięgu oczu. A najlepiej niech wstanie, niech pójdzie stąd.

263

Ale on nie wstawał, nie poruszał się. Dlaczego? Co tu ma do roboty, skoro nie łapie ryb?

Wysunąłem się z krzaków, ukląknęłam. Chciałem coś powiedzieć. Nie powiedziałem nic. Patrzyłem z boku na twarz mojego ojca, jakbym go pierwszy raz w życiu widział.

Siwiejące włosy stanowiły ramę dla sfałdowanego czoła, które przez te fałdy skróciło się. Dwa zagłębienia koło nosa wyciągały policzki ku brodzie. Kiedy ojcu zrobiły się te fałdy? I kiedy zmieniły się oczy? Były takie ruchliwe, takie bystre, takie ciekawe, teraz spod nawistych powiek ledwie było je widać, tak jakby im nie zależało na patrzeniu. Od kiedy brwi, dawniej proste, przesunęły się ukosem w dół, przydając twarzy zupełnie nowego wyrazu?

Serce ścisnęło mi się w poczuciu jakiejś ogromnej straty. Czy nigdy już nie zobaczę mojego ojca młodego, wesołego, jak kiedyś?

Ledwo to pomyślałem, ojciec poruszył się. A właściwie nie on, tylko jego głowa zaczęła się pochylać, pochylać, aż dotknęła rąk splecionych na kolanach. Wówczas dłonie otworzyły się i schowały tę twarz. Już jej nie widziałem. Widziałem za to plecy, które chyba drgały. Tak, na pewno.

„Czy to możliwe? Czy to prawda, że ojciec płacze? Nie, nie!”

— Tato! — krzyknąłem nie mając odwagi się poruszyć.

Przez moment nie odwracał się.

— Karol? Co się stało?

— Ja przyszedłem...

Odwrócił się, uprzednio jak gdyby przetarłszy dłońmi całą twarz.

— Dlaczego klęczysz? Co tu robisz?

264

Rzuciłem się ku niemu. Nie wiem, kiedy znalazłem się u jego kolan.

— Co wyprawiasz? Przewrócisz mnie razem z pniakiem.

— Tato — mówiłem gorączkowo nie zwracając uwagi na to, że pniak rzeczywiście zachwiał się. — Musisz mi pomóc. Proszę cię, proszę. Mam dwóje, z matematyki i fizyki, nie chodzę do szkoły. Gram w piłkę z chłopakami, bo Fasolarz stawia mi dwóje za dwóją.

Mówiłem, mówiłem, nie mogąc podnieść oczu, by sprawdzić, czy ojciec mnie słucha. Niechby krzyczał, niechby mnie bił, wszystko bym zniósł. Tylko nie obojętność, tylko nie to pozostawanie bez ruchu.

Cisza. Nic prócz mojego głosu. Nie kończyłem zdań, połykałem sylaby. Zaczynałem się coraz bardziej mieszać. Wreszcie umilkłem. Teraz już tylko ptaki odzywały się w krzakach i od czasu do czasu ryba plusnęła w wodzie.

Cisza. Trudno. Ojciec nie odpowiada. Z sercem pełnym lęku podniosłem na niego oczy. Siedział, jak dawniej, na pieńku, z prawą nogą wyciągniętą w przód. Patrzył na mnie. Patrzył tak samo jak ja, kiedy odkrywałem w jego twarzy zupełnie nowe rysy. Patrzył ze zdziwieniem.

— Nie klęcz tak — powiedział.

I znów cisza. I znów mi się przyglądał podnosząc oczy w górę, bo stałem teraz.

— Siadaj. Siadłem na piasku.

— Jak to jest z tym nauczycielem? Zawziął się?

— Zawziął. Stawia mi dwóje i nie daje żadnych szans.

— Nie rozumiem.

265

— Nie daje szans poprawienia ocen. Jeszcze wystawia na pośmiewisko.

— W jaki sposób?

— Kiedy dostałem lufę z klasówki z matmy, a potem z fizyki, poprosiłem, żeby mnie spytał. On,

owszem, nie odmówił, spytał, ale nie z tego, czego przedtem nie umiałem, tylko latał po całym podręczniku, to tu, to tam i znów wlepił dwóję. A potem przy całej klasie, przy chłopakach i dziewczynach, nazwał okazem nieuctwa. I dodał coś o hochsztaplerach.

— To wszystko?

— Nie. Potem zaczął mnie pytać dzień po dniu. Jak nie z matmy, to z fizy. Wciąż i wciąż. Dostawałem dwóję za dwóją.

— Dlaczego?

— Nie wiem...

— Nie wiesz?

— Już wtedy trzymałem się z Selerem.

— A nauczyciel?

— Prześladował mnie.

— Lubieś go przedtem, prawda?

— Tak, ale zawiodłem się. Umilkliśmy.

— Hmm — mruknął ojciec po chwili. — Zawiodłeś się. A czy nie wydaje ci się, że on także zawiódł się na tobie? Znał twoje zamiłowania do samolotów. Myślał, że coś umiesz. Ludzie są różni. Jeden machnie ręką, nie, to nie. Inny chce człowieka ratować.

— Fasolarz chciał mnie ratować?

— Myślę, że tak.

— Akurat! On mnie tylko gnębił i wyśmiewał.

— Nie. Dobierał się do twojej ambicji.

— Fasolarz chciał mnie ratować? — powtórzyłem z powątpiewaniem.

266

— No pewnie. Ale ty zrejterowałeś. Do piłki i do tych chłopaków.

„Czyżby? — Zastanawiałem się i zastanawiałem. — Może... rzeczywiście...”

— Nie gniewasz się na mnie? — spytałem wreszcie. Poruszył się na pieńku. Coś wymruczał niezrozumiale. Wysiłem się, żeby usłyszeć, co mówi.

— Chciałbym... Nie mam prawa.

I wtedy chyba zupełnie zwariowałem. Porwałem się na równe nogi, skoczyłem ojcu na szyję. Jak małe dziecko objąłem go, tuliłem, szlochałem. A on najpierw się trochę przestraszył, ale tylko przez krótki moment, potem objął mnie ostrożnie, jak kiedyś, kiedy byłem bardzo mały i kiedy huśtał i kołysał mnie leciutko, póki nie zasnąłem.

— Chodźmy do domu — powiedział cicho. Wstałem. Podałem mu rękę, by pomóc wstać z pieńka.

Szliśmy obaj brzegiem zalewu. Od czasu do czasu podnosiłem oczy, by spojrzeć w twarz ojca. Żałowałem, że nie mogę jej dokładnie widzieć, bo właśnie zapadł zmrok.

Aleksander Minkowshi

Pojedynek z Johnem

Kiedy byłem młody, brzmiało to dumnie: zegarmistrz. Człowiek niezwykły i tajemniczy, panujący nad sercami zegarów, znający prawa obrotów misternych kółek zębatych; władca kurantów i pozytywek, porcelanowych baletnic tańczących menueta, śpiewających słowików, kukulek wy wołu jacy eh godziny, stuletnich chronometrów pod kryształową kopułą, z jednaką precyzją odmierzających sekundy i fazy księżyca.

Dziś wygląda to nieco inaczej — mało kto marzy o zawodzie zegarmistrza. Młodsze dzieci dalej wybierają między strażakiem a kominiarzem. Starsze chcą lecieć w Kosmos, konstruować mózgi elektronowe.

A ja swój zawód kocham.

Mam od podwórza na parterze niewielki warszta-cik, kliteczkę właściwie, pełną zegarów o najdziwniejszych kształtach i głosach. Kiedy wchodzę tam o ósmej rano, wita mnie koncert ptaków, srebrnych dzwoneczków, okaryn, fletów, werbli, świstawek. Kłania się turkusowa tancerka, salutuje grenadier, kiwa głową sędziwy krasnoludek — dobrzy starzy przyjaciele, z którymi za nic nie chciałbym się rozstać.

Uzbrajam oko w lupę i biorę się do pracy: tu pękła sprężyna zmęczona wieloletnią służbą, tam pyłek

271

zablokował kółko zębate. Kiedy oczy zachodzą łzami, unoszę głowę i przez kilka chwil patrzę na podwórko. Jest kwadratowe, duże, pełne kasztanów i lip, w których cieniu iskrzą się kolorami huśtawki, pochylnie, mała karuzela, drążki i drabinki gimnastyczne — prezent dla dzieci od komitetu blokowego.

Z początku, kiedy pojawiły się te cuda, nie powiem, żebym był zachwycony. Do tej pory dzieci chodziły się bawić do parku miejskiego albo nad rzekę — na podwórzu był spokój, akcentowany pogodnym szmerem liści. Dar komitetu blokowego spowodował najazd dzieciarni z całej ulicy: od godziny drugiej, gdy kończą się szkolne zajęcia, podwórko przemienia się w upiorne radio nastawione równocześnie na wszystkie stacje i puszczone na pełny regulator.

Przywykłem jednak, a nawet czekam z niecierpliwością na godzinę drugą i ten wybuch krzyków, wrzasków, gwizdów, indiańskich zawołań i szatańskiego śmiechu wyraźnie poprawia mi humor. Oddzielony szybą od wirującej karuzeli, rozkołysanych huśtawek i opalonych nóg przelatujących nad drążkami, pracuję ze zdwojoną energią.

O trzeciej żona przynosi mi obiad. Po obiedzie wychodzę na podwórko i siadam na ławce w cieniu najgęstszego kasztana. Pół godziny relaksu.

Łukasza znam z widzenia od wielu miesięcy: smukły blondyn o ciemnych oczach i nieco przykrótkiej górnej wardze — wygląda, jakby się wiecznie uśmiecha! demonstrując półkole nierównych, bardzo białych zębów. Osobiście poznaliśmy się dwa tygodnie temu.

Przyszedł do mnie i położył na ladzie gruby kieszonkowy zegarek.

— Czy można go naprawić? — zapytał.

272

Zajrzałem do wnętrza: bezkamieniowa tandeta, blacha nadżarta rdzą.

— Nie warto — odparłem. — Koszt naprawy przewyższyłby wartość zegarka.

— Szkoda — westchnął. — Chciałem go podarować ojcu na imieniny.

— Twój ojciec nie ma zegarka?

— Miał, ale mu skradziono w tramwaju, kiedy jechał do pracy. Był tłok. Tata nic nie poczuł, zorientował się dopiero w fabryce.

— A skąd masz ten zegarek? — zapytałem.

— Dostałem od dziadka — wyjaśnił. — Kilka lat temu, do zabawy.

— No, widzisz — uśmiechnąłem się. — Dziadek wiedział, że tym zegarkiem można się tylko bawić.

— Szkoda... — powtórnie westchnął Łukasz. — Ojciec nieprędko kupi sobie nowy zegarek.

Rozejrzał się po warsztacie z nagłym zainteresowaniem, jakby dopiero teraz dostrzegł zegary osadzone w drzewie, porcelanie, marmurze, granicie, miedzi, pulsujące chaotycznie nerwowym, szybkim tykaniem.

— Nie chciałeś naprawić go wcześniej? — spytałem. — Dla siebie?

— A skąd pieniądze? — wzruszył ramionami. — Zacząłem się o nie starać dopiero po kradzieży.

Dalej błędził wzrokiem po różnokształtnych zegarowych tarczach, marszcząc ciemne brwi.

— W jaki sposób?

— Wiadomo — odparł, nie odrywając wzroku od zegarów. — Butelki, złom, makulatura.

Uzbierałem sto szesnaście złotych. Jakie piękne są te zegary!...

— Stare - powiedziałem. - Niektóre liczą sobie sto pięćdziesiąt lat, na przykład ten w błękitnej por-

ib — Wiele dróg

273

ceiaше... ^o goazinę wygrywa pierwsze taKty „JYLar-sylianki”.

Łukasz podszedł do zegara, dotknął końcami palców porcelanowej girlandy.

— Sto pięćdziesiąt lat... — rzucił w zadumie. — I chodzi. A mój nie ma nawet dwudziestu.

— To proste — uśmiechnąłem się z pobłażliwą ironią. — Tanie zegarki produkuje się teraz jak gwoździe, metodą seryjną. W dawnych czasach zegary wykonywali wielcy mistrzowie. Pieścili nieomal każdą część, dobierali najtrwalszy materiał, nadawali oprawom niepowtarzalne kształty. Każdy zegar stanowił dzieło sztuki, jedyne w swoim rodzaju. Stąd ich trwałość i piękno.

— Czy to wszystko to pańskie zegary? — zapytał Łukasz.

— Nie wszystkie, niestety — odparłem. — Kilka,, i to wcale ładnych, przyniesiono mi do naprawy. Większość jednak należy do mnie.

— Są na sprzedaż?

Aż mnie ścisnęło w dołku z oburzenia. Pohamowałem wybuch. Bo w końcu skąd ten dzieciak może wiedzieć, że za żadną cenę nie sprzedałbym swoich zegarów, że do każdego jestem w inny sposób przywiązany, z każdym łączy się jakaś historia, legenda lub osobiste wspomnienie.

— Stanowią dekorację warsztatu — powiedziałem. — Nie sprzedaję ich.

— Najbardziej podoba mi się ten. — Łukasz dotknął zegara w kształcie cytadeli, uśmiechnął się do grenadiera wyprężonego na murze obronnym. — Musi być bardzo stary.

— Liczy sobie nieco mniej niż sto lat — powiedziałem lekceważąco. — Austriacka robota, nic nadzwyczajnego. Ale... — urwałem na moment, zapatrzyłem

274

się w białą wypukłą tarczę ze wskazówkami podobnymi do żołnierskich bagnętów. — Dostałem go na przechowanie. Właściciel nigdy się już nie zgłosił po ten zegar, ja jednak nie uważam go za swoją własność.

— Kto jest właścicielem? — zapytał Łukasz.

— Był nim chłopiec trochę podobny do ciebie — odparłem półgłosem, nie przestając patrzeć na cytadelę. Nazywał się Kazek, miał piętnaście lat i takie same jak ty wijące się blond włosy. Był rok czterdziesty czwarty, wybuchło właśnie powstanie warszawskie... Kazek przybiegł do mojej piwnicy, miał na sobie harcerski mundurek, na ramieniu biało-czerwona opaskę...

Usiadłem na swoim zydlu, przymknąłem powieki. Zobaczyłem rozgorączkowaną chłopięcą twarz, poszerzone blaskiem źrenice, wargi ułożone w zawadiacki uśmiech. „Idę walczyć, panie Edmundzie! Dostaniemy broń, jak dorośli powstańcy. Dzieci też wojują? — zapytałem cicho. Dzieci? — Kazek uśmiechnął się kpiąco. — Mamy po piętnaście lat i z zamkniętymi oczami składamy zamek karabinowy. Damy szkołę faszystom, może pan być spokojny!” Położył przede mną pakunek, odwinął gazetę. Zobaczyłem zegar w kształcie cytadeli z grenadierem. „Z naszego domu zostało tylko to... — szepnął. — Zabrałem zegar do piwnicy, kiedy zaczęło się bombardowanie. Mama nie zdążyła wyjść... Ojciec bije się już na Starówce, ja idę na Żoliborz. Niech mi pan przechowuje ten zegar. Dlaczego przynosisz go do mnie? — zapytałem. — Bo pan kocha zegary. Cytadela to mój skarb, jedyna pamiątka po mamie. Dostałem od niej na urodziny, w zeszłym roku...” Skinąłem głową. Po męsku,

mocno uściśnięciem dłoń Kazka. Zasalutował, wybiegł.

— Co się z nim stało? — zapytał szeptem Łukasz.

18*

275

- Zginął — odparłem po pauzie. — Jego ojciec również. Obaj spoczywają w żołnierskiej mogile na cmentarzu Powązkowskim. Ale zegar... Ten zegar nie jest mój, należy do Kazka. Zawsze będzie stanowił jego własność.

Łukasz zbliżył się do zegara-cytadeli, nieśmiało, jakby z lękiem, przesunął po nim opuszkami palców.

— Umieli nie patrząc składać zamek karabinowy... — powiedział cicho. — A my co umiemy?...

— Jestem fachowcem od czasu — odezwałem się z pogodnym uśmiechem. — Jako specjalista w tej branży chcę ci powiedzieć, że każdy czas ma swoje szczególne wymagania.. Czas Kazka był zły, okrutny; domagał się ofiary najwyższej, bo życia ludzkiego. Zaręczam ci, że Kazek nie chciał umierać, na pewno pragnął żyć, może bardziej tego pragnął niż my dzisiaj, bo widział naokoło ludzkie umieranie i znał cenę życia. Wolałby walczyć z kolegami na drewniane miecze, ale był uczciwy wobec swojego czasu.

— A nasz czas? — zapytał Łukasz, patrząc mi prosto w oczy z jakąś niecierpliwą dociekliwością.

— Nie jest tak okrutny i jednoznaczny — odpowiedziałem. — Lecz i niełatwy wcale. Wtedy człowiek uczciwy wiedział dokładnie, co powinien robić. Dziś musi się zastanawiać, wybierać jedną z wielu dróg na własną odpowiedzialność. Sam dyktuje sobie wymagania.

— Nie bardzo rozumiem.

— Dam ci przykład. — Usiadłem wygodnie na zydlu, założyłem nogę na nogę, podparłem pięścią podbródek. — Można być uczciwym: nie kraść, nie kłamać, nie krzywdzić nikogo. I uważać, że to wystarczy. A, że inni kradną, kłamią, wyrządzają krzywdy... nie moja rzecz. Bywa?

— Bywa — przytaknął Łukasz.

276

— No, widzisz — uśmiechnąłem się. — Istnieje uczciwość bierna i uczciwość czynna. Bierna jest wygodniejsza, bo człowiek odpowiada tylko za siebie. Być uczciwym czynnie to znaczy walczyć,

narażać się na ciosy. Łatwy wybór?

— Niełatwy... Zna pan Mocnego Johna? Taki wysoki, chodzi w czerwonym swetrze.

Wiedziałem, o kogo idzie. Uzpełniłem w myślach charakterystykę: szczeka wysunięta do przodu, małe oczy nieokreślonej barwy i muskulatura kulturysty. Gdy przemierza podwórko, wszyscy się rozstępują. Jeśli chce skorzystać z huśtawki, nie ma śmiałka, który nie ustąpiłby mu natychmiast miejsca.

— Znam z widzenia — odparłem. — Przecież obserwuję was wszystkich, okno wychodzi na podwórze.

— Wkurza nas Mocny John — mruknął Łukasz. — Czasem doprowadza do pasji. Ale co można mu zrobić? Silny jest, nie dajemy sobie z nim rady. Gdyby dostał od kogoś solidnie w kość, pewnie by przycichł.

— Być może — powiedziałem z uśmiechem. — I cóż z tego? Przycichłby tylko ze strachu.

Łukasz zmarszczył brwi, posażł górną wargę.

— A jak inaczej? — zapytał po pauzie.

— Zastraszenie bywa niekiedy konieczne — odezwałem się, biorąc do rąk zegarek przyniesiony przez Łukasza i znów oglądając mechanizm. — Ale nigdy

Inie daje prawdziwie dobrego efektu. — Rozmawialiśmy z jego wujem — mruknął Łukasz. — Staruszek rozłożył ręce: wie, boleje, zgadza się z nami. Niestety, jego także John lekceważy. Nie ma na siostrzeńca żadnego wpływu, jest bezsilny. Zbierzcie się wszyscy i spuście mu lanie, poradził, ja słówka nie powiem. — Łukasz urwał na chwilę, przeczesał palcami włosy. — Nie wszyscy zechcą. John ma swoją gwardię, staną przy nim, gdyby do czegoś

277

doszło. Podziwiają Mocnego, mają go za bohatera po tym numerze z milicjantem.

Przypomniałem sobie zdarzenie sprzed miesiąca: wczesne popołudnie, John ze swoją świtą stoi obok „Syrenki” zaparkowanej nie opodal mojego okna. „Syrenka” należy do pana Kotuli, emerytowanego nauczyciela — stanowi przedmiot jego szczęścia i dumy, efekt wieloletniego skrzętnego oszczędzania.

Mocny John wyjmuje coś z kieszeni. Asysta otacza go półkolem, szczelnie zasłania plecami. Kiedy

się rozstępują, drzwiczki auta przecina napis wyżłobiony w lakierze: „Wóz do gnoju”.

W tym samym momencie na podwórko wpada pan Kotuła; zapewne dostrzegł podejrzany ruch przy swoim samochodzie. Podchodzi do „Syrenki”, w milczeniu patrzy na napis, potem przenosi wzrok na Johna. John uśmiecha się.

— Ty to zrobisz? — mówi cicho pan Kotuła.

— Są świadkowie? — John uśmiecha się jeszcze bardziej.

— Ja widziałem — szepcze pan Kotuła; jego chuda, pomarszczona twarz ma kolor popiołu. —
Widziałem was...

— I owszem — przytakuje kąpiąco Mocny John. — Stało się przy wózku. Ale napis już był, prawda, chłopaki?

— Był! — odpowiada chór wiernych poddanych.

Pan Kotuła przygryza dolną wargę. Oczy ma zaczerwienione jak po płaczu. Przesuwa dłonią po napisie, niczym ślepiec odczytujący pismo Brajle'a*.

— Dlaczego to zrobisz? — zapytuje bezdźwięcznie, samym tylko ruchem warg.

* Pismo Brajle'a — punktowe pismo dla niewidomych; odczytuje się je dotykiem palców.

278

— Odczep się pan ode mnie! — rzuca pogardliwie John. — Stary nudziarz!

Pan Kotuła odwraca się wolno, wychodzi na ulicę. John robi oko do kumpli, wszyscy parszczą śmiechem.

— Może mnie pocałować w piętę — mówi, śmiejąc się, John. — Jak już ja coś obmyślę, to bez pudła. Dowodziki są?...

W tym momencie na podwórzu znów pojawia się pan Kotuła. Towarzyszy mu wysoki, potężnie zbudowany milicjant. Podchodzą do „Syrenki”, milicjant ogląda napis na drzwiczkach. John stoi obok, uśmiechnięty, z rękoma w kieszeniach.

— Który to? — pyta milicjant.

— Ten! — Kotuła wskazuje na Mocnego Johna. — Widziałem go przy aucie, a kiedy wybiegłem, napis już był!

— To nieprawda, panie sierżancie! — przerywa mu John. — Myśmy tylko czytali napis. Chłopcy zaświadczą. A pan Kotula i tak nie mógłby widzieć, bo jego okno jest z tamtej strony.

Milicjant waha się, przenosi wzrok z Kotuli na Johna. Nie wytrzymuję, wychylam głowę z okna na podwórze.

— Ale moje jest z tej! — rzucam. — Widziałem, jak drapałeś lakier.

— Figę pan widział! — krzyczy John. — Chłopcy zastania...

Urywa raptownie. Już wie, że się wygadał. Milicjant kładzie mu rękę na ramieniu.

— Pójdiesz ze mną — mówi. — Resztę wyjaśnimy na komendzie.

— Nigdzie nie pójde! — John szarpnięciem uwalnia ramię.

— Sam sobie szkodzisz — mówi opanowanym, nie-

279

mai monotony^ głosem milicjant. • - Pójdiesz dobrowolnie, czy tnam cię poprowadzić?

- Ani to, ani tamto! - syczy John, pochylając się jak do ataku. - Lepiej mnie nie ruszać!

Milicjant dotyka pałki i zaraz cofa rękę. Zapewne uświadamia sobie, że chuligan jest małoletni i pałki użyć nie wolno. Znów kładzie dłoń na ramieniu Johna. Tym razem szarpnięcie nie daje efektu: ręka milicjanta mocno trzyma bark.

Asysta obserwuje to wszystko z zapartym tchem. Patrzy całe podwórko. John zaczyna się szamotać, macha na oślep pięściami, kilka razy trafia w pierś milicjanta. Sierżant nie traci jednak spokoju, marszczy się tylko z niesmakiem. John z rozmachem kopie milicjanta w kostkę, sierżant krzywi się, ale to już koniec: chuligan z wykręconymi do tyłu rękami, spo-tulniały nagle, idzie w stronę bramy.

Gwar podnieconych głosów wypełnia podwórze. Przymykam okno i wracam do pracy. Po godzinie świeży wybuch gwaru. John wrócił! Śmieje się drwiąco:

— Dosunąłem glinie, i co? Jeszcze mnie radiowozem odwieźli!

Później dowiedziałem się, że wujek Johna przyrzekł zapłacić panu Kotuli za szkodę, a milicjant — pewnie z dobroci serca — pominął w raporcie stawianie oporu. Sprawa zatuszowana, Kotula wycofał skargę. A banda Johna powiększyła się o paru nowych wielbicieli: to dopiero bohater...

— Pamiętam — powiedziałem do Łukasza. — Niełatwa sprawa z tym Mocnym Johnem, ale powinniście coś wymyślić.

— Co?...

— Nie wiem — wzruszyłem ze smutkiem ramio-

280

nami. — Jeśli idzie o zegary, jestem autorytetem: znam ich słabe miejsca. Przypuszczam, że John także ma jakiś czuły punkt. Na tym jednak ty znasz się chyba lepiej.

Łukasz po raz ostatni zerknął na cytadelę z grenadierem.

— To ja już pójdę — powiedział. — Przepraszam, że zawracałem głowę.

Sięgnął po swój zegarek leżący na ladzie. W nagłym odruchu przykryłem go dłonią.

— Zostaw — mruknąłem. — Może da się coś zrobić.

— Mam tylko sto szesnaście złotych, proszę pana...

— Kiedy są imieniny twego taty?

— Za cztery dni.

— Wpadnij pojutrze — powiedziałem. — Postaram się uruchomić tę maszynę.

Co mi strzeliło do głowy? Pracy mam dużo, zarobki są niewysokie. Naprawa tego grata zajmie mnóstwo czasu. A może zdecydowałem się dlatego, że Łukasz w jakiś sposób przypomina Kazka — z wyglądu, uśmiechu, zamysłonego spojrzenia?

Uzbroiłem oko w powiększające szkło i przystąpiłem do szczegółowych oględzin.

Słońko świeciło przyjaźnie, wygodniej rozsiadłem się na wygrzanej ławce, przymknąłem oczy. Lubię słoneczne ciepło przemieszane ze szmerem drzew, ćwierkaniem wróbli i dziecięcymi głosami. Tracę wtedy poczucie czasu, beztróska przepuszczam przez palce sekundy i minuty, topię je w miłym rozleniwieniu. Ja, stary zegarmistrz, znam wartość zapomnienia o przemijających chwilach — zapomnienie takie jest darem losu, przedłużeniem życia. Umiem je cenić.

Coś miękkiego trąciło mnie w nogę i z szelestem

281

potoczyło się dalej. Pewnie piłka. Uśmiechnąłem się, nie otwierając oczu. Potem doleciał mnie z bliska przytłumiony głos:

— Takiej fujary jak żyję nie widziałem! Nie mogłeś dać babie słowa?

— Nie chciałem — odpowiedział Łukasz.

— Frajerze nieszczęsny! Co to jest słowo honoru? A gała z matmy zdrowo ci nachachmęci pod koniec roku.

— Moja rzecz, John.

— Pewno, że twoja! — zaśmiał się John. — Ściągałeś?

— Ściągałem.

— I to jest w porządku według ciebie? Chwila ciszy.

— Nie jest w porządku — mruknął Łukasz.

— Jak siadasz do kart, to graj do końca, frajerze — powiedział wzgardliwie Mocny John. — Albo tak, albo siak. Ja ściagam od Wacka, ile wlezie...

— A prace domowe odrabia za ciebie Krzysiek?

— Fakt — znowu śmiech Johna. — Przynajmniej do czegoś przydaje się ta oferma.

— A gdyby odmówił?

— Nie odmówi, bądź spokojny. Lepiej popracować godzinkę dla dobrego koleśia, niż chodzić po świecie ze spuchniętą buzią.

— Ze mną w ten sposób nie wygrabyś, John — usłyszałem nienaturalnie mocny głos Łukasza z nutkami desperackiej brawury.

— Kto wie... — John zaśmiał się cicho, ironicznie. — Może kiedyś zagramy, wtedy się okaże. Więc, powiadam, od Wacka przepisuję, ile się da, i nigdy nie wpadłem. A gdybym wpadł, przysięgnę, na co dyro zechce. Będę gotów nawet się rozplakać.

— Potrafisz na zawołanie?

282

— To proste. Wystarczy na poi minuty wstrzymać oddech. A ty, frajerze nieszczęsny, życia nie

znasz. Ze swoim honorkiem dorobisz się na starość emerytury, jak mój wujcio, tysiąc pięćset zetów miesięcznie i ulga w tramwajach.

— A ty czego masz zamiar się dorobić? — zapytał Łukasz.

— Na co mi przyjdzie chęćka — odparł wesoło Mocny John. — Zechcę mieć sportowego „Jaguara”, to będę miał. Willa z basenem? Będzie. Polowanko w Afryce na słonie? Proszę bardzo.

— W jaki sposób do tego dojdiesz?

— Jest mnóstwo sposobów, byle się nie cackać. Wolnoamerykanka, synu: każdy chwyt dozwolony.

Stali za kasztanem, nie widzieli mnie. Kuszące, pomyślałem, willa z basenem, sportowy „Jaguar”, polowanie w Afryce; kto nie miałby na to ochoty?

Przypomniałem sobie raptem zdarzenie z własnego dzieciństwa; coś ciemnego przy krawężniku, schyliam się, podnoszę - portfel. Czarny, błyszczący, z wytłaczanej skóry. Wewnątrz gruby plik banknotów. Przeliczam, astronomiczna suma, baśniowa, niepojęta... Wystarczy, żeby objechać świat dookoła albo wykupić wszystkie ciastka w Warszawie, ba! — zapewne razem z cukierniami. Obok pieniędzy kilka dokumentów i wizytówka: „Kazimierz Wolf, przemysłowiec, Łódź, Przędzalniana 8”. Przemysłowiec. Bogacz... Przypuszczalnie zjechał do stolicy, aby zawrzeć większą transakcję, stąd tyle gotówki. I zgubił... Co robić? Jeśli wrzucę do Wisły portfel z dokumentami, nikt się nigdy nie dowie. Ojciec otworzy wielki zakład zegarmistrzowski, z sutereny przeprowadzimy się do salonów. Ostatecznie, znalazłem; nie ukradłem przecież... Ale znam właściciela. Wiem, gdzie miesz-

283

Jsa. Będzie to więc kradzież — tyle, że bez ryzyka, że cię chwycą, gdy sięgasz do cudzej kieszeni.

Na policji przyglądano mi się z podejrzliwym zdumieniem. Zabrano portfel, spisano protokół: „To wszystkie pieniądze? Na pewno więcej nie było?” Po dwóch tygodniach z Łodzi od pana Wolfa nadeszła przesyłka — pomarańcze, orzechy, czekoladowe cukierki. Razem pięć funtów. Skromnie. „No cóż, przemysłowcy nie należą do ludzi z gestem — powiedział mój ojciec — gdyby mieli gest nie zbijałoby wielkich majątków; ale ty, Edmundzie, masz za to czyste sumienie, a to warte więcej niż fura pieniędzy: czyste sumienie, satysfakcja i wewnętrzny spokój”.

— Nie lubię takich rzeczy — usłyszałem głos Łukasza. — Ja też chciałbym zdobyć sportowego „Jaguara”, ale nie szwindlem.

— Jeśli będziesz miał fart, dojdiesz na starość do „Syrenki”. — John roześmiał się kpiąco. — Jak pan Kotula. Już teraz zacznij oszczędzać, najlepiej nie jadaj śniadań.

— Za dziesięć, piętnaście lat okaże się, który z nas jest lepszy — powiedział Łukasz. — Ja będę chemikiem, postaram się wynaleźć lekarstwa przeciw rakowi. A ty?

— Zaczekam, aż to zrobisz — odparł John. — Wtedy dam ci po głowie, a miksturkę opylę za ładny grosz. Klawy pomysł, nie uważasz?

— Jesteś denny typ — rzucił spokojnie Łukasz. — Ale się natniesz, przyrzekam ci.

— Może na tobie?

— Może...

Otworzyłem oczy i obejrzałem się dyskretnie. Stali do mnie bokiem. Byli tego samego wzrostu, ale przy Johnie Łukasz wydawał się kruchy, filigranowy, jak moja tancerka z porcelany.

284

- Ty mi lepiej schodź z drogi — powiedział chmurnie Mocny John. - Szkoła jest duża, podwórko też. I jeszcze jedno, synu: jeśli zobaczę, że kręcisz się przy Irce, koniec z tobą. Zapamiętasz?

Miodooka, śniada, z czarnym warkoczem do pasa -najładniejsza dziewczyna w naszej dzielnicy. Kiedy schodziła na podwórko, z miejsca rozpoczynały się sportowe popisy chłopców: na drążku, równoważni, karuzeli. Łódka huśtawki mknęła w niebo, unosząc Janusza, Gienek toczył z Maćkiem pojedynek zapaśniczy, Igor dźwigał w górę dwudziestokilowy kamień, Józek wspinał się na sam czubek najwyższego kasztana, ryzykując, że załamie się pod nim cienkie gałązki u szczytu. Tylko Łukasz i John udawali obojętnych. Zauważyłem jednak, że obaj dyskretnie zerkają na Irenę, starając się, aby tego nie spostrzegła; śledzili ją spod oka, gdy przechodziła przez podwórko, gdy śmiała się z koleżankami albo siadała samotnie na ławce i rozkładała książkę na kolanach.

Znam się na takiej chłopięcej obojętności, wiem, co kryje, umiem także ocenić jej wartość. Obojętność Łukasza była podszyta nieśmiałością, lęklwym zawstydzeniem. Mocny John manifestował ją arogancko: strzykał Irce śliną pod nogi, potrącał ją przechodząc, czasami wzgardliwie pociągał za gruby warkocz. Bała się go trochę, to było widać. Widziałem również, że na Łukasza patrzyła częściej niż na innych chłopców. I równie jak on - ukradkiem.

- Mam słabą pamięć — powiedział Łukasz jakimś nieswoim, dziwnie niskim głosem.

- To jest między nami, bez świadków - rzucił Mocny John. - Uważaj, synu. Ja nie żartuję.

Odwrócił się i odszedł w głąb podwórza. Łukasz został. Zamknąłem szybko oczy, aby nie spostrzegł, że go obserwowałem. Zwróciłem twarz do słońca,

285

delektując się pachnącym ciepłem, było mi jednak niespokojnie na duszy. Przeczuałem, że coś się stanie. Co! Nie miałem pojęcia. Jednego byłem pewien: wcześniej czy później dojdzie do zderzenia między Łukaszem i Johnem.

Lubię długie samotne spacerowanie o zmierzchu, gdy ciemnoniebieski mrok nasycony księżycową poświatą przynosi ulgę moim zmęczonym oczom. Lubię spacerować zwłaszcza w parku miejskim, który się ciągnie kilometrami, dziczeje, alejki stają się ścieżynami, drzewa tworzą brunatny gąszcz. W tym gąszczu gdzieś można znaleźć zbitą z desek prymitywną ławkę. Można siedzieć, słuchać i myśleć.

Wiatr przeciągnął po strunach gałęzi, z daleka nadleciał beztroski głos gitary. Ktoś przeszedł ścieżką powłócząc nogami, zakaszał, chrząknął. Potem cisza. Potem znów kroki. I głos, który natychmiast poznałem, głos Łukasza.

— Nie boisz się ciemności, Irka?

— Troszkę.

— A ja lubię mrok, zwłaszcza leśny. Spójrz na to drzewo. Zaczarowany rycerz. A tam dalej śpiewają krasnoludki.

— To ptaki tak się nawołują.

— Krasnale potrafią naśladować ptasie głosy. Udają ptaki, żeby ich ludzie nie podsłuchali.

— Dlaczego się kryją przed ludźmi? — pyta żartobliwie Irka, podejmując zabawę.

— Wiadomo — odpowiada z powagą Łukasz. — Ludzie są różni. Bywają tacy, którzy by urządzali na nie polowania. Krasnale muszą się strzec.

— Ale my nie zrobilibyśmy krzywdy krasnoludkom. Powinny do nas wyjść.

— Skąd mogą wiedzieć, że je lubimy? Każdy czło-

286

wiek wygląda tak samo, trudno odgadnąć, co w nim siedzi. Dlatego krasnoludki na wszelki

wypadek są niewidzialne.

— A ja nie mam ochoty tracić przez innych! Załatw mi krasnoludka, Łukasz!

Cichy śmiech.

— Niestety — wzdycha Łukasz — najpierw trzeba zrobić porządek z ludźmi. Żeby krasnale nikogo nie musiały się bać...

Głosy cichną, rozplývają się w leśnej gęstwinie. Z ciepłym uśmiechem wsłuchuję się w ptasie melodyjki i raptem myśl: może to rzeczywiście nie ptaki? Może krasnoludki?

Nagle drgnąłem. Mocny John. „Jeśli zobaczę, że kręcisz się przy Irce, koniec z tobą. Uważaj, synu. Ja nie żartuję.”

Oby nic się nie stało...

Wszedł, niepewnie zatrzymał się w progu. Gestem ramienia zachęciłem go, aby podszedł bliżej. Otworzyłem szufladkę i wyjąłem z niej kieszonkowy zegarek.

— Zreperowany — powiedziałem. — Będzie służył twojemu ojcu przez długie lata.

— Dziękuję! — Łukasz uśmiechnął się szeroko, od ucha do ucha, oczy zwęziły mu się i zarazem rozbłyły. — Ale jakim cudem przez lata? Powiedział pan przecież, że mechanizm jest do niczego?

— Był — przyznałem. — I poszedł do śmieci. Wstawiłem do koperty inny, wysłużony co prawda, ale po remoncie w stanie doskonałym.

Twarz chłopca stężała, w oczach pojawił się niepokój :

— Mówiłem panu... Mam tylko sto szesnaście złotych...

287

— Pamiętam — wzruszyłem ramionami. — Kupiłem ten mechanizm jako złom, na części. Kosztował mnie grosze. Za całą naprawę zapłacisz... — zawahałem się — czterdzieści dziewięć złotych.

Wymieniłem sumę nie zaokrągloną, żeby jej Łukasz nie kwestionował. Mimo to pokręcił głową:

— Pan chyba żartuje. Nowy mechanizm...

— Nie nowy lecz stary — przerwałem mu sucho. — Opłata według cennika wynosi łącznie

czterdzieści dziewięć złotych. Z tego, co ci zostanie, możesz kupić... — uśmiechnąłem się — na przykład kwiaty.

— Kwiaty?...

— Komuś, kogo bardzo lubisz. Zarumienił się, szybko odwrócił głowę.

— Mamie — dodałem. — Zęby nie czuła się pokrzywdzona, kiedy wręczysz ojcu zegarek. Imieniny ojca można potraktować jako święto obojga rodziców.

— Doskonała myśl! — zawołał Łukasz radośnie i jakby z ulgą. — Dziękuję panu!

Mało brakowało, a popełniłbym nietakt: kto mi dał prawo wścibiać nos do jego najbardziej osobistych spraw? Na szczęście wybrnąłem.

— Siadaj — powiedziałem do Łukasza. — Jak ci leci w szkole?

— Nie najgorzej — odparł. — Kilka dni temu wybrano mnie gospodarzem klasy.

— Jednogłośnie?

— Nie całkiem — uśmiechnął się. — Krzysiek zaproponował kandydaturę Johna. Że niby Mocny John ma autorytet w klasie, potrafi trzymać ją w karchach, a gospodarz musi przede wszystkim dbać o dyscyplinę.

— Co na to inni? — spytałem.

— Małgośka się sprzeciwiła. Nie chcemy terroru, powiedziała. John trzymałby nas strachem. I głosu-

288

jmy, dodała, tajnie, bo niektórzy baliby się jawnie głosować przeciwko Mocnemu.

Uśmiechnąłem się ze smutkiem. Kiepsko jest, gdy z takich powodów trzeba się uciekać do tajnego głosowania...

— Ile głosów dostał Mocny John?

— Pięć — odparł Łukasz. — Jego świta wypełniała kartki demonstracyjnie, żeby widział. Kiedy obliczono głosy i okazało się, że dostałem trzydzieści dwa, John złożył mi gratulacje. Rządź, powiedział, byle nie mną, ode mnie lepiej z daleka; jeszcze się taki nie urodził, co by nade mną wziął górę.

Zegary nagle ożyły. Melodyjka kurantów zmieszała się ze srebrnym dzwonkiem, basem gongu, werblem niewidzialnego dobosza. Złożyła ukłon taneczny turkusowa tancerka, zasalutował wąsaty grenadier, okręcił się słowik klaszcząc dziobkiem, uchylił! czapeczki białowłosa krasnoludek. Czwarta. Oczy Łukasza przeskakiwały z zegara na zegar, usta były na wpół rozchylone.

Po kilku chwilach koncert dobiegł końca. Wyjrzałem przez okno. Po podwórzu przechadzał się John. Podszedł do huśtawki, zatrzymał rozpędzoną gondolę, wysadził z niej malucha. Wskoczył do środka, jego przybocznicy usłużnie pchnęli łódkę, rozbujali wysoko. Malec rozryczał się, począpał w głąb podwórza. Zajął się nim jakiś chłopak, zapewne brat.

— Jak sobie będziesz radził? — zapytałem Łukasza.

— W klasie mam przewagę — odparł. — Piętnastka dziewczyn zakrzyczy nawet Johna. Gorzej z chłopcami... — urwał na parę chwil, dotknął wskazującym palcem wysokiej czapy grenadiera. — Ostatnio do świty Mocnego dołączył Zenek. Przedtem Antek, rozumie pan?...

— Owszem — powiedziałem.

19 — Wiele dróg

289

— A ja nie bardzo — westchnął Łukasz. — Myślałem, że Zenek i Antek to równi kumple. Że można liczyć na nich. Tymczasem różną z Mocnym w karty i latają do budki po oranżadę dla niego. Zenek wynosi z domu pieniądze, chwali się, że podkrada staremu... jest już z tego dumny, rozumie pan?

— Owszem — powtórzyłem. — Rozumiem. Może nie powinieneś tym się przejmować? — dodałem po pauzie, bacznie przyglądając się Łukaszowi. — Masz z pewnością kilku kolegów, którzy nie przejdą nigdy na stronę Mocnego. To ci nie wystarcza?

Patrzył na mnie z jakimś zaskoczonym zdziwieniem.

— Pan jednak nie rozumie — powiedział. — Chłopaków mi szkoda. Zmarnują się przy Johnie. Antek po raz pierwszy, odkąd go znam, oberwał dwóję z polaka. Plółł jakieś bzdury przy tablicy, aż się pani zdumiała. A nie był przygotowany, bo poprzedniego dnia aż do zmroku szwędali się z Johnem po mieście. John podobno zakłada przedsiębiorstwo.

— Co takiego?

— Przedsiębiorstwo — powtórzył Łukasz z uśmiechem. — Handlowe. Spekulacja biletami pod kinem. Mocny zaproponował mi udział; masz anielską buzię, powiedział, nikt nie będzie cię ruszać,

zarobisz dużą forszę. Postałem go do diabła.

Rozejrzałem się po warsztacie: znajome, bliskie mi przedmioty, swojskie tykanie mechanizmów, przytulność, spokój. Jestem tu jak w fortecy otoczonej murem nie do przebycia. Mam swój własny świat, własne problemy, własne radości i smutki. Co mnie obchodzi reszta?

On, pomyślałem sobie, mógłby też otoczyć się murem, zamknąć w fortecy osobistych spraw. Szkoła, rodzice, spotkania z Irką. A jednak nie chce. Albo nie

290

potrafi. Bolą go sprawy cudze i nie zamierza od nich uciec. Co dzień wychodzi na podwórko, co dzień mierzy się wzrokiem z Mocnym Johnem, który ma nad nim przewagę: w sile fizycznej, bezwzględności, tupecie.

Czy mogę mu pomóc?

Chciałbym. Ale naprawdę nie wiem jak. Jestem starym, zmęczonym człowiekiem o nadwątlonym zdrowiu.

Jednego nie zrobię. Nie poradzę Łukaszowi, żeby się wycofał. W moim długim, niełatwym życiu zdarzało mi się cofać i wiem, jak się za to płaci. Lata doświadczeń nauczyły mnie cenić najbardziej szacunek dla samego siebie.

Od pracy oderwała mnie nagła cisza na podwórku. Nie przywykłem do niej o tej porze. Podszedłem do okna i zobaczyłem w pobliżu dwie grupy chłopców stojące naprzeciw siebie. Wokół zgromadził się wianuszek młodszych dzieci.

— To jest boisko do siatkówki — usłyszałem głos Łukasza. — Zabierzcie stąd ławki. W karty możecie grać gdzie indziej.

Mocny John skinął na Wacka. Wacek przygłodził dłońmi rudawe włosy sięgające szyi, potem wsparł dłonie na biodrach.

— Podoba nam się tutaj — powiedział. — Słoneczko, trawka. Podwórko jest dla wszystkich, no nie?

— Dla wszystkich — przyznał Łukasz. — Ale słońce i trawę macie wszędzie, a w siatkę można grać tylko tutaj.

Mocny John mrugnął do Krzyśka.

— Niby fakt — rzucił pogodnie Krzysiek. — I co z tego? Nikt was nie zmusza, żebyście grali w siatkę. Możecie robić co innego.

291

John uśmiechnął się z aprobatą, widać zadowolony z repliki Krzyśka.

— Na przykład pluć i łapać — wtrącił brzuchaty Edek i zerknął na Johna jakby prosząc o uznanie.

— Albo zaśpiewać coś — dorzucił Wacek.

— Albo mówić wierszyki! — zachichotał piegowaty Pimpek, najmłodszy ze świty Johna.

Przy Łukaszu stało siedmiu chłopców, tyle samo liczyła banda Mocnego. Siły jednak nie były równe: John bez trudu poradzi sobie nawet z trzema. Oby nie doszło do bójki, pomyślałem, pełen niepokoju, oby Łukasz nie stracił panowania nad sobą...

— Zabierzecie ławki z boiska? — spytał półgłosem Andrzej, najbliższy przyjaciel Łukasza, ciemnowłosey, drobny, o delikatnej, nerwowej twarzy.

— Nie da rady — odparł Krzysiek. — Ciężkie są bardzo.

— W takim razie my je przeniesiemy — powiedział Andrzej.

Mocny John leniwie wysunął się do przodu.

— Odradzam — mruknął, patrząc gdzieś w bok. — To by się mogło smutno skończyć.

— Niech wreszcie się skończy! — krzyknął Andrzej niespodziewanie cienkim głosem. — Ja mam dosyć, chłopaki!...

Popatrzył na swoich z rozpaczliwą desperacją, zacisnął pięści. Twarz mu poczerwieniała, wargi zwały się w cienką krechę. Zaraz skoczy na Johna, a Mocny tylko czeka na to — cofnął już prawe ramię, ugiął nogi jak bokser przed zadaniem miażdżącego ciosu.

— Nie trzeba, Jędrek. — Łukasz objął z tyłu przyjaciela, delikatnie, lecz mocno. — Zagramy na szkolnym boisku, to przecież niedaleko.

292

— Mamy im ustąpić? — krzyknął Andrzej. — Jutro całkiem przepędzą nas z podwórka!

— Kto wie — uśmiechnął się Mocny John, trzymając prawą rękę wciąż jeszcze cofniętą do tyłu. —

Z Jędrusia niezły prorok...

— Ale Łukasz ma pełne portki! — zarechotał Krzysiek i naśladując Mocnego, cofnął prawe ramię, ugiął kolana, -p Nie patrz tak na niego, John, bo się popłacze ze strachu!

Sądziłem, że Łukasz nie wytrzyma. W przeciwieństwie do Andrzeja twarz miał bladą, oczy po kocie mu zwężone. I tym razem opanował się jednak.

— Idziemy, chłopcy — powiedział spokojnie do swoich, tak spokojnie, że aż się zdumiałem. — Szkoda czasu na dyskusje.

Andrzej szarpnął się, ale Łukasz nie puścił go. Zaczekał chwilę, aż przyjaciel się uspokoi. Potem wraz z kolegami niespiesznie ruszył w stronę bramy.

— Huhuu! — ryknął za nimi Wacek. — Prędziej, bo dogonimy!

Kibice wyglądali na rozczarowanych. Jedni zapewne czekali na krwawe widowisko, innych zawiodła nadzieja na obalenie dyktatury Mocnego. Rozeszli się wolno, niechętnie.

Banda Johna rozsiadła się na dwóch ławkach ustawionych na środku boiska. Wacek wyciągnął z kieszeni talię brudnych kart, potasował, zaczął rozdawać. John obejrzał się: na podwórko wyszła Irena w towarzystwie koleżanki. Rozmawiały o czymś gestykulując.

— Ty! — zawołał John. — Hrabianka, chodź no tutaj!

Irka nawet nie spojrzała w jego stronę. Wtedy John odłożył karty, wstał i podszedł do dziewcząt.

293

— Głucha jesteś? Jak wołam, trzeba podejść - -powiedział.

— Czego chcesz? — zapytała chmurnie Irena.

— Żebyś usiadła przy mnie. — Mocny John uśmiechnął się krzywo. — Cyganichy przynoszą fart, a ja muszę dziś wygrać.

— Nic mnie to nie obchodzi — mruknęła Irka. — Daj mi spokój.

Chciała odejść. John przytrzymał ją za warkocz.

— Nie wolno mi odmawiać, kiedy bardzo proszę — powiedział.

Irka odwróciła się, stanęła do niego twarzą.

— Odczep się! — rzuciła wściekle. — Bo mogę ci oczy wydrapać!

— Doprawdy? — Twarz Johna wykrzywiła się kąpiąco. — Ejże, hrabianko... Do tego trzeba dłuższych rączek. I mocniejszych.

— Znam kogoś, kto ma mocne.

— Jejku, pewno Łukasz! — zawołał John z ironicznym przestraczem. — Zlituj się, nie napuszczaj go na mnie! Pięść by mi rozbił swoim ślicznym noskiem.

— Mój ojciec ma na ciebie oko — powiedziała spokojnie Irena.

John przygaśł. Ojciec Irki, dwumetrowy olbrzym, był kiedyś mistrzem województwa w podnoszeniu ciężarów; nawet garnitur nie potrafił skryć jego wielkich, ruchliwych bicepsów. Irenka była podobna do matki — drobniutkiej, filigranowej kobiety, która przy mężu wyglądała jak piórko.

— Łazisz na skargi? — zapytał posępnie Mocny John.

— Nie muszę — odparła Irka. — Tata cię sam przy-uważył.

John przejechał palcami po czuprynie. Potem uśmiechnął się z nieco przesadną pewnością siebie.

294

— Nie ma prawa mnie tknąć — rzucił. — Za pobicie nieletniego idzie się do kicia.

I nie czekając na replikę Ireny ruszył w stronę ławek.

Bardzo dobrze, że utarła mu nosa, pomyślałem; przygaśnię w nim uciecha ze zwycięstwa nad Łukaszem. Zwycięstwo? Łukasz nie przyjął wyzwania, zszedł z placu, ustąpił — na oczach całego podwórka. Andrzej był gotów się bić, pozostała szóstka również, poznałem to z wyrazu ich twarzy. Tylko Łukasz nie chciał. Wybrał ucieczkę. Dlaczego?

Stchórzył, przebiegło mi przez myśl, przestraszył się Mocnego Johna, wolał dać nogę niż stanąć do walki... Czy aby na pewno stchórzył? Łukasz nie wygląda mi na lękliwego.

A jednak nie podniósł rękawicy, rzuconej przez paczkę Johna. Zniósł z pokorą obelgi i drwiny — więc tchórz?...

I raptem zrozumiałem: ustąpienie Łukasza było aktem odwagi, nie tchórzostwa. Świadectwem rozwagi i silnej woli. Gdyby się dał sprowokować do bójki, w oczach podwórza zrównałby się z Johnem — klęska w bójce byłaby klęską ostateczną, kompromitacją, utratą prestiżu. Władcą

podwórka stałby się raz na zawsze Mocny John, Łukasz musiałby go słuchać albo siedzieć w domu.

Ustępując nie przegrał. Zawiesił rozstrzygnięcie.

Na jak długo?

Bo przecież jestem pewien, że wcześniej czy później dojdzie do pojedynku między Łukaszem i Johnem. Nie da się chyba tego uniknąć.

Chór zegarów, codzienny koncert. Symfonia, która obcemu wydałaby się bezładnym nagromadzeniem dźwięków, dla mnie stanowi mądrą, subtelną kompo-

295

zycję: pieśń czasu. „Czuwam!” - melduje grenadier. „Czy nie piękny piruet?” - zapytuje porcelanowa tancerka. „Witaj, mistrzu! Cieszę się, że cię widzę!” - śpiewa słowik. Dobrze mi wśród starych przyjaciół, przytulnie, swojsko.

Nie usiądę dziś na ławeczce pod rozłożystym kasztanem. Dzień jest pochmurny, wieje chłodny północny wiatr. Swoją godzinkę relaksu spędzę przy otwartym oknie — przewietrzę płuca aromatem rozkwitłych drzew, nie narażając się na przeziębienie. Ustawiam pod oknem swój zydelek, opieram łokcie o parapet. Na szarym niebie widać żółtawą, okrągłą plamę. To słońce, które nie może się przebić przez gęste chmury i tylko daje znak, że jest obecne. Żal mi go: pewnie tęskni za nami tak jak my za nim.

Spoglądam niżej. Kotyszą się niebieskie i żółte łodzie huśtawki, krąży pomarańczowa karuzela, na równoważni balansuje jasnowłosa dziewczynka w różowej króciutkiej sukience. Na boisku gra w siatkę Łukasz ze swoimi kolegami, serwuje właśnie — za mocno, piłka mija linię, utrata serwu.

Moja ławka pod kasztanem jest zajęta. Siedzi tam Irka z książką na kolanach, zarumieniona, gryząc koniuszek czarnego warkocza — lektura musi być pasjonująca. Od czasu do czasu Irenka unosi jednak głowę i, dziwnym zbiegiem okoliczności, w tym właśnie momencie patrzy na nią Łukasz. Wymieniają krótkie jak błysk, przyjazne, porozumiewawcze uśmiechy.

Potem dostrzegam Mocnego Johna. Idzie w stronę ławki rozchybotanym marynarskim krokiem, w kąćku warg tli się papieros. Od miesiąca John pali nie kryjąc się, publicznie, rzecz nawet można — demonstracyjnie. Jego świtę wprawia to w zachwyty. Jeszcze trochę, myślę ponuro, i pójdą w jego ślady...

296

John niedbale siada na ławce obok Irki. Asysta zatrzymuje się nie opodal.

— Te, hrabianka — odzywa się John — mam propozycję.

Irka nie reaguje. Jest pochłonięta lekturą.

— Pójdiesz ze mną do kina — mówi John. — Mam dwa bilety na film z Glen Fordem, słyszysz?

— Nic z tego — rzuca Irka, nie unosząc głowy znad książki.

— Bo co? — pyta kpiąco John.

— Nie zwracaj mi głowy - mruczy Irena. — Czytam.

— Boisz się Łukasza? - John wyszczerza zęby. - On nam wybaczy, hrabianko. On jest grzeczny chłopiec, nie będzie szurał, zobaczysz.

Świta rechocze. John mówi głośno, tak, żeby słyhać było na całym podwórzu. Obok świty zaczyna gromadzić się tłumek kibiców. Mecz siatkówki zostaje przerwany.

— Wstawaj, hrabianko - mówi John i kładzie dłoń na ramieniu Irki. - Idziemy. Za dziesięć minut początek seansu.

Irka ze wstrętem strąca dłoń z ramienia. Nadal patrzy w książkę, ale nie czyta już chyba; złączone brwi wyglądają jak szybująca wysoko mewa, wargi zaciskają się wściekle. Przeczuję wybuch. John zapewne również go przeczuję, więcej — prowokuje.

— Bądź grzeczna, hrabianko - mruczy ironicznie. - A może chcesz, żeby ci Łukasz dał pozwolenie? Mogę to załatwić.

Wszystkie głowy zwracają się w stronę Łukasza, który stoi nieruchomo. Nawet usta ma białe, bez kropli krwi.

— Precz! — mówi szeptem Irena.

297

Wciąż patrzy w książkę. Mocny John nagle wytrąca ją dziewczynie z ręki.

— Idziesz, hrabianko?

Irka odpycha go gwałtownie. Johnowi wypada z ust papieros, ląduje w trawie.

— Wytrąciłaś mi papieros. Podnieś.

— Precz!... — syczy znów Irka.

— Podnieś papieros! -r twarz Johna wykrzywia się w złym grymasie. — Podnieś, bo będzie nieklawo.

Widać, że traci panowanie nad sobą. Podnieca go obecność kibiców, napięcie świty.

— Podniesiesz?

Powinienem wybiec na podwórko, wtrącić się, zareagować. Coś mnie jednak powstrzymuje.

Łukasz wolno zbliża się do ławki, twarz ma ciągle jak z wapna.

— Zostaw ją — mówi półgłosem. — Ja podniosę papieros.

— Odpada! — rzuca John. — Ona ma podnieść.

— Irena tego nie zrobi — słyszę zdumiewająco spokojny głos Łukasza.

Pojmuję: John zmierzał właśnie do tej sytuacji. Uśmiecha się triumfalnie, leniwie wstaje z ławki.

— Będzie musiała — mówi. — Zmuszę ją. Chyba, że mi przeszkodisz.

— Spróbuję — odpowiada Łukasz.

— Nie! — Irka zrywa się z ławki, staje między Łukaszem i Johnem. — Podniosę, co mi tam...

— Nigdy — rzuca spokojnie Łukasz. — Pora wreszcie z tym skończyć.

Mocny John robi oko do tłumu, który otoczył ich wielkim kołem.

— Pora — przytakuje kpiąco. — Masz rację. Czas najwyższy zrobić z ciebie kotlet. Zaczynamy?

298

Łukasz łagodnym, lecz stanowczym ruchem odsuwa na bok Irenę.

- Chwileczkę - mówi do Johna. — Bić się z tobą nie zamierzam.

- A co zamierzasz? - pyta John z pogardliwą drwiną. - Może zagrać w szachy?

- Jesteś silniejszy fizycznie. - Łukasz patrzy prosto woczy Johnowi. - Ale ja jestem twardszy.

- Ty jesteś twardszy, pętaku?

- Sprawdźmy. — Łukasz wyjmuje z kieszeni zwój mocnego szpagatu, przecina go scyzorykiem, robi

dwie nieduże pętle, jedną z nich zakłada sobie na przegub; schyla się, podnosi z ziemi gruby patyk, wkłada go pod sznurek i przekręca: szpagat wpija się w skórę. — Jeśli jesteś twardy i nie boisz się bólu, możemy się zmierzyć - rzuca. - Ty będziesz skręcał moją pętlę, a ja twoją. Kto pierwszy krzyknie, ten przegrywa.

John patrzy na szpagat wrzynający się w przegub Łukasza, na patyk, który napina sznur.

- Wolę się bić - mówi.

- Nic dziwnego — uśmiecha się Łukasz. — Łatwiej pobić słabszego, niczym nie ryzykując, niż walczyć uczciwie. Łamiesz się, John? Strach cię obleciał?

Mocny John patrzy na zgromadzonych i zapewne pojmuje, że odrzucenie wyzwania byłoby klęską — całe podwórko jest zafascynowane propozycją Łukasza, przekonane jego argumentami: jeżeli John rzeczywiście jest mocny, nie powinien się bać takiego pojedynku. Nawet jego świta zdaje się trzymać z Łukaszem, pewna zresztą, zwycięstwa swego przywódcy.

- Zgódź się, John - doradza Krzysiek. - Z twoimi mięśniami nic nie poczujesz, wystarczy napiąć. A ten delikatniś zaraz wysiądzie...

299

— W porządku! — woła John. — Niech ci będzie, frajerze. Ale nie miej żalu, jeśli będziesz musiał zasuwać na pogotowie.

Stają naprzeciw siebie, zakładają pętle na przeguby, podsuwają patyki.

— Mogę sędziować — proponuje Wacek.

Łukasz przystaje skinięciem głowy, choć Wacek należy do świty Mocnego. Sędzia nie może mieć wpływu na przebieg walki, jego stronnictwo jest bez znaczenia.

Wychylony z okna, z łokciami na parapecie, zamieram. Widzę z góry Łukasza i Johna, znajdują się ode mnie nie dalej niż dziesięć metrów. Czy mam prawo dopuścić do tego pojedynku? Szpagat może przeciąć skórę, dotkliwie poranić...

Może postępuję niewłaściwie, ale znam stawkę tej gry i nie śmiem pozbawić Łukasza jego szansy. Chce walczyć nie dla siebie; będzie walczył dla nich — dla tej stłoczonej wielkiej gromady, która, nieświadoma stawki, czeka z zapartym tchem na rozpoczęcie pojedynku.

Kto wygra?

Łukasz jest rzeczywiście delikatny. Jego przedramię jest o połowę cieńsze od przedramienia Mocnego. Nie będą go chronić napięte mięśnie ani zgrubiała skóra.

Na wargach Johna pęta się uśmiezek. Czy ta pewność siebie nie jest odrobinę sztuczna? Bo w oczach nie ma uśmiechu, są ponure, chmurne, jak gdyby powleczone niepokojem.

Mocny John chwyta za patyk przy przegubie Łukasza. Łukasz ujmuje patyk przy jego przegubie. Cisza. Tylko wróble beztrąsko ćwierkają na kasztanie.

— Uwaga! — rzuca Wacek. — Gotowi? Start!

300

Patrzę. Jest mi duszno, nie śmiem odetchnąć głębiej. Widzę, jak napinają się pętle przy pierwszym obrocie patyków. John patrzy przed siebie z lekceważącym uśmiechem. Łukasz zaciska wargi.

Jeden obrót patyków.

Opór naprężonych mięśni z pewnością zmniejsza ból. Łukasz musi cierpieć bardziej niż jego przeciwnik. Patyki okręcają się wolno, napinając szpagat. Twarz Łukasza jest pozbawiona wyrazu. John ciągle się uśmiecha.

Drugi obrót.

Oczy kibiców zwężają się, spojrzenia nabierają ostrości. Kibice próbują wypatrzeć pierwszej oznaki bólu na twarzach walczących. Irka przygryza zębami górną wargę.

Półowa trzeciego obrotu.

Istnieje granica wytrzymałości na ból. Ludzie wrażliwi i delikatni mają mniejszą odporność. Jak dalece siła woli potrafi przesunąć ową granicę?

Jeśli Łukasz krzyknie pierwszy, będzie to koniec. On wybrał broń w tej walce, on zmusił Mocnego do przyjęcia warunków. Gdyby przegrał, nie dojdzie już do rewanżu. Wszystko przepadnie. Prestiżu Moenega Johna niczym nie uda się obalić, jego autorytet wzrośnie o nowy, decydujący element — o to, co na naszym podwórku nazywa się twardością.

Trzeci obrót.

Łukasz czerwienieje. Patrzę mu w twarz, tylko w twarz — nie śmiem spojrzeć na przegub. Zaciskam palce na własnym przegubie. Wbijam paznokcia w skórę, jakbym w ten sposób mógł mu pomóc.

Podwórze milczy. Nie oddycha. Jedynie świergot ptaków na kasztanie. Dosyć! Przestańcie!
Chłopcy, opamiętajcie się, tak nie można...

Chcę krzyczeć, ale z gardła nie wydobywa się żaden

301

dźwięk. Słyszę za plecami tykanie moich zegarów. Uciec, nie patrzeć...

Patrzę. Teraz spoglądam na twarz Johna i stwierdzam, że przestał się uśmiechać. Czoło mu błyszczący, spływają po nim duże krople potu. A na dworze chłód.

Cztery obroty.

Łukasz, wiem, że to straszne, ale wytrzymaj. Staraj się nie myśleć o swoim przedramieniu. Myśl o parkowej puszczy, o krasnoludkach nawołujących się ptasimi głosami, o ciepłym uśmiechu Irenki, jej wargach, które przygryza teraz zębami, jakby chciała ci tym dopomóc.

Łukasz otwiera szeroko usta. Nie krzyczy jednak.

John wyszczerza zęby aż po różowość dziąseł. Oczy wyłażą mu z orbit, białka nabiegają krwią.

Cztery i pół obrotu.

Nie mogę dłużej. Odwracam się od okna, zaciskam powieki, zatykam uszy palcami. Ile to trwa? Sekundę. Dziesięć sekund. Wieczność.

Z bardzo daleka dociera do mnie krzyk. Wrzask rozpaczliwy:

— Dooosyyył.

Nie wiem, kto krzyknął. Boję się otworzyć oczy.

Kiedy je w końcu otwieram, kiedy podchodzę do okna i wbijam dłonie w parapet, widzę najpierw nieruchomy tłum. Potem widzę w środku samotną chłopięcą postać. I widzę drugą, już poza kręgiem, oddalającą się. Mocny John odchodzi z podwórza.

Jan Kurczab

O czwartym, który został drugim

Piątka nas była w narożnej dwupiętrowce z szeroką bramą wjazdową na podwórko i dwiema oficynami w głębi. Wzdłuż tych oficyn sterczały drewniane, skrzypiące ganki z balustradami w kolorze skisłego buraka, jeśli w ogóle można to było nazwać kolorem. Był na tym podwórzu trzepak drewniany, do samego rdzenia zżarty przez niepogody, była ogromna skrzynia, którą ktoś kiedyś — nikt w kamienicy nie pamiętał kto i kiedy — postawił obok trzepaka. Teraz służyła stolarzowi Marcinowi z parteru i blacharzowi Lufie z pierwszego piętra do wieczornej gry w szachy, a naszej piątce za skarbiec. Były jeszcze na tym podwórzu dwa stopnie, prowadzące do dozorcówki. Tu żył pan Walenty, człowiek-burza, jak nazywano go w kamienicy.

Człowiek-burza był ojcem naszego wodza Zygzeka, pierwszego z piątki. Zygzek-Zorro, to czternastolatek, jak i my. Mama nazywała jego czarną czuprynę okrutną, my — wspaniałą. Może nawet nie nazywaliśmy jej tak, ale myśleliśmy o niej z podziwem i zazdrością. Był chudy jak... no, po prostu chudy i chudy, a także przeważnie bosy. Zazdrościliśmy mu i tego, bo on jeden zimowymi nocami gnał boso przez podwórze i długą sień do bramy, aby wpuścić kogoś z zapóźnionych lokatorów, boso w mróz, śnieg i chła-

20 — Wiele dróg

305

pę. Był przecież Zorrem. Umiał naprawiać dratwą buciki, kłać jak ojciec. Znał wszystkich lokatorów, nie tak zwyczajnie, jak my, ale groźnie, mama mówiła — warcząco. Nawet jego Kolumb nie umiał się zjeżyć tak jak Zygzek.

Kolumb to jeszcze jeden, może najistotniejszy, szczegół ważności Zygzeka. Nigdy i nigdzie nie spotkałem psa o tak różnorodnej maści, o takiej gęstwinie zmierzwionych kudłów i tak wszystko rozumiejących oczach. Spał z Zygzekiem, jadł i uczył się z nim pilnie, nie odrywając oczu od jego książek i zeszytów. Gnał z nim nocami do bramy, obszczekiwał każdego, kto usiłował przemknąć się nie dając jego panu należności za otwarcie bramy. Zygzek zapewniał, że Kolumb potrafi biec za takim na piętro, aż do mieszkania i wystrzepić cwaniakowi portki. Nikt z nas nie ośmieliłby się nie wierzyć Zygzekowi i nikt nigdy nie pomyślał nawet, że piątym w naszej drużynie mógłby być ktokkolwiek inny, a nie Kolumb. Poza tym wódz bez psa? To nieomal jak Zorro bez konia.

Zygzek tworząc drużynę — a odbyło się to na schodach tylnej klatki lewej oficyny — miał plan, który — mogę się do tego przyznać — spędzał mi sen z powiek. Zdecydowaliśmy wówczas wyruszyć do Afryki, aby w przepastnych, niesamowicie groźnych gąszczach dżungli założyć maleńkie państwko bez dziewcząt, nauczycielek i starszych od nas, gdzie można będzie do woli grać w piłkę.

Nie pamiętam, w którym momencie całą uwagę skupiliśmy na piłce nożnej. Już w pierwszych dniach wiosny przestaliśmy przesiadywać pod żelaznymi, strychowymi drzwiami i Zygzek z nieodstępnym gwizdkiem w ustach prowadził nas na pusty jeszcze w owym czasie plac pomiędzy garażem taksówkarza

306

Rojka i wielkim blokiem mieszkalnym. Nas, to znaczy mnie, Kazka i Felka.

O sobie, choć byłem drugim po Zygzeku, opowiem potem. Trzecim był Kazek z drugiego piętra. Kazek miał czuprynę nie mniejszą niż Zygzek, ale przy jego okrągłej twarzy wydawała się normalna. Okrągła, to najskromniejsze określenie jego twarzy. Księżycowa, pulchna, baniasta, pękata, dyniowata — nie sposób spamiętać wszystkich używanych przez nas określeń. Był tłuściochem. Jego mama napychała mu kieszenie bułkami z masłem, zapewniając, że przed meczem musi porządnie napełnić brzuszysko, że powinien grać jedynie w bramce, bo bieganie po boisku to strata sił. Kazek powtarzał nam to wszystko, nigdy nie przekraczając zakazów czy nakazów mamy. Rzeczywiście grał w bramce, jednak — według Zygzeka — nadawał się raczej na drążek przy bramce, niż na bramkarza. Ale było nas tylko czterech.

A poza tym lubiliśmy Kazka. Śmiał się razem z nami ze swoich tłustych nóg, bez trudu dawał naciągnąć się na cukierki wypychające jego kieszenie, nawet bułkami obdzielał nas i Kolumba. Umiął na pamięć wiele wierszy z wypisów klas wyższych, więc chętnie słuchaliśmy ich w niepogody, kiedy to nasza piłka leżała beczynnie w skrzyni-skarbcu.

Gdyby nie złote ręce Zygzeka, piłka ta leżałaby już od dawna na śmietniku, on jednak kładł na niej łatę przy łacie. Miała kształt ogromnego jaja. Nikt z nas kopnąwszy ją nie był pewien, dokąd polecą, niemniej jednak była piłką „niezgorszą”, a może nawet trochę lepszą od piłki Goryla i jego drużyny.

Kiedyś, po wysłuchaniu wyrecytowanej przez Kazka „Alpuhary”, Zygzek zdecydował: „Będziesz Alpuharą”. Kazek chwilę tylko próbował wywalczyć dla siebie imię Almanzora. Niestety, Zygzek zde-

29*

307

cydował inaczej, ja - jako drugi w paczce po Zor-ro-Zygzeku — zostałem Alman-Zorrem.

Czwartym był Felek. Felek słabeusz, ochrzczony przez wodza Słabiakiem, był chłopcem mizernym, może nieco tęższym od Zygzeka, ale bladym, sennie rozwlekłym, takim, którego nigdzie indziej jak na skrzydle nie postawisz, bo zanim dobiegnie do piłki, to ho, ho... Dwie cechy wyróżniały go spośród

nas. Był milczkiem, wydusić z niego słowo to wielki trud. Kto wie, może machnęlibyśmy na niego ręką, gdyby nie wyrok Zygzeka: „Wierny jak Kolumb!” Drugą wyróżniającą go cechą była bezwzględność przestrzegania godzin snu. O dziewiątej wieczorem Słabiak leżał już w łóżku. W lecie, kiedy siedzieliśmy na skrzyni-skarbcu i gawędziliśmy do dziesiątej i dłużej, on spał. Ta późna dla niego godzina była jedną z najprzyjemniejszych w kamienicy. Ganki roiły się od plotkujących kobiet. Całe życie kamienicy to te wieczorne pogwarki, plotki podawane sobie z ganku na ganek. Całe życie domu, wybuchające od czasu do czasu kłótniami, bardzo, ale to bardzo, pomnażającymi naszą wiedzę o ludziach i sprawach tego swata.

Muszę jeszcze, najskromniej jak potrafię, powiedzieć kilka słów o sobie. Mieszkaliśmy, jak Słabiak, na parterze. Tata był listonoszem. Mama przyjmowała bieliznę do reperacji, więc w naszej kuchni zbierały się kobiety z całego domu. Chodziłem do szkoły, jak wszyscy z naszej piątki, przepraszam — czwórki, bo Kolumb jednak nie chodził do szkoły, choć ślęczał nad książkami razem z Zygzekiem. Byliśmy z jednej budy i jednej klasy, uczyliśmy się jednakowo mizernie i, z wyjątkiem Słabiaka, razem przepadaliliśmy od czasu do czasu na wagarach. Myślę, że zewnętrznie nie wyróżniałem się niczym, ale w piłkę grałem, nawet w opinii Zygzeka, najlepiej z wszystkich, po pro-

308

stu zawsze byłem środkowym napastnikiem. Na pewno też więcej niż moi kumple obrywałem od ojca za zdierane do cna buciory i dziury w portkach, bo wzorem wielkich graczy obłudnie rzucałem się na piłkę, lądując często na ziemi. Moje spodnie domagały się ustawicznej naprawy, nigdy jednak nie osiągnęły takiej liczby łat, jak spodnie Zygzeka, czym się bardzo szczylił.

No i czas na moją historyjkę. Zaczęła się właśnie na owym twardym, nierównym boisku między garażem a blokami. Była druga połowa czerwca, szkoła — że użyję słów Zygzeka - już się na nas łuszczyła, niczym skóra po opaleniznie. Wolne popołudnia to nieustanny mecz aż do późnych godzin wieczornych.. Skład naszej drużyny, oczywiście poza kośćcem, czyli naszą czwórką, to byle kto. Każdy z równymi nogami i wolnym czasem nadawał się do wspólnego kopania, a amatorów było bez liku, młodszych o rok czy dwa, starszych o kilka lat, obojętne, byle wrze-pić drużynie Goryla jak najwięcej goli.

Goryl był czymś w rodzaju Zygzeka w jednej z niedalekich kamienic. Rozchełstany jak on, dziki, ale bez tego czegoś, co nas podporządkowywało Zygzekowi. Jego przewaga to niemal stała, może nawet mocniejsza od naszej, drużyna piłki nożnej. I to jeszcze, że był synem taksówkarza. Bywało, szczególnie po wygranym meczu, że pozwalał dotykać silnika ojcowskiej „Warszawy”, czasem nawet pomagać przy zmianie kół. Zygzek nigdy, ale to nigdy, nie korzystał z zaproszenia Goryla do

przejażdżki po ulicy. My korzystaliśmy, pilnie bacząc, aby znaleźć się wtedy poza zasięgiem wzroku Zygzeka.

Otóż w jedno z wczesnych czerwcowych popołudni Goryl oświadczył:

— Za dwa tygodnie wyjeżdżam na kolonie.

309

— My także — odpowiedzieliśmy równie dumnie jak on.

— No, to czas ustalić miejsca w tabeli. Musimy rozegrać mecz najgłówniejszy, żeby wiedzieć, kto jest mistrzem ulicy — powiedział patrząc prosto w oczy Zygzeka.

Czekaliśmy na jego odpowiedź.

— Zrobione — Zygzek odpowiedział tak swobodnie, jak gdyby chodziło o wypicie szklanki oranżady. — Kiedy?

— Sobota. Za dwa tygodnie. W niedzielę wyjeżdżam.

Ustalono jeszcze skład zespołu sędziowskiego: mój brat Wacek, brat Goryla i — jako autowi — Rysiek z bloków, a drugi niejaki Kula, syn kierowniczkii sklepu. Chłopakowi mama nie pozwalała grać z nami, uważała Zygzeka za bandytę, rzezimieszka, chuligana i jeszcze gorzej. Ale jako sędzia autowy Kula mógł ze spokojnym sumieniem oświadczyć mamie, że należał do drużyny Goryla.

Tego wieczoru siedząc na skarbcu nie słyszeliśmy nic z gankowych pogaduszek. Mistrzostwo ulicy — oto co nas oślepiło, rozgrzało aż do prawdziwych potów. Trzeba trenować i trenować. Przed wszystkim jednak ustalić skład osobowy drużyny.

— Zostawcie to mnie — zdecydował Zygzek. Zostawiliśmy.

— Zygzek, ale przecież nie będziemy grać tą szma-cianką. Musimy mieć prawdziwą piłkę, taką jak w składzie sportowym na Granicznej.

— Będzie — padło z ust wodza.

— Będzie? — o nie, tu nie wystarczył ton pewności. - Skąd?

— Jeszcze nie wiem — wzruszył ramionami wódz. — Ale mówię, że będzie.

310

— Kosztuje trzysta dwadzieścia złotych. Z duszą i zapasowym rzemykiem — ostrzegł Kazek.

Znaliśmy cenę piłki. Nie jeden i nie dwa razy wlepialiśmy oczy we wspaniałą, wielką, żółtobrunatną piłkę, leżącą sobie spokojnie pomiędzy rozmaitym sprzętem sportowym na wystawie sklepu. Tylne okno magazynu tego sklepu wychodziło wprost na leżący pomiędzy dwoma podwórzami ogródek matki Słabiaka. Znaliśmy to okno zakratowane, nieprzystępne, zalatujące zapachem garbowanej skóry. Nieprzystępne nie tylko z powodu kraty, ale przez niemal stałą obecność w ogródku matki naszego Felka, żony piekarskiego czeladnika czy mistrza, chodzącego codziennie wieczorem do pracy w jednej z piekarń na przedmieściu.

O dziesiątej ściągnięto nas wołaniem z okien i ganków do mieszkań i sprawa piłki została odłożona do następnego spotkania.

Następne spotkanie miało miejsce w ciemnej klatce lewej oficyny, pod zardzewiałymi, żelaznymi drzwiami, bo siąpiło od rana i to tak beznadziejnie, jak gdyby pierwszy pogodny dzień miał przypaść na początek przyszłego roku szkolnego. No i do tego awantura z bratem, który zobaczył mnie i Kazka stojących dobry kwadrans przed oknem wystawowym sportowego sklepu. Zapatrzeni w piłkę nie czuliśmy strużek deszczu wlewających się za kołnierze. Moja bardzo nieszczelna teczka chlupotała wodą. Może gdyby Zygzek przyszedł z jakimś rewelacyjnym, podrywającym nas do działania planem, rozchmurzylibyśmy się, może zapomnielibyśmy o przylegających do siedzeń mokrych spodenkach. Wódz jednak potrząsnął tylko kilkunastoma monetami w dłoni:

— Razem osiemnaście złociszów — i tyle miał do powiedzenia.

311

Reszty oczekiwał od nas. Swoje osiemnaście złotych uciął z tak zwanych „szper”, czyli opłat za otwarcie bramy.

— Dobryś — mruknął Kazek — bo masz bramę. A my co?

— Macie matki — powiedział wódz.

— Wiesz, co mi moja może dać? Żeby ci nie musiał pokazać — wzruszył ramionami Kazek.

Ja również oświadczyłem, że nie odważyłbym się prosić o forszę. Mama może wyskrobałaby jakieś zło-cisze, ale tata, ale brat... Nie, nie, to żaden pomysł...

— Najwyżej — zaproponowałem — możemy sprzedać wszystko, co w skarbcu. Ale ile tego?

Rzeczywiście. Ileż tego mogło być? Do skarbcza wrzucaliśmy od czasu do czasu trochę znalezione

gdzieś żelastwa, porwaną z kredensu butelkę lub kilka szmat z szafy. Od czasu do czasu zebrano się tego na „ciacho” albo lody, ale piłka? Nie. Gwiazda Zygzeka mocno przybladła, kiedy oświadczył z wydętymi wargami :

— Jak tak, to „nici” z meczu. Niech się Goryl udławi swoim mistrzostwem.

Milczeliśmy. Nagle Słabiak zapytał, jak to on, spokojnie i bez ciekawości:

— Ile kosztuje kilo drożdży?

— Drożdży? — rozdziawiliśmy wrota duszy. — Gorzej ci, Słabiak?

— Drożdży — przytaknął.

— Ale co ma piernik do wiatraka? — zirytowałem się. — Ten jak wystrzelił, to zawsze z jakimś głupstwem, że tylko udławić się.

Zygzeek wwiercił w Słabiaka swoje brunatne ślepie:

— Skąd ci te drożdże przyszły do głowy?

— Tak sobie. Znikąd.

312

Na tym skończyła się nasza narada i zapewne równie ponuro skończyłby się ten deszczowy dzień, gdyby Zygzek nie wygwizdał mnie w dwie godziny później z mieszkania. Czekał już z Kazkiem i Felkiem w bramie lewej oficyny. Skinieniem ręki nakazał pójście do dozorcówki.

Duszno było w tej izbie, w której największy luksus stanowiła naga żarówka, szara od muszej pracowitości. Duszno od nagromadzonych pod łóżkiem i w kątach izby rzemieni, płatów skóry, starych trzewików. Było tam nawet chomąto z czasów, kiedy to pan Walenty był właścicielem jednokonnej platformy. Nawet Zygzek nie pamiętał czasów tej wspaniałości.

Skupieni wokół wodza, przycupnięci na prawdziwie szewskich zydelkach, słuchaliśmy z ogniem na policzkach. Zygzek opowiadał, że korzystając z nieobecności piekarskiej przesmyknął aż pod otwarte szeroko okno magazynu sklepowego.

- Kraty, jak w więzieniu, mocne, grube. Patrzysz, a tam tyle piłek, nasadzonych jedna na drugą, jak czapki, tyle rękawic bokserskich i butów! Chyba dla stu drużyn. Oczu nie oderwiesz. Wszystko na półkach, a półki daleko, nawet najdłuższa ręka nie dosięgnie.

Oczy Zygzeka błyszcząły jak świece. Widzieliśmy te skarby jego oczami.

- Więc co?

Obok owych piłek i rękawic, butów i trampek Zygzek zobaczył sterty kąpielówek. One natchnęły gonie, zanim natchnęły, podniósł Kolumba, próbując precyzyjnie go przez kraty. Kolumba wystarczyłoby pouczyć, a zaaportowałby pifeę. Trzeba by go jednak przedtem ostrzyć i przegfodzić, bo wąsko. Już miał odejść, kiedy zobaczył te kąpielowe majtasy.

- Ty i Kazek pójdziecie kupować kąpielówki. Za

313

I te osiemnaście złociszów. Sprzedawca poda wam je z półki w sklepie. „Dobra — powiecie — ale trzeba zmierzyć koniecznie”. A gdzie zmierzyć, jak nie w magazynie, bo przecież nie przed ladą na oczach ludzi. Wtedy sprzedawca powie: „Dobrze, mierzcie w magazynie”. Sam pójdzie do magazynu, albo nie pójdzie. Trzeba właśnie wybrać taką chwilę, kiedy nie będzie mógł, czyli odczekać, aż co najmniej kilku klientów będzie od niego czegoś żądać. Pewnie, że może się udać albo nie, ale jak się uda, to jeden z was będąc już w magazynie doskoczy do piłki, chwyci ją, wsunie między kraty, a ja, przyczajony pod oknem, jednym ruchem ręki... no, rozumiecie? A potem przymierzycie sobie maj ty... i albo kupicie, albo nie. Lepiej nie, bo pieniądze przydadzą się na kupno duszy do piłki. Nie widziałem dusz na półkach, więc zapewne sprzedawca trzyma je w sklepie.

Nie odrywaliśmy oczu od Zygzeka. Kolumb również. Ale tylko on jeden był uradowany genialnością wodza, bo my, co tu gadać, my, to znaczy ja i Kazek odczuliśmy dreszczyk strachu. Nie zdobyłem się jednak na protest, choć bardziej nęciło mnie czatowanie pod oknem niż porywanie piłki. Kazek również milczał, ale Zygzek zrozumiał nasze milczenie tak właśnie, jak powinien rozumieć je wódz. Stabiak siedział cicho z wypiekami na twarzy jak my, choć właściwie mogło go to wcale nie obchodzić.

— Masz — Zygzek podał mi mały, wytarty pugila-resik z pieniędzmi.

— Ty będziesz kupować.

— Nie — odruchowo odtrąciłem pugilares, odruchowo wykrztusiłem:

— Ja nie.

— Rozkaz! — Zygzek podniósł się. — Rozkaz, mówię!

314

— O rany! — zalabidził Kazek. — Przecież, jak nas złapią, to wyleją z budy. I to teraz, przed świadectwami. Zygzek, przecież...

— Jak nie wpuści was do magazynu, to wróćcie i z głowy. A jak wpuści, to nigdy nie doliczy się swoich piątek. Taka ich kupa, że aż...

Patrzyliśmy w ziemię. Zygzek zakomenderował:

— Wstać!

Sam wstał. Kolumb również.

— Niech każdy podniesie prawą rękę do góry i dwa palce, o tak.

— Przysięgać? — zdziwiłem się. — Tego jeszcze nie było.

— Będzie! — oświadczył stanowczo i podnieśliśmy palce.

— Żeby nikt nie doczekał jutra, jak piśnie słowo, wszystko jedno czy bratu, czy matce, czy ojcu.

— Dobra! — zgodziłem się bez wahania. — Przysięgam. Przysięgnij, Kazek.

— Przysięgnę. Felek-Słabiak też.

— A Kolumb, Kolumb? — zapytałem, bo nagle mój pierwszy strach przepadł i cała historia wydała mi się zabawna.

Ale nikt się nie roześmiał. Kazek nawet odwrócił się w stronę drzwi, jak gdyby chciał wiać.

Wtedy Zygzek jeszcze raz roztoczył przed nami swój plan, ze szczegółami, z których każdy wydawał się łatwy, wyzbyty ryzyka, po prostu błahey. Chodziło przecież o rzecz tak prostą, jak kupno kąpielówek, a cała reszta uzależniona była od sytuacji. Przy sprzyjającej nie było żadnego ryzyka, przy nie sprzyjającej w ogóle nie było o czym gadać.

On, oczywiście, poszedłby do sklepu sam, ale sprzedawca zna go, to raz, a dwa — nie uwierzy, że on, Zygzek kupuje majtki kąpielowe. Nawet gdyby uwierzył,

315

przyjrzałby się jego pieniądzom, czy nie fałszywe. Zygzek jasno zdawał sobie sprawę z opinii, jaką cieszył się w środowisku, w którym żył.

— Ty — Zygzek wskazał na Kazka — będziesz mierzył, boś grubas i nie w każde porty się zmieścisz.

Kazek był już przekonany. Ostatecznie będzie mierzył, bo przecież ja, nie on, miałem sięgnąć po piłkę i wcisnąć ją między kraty.

— Dobra, Zygzek, niech ci będzie — wystękałem. — Ale za to damy wciroy Goryłowi, że raj nie ziemia.

Wtedy Słabiak powiedział wolno, jak gdyby dopiero teraz zrozumiał, o co chodzi:

— Będziecie złodziejami.

— Ja nie! — Kazek wyciągnął przed siebie ręce w proteście.

— Zamknij się, też wymyśliłeś. Przecież nie kradniemy, a bierzemy, nie dla siebie, a dla sportu. Nie rozumiesz, bęcwale? Gdybyśmy chcieli sprzedać, to tak, aFe... — Zygzekowi brakło słów.

— Mama nie wpuści cię do ogrodu — powiedział spokojnie Felek.

— A właśnie, że jej tam nie będzie, bo przed wieczorem w sklepie najwięcej gości, a ona wtedy w domu.

— Ja jej powiem. Że też Słabiak miał tyle odwagi.

— Przysięgałeś! — ryknął Zygzek. — Przysięgałeś, nie?!

— Ja jej powiem — Słabiak powtórzył to równie spokojnie, jak poprzednio.

— No, to pruj stąd, ale natychmiast! — Zygzek wskazał drzwi. — Psiakrew, zawsze mi cuchnąłeś tchórzem! Wiej, mówię!

Słabiak jednak nie wiał. Nawet zjeżona sierść Kolumba nie podziałała na niego, choć pies wyszczerzył

316

zęby, czekając na znak swojego pana. A warczał już, że strach było słuchać.

— Ile kosztuje kilogram drożdży? — zapytał, jak przed kilkoma godzinami na schodach lewej oficyny.

— Wypchaj się, idioto, swoimi drożdżami — Zygzek niemal równie wściekle jak Kolumb warknął na Słabiaka.

— Bo ja... — Słabiak nagle zdecydował się: — Zaczekajcie do jutra.

— Pewnie, że zaczekamy — roześmiał się Zygzek. — Przecież w ogóle mamy to zrobić dopiero jutro. Ale jak jeszcze raz wyleziesz z tymi twoimi drożdżami, to słowo honoru...

— Ja nie chcę, żebyście kradli — powiedział Słabiak.

Zygzek zgarnął mu koszulę pod szyją, potrząsnął nim i wykrztusił prosto w twarz:

— Nie wyleziesz od dentysty, jak raz jeszcze, raz jedyny...

Odciągnąłem Zygzeka.

— Jak się nikt nie dowie, to nie będzie kradzieży, ale jak się dowiedzą, tośmy złodzieje. Brat zatłucze mnie na śmierć. Ale się nie boję. Nie chcemy na handel — dorzuciłem już pod ostrym spojrzeniem wodza.

— Będziecie złodziejami — powtórzył Słabiak, zupełnie obojętny na pogrożki Zygzeka. Ten rzeczywiście machnął tylko ręką jak Kazek i roześmiał się.

— Ale zagrasz z nami nowiutką piłką, co?

— Zygzek — zakłopotał się Kazek — ludzie zobaczą nową piłkę. Goryl zobaczy, wszyscy zobaczą...

— A co — roześmiał się Zygzek — mało to piłek na świecie, mało sklepów, mało pieniędzy? Piłka będzie moja, mój tata potwierdzi, że kupił.

317

— Zaczekacie do jutra? — zapytał raz jeszcze

Słabiak.

— Przecież nie dziś, człowieku — Zygzek był już w dobrym nastroju, już wtłoczył ręce zwinięte w pięści do swoich wypchanych kieszeni, już miał minę cwaniaka.

— No, to jazda, a para z gęby, to wakacje u dentysty.

Wyszliśmy pojedynczo, nie zauważeni przez nikogo.

Pamiętam, że po powrocie do domu mama zapytała z troską, czy mam jakieś zmartwienie, brat przyjrzał mi się tak uważnie, że drobniutkie ciarki przeszły mi pod skórą. Jedynie tata, sam zziębnięty po wielogodzinnej wędrówce z torbą pełną listów, powiedział:

— Dajcie mu herbaty, pewnie zmókł na boisku, widziałem tam kilku kopiących piłkę. Takim deszcz

nie przeszkodzi.

Wypiłem herbatę, bo kazali. Bałem się tego jutra.

Trudna to była noc i ten następny ranek. Gramoliłem się ze snu, jakby ciężkie powietrze wtłaczało mnie z powrotem w pościel. Brat, a sypialiśmy wtedy w jednym pokoju, kilka razy pytał mnie o coś w nocy. Słyszałem głos, a nawet pojedyncze słowa, ale i oczy, i usta miałem zalepione snem. I strachem. Gonił mnie ten ze sportowego sklepu, waliła we mnie ogromna skórzana piłka, darł się Felek, a Zygzek stał nieruchomo na mojej drodze. Czekał. Wiem, że czekał, choć nie otworzył ust.

Wracaliśmy ze szkoły, Zygzek, Kazek i ja, rozmawiając o czymś, o czym zapomina się natychmiast po wypowiedzeniu.

Zygzek rozkazał: - Chłopaki, idziemy popatrzeć na piłkę.

318

Kazek spojrzał na mnie, ja na Kazka. Zatrzymaliśmy się przed sklepem, zobaczyliśmy panienkę podającą z półki białą koszulkę sportową. Kobieta sprzed lady podeszła z koszulką do drzwi. W sklepie nie było kierownika.

— No, widzicie — powiedział Zygzek.

Byłem zadowolony, kiedy ruszyliśmy dalej. Zygzek ironizował:

— Z wami to kozy paść. Wcale nie musicie. Obejdzie się. Rozwiążuję drużynę.

— Takiś głupi, jak ten drąg — Kazek wskazał na słup telegraficzny.

— Tyś głupi — rozeźlił się Zygzek. — A jak chcesz, to ci powiem dlaczego. Boisz się! — i pobiegł przed siebie.

Nie pogoniliśmy za nim.

Kazek miał dwa złote, więc poszliśmy na lody. Nawet dobrze, że Zygzek uciekł, bo musielibyśmy się z nim podzielić. A on jak liźnie, to od razu pół porcji. Dobrze i z tego powodu, że nie chciałem wstąpić do niego.

Nie chciałem, a jednak musiałem. Już trochę nudziło mi się, kiedy przyszedł Felek-Słabiak. Mama myła naczynia w kuchni, brat na wykładach, tata chodził jeszcze z torbą. Mówię o tym, bo Felek zapytał mnie, czy nie ma nikogo w domu, potem wyjął spod bluzy dwie duże kostki drożdży, każda, jak mówił, po pół kilograma. Bardzo przyjemnie pachniały.

— To na piłkę — powiedział cichutko. — Jutro mogę więcej.

— A jak się robi z tego piłkę? — zapytałem głupio.

— To się sprzedaje, tylko nie wiem za ile — wyszeptał Felek.

— Komu? Może mama...

319

— Nie! — zatrzymał mnie, a już chciałem biec do kuchni. — W domu nikt nie potrzebuje tyle drożdży. To na sprzedaż w sklepach.

— W sklepach? — trzymałem te dwie kostki w rękach i nic, najzupełniej nic, nie rozumiałem. — Ale skąd te kostki, twoje?

— Nie śmiesz powiedzieć nikomu, że ja, że ode mnie... przysięgnij, że nie powiesz. Musisz. Jak nie to... — i wyciągnął ręce, jakby chciał je zabrać.

— Nie powiem — oświadczyłem, nie wypuszczając kostek z rąk. — Ale mnie musisz powiedzieć.

— Mam i już. Chcesz, to sprzedaj, a jak nie, to oddaj. Ja właśnie dlatego... żebyście nie musieli zrobić tego w sportowym sklepie — jąkał się, ale mówił stanowczo. — Nie śmieście. Ja nie chcę.

— No, to chodźmy do Zygzeka... — nic innego nie mogłem wymyślić.

Zgodził się. Poszliśmy. Zygzek wyduł wargi:

— Też coś, przecież to tyle, co nic. Wiesz, ile takich kostek musiałbyś przynieść? Co najmniej dwadzieścia.

— Przyniosę. A nie pójdziecie do sklepu sportowego?

Zygzeka zupełnie nie interesowało, skąd te drożdże. Chciał wiedzieć, kiedy Felek może mieć następne kostki.

— No, nie tak od razu. Trochę jutro, trochę pojutrze i jeszcze znowu... aż wystarczy — jąkał się Felek.

Zaimponował mi ten Zygzek. Wszystko zrozumiał, niczego się nie bał.

— Pójdiesz do tej wiedźmy Kulowej, tej ze spółdzielni — zdecydował zwracając się do mnie. — Najpierw zapytasz, ile kosztują drożdże, nie kilo, ale pięć

deka. My sobie obliczymy, ile wart kilogram. I nic nie tłumacz, tylko zapytaj.

— Mogę zapytać mamy — zaproponowałem.

— Kulowej — rozkazał Zygzek i nie było o czym gadać.

Felek poszedł sobie. Raz jeszcze kazał nam przysiąc, że nikt nie dowie się, od kogo te kostki, i poszedł. A ja pobiegłem do Kulowej. Miałem szczęście. Nie było jej. Jedna ze sprzedawczyń powiedziała, że tyle, a tyle.

Zygzek w mig obliczył, za ile takich kostek kupimy piłkę. Na dętkę mamy jego osiemnaście złotych. Ale drożdże sprzedamy w innym sklepie.

— Ty pójdziesz — broniłem się.

— Nie! — zdecydował Zygzek. — Ja mam gębę Człowieka Prerii — powiedział i już było po dyskusji.

Poszedłem, bo jakże inaczej, ale wziąłem ze sobą Kazka. Zgodził się z ochotą. W drodze do tego dalekiego sklepu było nam wesoło. Podskakiwaliśmy, ścigaliśmy się, w pewnej chwili wyciągnąłem się jak długi na ziemi. Kostki drożdży nieco się spłaszczyły. Wyklepaliśmy je jakoś.

Przez dobrą godzinę dreptaliśmy przed sklepem, czekając aż wyjdą kupujący. Sklep był duży i bardzo elegancki, niepodobny do tego Kulowej. Wreszcie jedna z młodych sprzedawczyń zaczęła pudrować sobie nos, a druga gdzieś się zapodziała. Weszliśmy.

— Chcemy sprzedać — powiedziałem niezbyt odważnie, pokazując drożdże.

Ledwie wytrzymałem jej spojrzenie. Jeszcze chwila, a krew tryśnie mi z policzków.

— Przecież to nie gryzie — powiedział Kazek i roześmiał się.

— Właśnie — i ja wybuchnąłem śmiechem.

21 — Wiele dróg

Ona już się nie pudrowała. Wzięła w ręce obie kostki.

— My chcemy za to... — zacząłem.

— Chwileczkę — powiedziała łagodnie. — Przecież muszę zapytać szefa — i zniknęła w drzwiach za ladą.

— Zgodzi się — szepnął mi w samo ucho Kazek. — Zobaczysz.

Zobaczyliśmy panienkę i szefa. Panienka pozostała za ladą, a szef stanął przed nami.

— Kupię, ale musicie powiedzieć, skąd macie te drożdże — poprosił grzecznie.

— Niemożliwe — oświadczyłem stanowczo.

— Dostaliśmy od jednego, co tym handluje — dorzucił Kazek.

— Właśnie, ale kto tym handluje? — chciał wiedzieć kierownik. — Albo wiecie co? Podajcie mi wasze nazwiska, a ja wpiszę sobie, że kupiłem od takich to, a takich.

— Dobra — zgodziłem się. Kazek kuksnął mnie w bok.

— Prujemy — szepnął.

Zaledwie zdążyłem zrozumieć jego pośpiech, a już był przed zamykanymi na klucz drzwiami. Kierownik odepchnął go.

— Albo adres handlarza, albo milicja. Ryknąłem płaczem.

— Nie wyj! — powiedział kierownik, a panienka zza lady podsunęła mi kawałek papieru!

— Wytrzymaj nos. I nic się nie bój. Wcale nie wyglądasz na złodziejaska ani twój kolega. Popatrz, on nie płacze. Powiedz tylko, jak się nazywasz?

— Jasne, że nic wam nie będzie — dopowiedział kierownik. — Chcę tylko wiedzieć, jak się nazywacie, abym mógł przesać wam pieniądze.

322

Ja pierwszy wystękałem moje imię i nazwisko. Kazek na pewno nie zdradziłby niczego.

W powrotnej drodze długo wbijałem Kazkowi do głowy, że kierownik zawołałby milicję, że dostalibyśmy się do kryminału, ale Kazek był nieprzejeđnany.

— Ja rozbiłbym szybę w drzwiach, ja uciekłbym... ja wyskoczyłbym, ja... - był roztrzęsiony, nie słyszał, co mówię.

Od razu pobiegł na górę do mamy i na pewno opowiedział jej wszystko, wszyściuteńko.

Wpadłem do Zygzeka. Właśnie reperował jeden ze swoich bucików. On już przygotowywał się do wielkiej rozgrywki. Wysłuchał mojej relacji. Wysłuchał jej jak powinien słuchać wódz, bez mrugnięcia okiem. Nawet się nie zdziwił.

— Też mi coś — wydał te swoje dziwne usta. — Powiesz, że znalazłeś na ulicy, może komuś wypadły z torby. Też coś...

I moje rozplakane, przewilgocone łzami wnętrze nagle wyschło, jak pod działaniem słońca.

— Jejku, czemu nie wpadłem na to?

— Boś idiota — zakomunikował mi wódz. — Maminsynek. Kazek niech mówi w razie czego to samo:

Daremnie gwizdałem na Kazka. Nie zjawił się na ganku, musiałem iść do niego. Leżał na łóżku, patrzył w sufit. I jemu pomysł Zygzeka wydał się genialny.

— Myślisz, że bałem się o siebie? — oświadczył już zupełnie rozpozgodzony. — Wcale a wcale. O Felka się bałem. Oni by go zabili.

Oni, to jego rodzice... Domyśliłem się bez pytania. A ja bałem się tylko o siebie. Nie pamiętałem o niebezpieczeństwie grożącym Felkowi. Bałem się o siebie. Ale żywo przytaknąłem Kazkowi:

— Pewnie, że chodziło o Felka. Oni by go zabili.

323

Ale dlaczego? — zastanowiłem się. — przecież mógł naprawdę znaleźć.

— Idioto! — postyszałem po raz drugi. — Przecież obiecał dać jeszcze. Myślisz może, że drożdże znajduje się jak grzyby w lesie?

Wieczorem tata aż poklepał mnie po ramieniu:

— Dobrze robisz, że czytasz. Przynajmniej nie zdierasz butów.

I znowu było jedno z tych przedpołudni szkolnych, w czasie których nadokazywaliśmy się bez umiaru. Wywietrzała mi z głowy piłka i drożdże, i wysoki kierownik, zapisujący nasze nazwiska.

Bardzo mi było dobrze, kiedy wracaliśmy do domu, zwolnieni z dwóch ostatnich lekcji. A najlepiej kiedy mój brat, Wacek, zaofiarował mi dwa bilety do cyrku. Dwa, dla mnie i dla jednego z moich —

jak powiedział — nieodstępnych kumpli. Zdał jakiś ważny egzamin na tym swoim uniwersytecie, więc cieszył się i był dobry... I on, i mama, i tata. Są takie dni, kiedy wszyscy są o wiele lepsi, niż codziennie. Nie wiedziałem komu ofiarować drugi bilet, choć właściwie wiedziałem, ale... oczywiście, że wiedziałem. Komuż innemu, jak nie Zygzekowi, ale, i to też wiedziałem, że wolałbym Kazkowi. Tak naprawdę zawsze bardziej lubiłem Kazka niż Zygzeka. Zygzek był jednak pierwszym, a ja drugim. To zobowiązywało.

Wychodząc z mieszkania nadziałem się na Felka. Już miał nacisnąć dzwonek u naszych drzwi. Znowu, jak dnia poprzedniego, zapytał szeptem, czy jest ktoś w domu. Ktoś, to brat albo ojciec. Wciągnąłem go do pokoju, a ten wyjął spod bluzy dwie kostki drożdży, jeszcze mocniej pachnące niż te wczorajsze.

— Masz. A co z tamtymi? Sprzedaliście?

Chyba nigdy jeszcze nie widział głupszej miny niż moja, bo wybałuszył ślepią i wystękał:

324

— Mówże, stało się coś?

Paczki zadygotały mu w rękach, upuściłby je chyba na ziemię, gdybym mu nie odebrał.

— Fajno było, Słabiak, żebyś wiedział jak fajno! — i bardzo szybko dodałem: — Ale, wiesz, teraz nie mam czasu. Już muszę lecieć.

— Leć — zgodził się. — Ale ja naprawdę...

Nie dałem mu skończyć. Wiedziałem, że nie powinienem powiedzieć o wczorajszym, choć nie zastanawiałem się dlaczego.

— Och, żebyś wiedział, jak było fajno — powtórzyłem raz jeszcze i wsunąłem obie paczki pod bluzę.

— Prujemy, Słabiak.

Już w podwórzu powiedziałem:

— Idź do domu, potem zagwiżdżę — i zostawiłem go przed drzwiami dozorcówki.

Z Zygzekiem szkoda było tego dnia rozmawiać. Dostał od stolarza Marcina wspianiałe, heblowane drążki, każdy co najmniej półtorametrowej długości i teraz pracownicy smarował je czerwoną farbą. Nie miał pędzla, farbę rozprowadzał palcami.

— Ty — cieszył się — popatrz, jakie będziemy mieli bramki. Czerwone dla nas, zielone dla Goryla. Mówię ci, będzie mecz nad mecze, nie mam jeszcze zielonej farby, ale coś wymyślę.

— A ja mam drożdże — wyłożyłem obie kostki na stół.

— Drożdże? — spytał, jak gdyby nie rozumiał, po co mu je przyniosłem.

— Od Felka.

— Co mi po nich? — nie przerywał swojej roboty. — Twoja sprawa.

— Ale, Zygzek, przecież ja... przecież my nie pójdziemy z drożdżami do tego sklepu. Przecież nie możemy...

325

— O, jołopie! — wyprostował się na chwilę. — Masz rozkaz wodza.

— Nie jesteś wodzem tylko durniem i nie pójdziesz ze mną do cyrku!

— Cooo? — paskudnie czerwonymi łapskami zamachał mi przed oczami. — Coś ty powiedział?

— Że ja nie pójdę z drożdżami! — Skoczyłem w stronę drzwi i już pędziłem do Kazka.

Wyżaliłem mu się i powędrowaliśmy do cyrku. Znowu było nadzwyczajnie. Zygzek wydał się nam śmieszny, mecz o mistrzostwo obojętny. Kazek powiedział przy pożegnaniu:

— Tylko z tobą jest tak klawo.

Zaraz po kolacji Wacek przydybał mnie w naszym pokoju. Siedziałem z książką, a on przysiadł się do mnie i od razu:

— Słuchaj, ale bez blagi, co to za drożdże, skąd, po co?

Jak zacznę kręcić, to zawoła ojca, a miałem już okazję do zaznajomienia się z jego ręką.

— Dobrze — powiedziałem. — Wszystko ci opowiem, tylko jednego nie, choćbyś zabił.

To „jedno” miało chronić Felka. Opowiedziałem o meczu, o osiemnastu złotych Zygzeka i sklepie tego przekłętego kierownika. Wacek patrzył mi w oczy, tak jak to tylko on potrafi. Może pod wpływem tego wzroku moje opowiadanie wydało mi się bardzo biedniutkie. I zapewne z tego powodu wydusiłem z siebie także naszą wielką, wspólną tajemnicę o zamiarze zdobycia piłki ze sklepu sportowego.

— To wszystko? — zapytał, kiedy nareszcie zamilkłem.

— A co, mało? — zaśmiałem się sztucznie. — Tylko, jak powiesz starym, toś świnia. Albo Zygzekowi. Albo Kazkowi. Albo Felkowi.

326

— Nie. Ale tobie powiem, żeś szczeniak i głupiec. I że nie powiedziałaś najważniejszego. Skąd te drożdże?

— Tego ci nie powiem, choćbyś zabił. Przysięgam.

— Dobra, niech ojciec posłysz...

— Wacek! — zerwałem się. — Nie masz prawa, to tajemnica.

— Wiesz co — Wacek położył mi rękę na ramieniu — może masz rację. Tajemnica to święta rzecz.

— No, właśnie — odetchnąłem z ulgą.

— Są jednak dobre, szlachetne tajemnice, takie, które mogą pozostać własnością wtajemniczonych i są też takie, których nie wolno zatrzymywać dla siebie, właśnie dla dobra wtajemniczonych. Drożdży nie znajduje się na ulicy. Są czyjąś własnością. Ktoś za nie zapłacił. Jak zachowałbyś się zobaczywszy w tramwaju człowieka wyciągającego pieniądze z czyjejś torebki?

— Narobiłbym gwałtu — stwierdziłem stanowczo.

— A przyjąłbyś od takiego złodzieja pieniądze za milczenie?

— Coś ty, Wacek. Przecież nie jestem świnia.

— No, to mów, skąd te drożdże?

— Wacek, nie mogę, jak Boga kocham, nie mogę... on mi zaufał...

— Zaufał ci, bo broni swojego honoru, swojego dobrego imienia. Zapewniam cię, że lepiej obronisz jego honor i dobre imię mówiąc mi wszystko. Zygzek?

— Nie. I nie Kazek.

— No, to Felek? Już dobrze, nic nie mów, poznają po twojej minie. Wszystko pozostanie między nami.

— Naprawdę? — olbrzymi kamień spadł mi z serca. Wacek, wiedziałem o tym dobrze,

dotrzymywał słowa.

Już bez skrępowań, bez cienia wątpliwości opowiedziałem o Felku, jak oświadczył, że zabierając piłkę z magazynu zostaniemy złodziejami i żebyśmy przy-

327

rzekli, że tego nie zrobimy, a on pomoże nam kupić ją za pieniądze.

Wacka zdziwiło to aż tak bardzo, że musiałem kilkakrotnie powtórzyć mu słowa Felka. Bo jakże to, sam przecież kradł komuś te drożdże, a nas ostrzegał przed kradzieżą? To nie było ani jasne, ani proste. Tam i z powrotem chodził długimi krokami po pokoju, tam i z powrotem, tam i z powrotem. Nie mogłem doczekać się jego pierwszego, po tej mojej denuncjacji, słowa.

— No, Wacek, Wacek, przestań chodzić, powiedz coś, siadaj...

— Słuchaj uważnie. Nie, lepiej będzie jak powiem to tobie i Zygzekowi.

— Zygzek? Przecież ty go nie lubisz.

— Idź, zobacz, czy jest w domu. Jak jest, to... to ja tam do was przyjdę — zbliżył się do okna. — Świeci się. Skocz... i jeśli jest sam, bez ojca, zostań. Jeśli nie, wracaj natychmiast.

Pobiegłem bez cienia wyrzutu, że podzieliłem się z Wackiem tajemnicą zaprzysiężoną wodzowi. Stanąwszy w progu dozorcówki nie wiedziałem, od czego zacząć. Zygzek nawet się do mnie nie odwrócił, zajęty praniem koszuli. Oparte o brzeżek krzesła suszyły się dwa czerwone i dwa zielone kijki. Na stole leżały obie zostawione przeze mnie paczki drożdży.

— Ty, Wacek chce...

— Jesteś zdyskwalifikowany — powiedział nie odwracając się Zygzek.

— Słuchaj, Wacek musi...

— Jak musi, to przecież może u siebie — zarechotał już jednym bokiem zwrócony do mnie. — A może powiedziałeś, że...

— Powiedziałem.

Gdyby Zygzek przyjął mnie inaczej, na pewno

328

ostatnie słowo zabrzmiałoby lękliwie, może nawet nie zdobyłbym się na wypowiedzenie go, ale teraz zabrzmiało tak mocno... Zygzek w mgnieniu oka znalazł się przede mną z rękami oblepionymi mydlaną pianą.

W tej chwili otworzyły się drzwi. Zygzek cofnął się, wytarł ręce o spodnie. Wacek przez chwilę usiłował, prawdopodobnie, odgadnąć, co między nami zaszło.

— Siadaj, Zygzek - sam usiadł na jednym z zydli. — I ty także.

Wizyta Wacka była wielką dla Zygzeka niespodzianką. Niemal pokornie usiadł, ale starczyło tej pokory na jedną chwilę, zaraz zapytał:

— Jak się ma takiego gościa, to...

— To -się milczy i czeka, z czym przyszedł - powiedział Wacek tak uprzejmie, jak nigdy w domu. -Przyszedłem do ciebie po radę, boś niegłupi i uczciwy. Musimy w trójkę coś postanowić.

„Niegłupi”? „Uczciwy”? Zygzek chyba nie słyszał jeszcze takich słów od żadnego z dorosłych w tej kamienicy.

— Lubię kwiatki, ale w maju, lubię ptaszki, ale w gaju - powiedział, lecz już zwyczajnie.

— A ja właśnie przyszedłem i z ptaszkiem, i z kwiatkiem - uśmiechnął się Wacek.

— No, to puszczaj parę — Zygzek klepnął się w kolano. — Żeby mi tylko woda nie wystygła, bo piorę koszulę.

Wacek opowiedział najpierw o wizycie jednego takiego, który wie, czego szuka. Ten ktoś pytał o tych, co to z drożdżami przyszli do sklepu i czy może powiedzieć, skąd je wzięli. Odpowiedział, że chyba znaleźli, bo zna obu, nigdy nie kradli. Na tym chwilowo się skończyło. Wacek podkreślił, że chwilowo.

329

Mógłby może wskazać palcem tego właściwego. Nie chciałby jednak skrzywdzić chłopaka, bo najczęściej winne są tak zwane okoliczności. Wacek powiedział, że od nas chce, abyśmy pomogli mu przyjrzeć się tym okolicznościom.

Otóż od dłuższego czasu pracował nocami przygotowując się do egzaminu. Bywało, że do drugiej w nocy, bywało, że i do czwartej. I oto pewnego świtu zauważył od swojego biurka małego Felka truchcikiem biegnącego do bramy. O tak wczesnej porze cicho w kamienicy, słychać nie tylko kroki,

ale i otwieranie bramy z klucza. Za pierwszym razem nic go to nie obeszło. O tej porze chce się tylko spać, mętlik w głowie nie dopuszcza żadnej rozsądnej myśli.

Wacek zapalił papierosa, a my, zamienieni w słuch, czekaliśmy w oniemieniu. O pół do czwartej nad ranem? Felek? Ten śpioch kładący się do łóżka o dziewiątej wieczorem, choćby nie wiadomo jak cudnie było na podwórku?

Wacek dmuchnął dymem i mówił dalej, że któregoś z następnych świtów znowu zobaczył Felka śmigającego przez podwórze... Potem, po dwóch czy trzech dniach, znowu przesmyknął się ten mały. I tak jeszcze może dwa albo i trzy razy. Przed samym egzaminem przestał wysiadywać do białego rana. Zapomniał o Felku. Ale kiedy ten z milicji, a potem ja wygadałem się o drożdżach, to jakoś powiązał to z wyprawami Felka i chce, abyśmy mu pomogli w roszyfrowaniu tej zagadki. Proponuje nam zabawienie się w detektywów. Należy wysledzić, dokąd Felek biega o tak wczesnej godzinie, należy zrobić to dyskretnie, tak aby żadne podejrzenie nie spłoszyło chłopca, a dowiedziawszy się, trzeba jak najszybciej opowiedzieć jemu, Wackowi. On przyrzeka, że postara się załatwić wszystko w sposób nie krzywdzący

330

nikogo. On, Wacek, jest święcie przekonany, że matka Felka wie o wyprawach syna, ba, na pewno to ona go wysyła. Zapytał, czy się godzimy i czy mamy do niego zaufanie. Obiecał, że postara się załatwić wszystko jak najrozsądniej. Felek ujął go bardzo protestem przeciw tej piłkarsko-sklepowej kombinacji.

Zobaczyłem nagle spłoszone powieki Zygzeka. Wacek znowu przerwał i przez chwilę milczał.

— Macie do mnie zaufanie? — popatrzył kolejno na mnie i na Zygzeka.

— Dobrześ wymyślił, jak sam Święty w telewizji - powiedział Zygzek. - Tylko słuchaj, frajerze, mnie się nie podoba to, że nie chcesz spytać Felka, a wolisz go śledzić. Dlaczego? Może wyśpiewa wszystko i bez tej kryminalistyki?

Mnie chciało się tropić Felka, już przyklepiałem się do murów kamienic, aby kocimi skokami śmigać od bramy do bramy, a tu ten nasz wódz, ten Zorro, wyjeżdża z czymś takim, jak przesłuchiwanie Felka. Zamarłem czekając na odpowiedź Wacka.

— Bardzo mi się twoja uwaga podoba — powiedział Wacek łagodnie. — Ale Felek zapytany nie odpowie. Felek zapytany przestanie chodzić gdzieś tam, dokąd go ktoś wysyła. Zapytany pobiegnie do rodziców...

— Szafa gra — zdecydował Zygzek. — Idziemy. Tylko ty się już przecież nie uczysz do rana, więc skąd będziemy wiedzieć...

— Ja się nie uczę, ale przypuszczam, że Felek wciąż chodzi. Te drożdże leżące tu na stole mówią o tym wyraźnie.

Niewiele słów trzeba było, by ustalić szczegóły. Ja i Zygzek mieliśmy przycząć się po przeciwnej stronie ulicy, najlepiej we wnęce, tuż przy garażu i czekać mniej więcej do czwartej. Jeśli Felek pokaże

331

się, to wszystko jasne. Należy jak najostrożniej pójść za nim i równie ostrożnie wrócić.

— Słuchaj, tylko co by nie było, nie śmiesz ruszyć Felka, to kumpel — powiedział Zygzek.

Wacek podał mu rękę.

W przekonaniu, że tej nocy nie zmrużę oka, usnąłem w kilka minut po przyłożeniu głowy do poduszki. Rano Wacek przez dobrą chwilę wycierał mi twarz mokrym ręcznikiem, zanim obudził we mnie odrobinę świadomości, wystarczającą do zrozumienia, że muszę wstać.

Zaledwie zsunąłem się z parapetu naszego parterowego okna, postyszałem przyciszony gwizd Zygzeka. Już od kilku minut czekał na mnie, przycupnąwszy na stopniu dozorcówki, z pyskiem Kolumba na kolanach. Był boso. Jak najszybciej i ja zdjąłem moje buciki, podałem je stojącemu w oknie Wackowi.

Ulica była cicha, chłodna, taka nie nasza, jak byśmy znaleźli się w obcym mieście. Kolumb również czuł się nieswojo, nie odstępował Zygzeka ani na krok. Mrok sionki w sąsiedniej kamienicy był jeszcze chłodniejszy, wilgotny. Zygzek ziewał, ja podskakiwałem, bo nogi zziębły mi, nawet palce rąk skostniały. Nie chciało mi się nawet mówić. Nie mam pojęcia, ile czasu upłynęło. Raptem stwierdziłem, że właściwie jest już jasno i Słabiak, nawet gdyby teraz wyszedł, natychmiast zauważyłby tropiących go. Już nawet skwapliwie powtórzyłem przypuszczenie Zygzeka, że „na nic to dzisiejsze wstawanie, bo Felek śpi sobie w najlepsze”, kiedy brama skrzypnęła, a my zmartwieliśmy. Felek ostrożnie, bez hałasu, zamykał za sobą bramę. Natychmiast po przekręceniu klucza puścił się przed siebie, w dół ulicy. Zygzek w ostatniej chwili złapał za pysk Kolumba, bo ten już, już szy-

332

kował się do przywitania znajomka wesołym szczekaniem i gotów był towarzyszyć mu w biegu.

Odczekaliśmy kilka sekund, może trochę dłużej i nareszcie, nareszcie ruszyliśmy skokami od

bramy do bramy, od wnęki do wnęki. Gdy Felek przepadł za zakrętem, puściliśmy się za nim co tchu. Był już kilkadziesiąt metrów przed nami, kiedy zaczęliśmy znowu przypadać do murów, odrywać się od nich, skakać po kilka kroków.

A Kolumb z miejsca przejął się naszymi metodami. Razem z nami przywierał do bruku, podrywał się machając ogonem jak w czasie najlepszej zabawy. I ani szczeknął, ani warknął.

Tak przebiegliśmy jeden zakręt, jeden i drugi plac, potem dobrze znany kawał zadrzewionego skwerku potem znowu placyk i ulicę. Felek ani razu się nie odwrócił, nie zmniejszył tempa. Bił bosymi stopami o bruk, jak gdyby był sam w tym mieście, jak gdyby niczego się nie obawiał, jak gdyby nic złego nie zamierzał. Już mocno zdyszany musiałem w pełnym rozpędzie przypaść do wnęki jakiejś bramy, bo Felek niespodziewanie zmienił kierunek i tempo. Uliczka opadała nieco w dół. Kocie łby, dołki pełne błota, zaskorupiałego, nie usuwanego przez lata, domy niskie, coraz niższe, niektóre oddzielone od siebie długimi brudnymi parkanami i nagle wysoka, pomalowana na zielono siatka, nagle jakiś długi, biały budynek, zdaje się piętrowy, bo nie zdążyłem zapamiętać. I nagle nie ma Felka. Obaj z Zygzekiem i Kolumbem stoimy wrośnięci w ziemię, wpatrzeni w ten budynek, w dymiący komin, w oświetlone, zakratowane okna, wsłuchani w szum wentylatorów, czy czegoś tam, w stukot jakichś maszyn, w to życie fabryki, które było jedynym życiem tej śpiącej jeszcze uliczki.

333

— Rety! - postyszałem głos Zygzeka. — To piekarnia. Czujesz?

Oczywiście, że czułem. Zapach chleba bił w nos. Więc Felek po prostu biegł do ojca, mistrza czy czeladnika piekarskiego. I tyle. Tak właśnie powiedziałem do Zygzeka, gdy uczułem jego palce wpijające się w moje ramię. Wzrok odnalazł Felka ześlizgującego się ze stosu desek, przylegających do jednej ze ścian, tej najciemniejszej. Już był znowu, już przełaził przez dziurę w siatce, już znowu zaczynał biec przed siebie, z powrotem tą opadającą nieco w dół uliczką. Ale teraz na jego plecach podskakiwał jakiś worek, a może papierowa torba, która poruszała się przy każdym ruchu. Najwidoczniej zabrał ją z za stosu belek.

— Drożdże — szepnął mi Zygzek. — To na pewno drożdże.

— Lecimy? — zapytałem bardzo podniecony. Ruszyliśmy ostrożnie, ale kiedy Felek przepadł za pierwszym zakrętem, popędziliśmy, aby nie stracić go z oczu. Już nie przenikała nas gorączka śledzenia, chociaż znowu przypadaliśmy do murów, wnęk, chowaliśmy się za kioskami, za drzewami na skwerku.

Felek był zmęczony, widzieliśmy to. Worek ciężki, ręka przytrzymująca go zapewne bolała i teraz to raczej już szedł niż biegł. Ale ulica nie była już taka głucha, jak poprzednio. Z daleka, a nawet z bliska, odzywały się raz po raz kroki, skądś doleciał zgrzyt tramwaju, a w jednej z bocznych ulic zabawnie dzwoniły butelki mleczarza, wleczone na ręcznym wózku.

Zauważyliśmy, że im bliżej domu, tym kroki Felka stawały się szybsze i jak gdyby czujniejsze. Nagle straciliśmy go z oczu, a o kilkadziesiąt metrów przed nami zobaczyliśmy dwóch spokojnie kroczących mi-

334

licjantów, rozmawiających o czymś, stukających buciorami, bardzo zwyczajnych i bardzo codziennych.

— O losie! — Zygzek zgrzytnął zębami. — Będzie chryja!

Nie zdążyłem zapytać dlaczego, a już jeden z milicjantów zawołał:

— Chodźcie no tu, chłopcy...

Pierwszy pobiegł Kolumb, obwąchał buty obu milicjantów i powrócił do nas. Zygzek zdążył mi syknąć przez zęby:

— Trenowaliśmy biegi, słyszysz?

I zaczęło się. Kto jesteśmy, co robimy o takiej godzinie na ulicy, czemu boso, do jakiej szkoły chodzimy, gdzie mieszkamy, co mamy w kieszeniach? Zaczęliśmy równocześnie, ale Zygzek był obfitszy w słowa.

— Trenujemy biegi, my tak co rano, dla zdrowia. Najlepsze powietrze, poza tym spać się nie chce. Mama? Pewnie, że mama wie, a nawet bardzo się jej to podoba. A to szczyryk, to gwoździe, to sznurek, my go proszę pana, przewlekamy pomiędzy drążkami... a mieszkamy o tam, za rogiem, to klucz od bramy, ja jestem synem dozorczy...

Odprowadzili nas do bramy, przekonali się, że klucz rzeczywiście pasuje jak ulał i odeszli.

Pozostaliśmy w ciemnościach korytarza, obaj chyba pozielenieli ze strachu, bo milicjanci pytali grzecznie, ale w każdym pytaniu było tyle nieufności, że ja traciłem oddech, a Zygzek plótł już jak na mękach. Teraz jednak, w ciszy bramy, w ciemnościach Zygzek stęknął, jak nigdy dotychczas:

— Rany, Felek! Felek! Oni go capną na pewno, zobaczysz!

— Ale przecież nie było nikogo na ulicy — słabo oponowałem.

335

— Włóż w jakąś wnękę, może za budkę z papierosami, może w tę, co przy pralni. Rany Julek, zobaczysz, oni go... — i nagle przypadł do klamki, począł gorączkowo wpychać klucz do zamka, wciąż z tym swoim „rany Julek, rany Julek”.

Chwyliłem go za rękę. Za żadne skarby nie chciałem znaleźć się w tej chwili na ulicy. Tu czułem się bezpieczny.

— Puść! — odrzucił mnie. — Przecież oni go...

— Zygzek, co robisz? Jeszcze nie otworzył bramy.

— Przecież oni Felka... no... może by mu tak poderwać ten worek, albo co?

Ostrożnie, ledwie uchylając skrzydło bramy, wychylił się, potem na czworakach wypełznął na zewnątrz. Zrobiłem to samo. Pusta ulica wydała się mroczniej sza niż poprzednio. Z daleka dobiegały wyraźnie stąpnięcia milicjantów. Były zwyczajne, powolne, spokojne.

— No, to szafa gra — szepnął Zygzek. — Felek pewnie się gdzieś przylepił i zaraz się odlepi.

— A ty czego chciałeś?

— Porwałbym mu worek i wiałbym, jak Kolumb. Nie do domu. Nawet by się nie odwrócili, a ja bym już...

— No, to co? Idziemy spać?

Zygzek cofnął się do bramy. Ja za nim.

— Że w worku drożdże, to mur. Chodźmy spać. Niech lepiej nie wie, że my wiemy. Po co mu ten wstyd. Powiemy Wackowi co i jak, on już zrobi, co potrzeba. Nie? — powiedział Zygzek.

— To on dlatego taki śpiący w szkole, że musi co rano...

— A czy ja wiem, czy co rano? Dla nas dobry, bo przecież chciał te drożdże na piłkę...

336

W tej chwili Kolumb przyskoczył do ledwie przymkniętej bramy, rozszczękał się, zawył. Brama uchylła się, mała figurka Felka wolno, ostrożnie wśliznęła się do sieni. Zygzek dopadł psa.

— A będziesz ty cicho? A stulisz...

Pies umilkł, przypadł do Zygzeka. Staliśmy milczący, zakłopotani.

— To my, Felku. Ja, Zygzek, i Almanzor.

— Wiem — odpowiedział cicho Felek.

— Ale z ciebie cwaniak — Zygzek przysiadł na stopniu. — Jak chcesz, to odsapnij. Że też cię nie przykarauliU? Widziałeś ich?

— Tak.

— No to masz szczęście, brachu. Odkiblowałbyś to, aż miło. Siadaj.

— Nie — szepnął. — Ja muszę do domu.

— Żeby ci nie powiedział, co musisz — zachnął się Zygzek. — Co masz w worku?

Felek nie odpowiedział.

— Myślisz, że nie wiem? Drożdże. Z piekarni tatusia.

— Puśćcie mnie — poprosił Felek.

— No, idź — zgodził się Zygzek. — Ale nie myśl, że to koniec. To dopiero początek.

— Puśćcie mnie — raz jeszcze powiedział Felek.

— Ty — Zygzek podniósł się — ja tam mam ciebie i twoje drożdże gdzieś, żebyś sobie wiedział. Ale niech mnie przemielą na kiełbaski, jak cię rozumie. Kiedy chcieliśmy... kiedy Almanzor i Kazek mieli przerzucić tę piłkę przez kratę, toś ty, brachu, z pyskiem na nas, że to złodziejstwo, że kradzież, że nie wolno. Nie tak?

Felek nie odpowiedział.

— Możesz sobie nie mówić, jakeś się sam wyświęcał na złodziejaszka. Ale żeby oczy mydlić i zgrywać

22 — Wiele dróg

337

się na świętego, a samemu po nocy... Pieska twoja niebieska. Idź sobie, ja pluję na ciebie. Graj z

takimi jak ty, my dla ciebie złodzieje, bo chcemy grać w piłkę, a ty nie, boś nocny ptaszek. Wiej!
Zygzek cofnął się, zrobił mu miejsce.

— Ja muszę — wyszeptał Felek. — Jak Boga kocham. Muszę. Muszę.

— Idź w pierony! Ja ciebie nie sypnę, nie bój się. Takich, jak ty... no, mniejsza...

— Ja muszę — Felek postąpił krok naprzód. — Oni mnie...

— Żeby taki nocny gieroj smarkał się jak noworodek — zakpił Zygzek, dosłyszawszy w głosie Felka coś mokrego.

— My takiego kumpla nie chcemy — dorzuciłem nareszcie, bo przecież coś, czułem to, powinienem być powiedzieć.

— Jak mi powiesz, po co myliłeś nam ślepia tym złodziejstwem, kiedy szło o piłkę, to może... — i Zygzek przystąpił do Felka, ściągnął mu worek z pleców, rzucił go na ziemię i począł rozwiązywać. — Dużo tego?

— Nie wiem — Felek nie próbował oponować. — Może dziesięć kostek.

— I co wy z tym robicie? Przecież mama nie piecze codziennie chleba.

— Oni sprzedają — powiedział Felek, wciąż cicho, bezbronne.

— Oni i oni — wściekł się Zygzek. — Powiedz mama i tata, a nie oni.

— Oni — tym razem Felek powiedział to mocniej.

— Niech będzie, że oni, ale ty robisz za nich to najgorsze. Ojciec wystawia kostki za deski, nie?

— Tata — Felek przytaknął, nie zdradzając najmniejszego zdziwienia.

338

— Ojciec wynosi z piekarni, a synuś kraulu je z tym do domu. Że też nie nadziałeś się dotychczas na milicję. Niech cię, cwaniaku...

— Ja nie chcę, ja muszę, ja ci powiem, ja wam powiem, ja muszę...

— No, to powiedz, powiedz, żebyśmy zmądrzeli, nie, Almanzor?

— Właśnie — przytaknąłem. — Jak to się musi kraść?

— Tata jest bardzo mocny, bardzo silny — wystękał Felek.

— I bije?

— Bije.

— Mocno?

— Tak. Mnie i mamę.

— I mama się daje? Baba jak piec. Ty to rozumiem, ciebie wystarczy kijem, a odbijesz się jak pliszka, ale mama?

Felek nie odpowiedział, Zygzek zwrócił się do mnie:

— Kapujesz coś? Bo ja, jak słońce na niebie, tyle co nic.

— Ja mówię prawdę! Ja już nie pójdę więcej nigdy, nigdy — i głos Felka zabrzmiał tym nieznanym mi tonem, w którym była chyba i rozpacz, i decyzja. — Nie pójdę!

Nagle Felek, ten nasz spokojny, łagodny Stabiak, któremu nie można było powierzyć innego stanowiska na boisku jak skrzydłowego albo obrony, kopnął z całej siły worek, kopnął raz, drugi, potem znowu i znowu. Nie wiem, czy potknął się, czy też stracił równowagę, dość, że upadł na worek i z twarzą ukrytą w brudnej, grubej szmacie zachlipał.

Staliśmy. Ja przejęty wielkim współczuciem, Zygzek pewnie także, bo choć nie ruszył się z miejsca,

22«

339

chciał coś powiedzieć, co nie złożyło się w słowa. Kolumb polizał płaczącego.

Pasja Felka przeraziła mnie. Zygzek zapewne też zdębiał, bo stał, jak ja. Jedynie Kolumb zjeżył się, nastroszył, wyszczerzył zęby i zawarczał. Wszystko skończyło się tak nagle, jak się zaczęło. Felek zerwał się, jednym susem przeskoczył worek dzielący go od stopni, na których siedzieliśmy przed chwilą, przeskoczył i te stopnie. Posłyszeliśmy tupot jego nóg zrazu w bramie, potem w podwórzu i wszystko ucichło. Nawet warczenie Kolumba. Popatrzyliśmy na siebie, na worek i znowu na siebie.

— Widziałeś go, cwaniaka — powiedział Zygzek bez zdziwienia, bez złości, ot tak, jak się mówi, kiedy się nie ma nic do powiedzenia.

— On płakał — powiedziałem. — Daję ci słowo honoru.

— Myślisz, że nie wiem? — Zygzek jakby odzyskiwał głos.

— Możemy go zanadto... tego — zabrakło mi odwagi, by zarzucić Zygzekowi, że potraktował Felka zbyt brutalnie.

— Co tego? Pieroński spryciarz! Dać nogę i zostawić człowieka z czymś takim!

I Zygzek, jak Felek przed chwilą, kopnął leżący przed nami wór. Kolumb, zachęcony czynem swojego pana, począł tarmosić zębami skraj workowej szmaty. Zygzek pochylił się, przepędził Kolumba, zwinął górę worka, wprawnie zarzucił sobie ciężar na plecy.

— Idziemy — zdecydował. — Pomogę ci wrzucić to przez okno do pokoju. Mój ojciec nie wypuściłby worka z chałupy.

— Ale co dalej?

— A co sobie myślisz, że będę tu siedzieć do zafaj-

340

danej śmierci? Niech sobie teraz Wacek poniucha tych drożdży.

Dosłyszałem wzbierający w Zygzeku gniew. Poszedłem za nim.

Było jeszcze ciemno, jak gdyby noc zapomniała tu kawał swojej czarności. Tylko w dwóch oknach świeciło się, w Felkowym i naszym: moim i Wacka. Zygzek pomógł mi ucześcić się parapetu, potem, kiedy znalazłem się w pokoju, podał mi worek i natychmiast pobiegł do dozorcówki.

Wacek zerwał się z łóżka. Leżał w ubraniu. Powiedział mi, że natychmiast po naszym zniknięciu pożałował swojej decyzji, że chciał nas zawrócić z drogi, sam pobiec za Felkiem. Wysłuchał mojej bardzo drobiazgowej relacji o tym, co i jak było w bramie.

W dwie godziny później wytarmosił mnie ze snu.

Felka w szkole nie było. Tłuscioch Kazek nie mógł ani w ząb zrozumieć, dlaczego i ja, i Zygzek jesteśmy tacy jacyś, jak powiedział „nieprawdziwi”.

Jadłem obiad, kiedy posłyszałem gwałtowny gwizd Zygzeka. Poderwałem się, mama zaprotestowała:

— Żadne takie. Najpierw obiad.

— Puść go — poprosił Wacek. — Tym razem na pewno nie chodzi o piłkę.

Byłem już w drzwiach. Dosłyszałem tylko Wacko-we:

— Już tam do was idę.

Zygzek czekał na progu dozorcówki.

— Ty — bełkotał w podnieceniu — stary Felka był tu. O rany, jak on mówił. Że jak natychmiast nie przyjdziemy do niego, jak natychmiast nie przyniesiemy worka, to niech ręka boska broni, co on z nami powyprawia. Milicja, kryminał, kości nasze w tym worku i jeszcze, że niech tylko słowo się rozniesie po

341

kamienicy, to pokaże nam coś takiego, od czego oczy oślepną. Daję słowo.

— A ty? Coś ty mu powiedział?

— Że straszyć może babę kozuchem i że jak się nie odczepi, to powiemy komu trzeba, skąd Felek ściągnął te drożdże. Ale myślę, że lepiej iść, bo wiesz, Felkowi to on już pewnie nogi z tyłka powyrywał. Tylko, żeby Wacek tam z nami poszedł, co? Chciałby?

A Wacek właśnie się zbliżał. Słyszał ostatnie słowa Zygzeke.

— Ano — wzruszył ramionami — tak właśnie będzie najlepiej.

Nigdy nie byłem w mieszkaniu Felka. Nigdy nie zapraszał nas. Było jakby nie z tego domu. Na podłodze chodniki, gdzie spojrzysz święte obrazy. W jednym trochę ciemnym pokoju jakieś wielkie foteliska, ubrane w białe prześcieradła. Piekarz, kiedy zobaczył Wacka, zatrzymał się. Był wysoki, szczupły, kościsty. Oczy, włosy i ten wąs pod nosem, wszystko czarne jak u karawaniarza. Tylko zęby miał bielutkie i równe.

Zapytał Wacka:

— A pan to niby po co?

— Usiądziemy, pogadamy, wyjaśnimy — Wacek rozsiadł się na jednym z tych uprześcieradlonych foteli.

— Matka! — zawołał piekarz w stronę kuchni. — Podaj dwie szklaneczki. Mamy gościa. Ważnego — dorzucił z półuśmieszkiem.

— A gdzie Felek? — zapytał Zygzek.

— W łóżku. Brzuch go boli. Może nie tylko brzuch. No, stara! — krzyknął piekarz — co z tymi szklaneczkami? I butelką?

— Szkoda fatygi — powiedział Wacek. — Nie tknę niczego.

— No, to do rzeczy — piekarz pogładził wąsa. — Nawet nieźle, że pan tu przyszedł. Przyda się taki,

342

co to na adwokata się uczy. Ten smaroń — wskazał na mnie — i ten wypędek — to oberwało się Zygze-kowi — napadli dziś rano w bramie na mojego synka, zabrali mu jego własność, to znaczy moją własność i — tu wy dobył z bocznej kieszeni kurtki plik papie-rzysków, położył je przed Wackiem — nagadali mu od złodziei. Przeglądnie pan te papiery, zobaczy pan czy przyniesione przez Felka jest kradzione, czy kupione i...

— Nie przeglądnę — Wacek odsunął od siebie papiery. — Od tego są inni. Pan wzywał chłopców. Proszę z nimi mówić.

— A co mnie do takich... no... do smarkaczy. Zresztą, dobra. Gadaj jeden z drugim, jakim prawem zabraliście Felkowi...

A na to Zygzek:

— Jak pan myśli, że zgubię porty ze strachu, toś pan na ślizgawce. Felek sam uciekł od tego worka. Skopał go i uciekł. Taka jest prawda. Innej nie ma. Worek leżał za deskami i Felek go stamtąd ściągnął. Jeszcze nie widziałem towaru kupowanego za deskami, ani kupca tak sprzedającego towar.

— Ja także nie widziałem — przytaknąłem żarliwie. Moja żarliwość była przejawem pełnego uznania dla wywodów Zygzeka.

— Niewieleś w życiu widział i nie tobie sądzić Felka — odpowiedział wcale łagodnie piekarz.

— Ale żeście obrazili kolegę to fakt. I że zabraliście worek to także fakt.

— A co? Mieliśmy zostawić go w bramie?

— Worek jest u mnie — wtrącił Wacek. — Ale proszę, mówcie dalej.

— Przynieście worek, zamknijcie buzię na kłódkę i będzie, jak być powinno.

— A pan będzie gnał Felka do tych desek i to o ta-

343

kiej godzinie, że ledwie ślepiami rusza potem w szkole? Myśli pan, że nie wiemy — Zygzek poczerwieniał. — Myśli pan, że to tak łatwo zrywać się o takiej godzinie, co? Myśli pan, że jak nasz kolega to tylko do piłki, a nie do tego, żebyśmy, jak trzeba, łba za niego nadstawili? Co pan sobie myśli? Piekarz podniósł się.

— Jak ty do mnie mówisz, ty chłystku, ty chuliganie...

— Ale pan ważny w buzi! — Zygzek cofnął się za fotel, bo piekarz zrobił krok w jego stronę.

W tym momencie odezwała się matka Felka. Stała zapewne już od kilku chwil w progu kuchni, z założonymi na brzuchu rękami. Niewysoka, pękata, z twarzą zalaną łzami.

— Jak go tkniesz, to Jezus niech się nad tobą zlituje, bo...

I wtedy stało się coś, co poderwało nas na równe nogi. Piekarz zatrzymał się, odwrócił w stronę żony i nagle, nieuchwytnym dla oka ruchem rzucił w nią porwanym ze stołu szklanym wazonem na kwiaty. Uskoczyła. Wazon z hukiem rozleciał się, rozprysł, pozostawiając wyraźny ślad na futrynie, o którą się rozbił.

— Fajny bal — pierwszy odzyskał głos Zygzek. Roześmiał się sztucznie i tak głośno, że okrzyk pieka-rzowej wydał się prawie cichy.

Piekarz stał z wyciągniętą wciąż ręką, jak gdyby nie skończył jeszcze rzutu. Mełł coś ustami. Twarz jego była sina.

Piekarzowa nagle przebiegła przez pokój, dopadła jakichś drzwi, rozwarła je. Przed nami był pokój z łóżkiem w głębi, z Felkiem na tym łóżku, opartym wysoko o poduszki. Z trudem odgadliśmy, że to on. Z zabandażowanej głowy wystawał tylko nos, w szpa-

344

rach bandażu widać było usta i oczy, szeroko otwarte oczy pełne takiego przerażenia, że mogliśmy to zobaczyć z tego dalekiego miejsca. A ona, ta tęga kobieta, stała w drzwiach i krzyczała: — Tu macie te prawdziwe rachunki, jakimi zapłacił ten człowiek synowi za drożdże! — Obróciła się na moment w stronę syna. — Tu jest ten rachunek, jaki zapłacił synowi za dzisiejszy worek. Sama go obandażowałam, bo nie pozwolił zawołać doktora. Każdy uczciwy doktor musiałby zawołać milicjanta! Zawsze g° bił! — już chrypta z krzyku. — Bił, kiedy chłopak nie godził się na ściąganie worków do domu, bił kiedy raz i drugi zaspał, bił kiedy Felek rzucał się na niego w mojej obronie, bo nawet krzesła rozbijał na mnie, kiedy nie chciałam tych drożdży, kiedy wrzucałam je do śmietnika, kiedy uparłam się, że nie pójdę handlować jego towarem! Taka jest prawda, żebyście wiedzieli! Ale

on jest diabeł. Diabeł! On mnie złamał! On zabije Felka! On...

I znowu stało się coś niespodziewanego. Wpatrzeni w twarz krzyczącej kobiety nie zauważyliśmy zniknięcia piekarza. Dopiero trzask wyjściowych drzwi zdusił w krzyczącej głos. Zamilkła. Wacek, Zygzek, ja i ta kobieta, staliśmy nieruchomi, jak gdyby zniknięcie piekarza odebrało nam mowę. Wreszcie Wacek powiedział:

— Załatwię, co należy. Proszę spokojnie czekać. Załatwię, co należy.

— Panie dobry — kobieta nachyliła się do jego ręki. — Panie Wacku, niech pan ratuje chłopca. Nie mnie, chłopca. To taki dobry syn. Ja dla niego... — przestała mówić, zakryła twarz.

Zygzek pociągnął mnie za rękaw.

— Chodź tam do niego.

Przed łóżkiem Felka wyprostował się.

345

— Żeś ty, Słabiaku, dureń to fakt. Bo żeby słówka nie pisnąć wodzowi, to po prostu świństwo. Ale i nie świństwo. Bo umiałeś trzymać język za zębami. Jak ja. Nikt z kamienicy nie słyszał, żebym słówkiem podrapał tatę. Nikt a nikt. A różnie bywało. Ale nie to, co z tobą. Mój nie kradł. Więc ja cię przepraszam

— Zygzek wyciągnął do Felka rękę. — Żebyś nie pamiętał, co ci wrzepiłem i Almanzor, bo on także strzępił jęzora na tobie. I ja cię mianuję trzecim po mnie, a drugim zaraz po Almanzorze. Teraz czwartym będzie Kazek. To mówię ci ja, wódz Zorro.

— Nie — zaprotestowałem — będziesz drugim, ja trzecim.

— A nie pójdziecie tam, do magazynu sportowego?

— głos Felka był o wiele silniejszy niż mogliśmy się spodziewać.

Zygzek nasrożył się.

— Ty półumrzyku pieroński. Gdyby nie te bandaże, zostawiłbym ci taką pieczętkę na buzi, że szurnąłbyś do nieba bez przepustki.

— Chodźcie — Wacek położył rękę na ramieniu Zygzeka. — Nic tu po nas. Mamy wiele do załatwienia. Będziecie mi potrzebni.

No i wyszliśmy. Piekarzowa odprowadziła nas do drzwi.

— O rety! Rany Julek! — Zygzek pobiegł przed siebie. — Ciekawy ten świat, nie?

Irena Zajączkiewicz-Dudkowa

Przebiśniegi

Szedł jakoś dziwnie bokiem. Jakby chciał zebrać na wysunięte do przodu ramię wszystkie zagrażające mu ciosy albo jakby w ten sposób starał się osłonić sobą coś lub kogoś. W ogólnym przepychaniu nikt zresztą nie zwracał na niego uwagi, nikt prócz małej dziewczynki z pucotową buzią i „kucykami”, sterczącymi sztywno od głowy jak dwa pędzle do golenia.

Już od dłuższego czasu śledziła tego mężczyznę. By nie zgubić go w tłumie, chwilami prawie za nim biegła, a że był to wyjątkowo duży mężczyzna, jego kroki — stosownie do tego — olbrzymie, trochę się nawet przy tym zasapała.

Początkowo płynęli w tłumie jak w wartkim nurcie rzeki. Lecz w pewnym momencie ulica się roz-dwoiła, a raczej roztroiła i dziwny człowiek (tak go bowiem dziewczynka nazwała w myślach) zatrzymał się. Automatycznie zatrzymała się więc i ona. Dlatego pewnie nie do kogo innego, a właśnie do niej zwrócił się z pytaniem:

— Malutka, a może wiesz...

— Proszę pana, a co pan... — dziwnym zbiegiem okoliczności w tej samej chwili i ona zdecydowała się na pytanie.

W wyniku tej „kraksy” słowa ich spiętrzyły się

349

i skotłowały, jak kupa żelastwa, zatracając całkowicie swój sens i przynależność. Spróbowali wobec tego jeszcze raz, a po tym razie jeszcze raz, ale że za każdym z tych razów — jednocześnie, wynik był wciąż ten sam, to znaczy żaden. Wreszcie pyzata dziewczynka nie wytrzymała i parsknęła śmiechem, a po chwili namysłu dołączył do niej i on. Ona jednak śmiała się dłużej, głośniejsz i serdeczniej.

— Zupełnie jak podczas przechodzenia przez drzwi. Prawda? Prawda? — dopytywała się

wyrzucając jeszcze z siebie ostatnie chichoty.

— Prawda. No, ale ponieważ jesteś damą, mów pierwsza — zdecydował.

— Pan jest jednak nieco starszy — zauważyła uprzejmie i znów się uśmiechnęła.

Nietrudno było spostrzec, że każdy z jej uśmiechów jest tylko jakby dalszym ciągiem czegoś, co cały czas drzemało w twarzy. Jej pogodne oczy bowiem, dołki w policzkach i wzniesione ku górze kąciki ust były nieustannie w startowej pozycji do uśmiechu.

— A więc dobrze — zgodził się dziwny człowiek. — Powiedz mi wobec tego, oczywiście, o ile wiesz, którądy będzie najbliżej do cukrowni.

— Ojej! Tego miałabym nie wiedzieć! — wykrzyknęła rozbawiona. — Przecież mój tatuś pracuje w cukrowni. I — na moment posmutniała — dziadzius też kiedyś pracował. I tatuś mego dziadziusia. I tatuś dziadziusia dziadziusia. Nie! Dziadzius mego tatusia dziadziusia. To jest... zaraz... dziadzius mego... — Wyraźnie zaplątawszy się w tych wyliczeniach sprytnie przeniosła się na inny temat: — O właśnie tam jest cukrownia. — Tu wskazała ręką na kompleks budynków różnej wysokości, kształtów i barwy, porzrzucanych trochę nieporządnie, jak dziecinne klocki wy-

350

sypane z pudełka na podłogę. - Czy to już wszystko, czego chciał się pan ode mnie dowiedzieć? — spytała po chwili, a gdy przytaknął, skończyła. No, to teraz może mi już pan chyba zdradzić, co to za zwierzątko siedzi u pana pod kurtką? Piesek? Wiewiórka? A może mały kangurek?

— Najlepiej sama zobacz — odpiął guziki kurtki i odchylił kołnierz, a pyzata dziewczynka aż otworzyła usta z zachwyty.

— Czy... czy ta małpka jest prawdziwa? — ledwie zdolna była wyszeptać.

— Pewnie, że nie wymyślona.

— Pan mnie nie zrozumiał — skarciła go Wzrokiem za to niepoważne podejście do sprawy. — Ja się przecież pytam, czy ona jest żywa.

— Jakżeby inaczej? Nie widziałaś nigdy żywej małpki?

— Nie — bąknęła zawstydzona — a czy... — spojrzała na niego prosząco — mogłabym ją pogłaskać?

— No... ostatecznie — zgodził się bez entuzjazmu.

Wyciągnęła rękę i lekko dotknęła nią głowy zwierzątka. Zrobiła to w sposób tak uroczysty, jakby w opuszkach palców zawarł się w tej chwili cały zasób jej czułości i zachwycenia.

— Jakaś ty śliczna, małpeczko — szepnęła. — Futerko masz jak z pluszu, rączki jak u małego człowieczka, troszkę tylko przybrudzone, a oczka tak mądre, jakbyś chciała mi powiedzieć: „Lubię cię dziewczynko”. Wiesz, że gdybyś była moja, cały dzień nosiłabym cię na rękach i razem kładłybyśmy się spać. A gdybyś nie mogła usnąć, czytałabym ci do poduszki „Anię z Zielonego Wzgórza” albo...

— Dosyć! — Dziwny człowiek z małpką (tak go bowiem odtąd zaczęła nazywać w myślach pyzata dziewczynka) szorstko odsunął jej rękę, po czym za-

351

czął zapinać guziki kurtki. — Paskudna pogoda, a ona już dwa razy przechodziła zapalenie płuc — dodał w formie wyjaśnienia.

Pogoda istotnie nie należała do najprzyjemniejszych. Bo ani to była w całym tego słowa znaczeniu odwilż, ani mróz. Śnieg leżał jeszcze wprawdzie pod płotami i w cieniu drzew, ale na jezdni zdążył się już zmienić w brudnobiałą papkę, która dla kiepsko zabezpieczonych nóg stanowiła poważne zagrożenie. Toteż pyzata dziewczynka, której kalosze były w wielu miejscach popękane, musiała stąpać wyjątkowo ostrożnie. Mimo to nie mogła sobie odmówić, by od czasu do czasu nie zerknąć na swego ogromnego towarzysza.

— A to od czego? — Wskazała w pewnym momencie na kilkuramienną bliznę, szpecącą jego policzek.

— Lew mnie kiedyś pogłaskał — wyjaśnił krótko.

— Lew? — szepnęła z przejęciem. — Czy taki... taki z pustyni i puszczy?

— Nie, taki z klatki.

— Ach, więc pan jest z cyrku! — zrozumiała.

— A o braciach Staniewskich słyszałaś? — spytał.

— O syjamskich to słyszałam — odparła. — O braciach Rojek też. Ale o Staniewskich? Nie, raczej nie.

— Pewnie — zamruczał. — Bo i skąd.

— No, to w końcu jest pan z cyrku czy nie?

— Przecież ci już powiedziałem — zniecierpliwiał się. Ale ona również miała prawo do zniecierpliwienia.

— Że tak, czy że nie? — zażądała kategorycznie wyraźnej odpowiedzi.

— Że... — rozpędził się już i nagle urwał — ach, daj ty mi wreszcie spokój! — mruknął niechętnie.

Lecz to było, zdaje się, ponad jej siły. Nie upłynęła minuta, gdy znów go zagadnęła:

- A czy ten cyrk, to tu z panem przyjechał?

352

— No, ten pana cyrk i tych Staniewskich.

— Nie mam swojego cyrku! — odparł z wyraźną już złością.

— To nic — nie okazała zdziwienia — ale pan pracuje w cyrku. Przecież mój tatuś też nie ma swojej cukrowni, ale ponieważ w niej pracuje, nigdy inaczej nie powie, jak: u nas w cukrowni, moja cukrownia, my z cukrowni i tak dalej, i tak dalej.

Spojrzał na nią spode łba.

— Ale ja nie pracuję w cyrku, rozumiesz?

— A w czym?

— W trupie.

— W jakim trupie? — zaniepokoiła się.

— Taka z ciebie mądrała, a nie wiesz, co to trupa — rzucił drwiąco.

— Co nie znaczy, bym się nie dowiedziała — odparła niefrasobliwie. — Mój dziadziuś — tu na moment znów posmutniała — zawsze powtarzał, że człowiek aż do śmierci się uczy. Ale zaraz... — ożywiła się — coś jakby mi już świtało w głowie. Trupa to taki maleńki cyrczek, prawda?

— Tak jakby.

— Jeszcze jedno pytanie: czy w tej trupie są lwy?

— Nie.

— A konie?

— Nie! Ani lwów, ani koni, ani słońi, ani hipopotamów, ani jednoroźców! — nie wiedzieć czemu znów podniósł głos.

— To znaczy, że nic nie ma w tym pana trupie?

— Jeśli ci się wydaje, że Lady to nic, to w ogóle nie mamy o czym ze sobą gadać! — rzekł ze złością, lecz ruch ręki, którą w tej samej chwili musnął pieszczotliwie wzniesienie kurtki, był jakby zaprzeczeniem nastroju ujawnionego w głosie.

23 — Wiele dróg

353

stępuje — pyzata dziewczynka nie dała się zastraszyć.

- Ja sądziłam, że ona jest tylko tak... do towarzystwa. Acha, wiem, wiem — teraz ona z kolei dotknęła ostrożnie zgrubienia pod kurtką — Lady to żona Lorda. Znałam nawet pewną Lady osobiście, ale to była jamniczka. Umiała aportować, służyć, podawać łąpę. Zginęła jednak marnie, pod kołami ciężarówki. A ona

— wstrzymana surowym wzrokiem mężczyzny, już samym tylko czubkiem palca musnęła kurtkę — a ona czy też coś potrafi?

— Spytaj raczej, czego nie potrafi — odparł jakby z urazą.

— Nie, ja jednak wolę spytać, co potrafi — powtórzyła z uporem.

— Wszystko — powiedział. — Wszystko: prać, prasować, jeździć na rowerku, stawać na głowie. Nawet malować!

— A fruwać?

— No... fruwać to już nie — odparł z całą powagą i dopiero wtedy przyjrzał się małej uważnie, czy aby czasem z niego nie kpi.

Lecz nastawiona do nieustannego uśmiechu buzia była w tej chwili nad wyraz poważna.

— To może nawet i lepiej, że nie umie fruwać — pyzata dziewczynka odetchnęła z ulgą. — Bo wie pan> mogłaby jej z tego powodu uderzyć woda sodowa do głowy. Taka Ceśka, na przykład dlatego, że ma piątki od góry do dołu, to tak drze nosa, że ojej! I jeszcze nigdy nikomu nie dała ściągi na klasowie. Ja bardzo nit lubię kogoś nie lubić, ale jej to naprawdę nie lubię.

Przyjrzał się jej uważnie, ale nic nie powiedział.

— A od naszej cukrowni to co pan chce? — spytała po chwili.

354

— Fomiorowano mnie na stacji — wyjaśnił — ze można w niej wynająć salę na występ.

— Istotnie — przytaknęła z powagą — w cukrowni znajduje się ogromna sala, przerobiona z hali fabrycznej, odbywają się w niej wszystkie przedstawienia, akademie i zabawy.

— Właściwie, ile ty masz lat — spytał obejmując ją wzrokiem od stóp do głowy — bo wyglądasz na dwanaście, gadasz, jakby ci pękła czterdziestka, a...

— A mam dziesięć i pół — buchnęła śmiechem. — Acha!

Dziwny człowiek z małą nagle przystanął.

— Ale spójrz no! Co to takiego?

Poprzez sztachety płotu wskazał na białe, wiotkie kształty, wyściubiające się nieznacznie spod cienkiej warstwy śniegu.

— Nie poznaje pan? — zdziwiła się. — Przecież to przebiśniegi!

Stali przez chwilę wpatrzni w białe okruchy u ich stóp. Śnieg w tym miejscu, dobrze osłoniętym od wiatrów, był wyjątkowo czysty. Toteż wydostające się spod niego kwiaty sprawiały wrażenie nie roślin, lecz jakby dalszego ciągu tej nieskazitelnej bieli, której jakimś zagadkowym sposobem udało się ożyć.

— Widzi pan?! To najlepszy dowód, że wiosna już blisko! — wykrzyknęła z triumfem. — Och, proszę pana — przybrała głos w tony najniższe — niech pan pokaże także Lady! Niech się i ona nacieszy!

Wzruszył ramionami.

— Gdybyś jej pokazała wiązkę bananów, to może. Ale kwiaty?

Bloki cukrowni, które z dala wyglądały tak niepozornie, powoli nabierały dostojeństwa. Rzekłbyś: forteca z kominami. W tej chwili jednak z tych kominów nie sączył się dym, nawet taki jak z papierosa. Mimo

„..... oi^uiiui; uyio siuki, sKrzy-

py, gwizdy, a po placu kręcili się ludzie.

— Cukrownia idzie tylko w czasie kampanii — objaśniła nie pytana pyzata dziewczynka, czująca się tu widać w roli przewodnika — potem i przedtem to się w niej tylko szykuje i naprawia.

— Swoją drogą — rzekł, jakby prowadząc dalszy ciąg dopiero co przerwanej rozmowy — jakież to zuchwałe! Cały świat jeszcze śpi w najlepsze, a to poprzez śnieg i grudę, bimbając sobie z wszelkich przeciwności, wprost na chama pcha się do tego życia! Poprzez śnieg i grudę! — powtórzył raz jeszcze z podziwem.

Zrozumiała, że mówi o przebiśniegach.

„Wielkie mecyje — pomyślała — żeby tak poprzez ten wielki półmisek z kacuzskami albo poprzez kok cioci Joli, to ostatecznie byłoby się czemu dziwić, ale tak?”.

W ogóle bawiło ją trochę, że taki całkiem, ale to całkiem dorosły człowiek, kto wie, czy nawet nie bardziej dorosły od taty i mamy, może tak długo myśleć o jakichś tam, najzwyczajniejszych w świecie kwiatach, które rok w rok przecież o tej porze zakwitają w każdym niemal przydomowym ogródku.

— No, a teraz zaprowadzę pana do panny Bronisławy — zapowiedziała, gdy już stanęli przed portiernią.

— Do jakiej znowu panny Bronisławy — zachnął się. — Ja muszę mówić z dyrektorem cukrowni, a nie z jakąś tam panną Bronisławą.

— Jeśli panu o salę chodzi, to jednak z panną Bronisławą — oznajmiła kategorycznie. — Wiem doskonale, bo już niejedną tego rodzaju sprawę załatwiałam. Ale oto właśnie panna Bronisława — wskazała na tęgawą pięćdziesięciolatkę w bardzo obcistym

i bardzo kusym kostiumie. - Niech pan teraz do niej podejdzie i uzgodni z nią warunki, a ja tu sobie poczekam.

Podskoczyła i wylądowała na żelaznej poręczy, o którą stały wsparte rowery.

- Acha! - zawołała za nim. - Tylko niech się panu przypadkiem nie wypnie coś niekorzystnego na temat ludzi z za Buga, bo wtedy z sali nici.

Obserwowała, jak szedł, już zawczasu ściągnąwszy czapkę z głowy. Dopiero teraz rzuciło się jej w oczy, że ma zupełnie siwe włosy.

„Jak mój dziaduszek” - przypomniała sobie z lekkim skurczem serca.

I byłaby się może zatrzymała przy tej myśli dłużej, ale w tej chwili uwagę jej odciągnął ów charakterystyczny klaszczący dźwięk, jakby ktoś klepał się rękoma po mokrym brzuchu. Kogo innego mogłoby to wprowadzić w błąd, ale pyzata dziewczynka wiedziała, że to gołąbie i podniosła głowę. Leciały w stronę rynku. Po picassowsku białe, z wciągniętym podwoziem drobnych, różowych nóżek.

„Całkiem możliwe - zaczęła się zastanawiać pyzata dziewczynka - że któryś z nich jest gołąbkim pokojem. Tylko po czym go od innych odróżnić? Ach, zadowolilibym się znajomością nawet z bratem, nawet z dalekim kuzynem gołąbka pokoju, gdyby-”

- Ależ proszę pani, nie jestem milionerem! Skąd ja tyle wezmę?! - wytrącił ją z zamyślenia głośny protest dziwnego człowieka z małpką.

- Tyle się od wszystkich bierze, nie poradzę - odpowiedziała zaciągając z lwowska panna Bronisława. — Toż i sprzęt się zużywa i światło wychodzi (wymawiała to jak: „sje” i jak „sfjatło”). Sprzątaczkom także samo trzeba zapłacić. A sala po takich występach, panie, to istne pobojuwisko.

357

— A jak byśmy tak sami posprząтали, co? — Dziwnemu człowiekowi z małpką zdawało się, że znalazł wyjście.

— Żeby artisti same sprząтали?! O takim czymś to ja jeszcze nie słyszała — zironizowała świetliczanka.

— Nie wiem przecież, czy publiczność dopisze — kłopotał się.

— Już się pan o to nie martw. Na takie coś, głowę daję, całe miasto się zleci. Co innego, gdyby tak teatr z jaką klasyczną sztuką przyjechał! Albo laureat nagrody Nobla na wieczór autorski! O! Wtedy byś ich pan nawet kijem nie zapędził.

W tej chwili znów się rozległo klaskanie w powietrzu i pyzata dziewczynka pomknęła wzrokiem za białym trzepotem, wtapiającym się w błękit.

„Ciekawe — pomyślała — czy prędko nauczyłyby się prać, prasować, stawać na głowie i jeździć na rowerku? Bo fruwać niby umieją. Chociaż uważam, że powinny jeszcze trochę potrenować. Nie przypominam sobie na przykład, by którykolwiek z nich wzbił się kiedyś tak prościuteńko w niebo jak

skowronek. Ba! I żeby przy tym pięknie śpiewał."

— To ty wciąż na mnie czekasz? — Dziwny człowiek z małpką stanął nagle przy niej.

W jednej ręce trzymał buteleczkę z klejem, w drugiej — afisz. Sunąc palcem po papierze pyzata dziewczynka odczytywała:

W NIEDZIELĘ O GODZ. 18 SŁYNNNA TRUPA TUTTII FRUTTI (to Tuttii Frutti wypisane było ogromniastymi literami i podkreślone aż trzy razy) PO GOŚCINNYCH WYSTĘPACH WE FRANCJI, ITALII, HISZPANII, PORTUGALII I INNYCH PAŃSTWACH EUROPY DA JEDNO TYLKO (to „jedno" miało znów aż trzy podkreślenia i towa-

358

rzyszyfo mu kilka wykrzykników) PRZEDSTAWIENIE W SALI CUKROWNI.

Dalej następował spis popisowych numerów trupy, a na samym końcu informacja, że cena biletów dla dorosłych wynosi złotych 8, a dla dzieci 5.

— Pamiętaj — oznajmił dziwny człowiek z małpką — ty za bilet nie płacisz.

Aż zachłysnęła się ze szczęścia.

— A mój brat? — spytała.

— Twój brat, oczywiście, też nie. Postanowiła wykorzystać jego dobry humor.

— A czy pozwoli mi pan pożegnać się z Lady? — złożyła ręce błagalnym gestem.

— Słuchaj — skrzywił się — ja naprawdę bardzo się śpieszę.

— Proszę mi pozwolić! — Złożone ręce podetknęła mu teraz prawie pod sam nos.

— Widzisz?! — burknął ze złością. — Przez ciebie przykleiłem krzywo afisz! Ach, idź już sobie do domu.

— A co by pan powiedział na tego rodzaju umowę: zrzekłabym się dobrowolnie tych dwóch biletów za 10 złotych, a pan by mi za to pozwolił 5 razy pogłaskać i pocałować Lady? Albo nie! Cztery razy pogłaskać i dwa razy pocałować! No? Co pan na to?

Machnął z rezygnacją ręką i począł odpinać pierwszy guzik kurtki.

— Wiesz, kiedy tak ciebie słucham, zaraz mi się przypomina ten wierszyk o rzepie, który przyczepił

się do psiego ogona i ani rusz nie chciał się od niego odczepić.

— Wiem, wiem — ucieszyła się — „Odczep się rzepie! A właśnie, że się nie odczepię!” Co prawda — zmarszczyła się lekko — to porównanie do rzepa nie

359

w tak pokojowym nastroju, że chyba się nie pogniewam.

— Całe szczęście — niby to odetchnął z ulgą — bo czułbym się niepocieszony.

Odpiął drugi guzik kurtki. Nim się jednak zabrał do odpinania trzeciego, dorzucił jeszcze:

— No, a bilety to... tego... jak już obiecałem, swoją drogą.

W niedzielę, zgodnie z zapowiedzią panny Bronisławy, ludu zważyło się tyle, że miejsc siedzących zabrakło nie tylko na krzesłach, ale nawet na ławkach i parapetach okien. Pызata dziewczynka i jej brat byli jedni z pierwszych, ale łysy człowieczek, który przed wejściem sprzedawał bilety, nie chciał słyszeć o tym, by ich wpuścić za darmo.

— Kiedy naprawdę tamten pan z małpką mi obiecał — zaklinała się pызata dziewczynka.

— Nic o tym nie wiem. Albo płacicie, albo fora ze dwora.

Pызata dziewczynka była bliska płaczu. Nie chodziło jej nawet o te kilka złotych, które ostatecznie w domu by się znalazły. Ale jak teraz wyglądała w oczach koleżanek (a zwłaszcza tej zarozumiałicy Ceśki!), którym zdążyła już tyle naopowiadać o swoich zażytych stosunkach z samym dyrektorem teatru, a które teraz stały za jej plecami chichocząc?! W dodatku brat nie przestawał jej robić wymówek:

— Zawsze mnie musisz wrobić, ofermo! Niech tak w krupnik wpadnę, jeśli dam ci się jeszcze kiedyś nabrać.

Miał prawo być wściekły, bo żeby uezbierać dziesięć złotych, musiał się zapożyczyć co najmniej u pół tu-

360

zina kolegów, jako że w tym wieku nie dysponuje się zazwyczaj zbyt wielką gotówką. W rezultacie, gdy się wreszcie znaleźli na sali, wszystkie siedzące miejsca były już zajęte. Stanęli więc między

krzesłami.

„Zapomniał — myślała z żalem pyzata dziewczynka. — Lady na pewno by tak nie postąpiła”.

Wreszcie po przepisowej godzinie spóźnienia, bez której żadna przyzwoitsza impreza na prowincji nie może się obejść, na scenie pojawił się mężczyzna we fraku.

— To on! — Pyzata dziewczynka szturchnęła brata łokciem w bok. — To właśnie ten dziwny człowiek z małpką.

— Z jaką niby małpką?! — rzucił się brat. — Żadnej małpki przy nim nie widzę.

— Bo, być może — natychmiast znalazła wyjaśnienie — w tej chwili jest nieco niedysponowana, ale ręczę, że za momencik tu się zjawi. Oko ci zbieleje, gdy zobaczysz, co ona potrafi! No, bo proszę: prać, prasować, jeździć na rowerku, malować, nawet... nawet...

— Nawet pisać wiersze i grać w brydża — zakpił.

— No to zobaczysz! — zaperzyła się. — Zobaczysz !

— Madam! Madmużazel! E mes je — zaczął dziwnie jakoś dziwny człowiek z małpką (choć na razie bez małpki). — Za chwilę będziecie mieli państwo możność podziwiać znakomitego, słynnego już na obu półkulach iluzjonistę, inaczej mówiąc: magika, samego mistrza Marcello Cinzano! Prosimy, mistrzu! — zwrócił się twarzą w stronę kulis.

Cinzano... Cinzano... To cudaczne nazwisko coś dziewczynce przypominało, ale nim zdążyła uprzytomnić sobie, co, ukazał się „mistrz”. Był to ten sam łysy człowieczek, który dopiero co sprzedawał bilety

361

przed wejściem. On również był we fraku. Na głowie zaś miał wysoki, czarny kapelusz. Zupełnie jak „starsi panowie dwaj”. Pyzata dziewczynka przypomniała sobie, że taki wysoki, czarny kapelusz nazywa się cylinder.

Łysy zdjął z głowy cylinder i pokazawszy widowni, że jest pusty, zaczął wykonywać jakieś tajemnicze gesty, wypowiadać niezrozumiałe słowa, aż na koniec wyciągnął z niego jajko. Potem jeszcze jedno i jeszcze jedno. Każde z nich podnosił do góry w dwóch palcach i z dumą demonstrował publiczności. Po jajkach przyszła kolej na szaliki, wreszcie na królika i gołębia.

„Ciekawe, co jeszcze stamtąd wyciągnie — zastanawiała się pyzata dziewczynka ze wzrokiem

przyklepionym do cylindra. — A może żyrafę? Albo fortepian? Albo składany kajak?"

Niestety, nie było jej już dane przekonać się, jak daleko sięgają cudotwórcze możliwości magika, bo zza kulis wypadł błazen i natychmiast cała uwaga dziewczynki na nim się skoncentrowała. Był w szerokich portkach, z jedną nogawicą żółtą, drugą czerwoną, z wielką kraciatą łątą na samym siedzeniu. Mimo że twarz miał uszmkowaną na biało, a na głowie rudą, rozczochraną perukę, pyzata dziewczynka bez trudu rozpoznała w nim dziwnego człowieka z małpką (ale wciąż jeszcze bez małpki).

— Daj no! Niech i ja raz spróbuję — błazen wyjął cylinder z rąk łysego. — Właśnie idę do narzeczonej. Muszę wyczarować sobie jakiś elegancki bukiet.

Począł zabawnie naśladować gesty i miny łysego. A gdy mimo tych zabiegów zamówiony bukiet nie wypadał z cylindra, jął nim potrząsać, uderzać pięścią o dno, raz po raz zaglądnąć do środka. Wreszcie

362

przykucnął i trzymając cylinder wysoko nad głową zajął pod spód.

- Nic mi nie wychodzi, Marcello - poskarżył się żałośnie. — Masz, zwracam ci twoją własność — tu podał cylinder łysemu - i ty mi skombinuj bukiet. Ale, wiesz, taki pierwsza klasa, bo moja panna bardzo grymaśna.

- Już się robi — zgodził się łysal.

Coś tam po swojemu zamruczał nad cylindrem, przesunął nad nim rękami i nagle dobył z niego... ogromny wiecheć pokrzyw.

- Ach, ty synu patelni i księżycy! Ty lampo jarzeniowa z uszami! - wykrzyknął rozgniewany błazen z całej siły kopiąc iluzjonistę w tyłek.

- Ja ci pokażę! - łysy zrobił potężny wymach nogą, lecz potknął się i w całej swej długości, a raczej w całej swej krótkości rozciągnął się na ziemi. Natychmiast jednak zerwał się i powtórnie wierzgnąwszy tym razem trafił, jak należało. I tak się wzajem obko-pując i obrzucając wyzwiskami powoli usuwali się ze sceny.

Ten flipflapowski humor ogromnie przypadł do gustu publiczności. Najbardziej rozbawiony jednak zdawał się być drugi mechanik z olejarni. Gdy otwierał usta, odnosiło się wrażenie, że ma zębów co najmniej dwa razy tyle, co inni - tak tam było lśniaco i pełno. Gdy zaś dobywał z siebie śmiech, mający

w sobie i coś z dudnienia bębna, i coś z toczenia się pustych beczek po bruku, poza nim nie słyszało się już nic. Pызata dziewczynka przypomniała sobie, że w mieście nazywają go Jasiu Żetakpowiem. Nie orientowała się tylko czy to było nazwisko, czy też przezwisko. Przecież na nią w szkole też wołali Pyza albo Pulpet, choć nazywała się zupełnie inaczej.

Po popisach magika dziwny człowiek z małpką (ale

363

jeszcze bez małpki), już we fraku i białym gorsie, zapowiedział występ żonglera (oczywiście, znakomitego i, oczywiście, słynnego na obu półkulach). Okazał się nim zresztą Zn. и u łysal, co mimo zmiany stroju i nałożenia innej peruki, od razu można było poznać po krzywych nogach i niepospolicie brzydkiej twarzy. Początkowo nie za bardzo mu wychodziło. Raz upuścił piłeczkę, a drugi raz kręgiel, który lądując w pierwszym rzędzie krzesel ugodził w kolano samą dyrekto-rową cukrowni. Ostatecznie jednak zszedł ze sceny wśród oklasków, a na jego miejscu znowu pojawił się błazen. Gdy się wreszcie ulotnił, łysy, już wyfraczony, zapowiedział występ siłacza Victorio Bacardiego. Nikt już nie wątpił, że znakomitego i słynnego na obu półkulach.

— Patrzajcie ludzie, we dwóch cały cyrk chcą odstawić! — zawołał ktoś z głębi sali. — O co zakład, że ten Bacardi to też jeden z nich?!

— Ciekawe, który z nich będzie za małpę? — głośno zauważył inny.

„Właśnie — pomyślała z niepokojem pызata dziewczynka — dlaczego do tej pory nie ma Lady? Tak bardzo chciałam się z nią zobaczyć i porozmawiać”.

Ale oto ukazał się dziwny człowiek z małpką (nadal jednak bez małpki). Był tylko w trykotach i z tajemniczymi bransoletami na przegubach rąk i nóg. Za nim zjawił się też i łysy. Miał przerzucony przez ramię zwój grubego łańcucha, z którym przypominał trochę kominiarza szykującego się do czyszczenia kominów.

— Atansją*, panowie i panie — klasnął w dłonie. — Atansją! Za chwilę związę łańcuchem kolegę Bacar-

364

diego, a państwo na własne oczy zobaczycie, jak rozerwawszy więzy sam się od nich uwolni.

* Attention (franc.) — uwaga.

— E! Lipa! Kogo tu chcecie bajerować? — zawołał fryzjer Kołpaczek (ten sam, który na meczach

piłki nożnej miał zawsze ogromnie dużo do powiedzenia). — Przecie ten łańcuch jest z papieru! Wiadomo!

Dziwny człowiek z małpką (ale nadal bez małpki) prawdopodobnie nie zorientował się, która z tych twarzy, jednakowo śmiechem rozdziawionych i w gruncie rzeczy niezmiernie do siebie podobnych, rzuciła mu tę obelgę. Dlatego też zmierzył pogardliwym spojrzeniem nie tyle samego Kołpaczka, co kąta, z którego padł okrzyk.

— No, to spróbuj pan, czy z papieru — powiedział cicho, ale groźnie śledząc jednocześnie, kto z podejrzanego kąta na te słowa zareaguje. Musiał w końcu spostrzec, jak koledzy wyszturczą Kołpaczka z krzesła, bo swe drugie wezwanie skierował już do niego bezpośrednio.

— No, to, kawalerze z bujną czupryną, spróbuj, czy z papieru! Proszę. Proszę na scenę.

— Idź, Kołpaczek, idź — namawiali fryzjera koledzy.

Wstał więc i bez pośpiechu obciągnąwszy marynarkę, lekko rozkołtysanym krokiem ruszył w stronę sceny. Jedną rękę trzymał niedbale w kieszeni spodni, drugą — równie niedbale — wywijał. Usta złożone jak do gwizdania nadawały jego pulchnemu obliczu wyraz lekceważenia i przebiegłości.

Podszedłszy do łysogo, odebrał z jego rąk łańcuch, obejrzał dokładnie ogniwo po ogniwie, kilka razy szarpnął, wreszcie przydeptawszy nogą jął ciągnąć ku sobie.

— No i co? — rzucił wyzywająco dziwny człowiek z małpką (ale wciąż jeszcze bez małpki). — Lipa?!

Kołpaczek cisnął łańcuch na ziemię.

365

— A pewnie, że lipa — odparł — i żeby się mnie tak nie rozchodziło o mój nowy garnitur, com go zeszłego tygodnia odebrał od krawca, to pokazałbym jeszcze, co z tym szmelcem można zrobić.

Pyzata dziewczynka spostrzegła, że gęste brwi dziwnego człowieka z małpką (ale jeszcze bez małpki) nastroszyły się naraz jak dwa małe języki.

— W takim razie — oznajmił z coraz większym trudem opanowując wzbierający w nim gniew — w takim razie poproszę tu jeszcze dwóch mężczyzn, jeśli we trzech zdołacie rozerwać łańcuch, każdemu z was wypłacę po sto... — zawahał się — po... dwieście złotych!!

Łysal zdawał się być przerażony. Dосkoczył do kolegi i objąwszy go wpół coś mu gorączkowo

przedkładał. Ten jednak .nie próbował go nawet słuchać.

— Poproszę jeszcze dwóch mężczyzn! — powtórzył.

Po chwili podniosło się z miejsca dwóch młodzieńców. Obaj mieli wprawdzie jednakowo niedoczesane, przetłuszczone fryzury, różnili się jednak zasadniczo tym, że jeden z nich był nieco przyszczaty, a drugi bardzo przyszczaty. Początkowo szli razem ramię w ramię, w połowie drogi jednak — ten mniej przyszczaty machnął ręką i zawrócił, a drugi — bardziej przyszczaty — poszedł dalej.

— No, kto jeszcze? — naglił niecierpliwie dziwny człowiek z małpką (ale wciąż jeszcze bez małpki).

— Wi-jas! Wi-jas! Wi-jas! — zaskandowało nagle kilkanaście głosów.

Olbrzym z plecami jak szafa i pięściami jak dwa kafary wstał i natychmiast usiadł.

— Dajcie mi spokój! — mruknął. — Łeb mnie boli.

Ale cóż mógł ich obchodzić jego „łeb”. Tym bardziej, że domyślali się, z jakiego powodu może go boleć.

366

- Wi-jas! Wi-jas! Wi-jas! — darło się teraz już z pół sali.

Zaklął pod nosem, wstał jednak i ruszył w stronę sceny.

Pyzata dziewczynka znała go doskonale. Kiedyś, w zamierzchłych czasach, woził „Warszawą” samego dyrektora cementowni. Później — już tylko żużel i wapno traktorem, wreszcie ostatnio — jedynie pocztę na rowerze. Pyzata dziewczynka, której najzupełniej były obojętne przyczyny tej stopniowej degradacji, darzyła Wijasa wyjątkową sympatią, bo w czasach, kiedy jeszcze jeździł autem, miał zwyczaj zbierać po drodze wszystkie napotkane, dzieciaki (a więc, oczywiście, i ją) i podwozić je pod samą szkołę. Gdy zaś nieco sobie popił (co zdarzało mu się niezmiernie często), dobrze było wtedy znaleźć się w jego pobliżu, gdyż rozdawał garściami cukierki.

Wszedł teraz na scenę i stanął przed dziwnym człowiekiem z małpką (ale bez małpki), który wręczył mu jeden koniec łańcucha, drugi pozostawiając sobie.

— Ja będę trzymał, a wy trzej ciągnijcie — powiedział. — Jeśli uda się wam go rozerwać, sześćset złotych wasze. Jeśli nie, ktoś — tu spojrzął zezem w stronę Kołpaczka — będzie mnie musiał publicznie przeproszać. No, to jazda! — zakomenderował.

Schwycili. Szarpnęli. Raz. Drugi. Trzeci. Sytuacja jednak o tyle tylko uległa zmianie, że dziwny

człowiek z małpką (ale bez małpki) ujął „swój” koniec łańcucha także i drugą ręką, którą dotąd trzymał z tyłu za plecami.

— Chłopaki, jakże to! We trzech jednemu nie poradzimy?! — usiłował zawstydzić swoich Wijas.

— No, weźcie się w kupę! Raz! Dwa! I trzy! Hop! Siup!

— Bo ja się nie mam jak odsądzić! — zaprotestował

367

bardzo pryszczaty. — Cofnij się pan troszki, panie siłacz!

— Ależ proszę bardzo — dziwny człowiek z małpką (ale wciąż jeszcze bez małpki) zrobił dwa duże kroki do tyłu. — Teraz dobrze?

— Dobrze.

— No, to gotowe?

— Gotowe.

Znów osiem męskich ramion napięto się, a cztery mocne karki wygięły w kabłąk jak u perszeronów ciągnących nadmiernie obciążone wozy z węglem. Mimo to łańcuch ani drgnął.

— I raz! I dwa! I trzy! — dyrygował z coraz mniejszym przekonaniem Wijas.

Nagle wypuścił łańcuch z rąk.

— Chłopaki, sami widzicie, że towar niewybrakowany. Nie pozostaje nam więc chyba nic innego, tylko grzecznie przeprosić za niedowiarstwo i wrócić na miejsce. Moje gratulacje, mistrzu — skłonił się z powagą przed cyrkowcem. — Będę się czuł prawdziwie zaszczycony, jeżeli po przedstawieniu zechce pan być moim gościem w gospodzie.

Ten jednak zdawał się być w tej chwili zajęty wyłącznie osobą Kołpaczka, który stojąc nad łańcuchem jak nad cielskiem powalonego przez siebie zwierza, poszturchiwał go lekceważąco czubkiem buta.

— No i co? — spytał z błyskiem w oczach dziwny człowiek z małpką (ale jeszcze bez małpki). — Czy w dalszym ciągu będzie pan twierdzić, że to lipa?

— A pewnie, że tak — przytaknął fryzjer. — Bo powtarzam, żeby się mnie tak nie rozchodziło o ten mój nowy garnitur, to...

— Wiesz pan co? — przerwał mu dziwny człowiek z małpką (ale jeszcze bez małpki). — Żeby już nie

368

było tej lipy, sam mnie pan owiążesz łańcuchem, dobrze?

— Czemu nie? — Kołpaczek zdawał się być nadzwyczaj zadowolony z tej propozycji, która dawała mu nowe szanse błysnięcia intelektem.

— No, to zaczynaj od nóg - wydał komendę dziwny człowiek z małpką (ale wciąż jeszcze bez małpki). — Tam jest taki wihajster. Widzisz go?

— Widzę.

— Zahacz go o jedno z ogniw i jazda!

Z pośpiechu czy też innej przyczyny omijał już słowo „pan”, a Kołpaczek, ogromnie przejęty swoją funkcją, chyba tego nie zauważał, skoro nie protestował. Owijał łańcuchem ciało dziwnego człowieka z małpką (ale jeszcze bez małpki) z taką skrupulatnością, jakby to był pakunek, przeznaczony na wysyłkę. Głowa jego, ozdobiona kunsztownie ułożoną fryzurą, przesuwiała się to w prawo, to w lewo, to w górę, to w dół, jakby usiłując powtórzyć okrężne ruchy ręki. W ten sposób dobrnął aż do ramion, jednak spory kawał łańcucha pozostał mu jeszcze w ręku. Automatycznie wzniósł więc oczy wyżej.

— Nie! — zaprotestował łysal w lot odgadłszy jego intencje. — Nie! Szyi nie wolno!

— Jak nie wolno, to prędko — „zadowcipkował” Kołpaczek i potoczył dookoła wzrokiem w oczekiwaniu na aplauz.

Istotnie, tu i ówdzie rozległy się śmiechy. Odczekał, aż skończą i uzupełnił:

— Po prawdzie to ja myślał, że jak ktoś taki mocarz w rękach, to i w szyi.

W tym momencie pyzata dziewczynka spostrzegła, że jedna powieka oka dziwnego człowieka z małpką (ale jeszcze bez małpki) gwałtownie zatrzepotała, a pod skórą policzka coś jakby błyskawicznie przemknęło.

24 — Wiele dróg

369

„Może to bardzo, ale to bardzo maleńka myszka? — pomyślała. — Ot, taka jak najmniejszy

paznokietek tej Adelci, którą jeszcze wożą w wózek? Bo jeśli taką dużą Lady może nosić pod kurtką, to co tam dla niego taka maleńka myszeczka."

Nagle aż podskoczyła, bo dziwny człowiek z małpką (ale jeszcze bez małpki) krzyczał wyciągając żyłastą szyję w stronę fryzjera:

— No, to okręcaj! Okręcaj! Ale już! Póki się nie rozmyślę! A ty się odwal! — odepchnął łysego, który przy pomocy próśb, gróźb i chwytań za ręce starał się go od tej decyzji odciągnąć.

Gdy Kołpaczek zaczął wreszcie okręcać siłaczowi szyję, pyzata dziewczynka odniosła wrażenie, że nad salą unosi się jakiś osobliwy szum. To szumiała jej w uszach cisza, która zapanowała na sali, wszyscy wstrzymali oddech...

I nagle rozległ się dźwięczny, dziewczęcy głosik:

— A fest mu ściśnij grdykę, Kołpaś! Niech pokaże jaki to z niego siłacz!

— A fest!

— A ściśnij go!

— A niech pokaże, jaki siłacz! — wnet cała sala rozgrzmiała od okrzyków.

No... może niezupełnie cała. Rozglądając się uważnie dookoła siebie pyzata dziewczynka dostrzegła kilka osób, których twarze wyrażały niesmak i dezaprobatę. A więc osoby te musiały się sprzeciwiać temu, co się tu działo. Niestety, jedynie w głębi duszy, na własny użytek. Mało jest bowiem takich, którzy mają odwagę wtykać kij w mrowisko, a jeszcze mniej takich, którzy by mieli ochotę wtykać tam... siebie. Toteż prócz wrzasków dopingujących Kołpaczka pyzata dziewczynka nie słyszała dosłownie nic.

— No, jak tam? Skończyłeś nareszcie? — rzucił nie-

370

cierpliwie dziwny człowiek z małpką (ale na razie bez małpki).

— Już, już, proszę pana. Właśnie kończę — odparł Kołpaczek głosem tak składnym, jakby obsługiwał klienta w zakładzie, inaczej mówiąc: głosem, omiatającym włoski z kołnierza. Nagle (jakby teraz dopiero przez jakąś furtkę w mózgu dotarły do niego poufale słowa cyrkowca) nastroszył się gniewnie. — Ej, panie, „ty” to ja sobie wypraszam! Świń razemśmy nie pasali! — Z wyraźnym wysiłkiem pomyślał jeszcze chwilę, po czym uzupełnił: — Znaczy się, ja ich w ogóle nie pasalem. A

pan, to już nie wiem.

Wśród ogólnego aplauzu publiczności schodził teraz ze sceny z dumnie podniesionym czołem. Z wyrazem triumfu w oczach. Niczym pierwszy kosmonauta po powrocie z Kosmosu zstępujący na Ziemię.

Ale pyzata dziewczynka nie na niego teraz patrzyła, lecz wyłącznie na dziwnego człowieka z małpką (wciąż jeszcze bez małpki). Właściwie nie zauważyła nawet, by wykonał jakikolwiek ruch. Odniosła tylko osobliwe wrażenie, że z każdą chwilą robi go się więcej i więcej. Niczym ciasta na babki, rosnącego w misce.

Nad salą legła teraz taka cisza, że słyszało się wyraźnie ciężki oddech człowieka, zmagającego się z żelazem i chrzęst ocierających się o siebie ogniów. Żadna cisza jednak nie może trwać wiecznie, zwłaszcza gdy uzależniona jest od cierpliwości tłumu. Bo z wszystkich cierpliwości na świecie - cierpliwość tłumu jest najmniej cierpliwa. A z wszystkich tłumów na świecie tłum ze stadionu i widowiskowej sali najbardziej jest tłumem. Toteż po upływie kilku minut wrócił gwar i znów odezwały się krzyki:

— Te, Baszanowski! Ej! Panie siłacz! A może panu pomóc, co?

371

A potem ktoś przeciągle gwizdnął na palcach i momentalnie rozgwiżdżało się pół sali, podczas gdy drugie pół wyło, tupąło i grzmociło pięściami w krzesła.

Pyzatej dziewczynce, która pojęła, że widownia wyraża w ten sposób swe niezadowolenie z dziwnego człowieka z małpką (ale bez małpki), zrobiło się nagle bardzo, ale to bardzo smutno. Może nawet bardziej niż „bardzo, ale to bardzo”? Po prostu tak, jakby ktoś drogi jej wyjechał na zawsze na drugi kontynent albo nawet i... umarł. Bo rozglądając się po sali z przestraczem stwierdzała, że ci rozwrzeszczeni, rozbestwieni ludzie, to przecież nie kto inny, jak jej najlepsi koledzy i koleżanki ze szkoły i podwórka, to ich czcigodni rodzice, noszący obrazy na procesjach lub zasiadający w różnych Kołach i Radach, to dobry pan z „owocowo-warzywnego”, dorzucający z reguły choć jedno jabłko do torby, to jej stryjeczny brat, który niedawno podarował jej kotka... Z tymi ludźmi (większymi i mniejszymi) bawiła się, rozmawiała, siadała do wspólnego stołu lub na tej samej ławce, kłaniała im się na ulicy — słowem znała ich wszystkich doskonale. Znała, lecz... jakby nie poznawała. I zupełnie nie mogła pojąć, dlaczego, tak znajomi i bliscy, są jej w tej chwili mniej bliscy od tego obcego człowieka na scenie i dlaczego to jemu, nie im, życzy całkowitego zwycięstwa.

Niestety, na zwycięstwo jakoś wcale się nie zanosilo. Dziwny człowiek z małpką (ale jeszcze wciąż

bez małpki) najwyraźniej przeżywał jakiś kryzys. Nie pęczniał już jak przed chwilą, lecz szarpał się i rzucał w swych żelaznych więzach jak zwierzę schwymane w sidła. Te nagłe ruchy musiały powodować zaciąganie się łańcucha na szyi, bo zaczął sinieć i z każdym momentem siniał coraz bardziej, a gałki oczne niemal wyłaziły mu z orbit.

372

Ale ludziom najwidoczniej musiało się to podobać. By nie stracić nic z tego „porywającego widowiska”, ci, co stali, zaczęli się wspinać na palce, a ci, co siedzieli, wchodzić na krzesła i parapety okien. Ojcowie brali małe dzieci na ręce i podnosili wysoko, tak jak to pewnie nieraz czynili na defiladach, stojąc w tylnych szeregach gapiów.

Przed pyzată dziewczynką wyrósł nagle mur pleców. Widziała już teraz tylko fragment głowy dziwnego człowieka z małpką (ale bez małpki), ściślej: jedno oko i policzek, którego siność powoli zaczęła przechodzić w granat. Nagle i to przestała dostrzegać. Jednocześnie usłyszała głuchy stuk i chóralne „aaa...” tłumu, który jakby wykopnięty od tyłu przez jakąś gigantyczną nogę, runął naraz ku scenie.

— Co się stało? — przestraszona, zwróciła się do brata.

— Zdaje się mi, że zemdłał — mruknął.

— Coś ty! Kojfnął, nie zemdłał — sprostował stojący przed nimi na krześle kolega. — Przecie widzę, leją na niego już drugą butelkę oranżady, a on ani drgnie.

— Czy na sali znajduje się pan doktor Madejski? — zawibrował nagle nad głosami tłumu śpiewny głos panny Bronisławy.

— Nie ma go. Ale dopiero co był tu pan Ciapałko — odpowiedziało skwapliwie kilka osób naraz.

— Odszukaj go, Jasiu — zwróciła się do kogoś panna Bronisława — i niech się tu natychmiast zgłosi! A państwo — to odnosiło się już do tłumu — rozchodźcie się do domów. Z powodu zasłabnięcia aktora zmuszeni jesteśmy występ przerwać.

Po tych słowach wzięła się energicznie do zaciągania kurtyny. Ale wezwanie jej bynajmniej nie odstraszyło ciekawskich. Jedni zdążyli już wedrzeć się na

373

scenę, inni — w zamiarze dokonania tego — tłoczyli się za nimi, wywracając krzesła, wpadając wzajem na siebie i obrzucając się wyzwiskami. Kurtyna, odgarniana i potrącana, łopotała jak

chorągiew na wietrze. Dekoracje z dykty chwiały się niebezpiecznie grożąc zawaleniem.

I gdyby nie pewien bas-baryton, bardziej nawykły do rozkazywania niż wyrażania próśb (choć w gruncie rzeczy całkiem miły w brzmieniu), nie jest wykluczone, że leżący na ziemi człowiek zostałby po prostu zdeptany.

— Rozchodź się! Czy ktoś jeszcze nie dosłyszał? — odezwał się raz tylko, a tłum momentalnie jął przec do wyjścia z taką samą pasją, z jaką dopiero co parł naprzód.

— Sierżant Śliwa! — wyjaśnił stojący na krześle kolega. — Spływam, a wy?

— Przecież nam mandatu za jazdę po chodniku nie wlepi — zauważył z ironią brat pyzatej dziewczynki.

— E tam! Z blacharzami to nigdy nic nie wiadomo! — wygłosił tamten w formie gorzkiej sentencji, po czym ruszył za tłumem ku wyjściu.

Sala powoli pustoszała.

— No i co? Czym niedobrze zwąchał, że to lipa? — wydziwiał głośno Kołpaczek. — Po dwie stówki chciał wypłacać, a sam nie poradził nawet w jednym miejscu rozerwać. Powinni nam teraz za bilety pozwracać, no nie?

— Ma się rozumieć, że powinni — zawtórowali chórem koledzy — toć nawet połowy nie zdążyli pokazać!

Jasiu Żetakpowiem, przewodzący innej grupie ludzi, niezadowolone swe wyrażał w sposób już znacznie mniej hałaśliwy i bliższy tego, co zwiemy ludzką mową.

— Z taką, że tak powiem, bryndzą, to tylko do ta-

374

kiej, że tak powiem, dziury jak nasza mogą się ośmielić przyjeżdżać. We Wrocławiu tom ja dopiero cyrk widział! Chiński, że tak powiem! A jakie sztuczki na tych tam trapezach! A jakie błazny! Takie, że tak powiem, witze tam odstawiali, że boki zrywać! Trzy razy żem tam chodził! I jeszcze bym szedł, żeby nie to, że wyjechali!

Gdy wszyscy, nawet groźny sierżant Śliwa, znaleźli się za drzwiami, pyzata dziewczynka i jej brat wysunęli się z niszy, w której na jakiś czas znaleźli schronienie i jęli się ostrożnie posuwać w stronę sceny.

Mimo że kurtyna była zasunięta, każde słowo felczera, pana Ciapałka wpadało im wprost do uszu.

- A daj mi pan święty spokój! Zrobiłem, com mógł, a to już do moich obowiązków nie należy! Zresztą ważniejsze sprawy mam teraz na głowie! Do widzenia!

Mimo to nie wychodził. Nastąpiła dłuższa chwila ciszy, ale ciszy jakby niezupełnej, bo napęczniałej od czegoś niewidocznego, niesłyszalnego, a jednak z całą pewnością dziejącego się. Po dłuższej chwili znów rozległ się głos pana Ciapałka. Ale czy rzeczywiście pana Ciapałka? Był to głos o brzmieniu tak zadziwiająco słodkim, jakby musiał przepychać się przez pełną garść umieszczonych w ustach landrynek:

— Och, serdecznie szanownemu panu dziękuję! Serdecznie! Co to ja miałem powiedzieć?... Acha, no, to ja może teraz skoczę do ambulatorium. To niedaleko. Za mały kwadransik powinienem być z powrotem! Przyniosę takie zastrzyki, że umarłego na nogi postawią! Za-gra-nicz-ne! Nie każdemu bym dał! Jak Boga Kocham! No, to już mnie nie ma!

Kurtyna zakołysała się, po czym ukazało się dość okazałych rozmiarów siedzenie wciąż jeszcze kłaniającego się felczera, a następnie cała, niemniej okazała reszta. Gdy wreszcie (z jedną ręką na sercu, a drugą

375

tkbwje przyłożoną do tylnej kieszeni spodni) zbiegł ze schodów, dzieci odważyły się wejść na scenę.

Kolejno przykładały teraz oko do dziurki w kurtynie Dziwny człowiek z małpką (lecz w dalszym ciągu be2 małoki) siedział na krześle, jednym ramieniem wsparty ciężko o stół, na którym stały puste butelki po oranżadzie, a drugim — o dekorację, przedstawiającą bulwiaste drzewko z kawałkiem ultramarynowego stawu i białym łabędziem podobnym do kaczkę, względnie białą kaczką podobną do łabędzia. Nie był już tak sinogranatowy, jak przed kilkunastu minutami, ale wydawał się o wiele starszy. To osobliwe wrażenie wywołały zmarszczki, których przedtem prawie się nie zauważało, a które dobywszy się teraz gromadnie spod skóry w jednej chwili uzupełniły wszystkie dawne zaległości.

Łysy spoglądając na niego z niepokojem, pakował walizki.

— Wiktor, jak tam z tobą? — zagadał nagle. — Będziesz to mógł iść?

— A co miałbym nie móc?! — obruszył się dziwny człowiek z małpką (ale wciąż jeszcze bez małpki). — Przecież nic mi nie jest!

Pyzata dziewczynka zauważyła, że mówi inaczej, niż dotąd: bardzo powoli, z wyraźnym trudem i jakoś chropawo. Jakby każde słowo musiał z siebie wyrywać, kalecząc je przy tym i odzierając z naskórka.

— Jasne, że nic ci nie jest — zgodził się potulnie Łysy. — Jednak... hm... jakby nie było, miałeś ten atak, więc...

— Atak! Atak! — powtórzył przedrzeźniając tamten. — Trochę mnie tylko zamroczyło i zaraz atak! Chyba widziałeś, że we trzech nie mogli mnie przeciągnąć?!

376

— wiuziaiemii jasne, że widziałem — przytaknął skwapliwie Łysy. Ale...

— A i w pięciu by nie przeciągnęli! — Dziwny człowiek z małpką (ale bez małpki) wygłosił wprawdzie te słowa w formie kategoriycznego stwierdzenia, po wypowiedzeniu ich jednak wpił się zachłannie wzrokiem w usta przyjaciela, jakby bał się zaprzeczenia.

Ale Łysal bynajmniej nie miał zamiaru zaprzeczać.

— Jasne, że i w pięciu by nie przeciągnęli — zgodził się jeszcze raz.

Wrzucił do walizki kilka przedmiotów, ale spostrzegłszy, że są to puste butelki po oranżadzie i popielniczka z niedopałkami, należąca do cukrowni, czym prędzej wyjął to wszystko z powrotem. Najwyraźniej i z nim coś niedobrego się działo. Opanował się jednak zaraz i z wyrazem beztroski na twarzy zagadnął:

— Wiktor, a co byś na to powiedział, gdybym tak zatelefonował po taksówkę? Ja wiem — dorzucił natychmiast pośpiesznie — żeś piechur to ty lepszy ode mnie, ale do pociągu już tylko godzina, a następny będziemy mieli dopiero rano.

— Myślał, myślał, aż wymyślił! — dziwny człowiek z małpką (ale jeszcze bez małpki) wykonał ruch, jakby zamierzał się stuknąć palcem w czoło. — A wiesz ty, ile taki taksówkarz może od nas zaśpiewać? A my mamy długii!

— To prawda... Ale weź pod uwagę, że do stacji daleko. A walizy ciężkie.

— Nie cięższe niż kiedy indziej — dziwny człowiek z małpką (ale jeszcze bez małpki) spojrział na przyjaciela z przyganą. — Ej, Marcel, Marcel, zawsze był z ciebie leń i utracjusz i widzę, że się już do śmierci

iiic z-iiiicij-ai. lic iic oijs.uuz.1, JUIt: CIICtJSZ Ш€БС, ТО

sam sobie poradzę!

Poruszał w miejscu nogami usiłując wstać. Ale pierwsza próba nie powiodła się. Schwycił się więc obu rękami stołu i dźwignął się nieco nad krzesłem. Oczywiście, nie była to jeszcze postawa stojąca, ale co najwyżej zapowiadająca stanie. Przetrwał tak, wespół zgięty z kilkanaście sekund, po czym wyprostował się gwałtownym podrzutem tułowia. Musiał się w tym momencie poczuć silniejszy, bo nawet przestał opierać się o stół.

Od walizek dzieliło go zaledwie kilka kroków. Zrobił jeden krok, potem drugi... nagle zachwiał się, lecz w tej samej chwili łysał, który jakby tylko na to czekał, doskoczył do niego jednym susem i objął go wespół. Plącząc nogi w zwojach łańcucha, zataczając się i potykając doprowadził go jakoś do krzesła, na którym usadowił go troskliwie. Sam też już stamtąd nie odszedł, zapewne w przekonaniu, że pomoc w każdej chwili może być znów potrzebna.

— Bo widzisz, Wiktor — zaczął z niezwykłą ostrożnością — trzeba było jednak zaczekać na tego z zastrzykiem. Zmachałeś się dziś przecież bardziej niż kiedykolwiek, więc i sił więcej z ciebie uszło. W dodatku — pomyślał chwilę — ten bigos w gospodzie... głowę daję, że ci nie wyszedł na dobre. Nie chciałem ci mówić, bo ty się zaraz wszystkim denerwujesz, ale teraz to ci się już przyznam, że i mnie on dogodził — tu demonstracyjnie się wykrzywił. — Gdy ten felczer wróci, powiem mu chyba, żeby i mnie dał jakie lekarstwo?

Moment odczekał, a gdy pochylona nisko nad stołem siwa głowa nie drgnęła, spróbował jeszcze inaczej:

— Bo widzisz, Wiktor, to wszystko przez to, że na szyi. Przecież każdy by wysiadł, gdyby mu tak gar-

dło ścisnąć. Ale ten numer to pewniak! To bomba! Zobaczysz, kiedy na drugi raz...

Dziwny człowiek z małpką (ale wciąż jeszcze bez małpki) teraz dopiero wykonał lekki ruch głową.

— Nie będzie już drugiego razu — zachrypiał. — Nigdy! Nigdy! Bo... śmieć już jestem! Szelc! Rozumiesz?!...

Pyzata dziewczynka i chłopiec pochyliwszy ku sobie głowy, szeptem wymienili między sobą jakieś

uwagi. Po czym ostrożnie krok za krokiem jęli wysuwać się zza kurtyny. I właśnie w tym momencie spostrzegł ich łysal.

— Czego tu?! — wrzasnął. — Wynocha stąd! Ale już! A gdy mimo to nie ruszyli się z miejsca, schwycił

ich za ramiona usiłując wypchnąć ze sceny. Z chłopcem mu jakoś poszło, ale mała pyzatka, bardziej zręczna od brata i bardziej prawdopodobnie nieugięta w swoich zamierzeniach, okazała się nie do pokonania.

— Niech nas pan tak nie popycha! Co za brutal! — prychała oburzona. — My wcale nie do pana! My do tego pana z małpką!

I wyrwawszy mu się z rąk podbiegła do dziwnego człowieka z małpką (ale bez małpki). Lecz kiedy zupełnie z bliska spojrzała w jego twarz odmienioną cierpieniem, zabrakło jej nagle i odwagi, i konceptu. Więc wyciągnawszy rękę, w której od trzech godzin wędło kilkanaście przebiśnięgów, ledwie dostłyszalnie wyszeptała:

— To dla pana i... Lady.

Uniósł głowę i spojrzał na nią posepnie, chyba nie poznając.

— To ja, proszę pana — powiedziała cicho. — Właśnie przyszłam.

Teraz dopiero musiał ją sobie przypomnieć. Ale

379

chyba nie w sposób, w jaki oczekiwała. Bo zamiast radości ujrzała w jego oczach gniew.

— No tak! To przecież wtedy... wtedy musiało się to stać — zaczął wyrzucać z siebie strzępkami zdania. — Ten podstępny wiatr... to parszywe, morowe powietrze... a tobie akurat zachciało się ją głaskać! Dobrze pamiętam — oskarżycielsko podniósł głos — głaskałaś i głaskałaś bez końca... a przez ten czas wiatr... — urwał, aby po chwili z jeszcze większą wściekłością zakończyć: — No i czego tu sterczysz?! Mało ci jeszcze, że Lady nie żyje? Acha, chcesz jeszcze obejrzeć mój koniec! A więc patrz! — wbił w nią nienawistne spojrzenie. — Patrz! Ale przedtem jeszcze zwołaj tu wszystkich Kołpaczków! Całe to przekłete miasto, które... w którym ludzi dla przyjemności dławi się łańcuchem! Niech się i oni napatrzą! ZAPŁACILI przecież!

Nieoczekiwanie, nie porzucając złowrogiego wyrazu twarzy, przeszedł w śmiech, raz po raz przerywany kaszlem.

Uff, to był naprawdę bardzo nieprzyjemny śmiech. I... jakoś wcale niewesoły. Pызata dziewczynka nie spostrzegła nawet, że kwiaty wysunęły się jej z ręki. Rozgoryczenie z powodu niewdzięczności dziwnego człowieka, nie mniej silne niż współczucie dla niego, i smutek wywołany śmiercią małpki całkowicie ją załamały. Nie miała już siły wstrzymać łez wzbierających w kącikach oczu — wybuchnęła płaczem.

Łysy korzystając z chwilowego osłabienia przeciwnika ponownie przypuścił atak. Tym razem chłopiec okazał się oporniej szy.

— To świństwo! To podłość! — krzyczał oburzony. — My wam chcemy zanieść walizki na stację, a wy nas za to wyrzucacie?!

— Bo pan na pewno sobie myśli, że my to już

380

nic! — zawtórowała mu pызata dziewczynka pomiędzy jednym chlipnięciem a drugim. — No, to ja panu powiem, że mój brat, choć taki niewyrośnięty, jest bardzo, bardzo silny! A ja to każdemu chłopakowi w klasie poradzę! Nawet Rzepie!

I żeby tamtym czasem nie przyszło do głowy, że zmyśla, schwyciła za największą z walizek.

— Zjeżdżaj, smarkulajdo! — odepchnął ją brat. — Ta moja!

— A nie, bo moja!

— A moja! Jestem, u diabła, o rok starszy, czy nie?!

— Co?! O rok?! Tylko o jedenaście miesięcy i pięć dni, ty kłamczuchu!

Obserwujący tę scenę mężczyźni nie wtrącili się słowem. Ich wzrok zdumiony, chwilami nawet — co tu skrywać — głupawy, błąkał się nieporadnie pomiędzy twarzą chłopca, a twarzą dziewczynki, twarzą dziewczynki, a garścią rozsypanych na ziemi przebiśnie-gów...

Nagle obaj jednocześnie, jakby obaj w tej samej chwili tą samą myślą pchnięci, schylili się po kwiaty. Łysemu poszło to gładko, ale dziwny człowiek z małpką (już bez małpki) kilkakrotnie, i za każdym razem na próżno — rozpędzał się do nich rozczapierzonymi palcami.

— Zostaw, to już ja sam. — Łysy przyklęknął na podłodze.

Pызatka już była przy nim.

— Och, tak naśmieciałam — bąkała — ale zaraz to sprzątnę. Zaraz.

— Zaczekaj... — wbrew temu, czego można było się spodziewać, nie krzyknął na nią ani jej nie odepchnął.

Coś mu się chyba pomyliło. Albo też: coś się im obu pomyliło? Bo łysy podnosił kwiaty i kładł przed dziwnym człowiekiem z małpką (ale już bez małpki), ten zaś każdy po kolei kwiatek ujmował w dwa palce jednej ręki — i zupełnie nie wiedzieć po co — dotykał opuszkami palców drugiej. I to z taką ostrożnością i namaszczaniem, jakby miał do czynienia nie z jakąś tam pospolitą roślinką, a z czymś niezwykle cennym i kruchym, co za wszelką cenę trzeba ocalić od zniszczenia...

Janusz Domagalik

Idąc do siebie

Wiał suchy, ciepły wiatr jakby na przemian ze wszystkich stron, krótkimi podmuchami szarpał krzaki i drzewa, las szamotał się z nim nerwowo i ten niepokój przed burzą udzielał się ludziom, przenosił z gałęzi sosen na płótna namiotów. Na polanie było już zupełnie ciemno.

Wyszli z obozu i wymijając kępę jeżyn skręcili do drogi. Jeszcze tu dochodziło żalosne skrzypienie bramy obozowej, która chwiała się raz w tę, raz w tamtą stronę.

— Słabizna... — powiedział chłopiec. — Słyszysz pan, jak stęka? Zbudowana bez jednego gwoźdźca, wszystkie łączenia są wiązane wikliną, a tam gdzie nie widać, to sznurkiem...

— Wytrzyma. Będzie stękać, ale ustoi... Jak człowiek.

— Ustoi, albo i nie... Dlaczego pan powiedział: jak człowiek?

— Bo ja wiem? — zastanowił się mężczyzna. — Tak mi się jakoś powiedziało...

„Tak mu się powiedziało... — myślał chłopiec. — Dziwny gość. Dwa albo trzy dni pęta się po obozie, do nikogo słowa nie bąknął. Ktoś tam mówił, że przyjaciel komendanta. Niech będzie przyjaciel, jaka różnica... Nad czym ja się zastanawiam? Grunt, że mi się trafił...”

385

— Tam u was... — odezwał się mężczyzna — wiesz, tam przy ognisku, kiedy komendant

pokazywał mi, który z was pójdzie ze mną, wydawałeś mi się jakby trochę niższy...

— Tak? — mruknął chłopiec. — Jak się siedzi, to tak wygląda...

Weszli w las. Szumiał jednostajnie wierzchołkami drzew; droga była piaszczysta, pobrużdżona przez chłopskie wozy, szli więc po obu jej skrajach, tuż przy drzewach. Nie widzieli swoich twarzy, ledwo sylwetki dawały się odróżnić na tle grubych pni. Las był stary, z gęstym poszyciem, nie czuło się tutaj wiatru, ale przegrzane, suche powietrze zatykało oddech.

— Wątpię, czy zdążymy przed burzą... — powiedział mężczyzna jakby do siebie.

„Czy tam też było dzisiaj tak gorąco? — zastanawiał się chłopiec. A może tam już teraz jest burza? Jeśli tak, to ona chyba nie śpi. Mówiła kiedyś, że boi się burzy... O czym ona myśli? Niedługo północ... Jutro będę mógł zapytać, o czym myślała przed północą. A jeśli powie: o tobie? Nie, tak nie powie. Nawet gdyby myślała, to się nie przyzna. A ja wtedy powiem; no, to spytaj, o czym ja myślałem tuż przed północą...

— O czym myślisz? — usłyszał nagle chłopiec i zaczął zastanawiać się, co odpowiedzieć. Ale zbyt długo się zastanawiał i w końcu nic nie odpowiedział.

Szli dość szybko, równym krokiem. Niebo zupełnie zlewało się z drzewami, z wszystkich stron było jednakowo ciemno, tylko szum wiatru okrywał ich od góry jakby płachtą, razem z tą drogą i całym lasem.

— Wiesz, mam znajomego malarza... — powiedział mężczyzna. — Gdyby tu był teraz z nami, pewno bardzo by się dziwił, że idziemy przez las, który nie ma koloru i nawet nie pachnie lasem, tylko... bo ja

386

wiem... sianem, albo czymś takim. Dla tego malarza, jeśli coś nie ma koloru, to w ogóle nie istnieje. Przynajmniej tak mówi.

— To dobry malarz? — spytał chłopiec, żeby cokolwiek powiedzieć.

— Taki sobie... Czy ja wiem zresztą. Jemu samemu raz się zdaje, że jest bardzo dobry, a kiedy indziej, że bardzo zły...

— Niech pan mi powie: taki malarz, właściwie po co maluje?

— Po co? — zastanowił się mężczyzna. — Po co maluje... Niby po to, żeby opowiedzieć innym, jak

widzi świat. Ale ja myślę, że w gruncie rzeczy po to, żeby się dowiedzieć, jaki sam jest...

Chłopiec przystanął na moment.

— Czy każdy chce wiedzieć, jaki jest?

— Chyba nie każdy...

— A lepiej wiedzieć, czy nie? Mężczyzna nie odpowiadał.

„Więc lepiej wiedzieć, czy nie? — myślał chłopiec — I właściwie skąd można się dowiedzieć? Od innych ludzi? Przecież oni wiedzą jeszcze mniej albo nic. Od samego siebie? Jeśli nie wiem, co zrobię za godzinę, co zrobię jutro, skąd mogę wiedzieć, jaki jestem. Człowiek robi jakiś krok i potem dziwi się: to ja zrobiłem? Zaczyna jakieś zdanie i kończy je tak, że jego samego to zaskakuje. A potem robi drugi krok i mówi drugie zdanie, i nagle już wie, że stało się coś, czego nie przewidział i może nawet wcale nie chciał...”

— Ten mój malarz — powiedział mężczyzna — to chyba byłby zdziwiony, że pytasz: czy lepiej wiedzieć czy nie? Tak się właśnie zastanawiam, co on by ci odpowiedział?

— Może by po prostu powiedział: nie wiem...

— Może.

Szli jakiś czas w milczeniu, nie słysząc nawet swoich kroków. Las wciągał ich, oczy powoli przyzwyczajały się do ciemności, wsiąkali w nią coraz bardziej.

— Ciekawe... — zaczął mężczyzna — ciekawe, że są ludzie, którzy się nad tym zastanawiają, którzy nie mogą o tym nie myśleć. A innym wystarczy wiedzieć, która godzina i co jutro na obiad.

— Pan ciągle o tym pytaniu: jaki jestem?

— Tak ciągle o tym...

— Sądzi pan, że na takie pytania można znaleźć odpowiedź? Wątpię...

— Przecież każdy krok, jaki robimy, to część tej odpowiedzi.

— Każdy? — spytał chłopiec. — Dobry i zły?

— Tak, każdy. Nie uważasz?

— Nie wiem.

„Dziwny gość. Po co mi on to wszystko mówi? — myślał chłopiec. — Niby go spytałem, ale on mi to mówi tak, jakby sam sobie chciał coś wytłumaczyć. Przecież o-mnie nie może nic wiedzieć, bo skąd? Nikt o mnie zupełnie nic nie wie... Bo to co wiedzą, to nie jest prawda."

— Jak właściwie daleko do tej stacji? — zagadnął mężczyzna zupełnie innym tonem. — Pięć kilometrów, dziesięć? Pociąg mam po pierwszej w nocy... Wiesz, teraz żałuję: nie powinienem się godzić, żebyś mnie odprowadzał. Droga w końcu prosta, trafiłbym sam.

— Z obozu do miasteczka jest ponad pięć, potem kilkaset metrów ulicami... — powiedział chłopiec. A po chwili: — Tutaj jeszcze droga prosta. Potem parę razy się rozwidla... podobno trzeba skręcać zawsze w prawo, z wyjątkiem pierwszego rozgałęzienia... Żeby go tylko nie przegapić!

Mężczyzna przystanął:

388

— Jak to: podobno?

— Chodźmy... — mruknął chłopiec. — Nie warto stawać, szkoda czasu. Coś bym panu powiedział, ale jest jeszcze za wcześnie...

— A kiedy będzie nie za wcześnie?

— Jak przejdziemy połowę drogi. Albo... albo kiedy da pan słowo.

— Jakie słowo?

— Słowo, że pan nie zawróci do obozu. Dlaczego pan nic nie mówi?

— Myślę o tym, że przecież mógłbym dać słowo i... powiedzmy, nie dotrzymać go. A ty wierzysz, że dotrzymam słowa... Ciekawe, dlaczego wierzysz w moje słowo, a nie wierzysz mi bez słowa? Tak ci się chyba tylko powiedziało...

— Niech będzie: tak mi się tylko powiedziało. Nikomu nie wierzę, już nawet nie wierzę sobie. Ale z panem zaryzykuję.

Mężczyzna uśmiechnął się lekko. Nie było tego widać, ale chyba w tym momencie uśmiechnął się do siebie.

— Szukasz punktu oparcia... — mruknął cicho. — Kawałka twardego gruntu.

— Nie dosłyszałem...

— To nic. Tak mi się powiedziało. No, więc ryzykuj, jeśli się zdecydowałeś.

— Ja nie jestem tym chłopakiem, który miał pana odprowadzić na stację. Pierwszy raz idę tą drogą. Tamten śpi teraz spokojnie w namiocie, zadowolony, że mu się trafił zastępca. Zamieniłem się z nim. No i jak: wraca pan? Ale i tak mnie już nie dogonicie...

Przez dłuższą chwilę nikt się nie odzywał, tylko jakby zwolnili trochę kroku.

— Jedno zmartwienie mi odpadło! — powiedział wreszcie głośno mężczyzna, może nawet zbyt głośno. —

389

Robiłem sobie wyrzuty, że marnujesz całą noc, będziesz musiał czekać na stacji, aż się rozwidni, a potem wracać sam te parę kilometrów. No, i po zmartwieniu, bo przecież ty nie wracasz do obozu...

— A pan?

— Też nie. Najwyżej pobłądzimy razem w tym lesie. Szkoda, że nie znasz drogi. Pewniej by ci się uciekało. Bo chyba uciekasz, jeśli dobrze zrozumiałem...

— Można to i tak nazwać! — powiedział chłopiec, prawie wesoło. Jakby odetchnął z ulgą, że po jego słowach właściwie nic się nie zmieniło, wciąż idą dalej, razem. — Pan mi się wyraźnie trafił. Musiałbym sam się pchać w nocy przez las...

— Mogłeś przecież uciekać w dzień.

— Nie. Dziś rano jeszcze nie wiedziałem, co będzie wieczorem. A jutro byłoby pewnie za późno... Zresztą nieważne. Grunt, że kawał drogi mamy już za sobą. Tu gdzieś powinno być odgałęzienie w lewo...

— Odgałęzienie? — roześmiał się mężczyzna i chłopiec raptownie stanął. — Już było. Minęliśmy je przed chwilą.

— To dlaczego pan nic nie mówił?

— Chciałem ci pokazać, że gdybyś szedł teraz sam, .to byś pobłądził.

— Ja idę prawą stroną drogi i ciemno jak diabli. Mnie było trudniej zauważyć... Niepotrzebnie pan to zrobił! — zdenerwował się chłopiec.

— Może rzeczywiście tobie trudniej... — przyznał mężczyzna. — Słusznie, to nie był dobry żart.

Zawrócili kilkanaście kroków do rozwidlenia dróg, skręcając w tę, która miała być właściwa. Nie mówili teraz ani słowa i nie wiadomo, który z nich bardziej tego żałował. Z oddali dobiegło niewyraźne, przytłumione jeszcze dudnienie, po chwili drugie. I cisza. Ale było oczywiste, że skoro się już rozpoczęło, grzmoty będą teraz przewalały się po niebie coraz bliżej, aż rozerwą nad głowami idących ten męczący szum wierzchołków drzew i wstrząsną starym lasem.

— Tak sobie myślę... — zdecydował się odezwać mężczyzna. — Tak sobie myślę, że to jest jednak dziwne: idziemy niby razem, tą samą drogą, w tę samą stronę. I dla jednego jest to droga powrotu, a dla drugiego ucieczki. Każdego z nas ta droga zaprowadzi gdzie indziej...

— Ja nie wiem, dokąd mnie zaprowadzi — odpowiedział chłopiec.

— Tak naprawdę to ja też nie wiem... — uśmiechnął się mężczyzna, choć nie było tego widać, ale na pewno się lekko uśmiechnął.

— Chciałeś coś powiedzieć?

— Nie.

— Zdawało mi się...

— Co panu się zdawało?

— Ty chyba jeszcze nie wiesz, że nie można od siebie samego uciec. I chyba właśnie to usiłujesz zrobić...

— Uwaga! — przerwał chłopiec i zatrzymał się. —

Już pan minął rozwidlenie. Gdyby nie ja, poszedłby

pan teraz złą drogą. A więc: jeden do jednego!

Skręcili w prawo, a mężczyzna powiedział po chwili:

— Widocznie jesteśmy sobie nawzajem potrzebni. Jeden do jednego. Gramy dalej?

— Nie. Dziwnie pan ze mną rozmawia... Ja nie mam o co grać.

— Mylisz się. Twoja stawka jest chyba duża... Czemu stanąłeś?

— Słyszysz pan? Coraz bliżej... Burza idzie prosto na nas. Chyba nie zdążymy.

— To my idziemy w burzę. Ale mój znajomy malarz powiedziałby teraz: „dopóki nie widać

błyskawic, burza nie ma koloru, a więc nie ma burzy..." Mamy jeszcze trochę czasu.

— Gdybyśmy nie zdążyli na pociąg, to co wtedy?—

spytał chłopiec.

— Nie wiem... Naprawdę już nie wiem — odpowiedział mężczyzna i chłopiec wyczuł w tych kilku słowach zaskakująco dużo, coś więcej niż bezradność.

— Ten pociąg jest dla pana aż tak ważny? Mógł pan przecież wyjść z obozu parę godzin wcześniej. Nie byłoby żadnego ryzyka.

— Mogłem. To tak się ładnie mówi. Mogłem w ogóle tu nie przyjeżdżać, na ten wasz obóz, mogłem również wielu rzeczy nie robić albo wiele innych zrobić. Oczywiście: mogłem. I co z tego?

— No tak... — mruknął chłopiec. — Ważne jest, że idziemy teraz razem przez las, zaraz nas złapie burza, na stację pewno nie zdążymy. I ciemno, jak diabli. Pan ma jakieś smartwienie.

— Można to i tak nazwać — powiedział mężczyzna już spokojnie, jakby zadowolony, że udało mu się znowu odnaleźć tę odrobinę dystansu dla samego siebie, do swoich spraw; dystansu, który na moment utracił. I przyszło mu chyba nagle na myśl, że w dziwny sposób obydwaj z tym chłopcem wplątali się nawzajem w swoje losy. Nie potrafiłby określić, na czym to polega i pewno dlatego, ale nie tylko dlatego, nie powiedział ani słowa.

— Znowu rozwidlenie! — chłopiec przystanął. — Jeśli on się nie pomylił, ten pana przewodnik, którego zastępuję, powinniśmy teraz znowu skrócić w prawo...

— Zaczynasz mieć wątpliwości? Chłopiec nie zdążył odpowiedzieć. Aż drgnęli obydwaj, tak nagle wyskoczyła nad wierzchołkami sosen pierwsza błyskawica. Teraz już poszło szybko: po chwili zerwał się ostry, chłodny wiatr i prawie jednocześnie lunął deszcz. Weszli w burzę. W świetle błyskawic mężczyzna pierwszy zauważył w głębi lasu coś, co wzięli początkowo za szałas. Podbiegli tam.

— Mamy jednak trochę szczęścia!

— Mamy - przyznał chłopiec, zdjął wiatrówkę i otrząsnął ją z deszczu. — Co to może być?

— Chyba paśnik, może dla saren? Coś w tym rodzaju... Ważne, że nas osłoni. Byle nie lało zbyt długo... Patrz, można nawet usiąść.

— Można...

Ochłodziło się, od najbliższych drzew odgradzała ich ściana deszczu, siedzieli jak pod kloszem,

którego wierzch był nieprzezroczysty, oświetlani co chwilę przez błyskawice, milczący.

„Ona się boi burzy, tak kiedyś mówiła... - myślał chłopiec. — Ale może tam nie będzie burzy. A ja czego się boję? Jak to nazwać? Przecież wiedziałem, co robię... i wtedy się chyba nie bałem. Więc dlaczego teraz? Może ja się boję tego, że już nigdy nie będę mógł być siebie pewny?"

— Coś bym ci powiedział... — zaczął cicho mężczyzna. - Coś bym powiedział, ale jest na to chyba za wcześnie...

— A kiedy nie będzie za wcześnie?

— Jak przestanie padać...

— Niech pan powie teraz. A jak przestanie padać, będziemy to już mieli za sobą.

— Dobrze. Więc tak sobie właśnie myślę, że my chyba wcale już nie chcemy iść na stację... A może nawet w ogóle, od początku nie chcieliśmy tam iść?

— Przecież szliśmy - powiedział chłopiec. — I bardzo nam zależało, żeby zdążyć na pociąg. Co takiego zaszło, że mielibyśmy teraz nie chcieć iść na stację?

— Nie wiem. Ale tak sobie pomyślałem: minie deszcz i możemy zawrócić do waszego obozu. Powiemy, że pobłądziliśmy... i już, to wszystko.

— Pan ma swoje sprawy — powiedział chłopiec. — A ja mam swoje. To są zupełnie różne sprawy. Każdy z nas może iść w inną stronę. Nic nas nie łączy...

— A droga? Ta, którą razem przeszliśmy przez las... nie uważasz?

— Dziwnie pan ze mną rozmawia... Niech pan powie: .czy pan to wszystko mówi do mnie, czy właściwie do siebie samego?

— Do ciebie. I do mojego znajomego malarza...

— A co on może mieć z nami wspólnego? — zdziwił się chłopiec.

— Jednak mówisz: „z nami”, sam widzisz. A jeśli idzie o malarza... powiem ci o nim coś więcej, tyle co sam wiem. On sobie nagle uświadomił, że znowu stoi na skrzyżowaniu. Parę godzin temu już był pewien, że wybrał właściwą drogę. Postanowił wracać na swoje stare miejsce, które dopiero co z trudem opuścił. I teraz widzi, że to nie jest dobra droga. Widzi, że nie ma powrotu w to miejsce i do tych ludzi, wśród których na pewno nie odnajdzie siebie, bo go tam już od dawna nie ma. Nie od tych kilku dni, podczas których był tu na waszym obozie, ale od bardzo dawna. A nie można żyć z dala od

samego siebie. I malarz teraz wie, że nie może tam wracać. Dlatego nie żałuje tego pociągu, na który już nie zdąży.

— Rozumiem... trochę rozumiem — powiedział chłopiec. — Więc to jest pańska sprawa. Jest pan tym malarzem, który mówi, że jeśli coś nie ma koloru, to nie istnieje. Ale moja sprawa jest zupełnie inna...

— Opowiesz o niej?

— Tą drogą, którą szliśmy, ja nie chciałem nigdzie wracać, ja uciekałem.

— Dokąd?

— To trudno powiedzieć. Uciekałem z obozu, bo coś tam zrobiłem takiego, że musiałem uciec. Chciałem jechać do domu, to znaczy nie do domu, tylko do mojego miasta. Byłbym tam jutro przed południem...

— I co byś zrobił?

— Poszedłbym do biblioteki, gdzie jedna dziewczyna pracuje, tylko teraz, podczas wakacji, bo zastępuje swoją matkę, która jest chora. Powiedziałbym jej: nie spodziewałaś się mnie, ale jestem! Masz, tu jest dokładnie tyle, ile ci zginęło. Nie ja ci to wzięłem, ale ja to zwracam... Tak bym powiedział i wyszedł. I już nigdy więcej nie chciałbym jej spotkać.

— Dlaczego?

— Bo ona przestała mi wierzyć. Nie powiedziała tego wprost, ale wiedziałem, że ona mnie podejrzewa... I wtedy ja też jej przestałem wierzyć. Tak się to wszystko między nami stało. I tak się zaczęła moja sprawa...

— To musiała być dla ciebie bardzo ważna dziewczyna, naprawdę bardzo ważna... — powiedział mężczyzna. Niezupełnie rozumiał, o co tam chodziło, ale czuł, że rozumie tego chłopaka.

— Tuż przed wyjazdem na ten obóz byłem u niej wieczorem w bibliotece. Oprócz nas było może jeszcze parę osób: jakiś facet i chyba dwie dziewczyny. Kręcili się po czytelni, biorąc pisma, a potem, po przejrzaniu, odkładając je na miejsce. Wreszcie wszyscy wyszli. Mieliśmy już gasić światło i zamykać bibliotekę, kiedy ona podeszła do stolika, otworzyła szufladę i powiedziała: ktoś ukradł pieniądze! Ile było? Spytałem. Dużo, na jutrzejszy zakup książek. Prawie trzy tysiące. Ale kto mógł ukraść? Przecież nikt nie podchodził do tego stolika... Ona milczała, patrząc na mnie jakoś tak dziwnie. I wtedy sobie nagle uświadomiłem: ja podchodziłem do tego stolika. Więcej: otwierałem

szufladę, żeby schować do niej pióro. Żadnych pieniędzy nie wziętem, nawet ich nie widziałem. Ale ona powtórzyła: były i zginęły. Nikt, na pewno nikt inny nie podchodził. Więc?

— Spytałeś, czy ciebie podejrzewa? 4

— Nie. Patrzyłem na nią i wiedziałem, że tak jest: ona sądziła, że ukradłem. I wtedy, nagle przyszła mi do głowy taka myśl: a jeśli ona kłamie, jeśli nie było tu żadnych pieniędzy? Może sama ukradła? To była bezsensowna myśl, ale jednak tak pomyślałem. I w ten sposób, w jednej chwili przekreślił się nawzajem siebie w swoich własnych oczach. Stało się i już się to nie dało odwołać. Wyszedłem z biblioteki. Rano miałem wyjechać na obóz i wyjechałem.

— Rozumiem... chyba rozumiem — powiedział mężczyzna powoli. — Skończyło się między wami coś, co uważałeś za bardzo ważne. Ale dopiero tu, na tym obozie zacząłeś myśleć: a jeśli jej naprawdę zginęły te pieniądze, to co ona robi? Przecież nie ma z czego zwrócić. Co z nią zrobić? I przyszła ta myśl, żeby jej pomóc, żeby ją ratować. Ratować mimo wszystko. To musiała być... nie, to jest dla ciebie bardzo ważna dziewczyna.

Deszcz ustawał powoli, burza przesunęła się, oddaliła od nich, tylko ciemno było wciąż tak samo.

— To jest właśnie moja sprawa... — powiedział chłopiec. — Tym podejrzeniem ona mnie przekreśliła. A taki przekreślony może już zrobić wszystko. Nawet wbrew sobie, przeciw sobie. Tak myślałem.

— Kiedy?

— No wczoraj, dziś... jeszcze przed tą burzą, jeszcze przed chwilą...

— A teraz?

— Chodźmy już! — powiedział chłopiec i wstał. — Deszcz się skończył. Nie ma sensu tu siedzieć. Która jest godzina?

Mężczyzna wyjął zapalniczkę. Błysnęła raz i drugi.

— Jeśli dobrze widzę, minęła pierwsza... Spójrz jeszcze ty, ja poświecę...

— Dwadzieścia po pierwszej — odczytał chłopiec. Stali przez tę chwilę bardzo blisko siebie. I zanim chłopiec zdążył się odsunąć, mężczyzna powiedział cicho:

— Oddaj mi te pieniądze. Te, które dziś wieczorem ukradłeś z namiotu komendanta. Czy wiesz, ile ich jest?

— Nie liczyłem... — chłopiec wzruszył ramionami. — Co mnie to obchodzi ile. Parę tysięcy. Wziąłem wszystkie, które były w kieszeni plecaka... Więc pan wiedział, że zginęły pieniądze?

— Zauważyliśmy ich brak po ognisku. Ale wasz komendant nie chciał robić alarmu w nocy. Chciał to załatwić rano... Tam było osiem tysięcy...

— Możliwe... — powiedział chłopiec i odszedł powoli kilka kroków. Staął. — Chyba pójdziemy, co? Zupełnie przestało padać.

— Tak, chyba pójdziemy.

Doszli do drogi i bez jednego słowa skręcili obaj w tę stronę, z której przyszli przed burzą. Każdy krok oddalał ich od stacji. Nogi wrzynały się w mokry piach, ale było lżej oddychać. Chmury przewalały się, odsłaniając wiszący tuż nad drzewami księżyc, w jego świetle las odzyskał kolor i zapach.

— Mój przyjaciel malarz — powiedział mężczyzna -nie był dobrym malarzem. Twierdził, że nie istnieje to, co nie ma koloru. I dopiero teraz pojął, że czarny kolor to też jest przecież kolor.

— Nie jestem malarzem...

— Ty mówiłeś: ona mnie przekreśliła, a człowiek przekreślony może już zrobić wszystko. Wszystko złe. I postanowiłeś sam się również przekreślić, żeby jej pomóc. Za wysoka cena. Może coś bardzo boleć, może nam życie chlapanąć w oczy czarną farbą, a jednak można z tym żyć. Człowiek ustoi. Ale nie można żyć bez samego siebie. Nikt nie jest w stanie cię przekreślić, dopóki nie odejdziesz od samego siebie i sam się nie przekreślisz.

— Pan to znowu mówi nie tylko do mnie — powiedział chłopiec. — Do malarza również.

— Tak.

„Teraz wiem, czego się bałem — myślał chłopiec. — Nie tego, że każą mi odpowiadać za to, co zrobiłem. Wiedziałem, że odszedłem od samego siebie i czułem, że mogę już się nie odnaleźć. Tego się bałem, to był prawdziwy strach...”

Szli powoli i zanim wyszli z lasu, noc przełamała się, pojaśniało, letni świt po burzy bywa ołowiany szarością, ale przychodzi wcześniej i nagle. Na skraju lasu mężczyzna przystanął. Chłopiec również. Widać już było polaną, kępę jeżyn, a za nią obozową bramę i namioty. Obóz spał.

— Już prawie czwarta — powiedział mężczyzna. — Zmęczony jesteś?

— Nie. Ale myślę o tym, że nie wszystko zostało załatwione. Nie pomogłem jej... nie wiem, co

będzie z tą dziewczyną. Jak ona zwróci tamte pieniądze, co jej zginęły, jeśli ja panu teraz oddam te, które wczoraj wieczorem ukradłem z namiotu komendanta?

Mężczyzna wyciągnął rękę, wziął od chłopca zwitek banknotów i schował do kieszeni.

— Dlaczego pan nic nie mówi? — spytał chłopiec. — Tak wiele przez całą tę noc usłyszałem od pana. A na to pytanie pan nie ma odpowiedzi?

— Nie! — odpowiedział mężczyzna. — Nie mam odpowiedzi. Gdybyś mógł, dałbyś jej te trzy tysiące. Gdybym ja mógł, też bym jej dał. Ale nie jesteśmy w stanie jej pomóc...

— Więc zostawimy ją samą?

— Tak.

Milczeli. Długo milczeli. Robiło się coraz jaśniej, wstawał dzień, wilgotne płótna namiotów błysnęły słońcem, które wyszło gdzieś tam zza lasu.

— Wracają wszystkie kolory... — powiedział cicho mężczyzna. — A wśród nich i kolor czarny. Widzisz... gdyby to wszystko działo się w bajce, na pewno teraz, o świcie, okazałoby się, że dziewczyna odnalazła tamte zagubione czy skradzione pieniądze, przeprosiłaby cię za swoje podejrzenia, wszyscy odetchnęlibyśmy z ulgą i żyli długo i szczęśliwie. Ale to się nie dzieje w bajce...

— Gdybym pana poprosił... — przerwał mu nagle chłopiec. — Ile mógłby pan mi dać pieniędzy? Nie pożyczyć, bo z czego oddam. Po prostu dać, ze swoich.

Mężczyzna zastanowił się chwilę.

— Nic... albo z pięćset złotych. Bo tylko tyle mam. Resztę muszę sobie zostawić na bilet...

— Pięćset złotych... — powiedział chłopiec. — Gdybym sprzedał mój rower, może dostałbym tysiąc. To razem zaledwie połowa tego, ile jej potrzeba. I niby dlaczego, z jakiej racji, miałby mi pan dawać dla niej pięćset złotych, dla obcej dziewczyny?

— Nawet zupełnie obcy ludzie czasem sobie pomagają... ile mogą. A zresztą, dla ciebie ona też już teraz jest obca i będzie obca, tak mówięś. Coś ci jednak powiem. Jeśli nawet będziesz miał te półtora tysiąca od nas obu i dasz dziewczynie, ona może to zrozumieć tak: ukradł mi trzy tysiące, ale ruszyło go sumienie i oddaje półtora. Jeśli już raz cię podejrzewała, może tę twoją pomoc uznać za dowód, że to ty jej ukradłeś. Pomyślałeś o tym?

Chłopiec milczał. Wreszcie podniósł głowę i spytał:

— A gdybym panu teraz powiedział, że w ogóle nie było całej tej dzisiejszej nocy i poprosił, żeby pan dał mi z tych pieniędzy komendanta trzy tysiące, co by pan zrobił?

— Nie mogę ci ich dać. To przecież nie moje pieniądze, ani nie jego. To są pieniądze na wyżywienie obozu i drogę powrotną do domu. Ale zawsze mógłbym wyjąć z nich trzy tysiące, położyć tu obok, na trawie i powiedzieć: jeśli chcesz, kradnij je po raz drugi, nie będę cię gonił, jutro, pojutrze i tak cię złapią...

— No tak... — mruknął chłopiec. — Wiedziałem, że pan by właśnie tak zrobił... Znowu każe mi pan wybierać.

— Bo odnajdujemy siebie nie w nastrojach, nie w radości czy żalu, i nie w litości... Odnajdujemy siebie w/ decyzjach. A przecież ty już sam zdecydowałeś. Wiem, że zdecydowałeś.

Od strony obozu powiał wiatr i przyniósł tu, na skraj lasu, skrzypienie obozowej bramy. Mężczyzna uśmiechnął się:

— Mówiłeś, że zbudowana bez jednego gwoździa. Ale wytrzymała burzę, ustała. Choć dalej skrzypi...

— Co pan powiedział? — spytał chłopiec. Był zamyślony i nie dostyszał.

— Nie, nic ważnego... Co robimy? Już wiesz?

— Tak! — powiedział chłopiec. — Zdecydowałem.

Niektóre pozycje z serii

WAŻNE SPRAWY DZIEWCZĄT I CHŁOPCÓW

K. Dębnicki — Powroty

J. Korczakowska — Mały

J. Majka — Już świta

J. Nasfeter — Mustang

- Z. Pawiowski — Moja wielka szansa
- K. Sołownik-Olbrychska — Piotrek z domu na wodzie
- K. Sołownik-Olbrychska — Imieniny z macierzanką
- L. Woźnicka — Szymek ze wsi Kryształowej
- W. Żółkiewska — Kibice

w przygotowaniu:

- M. Dańkowska — Malinowa Góra
- K. Siesicka — Być babim latem
- B. Tylicka — Kartki z zielonego zeszytu
- W. Wiśniewski — Dziewczyna z fortepianem
- W. Wiśniewski — Przyjaźń z niebieskiej koperty

Interesujące Was książki możecie kupować w składnicach CSH, księgarniach „Domu, Książki” i kioskach „Ruchu”.

Wydawnictwo Harcerskie, Warszawa, ul. Konopnickiej 6. Wydanie I. Nakład 30 000 + 251 egz.
Objętość ark. wyd. 16,63 ark. druk. 25,25. Papier druk. mgł. III ki. 80 gr. 82X104. Przekazano do składu w maju 1970 r. Podpisano do druku w październiku 1970 r. Wojskowa Drukarnia w Gdyni. Zam. 1995 M-2 Cena 25,—